

Jaka
Polska?
Czyja
Polska?

Fundacja im. Stefana Batorego
Warszawa 2006

Jaka Polska? Czyja Polska?

Pod redakcją
Piotra Kosiewskiego



FUNDACJA
IM. STEFANA BATOREGO



Jaka Polska? Czyja Polska? Diagnozy i dyskusje



Fundacja im. Stefana Batorego

ul. Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. |48 22| 536 02 00

fax |48 22| 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne:

Izabella Sariusz-Skąpska

Korekta:

Joanna Liczner

Opieka artystyczna nad publikacjami Fundacji im. Stefana Batorego:

Marta Kusztra

Projekt graficzny:

Teresa Oleszczuk

Skład elektroniczny:

TYRSA Sp. z o.o.

© Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego

ISBN 83-89406-71-3

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Warszawa, 2006

Spis treści

Aleksander Smolar, Uwagi wstępne 9

III? IV? Sens zmiany

Między obroną III RP a budową IV RP.

Analiza dyskursów ideologicznych

Ryszard Legutko, Dzisiejsze „dyskursy” ideologiczne 15

Jacek Żakowski, Deszcz, rynna itp. 19

Jacek Kurczewski, Nieufność i solidarność 28

Dyskusja (Dariusz Gawin, Jacek Kurczewski, Rafał Matyja, Andrzej Mencwel, Tadeusz Szawiel, Hanna Świda-Ziemba, Andrzej Walicki, Maciej Zięba OP) 43

Wybór instytucji, wybór polityki

Andrzej Rychard, Wybór instytucji, wybór polityki 57

Antoni Kamiński, Ustrój państwa,
polityka a obecny układ rządzący 62

Jerzy Hausner, Gdy nie wiadomo, o co chodzi,
wiadomo, że chodzi o władzę 67

Dyskusja (Ryszard Bugaj, Dariusz Gawin, Jerzy Hausner, Antoni Kamiński, Zdzisław Krasnodębski, Joanna Kurczewska, Radosław Markowski, Wiktor Osiatyński, Janusz Reykowski, Andrzej Rychard, Tadeusz Szawiel, Jacek Żakowski) 80

Między tradycją a nowoczesnością.

Bunt przeciw nowoczesności

czy też specyficzna nowoczesność?

Jacek Kochanowicz, **Pożegnanie z nowoczesnością?** 107

Zdzisław Krasnodębski, **Tradycja a nowoczesność** 117

Janusz Lewandowski, **Między marszami równości
a budową IV RP** 127

Dyskusja (Janusz Grzelak, Jerzy Jedlicki, Jacek
Kochanowicz, Zdzisław Krasnodębski, Rafał Matyja,
Andrzej Mencwel, Cezary Michalski, Wiktor Osiatyński,
Janusz Reykowski, Antoni Sulek, Tadeusz Szawiel,
Andrzej Walicki, Andrzej Waśkiewicz,
Maciej Zięba OP) 131

Podstawowe podziały polityczne:

„solidarni” przeciw „czerwonym”?

„socjalni” przeciw „liberałom”?

„moderniści” przeciw „tradycjonalistom”?

Janusz Reykowski, **Osie polskich konfliktów
ideologicznych** 159

Mirosława Grabowska, **Polskie podziały polityczne** 169

Bronisław Łagowski, **Transformacja restauracyjna** 181

Dyskusja (Ryszard Bugaj, Mirosława Grabowska,
Janusz Grzelak, Jerzy Jedlicki, Zbigniew Krasnodębski,
Bronisław Łagowski, Wiktor Osiatyński, Piotr
Pacewicz, Janusz Reykowski, Aleksander Smolar,
Jacek Żakowski) 188

Jaka Polska? Czyja Polska?

Mirosława Marody, Zawłaszczany kraj	207
Artur Wótek, Gadanie, czyli rewolucja	212
Jacek Rostowski, Czy Prawo i Sprawiedliwość ma „nieoliberalną” wizję ustroju państwa?	218
Piotr Winczorek, Polska według zwolenników IV RP	223
Henryk Domański, Klasa rządząca a tradycjonalizm Polaków	229
Jerzy Szacki, Populistyczna koalicja sprzeciwu	239
Karol Modzelewski, Polska rozbita	246
Dariusz Gawin, Obecny rząd i spór o model polskiej modernizacji	251
Sławomir Sierakowski, Pochwała antagonizmu	257

Postówie

Aleksander Smolar, Radykałowie u władzy. Od transformacji ustrojowej do rewolucji kulturalnej	265
--	------------

Noty biograficzne	295
Indeks nazwisk	311

Aleksander Smolar

Uwagi wstępne

Ubiegłoroczna, wielomiesięczna kampania oraz wynik podwójnych wyborów – parlamentarnych i prezydenckich – znacząco zmieniły polską scenę polityczną. Więcej – od pierwszej chwili panowało przekonanie, że mamy do czynienia z wyborami zasadniczo różnymi od poprzednich. Dominowało przeświadczenie, iż w ich wyniku dojdzie w kraju do radykalnych zmian, być może najgłębszych od czasu zasadniczej transformacji Polski w okresie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Takie przynajmniej były zapowiedzi dwóch głównych partii na polskiej scenie politycznej: Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej, takie też były oczekiwania wyborców. To przekonanie utrzymuje się do dziś, chociaż jesienią 2005 roku powstał zupełnie inny rząd, niż wynikało z wcześniejszych zapowiedzi, a zamiast zapowiadanej centroprawicowej koalicji mamy rządu Prawa i Sprawiedliwości, populistycznej Samoobrony oraz radykalnie prawicowej, nacjonalistycznej Ligi Polskich Rodzin. Zasadnicze obietnice PiS-u nie uległy jednak zmianie, podobnie jak obawy jednych i nadzieje drugich.

Powstała sytuacja skłania do postawienia szeregu pytań dotyczących ładu, jaki wyłania się obecnie w Polsce. Jak głębokie zmiany w istocie zostaną wprowadzone w wyniku działań obozu władzy? Jaka wspólnota polityczna i jaki system instytucji z nich się wyłonią? Czyim politycznym, społecznym i ekonomicznym interesom, w szerokim tego słowa znaczeniu, służą obecne rządy?

Nie można też pominąć pytań dotyczących przyczyn dzisiejszej sytuacji. Jak doszło do zwycięstwa formacji politycznej i wreszcie do zawiązania koalicji partii, które kształtowały swoją tożsamość polityczną w negacji do rządów po 1989 roku, do polityki zmian, które wówczas miały miejsce, do dorobku szesnastu lat przemian? Chociaż oczywiście odcienie tej negacji były różne. Dlaczego tak wiele osób i środowisk postanowiło przekreślić III RP w imię budowy IV? I jak ład panujący w naszym kraju ma się do celów oraz doświadczeń Polski po 1989 roku i ideałów sił, które przewodziły transformacji? Jak w tej perspektywie rysuje się odpowiedź na pytanie: czyja jest Polska?

Wydawane przez nas materiały pochodzą z dwóch spotkań zorganizowanych przez Fundację im. Stefana Batorego. Pierwsze, zatytułowane *III? IV? Sens zmiany* (Warszawa, 12 stycznia 2006 roku), było próbą przyjrzenia się na gorąco zmianom politycznym, jakie zaszły w 2005 roku – poczynając od kampanii wyborczej, na powstaniu pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości kończąc. Drugie spotkanie, opatrzone tytułem *Czyja Polska? Jaka Polska?* (Warszawa, 28 czerwca 2006 roku), poświęcono dyskusji nad dłuższym już okresem samodzielnych i koalicyjnych rządów Prawa i Sprawiedliwości.

III? IV?

Sens zmiany

Między obroną III RP a budową IV RP. Analiza dyskursów ideologicznych

Ryszard Legutko

Dzisiejsze „dyskursy” ideologiczne

Na wstępie muszę podzielić się wątpliwością związaną ze sformułowaniem: „dyskurs ideologiczny”. Termin „ideologia” jest wieloznaczny, jednak można go względnie łatwo zdefiniować. Natomiast „dyskurs”, słowo niezmiernie popularne w ostatnich dwóch dekadach, znaczy niewiele. W tej sytuacji dokonałem arbitralnego ustalenia: dyskurs ideologiczny zdefiniowałem jako rodzaj wypowiedzi między świadomie sformułowaną koncepcją polityczną a „politycznym folklorem”. Dyskurs jest zestawem pojęć, skojarzeń, interpretacji, które bardziej – by użyć metafory – unoszą się w powietrzu, znamionując pewną atmosferę, niż stanowią względnie dobrze usystematyzowaną i skonceptualizowaną wypowiedź.

Można wyodrębnić kilka tak zdefiniowanych dyskursów, z których szczególnie trzy wydają się znaczące dla współczesnego klimatu politycznego. Pierwszy nazwałbym „**dyskursem histerycznym**”. Można wskazać wiele przykładów takich wypowiedzi. Wystarczy wspomnieć chociażby tzw. apel krakowskich intelektualistów, ogłoszony kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi w 2005 roku, a ostrzegający przed „radikalizmem” głównych ugrupowań politycznych, czyli Prawa i Sprawiedliwości i Platformy Obywatelskiej. W owym dyskursie histerycznym dominuje poczucie wielkiego zagrożenia z powodu stojących u bram barbarzyńców. Używający tego języka mają dobrze zdefiniowanego wroga. Jest on zawsze bardzo konkretny. Zwykle bywa nim któraś z partii – w przypadku owego nieszczęsnego listu była to

Liga Polskich Rodzin. W tej wrogiej konstelacji pojawia się niezmiennie Radio Maryja, rzucające groźny cień na Rzeczpospolitą i jej przyszłość. Powiązanie, nawet najbardziej iluzoryczne, tego Radia z jakimś środowiskiem politycznym stanowi zepchnięcie tego ostatniego do statusu siły czynnie zagrażającej dalszemu istnieniu demokracji.

Podobny zabieg bywa przeprowadzany z partią Prawo i Sprawiedliwość, a nawet do niedawna stosowano go wobec Platformy Obywatelskiej. O ile jednak wróg jest dokładnie określony, o tyle nie bardzo wiadomo, kto stoi po stronie dobra. Zwykle w tej sytuacji padają „słowa-zaklęcia”, z definicji dobre i szlachetne: „państwo prawa”, „społeczeństwo obywatelskie”, „demokracja”. Gdyby poważnie potraktować ten sposób wypowiedzania się o rzeczywistości, to należałoby przyjąć, że jeśli nie nastąpiła już katastrofa, to przynajmniej znajdujemy się na jej granicy.

Co ciekawe, ten opis rzeczywistości klóci się z innym założeniem przyjmowanym przez reprezentantów dyskursu historycznego. Może nie jest on wyrażany wprost, ale tkwi tam *implicite*. Otóż podług zwolenników tego stanowiska ogólnie sytuacja w Polsce jest dobra, a nasze sukcesy olbrzymie. Skoro zatem jest tak dobrze, to – chciałoby się zapytać – po co straszyć barbarzyńcami. Ale ów dyskurs właśnie na tym polega, by z jednej strony krzyżeć, iż jest strasznie, a z drugiej, że jest dobrze. Ten sposób mówienia o polskiej rzeczywistości jest anachroniczny i stanowi odbicie atmosfery sprzed kilkunastu lat. Natychmiast przypominają się wczesne lata 90. – słuchając dzisiejszych historyków, można odnieść wrażenie, że od tego czasu nic się w Polsce nie zmieniło. Ciągłe triumfuje demokracja i ciągle zagrażają jej siły ksenofobii, ciemnogrodu, kotłurnstwa, nacjonalizmu, fundamentalizmu itd.

Drugi sposób mówienia o świecie można by nazwać „**dyskursem ciągłości**”. Nie ma on swojej wyraźnej reprezentacji politycznej. Być może najbliższy takiemu myśleniu jest Sojusz Lewicy Demokratycznej, ale posługują się tym typem argumentacji rozmaite wpływowo środowiska, na przykład część publicystyki „Gazety Wyborczej”, niektóre media telewizyjne, a także – jak sądzę – niemała część polskiego społeczeństwa. Ten sposób mówienia o rzeczywistości opiera się zazwyczaj na dwóch założeniach: bilans ostatnich piętnastu lat jest *per*

saldo pozytywny, zaś postulowana/wprowadzana przez PiS rewolucja musi być przeciwna. Dość niezwykła jest dla mnie obecność w pismach związanych z SLD, a więc partią wywodzącą się z PZPR-u i mającą na ogół pozytywny stosunek do PRL-u, języka antyrewolucyjnego. Wrogów określa się tam mianem „bolszewików” lub na przykład mówi się o „powrocie PRL-u”. Wydawałoby się, że środowisko mające swe źródła w rewolucji nie powinno posługiwać się argumentacją antyrewolucyjną. Czyni to jednak chętnie, najpewniej w przekonaniu – być może powstałym w wyniku automistyfikacji – że III RP stanowi kontynuację reformistycznych tradycji PRL-u.

„Dyskurs ciągłości” jest, jak sądzę, bardziej wiarygodny od „dyskursu historycznego”. Jest on jednak uwikłany w – jak go nazywam – „mit transformacji”. „Transformacja”, magiczne słowo, które w pewnym momencie zostało użyte do określenia zjawisk odchodzenia od komunizmu, stało się dość szybko określeniem stanu permanentnego, nie mającego swojego końca, mimo że minęło już szesnaście lat. Poddanie się temu mitowi skłania do uznania, że cokolwiek złego się dzieje w strukturach III RP, to prędzej czy później transformacja sobie z tym poradzi. Transformacja prowadzi wszak zawsze do usuwania gorszych stanów rzeczy i wprowadzania lepszych. Stworzono w ten sposób – jak można by powiedzieć – swoistą „transformacyjną teodyceę”.

Trzeci dyskurs to „**dyskurs zmiany**”. Jego reprezentantami politycznymi są partie, które odniosły największy sukces w ostatnich wyborach parlamentarnych. Jest to wspólny język większości ważnych polityków, a przynajmniej był to wspólny język do czasu, gdy istniała szansa na koalicję PO i PiS-u. Owi politycy przyjmują założenie, że bilans ostatnich piętnastu lat jest niekorzystny, nie tyle z punktu widzenia oczekiwań, ile możliwości, jakie mieliśmy w naszym zasięgu. Potrzebna jest zatem zmiana, choć trudno obecnie określić jej charakter. Póki co mamy do czynienia z pomieszaniem wątków programowych oraz z niezauważalnym i łatwym przechodzeniem od opisu do haseł mobilizacyjnych. Trudno niekiedy stwierdzić, które z wypowiedzi służą jedynie mobilizowaniu społeczeństwa do dokonania proponowanych zmian, a które opisują takie zmiany.

Co się ujawniło w wyniku starcia tych trzech dyskursów? Pierwsza uwidoczniła się różnica zmian w podejściu do tzw. problemu modernizacji. Użytkownicy

tych trzech dyskursów różnią się w sposobie określania, czym ona jest oraz jak głęboko i daleko ma zachodzić. W wyniku ostatnich wyborów głosami większości został odrzucony czy też mocno zakwestionowany dogmat, że modernizacja musi mieć charakter głęboki i jest pewnym pakietem, który można przyjąć w całości albo w całości odrzucić. Zanegowano więc założenie, iż modernizacja obejmuje wszystko, całość życia społecznego, sposoby myślenia, zachowania, obyczaje oraz jest nieuchronna, a państwo ma być jedynie instrumentem w jej realizacji. Spór „liberalny” *versus* „solidarny”, który pojawił się w ostatnim etapie kampanii parlamentarnej i prezydenckiej z 2005 roku, można odczytać właśnie jako spór o model polskiej modernizacji, chociaż sam konflikt był napędzany przede wszystkim przez wymogi kampanii wyborczej.

Drugim efektem sporu tych różnych dyskursów jest stosunek do państwa jako instytucji. Do tej pory kwestia ta nie znajdowała się w centrum uwagi, ponieważ państwo traktowano jako pochodną wyboru modernizacji i przyjmowano, że model państwa jest już w ten sposób określony albo że wynika on z logiki integracji europejskiej, która zdeterminuje przyjęcie konkretnych instytucji i rozwiązań. Ten model państwa został w wyniku ostatnich wyborów zakwestionowany.

Trzecia sprawa to „aktywistyczna koncepcja polityki”. U początku III Rzeczypospolitej mieliśmy do czynienia z aktywną polityką, dokonały się najbardziej podstawowe i najważniejsze zmiany. Ale paradoksalnie był to równocześnie okres antyaktywistycznej retoryki. Politykę czynną i śmiałą przedstawiano nie jako wielką przygodę polskiego społeczeństwa, lecz jako serię zabiegów technicznych. Zapewne jedną z niedobrych konsekwencji takiego podejścia był relatywnie niewielki rezonans społeczny, nieproporcjonalny do dokonanych zmian. Obecnie pojawiła się wyraźnie inna koncepcja. Zerwano z założeniem nieuchronności zmian modernizacyjnych w życiu społecznym i przyznawaniem państwu jedynie roli akuszera, który wyłącznie pomaga tym zmianom urzeczywistnić się w sferze prawnej i instytucjonalnej. Następuje odrodzenie klasycznej koncepcji polityki jako sztuki, która jest odpowiedzią na wyzwania stojące przed zbiorowością.

Jacek Żakowski

Deszcz, rynna itp.

Jesteśmy w szoku. Aby się z niego wydostać, musimy dobrze zrozumieć, co się z nami dzieje. To jest trudne, gdy dokonuje się oceny z wnętrza sytuacji. Ale trzeba próbować. Z wielu możliwych odpowiedzi jedna wydaje mi się zdecydowanie najbardziej prawdopodobna. Przeżywamy naturalną wymianę paradygmatu. **Paradygmat** III RP uległ wyczerpaniu. Rozpoczęła się próba budowania nowego. Wyczerpanie paradygmatu jest rzeczą naturalną. Nie ma nic dziwnego w tym, że szukamy nowego. Nie musi to jednak oznaczać uznania, że odchodzący paradygmat był zły. Wystarczy, że przestał być dobry. Możliwe jest więc popieranie zmiany i jednoczesna akceptacja przeszłości, mimo krytyki pewnych jej elementów.

III Rzeczpospolita nie da się dziś obronić. Ale to nie znaczy, że jest ona nie do obrony także retroaktywnie, z punktu widzenia sytuacji, jaka miała miejsce 10 czy 15 lat temu. Jestem przekonany, że mimo licznych słabości, paradygmat III RP był najlepszym praktycznie możliwym. To, co dziś jest dysfunkcyjne, kilka lat temu stanowiło optymalny wybór. Nie jest intelektualnie uczciwe twierdzenie, że to, co dziś źle działa, od początku było do niczego. Tak samo, jak nie jest intelektualnie uczciwe twierdzenie, że z obecnej sytuacji mamy tylko jedną drogę wyjścia – na przykład tę, którą popularnie nazywa się IV RP.

Projekt IV Rzeczypospolitej nie musi być trafną odpowiedzią na problemy, przed którymi stanęliśmy, gdy wyczerpał się paradygmat III RP. Zgadzam się,

że konieczna jest zasadnicza zmiana, ale nie każda zmiana prowadzi do poprawy, a wiemy z historii, że zmiana nawet bardzo złej sytuacji często prowadzi do pogorszenia, chociaż współczesnym to się zwykle nie wydaje możliwe. W XX wieku na problemy wynikające z wyczerpywania się paradygmatu udzielano wielu złych odpowiedzi – poczynając od rewolucji bolszewickiej, a na projekcie neokonserwatywnym kończąc. Faszyzm, komunizm, nazizm, stalinizm, autorytaryzm – to wszystko były groźne, złe odpowiedzi, których tak czy inaczej doświadczyliśmy w Polsce. Na początku wieku XXI znów stoimy przed groźbą udzielenia groźnych, fałszywych odpowiedzi na dobrze postawione pytania i prawidłowo nazwane wyzwania.

* * *

Podstawową słabością III RP był **ekonomizm**. Naiwne, ale powszechnie przyjęte założenie, że dobry stan gospodarki przełoży się na dobry stan wszystkiego. Błąd ekonomizmu był pogłębiany przez ekonomiczny **autonomizm** – wiarę, że gospodarka jest autonomiczna, podobnie jak państwo i społeczeństwo. Milcząco zakładano, że w społecznej biocenozie funkcjonują byty niezależne. Z autonomizmu wynikało przekonanie, że problemy społeczeństwa i państwa można odłożyć na później, kiedy wyczyścimy sprawy gospodarcze. Nie wiem, skąd wzięła się myśl, że gospodarka może się rozwijać mimo słabości albo słabnięcia państwa, ale ten pogląd wyraźnie zdominował praktyczną politykę.

Ekonomizm i autonomizm stworzyły w III Rzeczypospolitej etos antypaństwowy. Wyniesioną z PRL-u nieufność wobec państwa wzmacniało ultraliberalne przekonanie o jego zbyteczności lub wręcz szkodliwości. Ten **antyetatyzm** jest obecny także w dyskursie IV RP. Obrońcy III RP i promotorzy IV RP dość zgodnie przedstawiają wydatki państwowe jako marnowanie zasobów. Nie jako inwestycję, nie jako koszt tworzenia infrastruktury, ale jako stratę. Następstwem takiej postawy jest zaniedbanie infrastruktury, poczynając od dróg, poprzez wymiar sprawiedliwości i oświatę, po infrastrukturę intelektualną rządu, której namiastkę, czyli Rządowe Centrum Studiów Strategicznych, obecny rząd likwiduje.

Antyetycyzm ma silne oparcie w bardzo niskim poziomie zaufania, który powoduje, że wielkie przedsięwzięcia stają się niemożliwe, bo zawsze rozbijają się o próg nieufności. Patologiczna **nieufność** sprawia, że państwo nie może w Polsce budować na przykład autostrad, bo powszechnie wiadomo, że ktoś ukradnie środki na ten cel przeznaczone. Mówię o oczekiwaniu, nie o tym, co się realnie stanie. Nie wierzymy w istnienie mechanizmów umożliwiających względnie uczciwe wydawanie publicznych pieniędzy. To bardzo ważna bariera mentalna rozwoju, którą trzeba przelamać, żeby Polska mogła się dalej rozwijać.

Walka z nieufnością i z wieloma innymi plagami społecznymi nie jest jednak w tym paradygmacie możliwa, bo na drodze staje **aspoteczność** myślenia politycznego. Nie antyspoteczność, ale aspoteczność, czyli przekonanie, że polityka z zasady nie powinna ingerować w procesy społeczne. Przeświadczenie, że powstrzymywanie się od świadomej ingerencji oznacza nieingerowanie, jest oczywiście naiwne. Procesy społeczne tak czy inaczej są stymulowane przez polityczne decyzje, tyle że mogą być stymulowane w sposób zamierzony lub niezamierzony, świadomy albo nieświadomy. Paradygmat III RP oznaczał wybór nieświadomej „**pasywnej inżynierii społecznej**”, czyli polityki w istocie abstrahującej od skutków ubocznych, zwłaszcza w życiu społecznym. Następstwa pasywnej inżynierii są dość dobrze widoczne we wszystkich kluczowych dziedzinach życia.

Główne bariery rozwoju gospodarczego nie wynikają dziś przecież z polityki gospodarczej, lecz są następstwem słabości państwa (sądy, korupcja, niesprawność) biorącej się z antyetycyzmu lub barier w infrastrukturze społecznej (postawy społeczne, wykształcenie, spadający poziom zaufania), wywodzących się z aspoteczności polityki. Uderzenie ekonomizmu w gospodarkę, czyli w to, co było jego jądrem, jest objawem wyczerpania paradygmatu, podobnie jak strzelanie do robotników oznaczało koniec „dyktatury proletariatu”.

Paradygmat uległ wyczerpaniu, ponieważ zasoby, które eksploatował, zostały skonsumowane i ich nie odtworzono. Odwołam się do pojęcia używanego przez dependentystów: skończyła się możliwość **eksternalizowania**

kosztów z gospodarki do innych dziedzin życia. Dobrym przykładem jest kryzys demograficzny, nieobecny przez kilkanaście lat w myśleniu politycznym, co było typowym objawem pasywnej inżynierii społecznej. Nowy system spowodował kryzys, ale nie chciał się nim zajmować, bo uważał go za zjawisko naturalne. Spadek dzietności jest w dużej mierze wynikiem eksternalizowania kosztów rozwoju gospodarczego do życia rodzinnego – prywatyzacji ryzyka życiowego, słabnięcia zabezpieczeń, napędzania kultury konsumpcyjnej w sposób niekontrolowany i niezrównoważony. Teraz musimy coś z tym zacząć robić i to musi kosztować. Skończyła się jazda na gapę.

Inne przykłady to edukacja, która została wypłukana z elementów humanistycznych, czy coraz bardziej rachityczne więzi społeczne. Wyzbyliśmy się peere-
lowskich elementów integracji społecznej, świadomego budowania procesów integracji, uczenia udziału w życiu społecznym, a nie stworzyliśmy nowych. Tadeusz Gadacz celnie zauważył, że w polskich szkołach i na wyższych uczelniach kształcą się siłę roboczą, a nie obywateli. To jest jeden z poważniejszych powodów naszych obecnych kłopotów politycznych. Wychowaliśmy pokolenie ludzi jakoś wprawdzie zakorzenionych w wartościach chrześcijańskich czy w aksjologii katolickiej (choć nie wiem, czy procesy społeczne świadczą o ich internalizacji czy tylko o deklaracyjnym uznaniu), natomiast niezakorzenionych w aksjologii obywatelskiej. Wytworzony został jakiś brak. Takie braki społeczne przekładają się na patologiczne zjawiska – korupcję, nepotyzm, społeczne egoizmy (korporacyjne, regionalne, partyjne, klasowe), absencję w polityce.

Nastąpiła też implementacja skali wartości ze sfery polityki do życia prywatnego i do gospodarki. Również poza polityką myślenie w niebezpiecznym stopniu się ekonomizuje – odwołuje się głównie **do wartości czysto policzalnych**, czysto materialnych, bo żadne inne nie funkcjonują w dyskursie. Niedawno, podczas rozmowy z młodzieżą, na słynne pytanie Władysława Bartoszewskiego „Czy warto być przyzwoitym?” usłyszałem odpowiedź: „tak, bo kiedyś inni to docenią i to się zwróci”. Nawet przyzwoitość nie może być wartością autonomiczną – ma kiedyś przynieść korzyści w karierze czy w wymiarze finansowym. Ta odpowiedź oznacza, że ekonomizm sfery publicznej doprowadził do aksjologicznej klęski: nie jesteśmy

w stanie prowadzić debaty moralnej poza twardymi wartościami. Stworzyliśmy oczywiście fałszywy aksjologiczny oksymoron: warto być przyzwoitym, bo na tym można zarobić.

Rzecz jasna, w polityce najwyraźniej płacimy za grzechy III RP. Następtwem jest **populizm** – wytworzone dość powszechnie w społeczeństwie poczucie, że władza się nami nie opiekuje, a państwo przestało być wielką zbiorową ubezpieczalnią, że już nie możemy od ludzi obecnych na scenie politycznej oczekiwać współczucia. To współczucie od lat wyrażali jedynie populiści, którzy zapewne nie umieją zaspokoić innych potrzeb ludzi, ale przynajmniej w tej dziedzinie wypełniają oczekiwanie społeczne.

Tu część środowiska IV RP dokonała istotnego odkrycia. Część, bo można mówić o dwóch dyskursach IV Rzeczypospolitej: konserwatywnym i liberalnym. Jest między nimi bardzo istotna różnica. W dyskursie konserwatywnym **współczucie** i element solidarności są bardzo mocne. Sądzę zresztą, że to właśnie one stanowią o sile politycznej Prawa i Sprawiedliwości. PiS – nie Samoobrona i ks. Tadeusz Rydzyk, bo to są jednak niszowe zjawiska – wprowadził współczucie i współtroskę do głównego nurtu polskiej polityki. PiS „odkrył” rzecz oczywistą: wyrażanie wspólnoty jest w polityce niezbędne. Współczujący konserwatyzm, do którego odwołuje się PiS, stworzyli na przelomie lat 70. i 80. amerykańscy konserwatyści. Aż dziw, że wcześniej nikt w Polsce – np. Leszek Miller – nie zauważył istnienia takiej społecznej potrzeby.

Można to wytłumaczyć dominującym na scenie politycznej wyobrażeniem, że III Rzeczpospolita ma stanowić **odwrotność** PRL-u – tam państwo robiło wszystko, tu ma niczego nie robić. Teraz obserwujemy podobną sytuację. IV Rzeczpospolita ma być odwrotnością III Rzeczypospolitej.

Samoidentyfikowanie przez przeciwieństwo zawsze jest groźne. Między innymi dlatego, że na drugim wirażu wraca się do punktu wyjścia. Warto zwrócić uwagę, jak łatwo dochodzi do pewnych adaptacji. Proste **kalki** wciąż są przenoszone z PRL-owskiej kultury politycznej. Na przykład wiara, że istnieje jakieś nieomyłne źródło racji: w PRL-u to była partia, w III Rzeczypospolitej – rynek, a w IV Rzeczypospolitej ma to być władza polityczna. Taki świecki absolut to zawsze jest nieszczęście.

* * *

Powiedziałem, że projekt IV RP jest złą odpowiedzią na wyczerpanie paradygmatu III RP. Trzy błędy wydają się tu szczególnie niebezpieczne. Po pierwsze, odpowiedź na trafny, moim zdaniem, postulat wzmocnienia państwa. Kłopoty pojawiają się, gdy pytamy: co znaczy „**silniejsze państwo**”? Obawiam się, że w politycznej praktyce następuje tu groźne podstawienie. W dyskursie konserwatywnym, ale też liberalno-konserwatywnym, reprezentowanym przez Jana Rokitę, silne państwo to w dużej mierze ma być **państwo brutalne** (co widać choćby w polityce karnej). Ma powstać „państwo silnej ręki”, a nie „sprawne państwo”. W politycznej praktyce dobrym przykładem jest przypadek poznański, kiedy to zgłoszono zamiar zorganizowania dwóch demonstracji. Co w takim przypadku zrobiłoby silne państwo? Wyznaczyłoby inne pory, rozdzieliłoby demonstrantów przestrzennie. A państwo brutalne? – rozpęda. Co by zrobiło silne państwo, gdyby stanęło przed groźbą, że lekarze opuszczą gabinety i nie będą przyjmowali chorych? Negocjowałoby skutecznie wcześniej. Co robi brutalne państwo? Straszy, że weźmie wszystkich lekarzy w kamasze. To podstawienie pojęć jest bardzo niebezpieczne, bo państwo brutalne nigdy nie jest silne. Zawsze jest słabe i szybko się rozpada.

Po drugie, problemem jest **tanie państwo** w dyskursie IV RP, zwłaszcza w dyskursie liberalnym, mylone z **państwem skąpym**. A przecież, jak mówi stare porzekadło: skąpy płaci dwa razy. Niedawno, w rozmowie radiowej z Janem Rokitą, na moją uwagę, że przedstawiane przez niego pomysły na tanie państwo są dość egzotyczne, usłyszałem: „Jak to? Przecież proponujemy wielkie oszczędności. Można przestać budować biurowiec w Warszawie, można zabrać komórki urzędnikom, odebrać im samochody...”. Warto się zastanowić, czy tanie państwo to państwo, które wydaje mało, czy też państwo, które wydaje trafnie? Czy jest to państwo, które ma beczynnych lub niewydajnych urzędników, z którymi nie ma kontaktu, bo zostali pozbawieni telefonów komórkowych, a może nawet zwykłych telefonów, sekretarek, biurek, samochodów, i pozostaje im jedynie siedzenie w domu i pobieranie wynagrodzeń? Czy też tanim państwem jest państwo, które potrafi wery-

fikować racjonalność użycia np. telefonu służbowego i wydajność swoich pracowników?

W Polsce tanim państwem nazywamy państwo skąpe. To prowadzi do fundamentalnych dysfunkcji. Do powstrzymywania się od inwestowania w konieczną infrastrukturę, w administrację, edukację i wiele innych dziedzin. Dopóki IV Rzeczpospolita nie zrozumie, że państwo jest inwestycją społeczną, która ma się zwrócić, a nie zbędnym kosztem i marnowaniem pieniędzy, dopóty będziemy trwali w jednym z najbardziej patologicznych błędów III Rzeczypospolitej. Jego skutki możemy zobaczyć, kiedy wyjdziemy z prywatnych biur czy redakcji i wejdziemy na przykład do komisariatu policji czy sądu. W peerelowskiej scenerii, przy peerelowskich biurczkach, siedzą tam pijący herbatkę urzędnicy wyposażeni w peerelowskie maszyny do pisania. Ich wydajność pracy jest taka jak w PRL-u. Państwo skąpe marnuje ich czas i nasze pieniądze. W istocie państwo skąpe jest bowiem państwem niesprawnym, a więc marnotrawnym.

Po trzecie, problemem jest wykluczenie aktywności społecznej państwa, czyli pasywna inżynieria. Można tu dostrzec wyraźny podział w dyskursie IV Rzeczypospolitej. Według konserwatywnej, PiS-owskiej, wizji ta **inżynieria** ma być zaktywizowana. PiS myśli o prowadzeniu celowej inżynierii społecznej, na przykład o zakorzenianiu młodego pokolenia w historii czy stymulowaniu przyrostu naturalnego. Jestem zwolennikiem państwa świadomie oddziaływającego na społeczeństwo, świadomego procesów społecznych, które powoduje, i dokonującego racjonalnych wyborów. Jednak obawiam się, że grozi nam szereg chaotycznych przedsięwzięć inżynierskich. Dobrym przykładem jest „becikowe”. Tak duża inwestycja powinna być elementem poważnie przygotowanego i przedyskutowanego programu. Zamiast tego mamy do czynienia z okrzykami i fajerwerkami, które w dodatku mogą umocnić to, co miały zwalczać. Bo jaką treść faktycznie ma „becikowe”? Co państwo, które je ustanawia, w istocie mówi potencjalnym rodzicom? Państwo mówi im: troszkę wam pomożemy udźwignąć te ogromne wydatki, które wiążą się z posiadaniem dziecka. W ten sposób podkreśla się istotność ekonomicznych argumentów za powstrzymaniem się od posiadania dzieci.

Nikt w pełni zmysłów nie będzie przecież twierdził, że 1000 czy 2000 złotych to są kwoty liczące się w skali nakładów na wychowanie dziecka. Natomiast gdyby te pieniądze przeznaczyć na organizowanie solidarności społecznej, efekt byłby nieporównanie lepszy.

Te trzy podstawienia obecne w projekcie IV RP mogą mieć groźne skutki. Ale IV RP wniosła też nowe hasło: „państwo skuteczne”. To jest dobry postulat. Powstaje jednak pytanie, jakimi sposobami tę sprawność chcemy uzyskać. Sposoby, które konserwatywny obóz IV RP próbuje zastosować, wydają się przeciwnie skuteczne. Próba stworzenia skutecznego państwa poprzez rezygnację z bezpiecznych procedur w oczywisty sposób wiedzie do katastrofy. Droga do skutecznego i sprawnego państwa nie prowadzi przez ograniczanie praw obywatelskich, likwidowanie zabezpieczeń i niezależnych instytucji oraz podporządkowywanie wszystkiego rządowi, lecz przez stosowanie metod wynikających z wiedzy na temat zarządzania sprawami publicznymi. Wśród przedstawicieli konserwatywnego dyskursu tej wiedzy wyraźnie brakuje. Ludwik Dorn już na początku swojego urzędowania mówił o konieczności zwolnienia tysięcy urzędników publicznych. To pokazuje, że nawet przez pięć minut nie zastanawiał się nad metodologią reformowania państwa. Bo każdy, kto się reformowaniem sfery publicznej choć trochę interesuje, rozumie doskonale, że zapowiedź zwolnień powoduje powstawanie blokad i dezorganizację pracy wielkiej grupy urzędników, którzy zaczynają się zajmować głównie zapewnianiem sobie przetrwania, a nie sprawnym i skutecznym działaniem. Mówiąc krótko, i tu mamy do czynienia ze słusznym postulatem, realizowanym w sposób oczywiście nieumiejętny.

* * *

Na koniec chciałbym podsumować główne różnice między dwoma dominującymi dyskursami IV Rzeczypospolitej – konserwatywnym i liberalnym. Wrzucanie ich do jednego kosza jest bowiem mylące i utrudnia racjonalną debatę.

Po pierwsze, po stronie konserwatywnej pojawił się współczujący język, który – moim zdaniem – jest elementem pozytywnym, ponieważ umożli-

wia poradzenie sobie z populizmem, osiągającym niebezpieczny poziom. Po stronie liberalnej wciąż trwającej przy ekonomizmie ten język istnieje w formie raczej szczątkowej.

Po drugie, wizja państwa jako uczestnika gry, która pojawiła się po stronie konserwatywnej. Po stronie liberalnej mamy wciąż koncepcję państwa jako arbitra, i to pasywnego, rzadko korzystającego z gwizdka, kontynuującego pasywną inżynierię.

Po trzecie, istotne są klucze politycznego myślenia. Po stronie konserwatywnej mamy wyraźną triadę „rodzina–państwo–naród”. Po stronie liberalnej pole dyskursu wciąż określa dominująca w III RP triada „jednostka–rynek–władza”.

Po czwarte wreszcie, język. Po stronie konserwatywnej dominuje defensywny, tradycjonalistyczny język konfliktu grupowego – głównie klasowego i narodowego. Po stronie liberalnej mamy kontynuację progresywnego języka bezalternatywnej konieczności i wspólnej użyteczności. Konfliktowa totalna defensywa konserwatystów jest dysfunkcyjna, ale w odbiorze publicznym liberalna kategoria „konieczności” została zakwestionowana, podobnie jak wiara w powszechną użyteczność.

W moim odczuciu żaden z tych języków nie odpowiada potrzebom sytuacji. Oba przyczyniają się do pogłębienia kryzysu. Jeden głównie ze względu na defensywność i konfliktowość. Drugi z uwagi na podtrzymywanie tych elementów paradygmatu III RP, które są w największym stopniu odpowiedzialne za jego załamanie.

Jacek Kurczewski

Nieufność i solidarność

Mały kryzys sejmowy w styczniu 2006 roku – odprysk minikryzysu związanego z formowaniem rządu i koalicji rządzącej – zwrócił uwagę na kruchość mechanizmów życia publicznego. Nie mówimy tutaj o ordynacjach wyborczych, o liczbie partii czy o kompetencjach władz państwowych, ale o rzeczy bardziej podstawowej, a mianowicie o zaufaniu, a raczej jego braku. Bo i jak można uprawiać politykę, jeśli nie można zaufać obietnicy swojego rozmówcy, kiedy marszałek nie może wierzyć wicemarszałkowi, że ten będzie prowadzić obrady zgodnie z umówionym programem. Jak można uprawiać politykę, jeśli nie można zaufać marszałkowi, że nie kieruje się względem na interes wyborczy swojej partii, kiedy rząd nie wie, jak zagłosuje koalicjant, a obywatel nie wie, jak zagłosuje opozycja.

Nie są to zjawiska nowe, wręcz przeciwnie – obecny stan polskiej polityki jest zwieńczeniem wieloletniego procesu, którego źródeł należy szukać daleko przed narodzinami III Rzeczypospolitej, bo w przyczynach jej powstania.

Pamiętający „Solidarność” z lat 1980–1981 łatwo sobie przypomną cechę charakterystyczną kultury politycznej Związku, jaką była jawność negocjacji. Zaczyna się to jeszcze w Stoczni Gdańskiej, kiedy rokowania między delegacją rządową a komitetem strajkowym zostają nagłośnione tak, aby mogli je słyszeć wszyscy strajkujący, a wkrótce dzięki magnetofonowi, który był technicznym nośnikiem solidarnościowej rewolucji, cała Polska. Można

było zobaczyć, że władza ma opory. „Jakże to?” – pytała strona rządowa. Ale warunek zostaje przyjęty, bo jest on proceduralnym *sine qua non* dla nie znających władzy i siebie nawzajem strajkujących.

Tak już pozostanie przez cały długi rok „Solidarności” i jako eksperci będziemy nieraz usiłowali namówić „Solidarność” do odejścia od utrudniających praktycznie negocjowanie wymogów. Zresztą jawność była wadą, ale była też cnotą. Związek ma na koncie najważniejsze osiągnięcie, jakie stanowiła budowa autentycznej demokracji, a nie mogąc osiągnąć celów politycznych czy ekonomicznych w swym otoczeniu, to jest w PRL-u, mógł narzucić mu tylko procedurę kontaktów, ale to nie było mało. Przyznajmy jednak, że u źródeł tej procedury tkwi nieufność, nieufność wobec rozmówcy, wobec komunistycznych władz, które nieraz obiecywały coś, ale później nie dotrzymywały obietnicy. W takiej sytuacji potrzebni są jak najliczniejsi świadkowie tego, co się dzieje. Wreszcie nieufność wobec swoich: 16 miesięcy „Solidarności” to ciąg podejrzeń i szybko stawianych oskarżeń, z których równie szybko ich autorzy się wycofują. Podejrzany jest Lech Wałęsa, podejrzani są eksperci, podejrzana jest Komisja Krajowa. Nic w tym dziwnego, nagle do współdziałania zmuszone są miliony ludzi, którzy nie znają ani swoich przywódców, ani siebie nawzajem. Nadchodzi stan wojenny, a z nim konspiracja, w której zaufanie łączy się z oczywistą w tych warunkach podejrzliwością. Władze chwala się przykładami działaczy, którzy przeszli na ich stronę, dochodzą wiadomości, że są zdrajcy utajeni, rządzący poprzez swoje służby wpuszczają w kanały opozycyjnej komunikacji własne pomówienia i dezinformację. Wreszcie przychodzi Okrągły Stół 1989 roku. To wcale nie jest moment jednorazowego wyzwolenia się. Transformacja jest podszyta nieufnością. Nie ufa się komunistom, którzy podpisali porozumienia, nie ufa się tym z opozycji, którzy je podpisali. Wejście do nowej rzeczywistości odbywa się stopniowo, nawet Tadeusz Mazowiecki nie chce kandydować w wyborach parlamentarnych. Do władzy dojdzie później, a jego działania spotykają się tylko z częściową akceptacją. Kiedy z kolei zaprzysiężony zostaje prezydent Lech Wałęsa, już wygwizduje go obóz twardy, związany z czarną legendą

„Bolka”. I tak dzieje się przez 15 lat, wydarzenia dzisiejsze na forum politycznym są tylko kolejnym ogniwem.

Logika tych wydarzeń jest prosta. System totalitarny pozostawia po sobie jak smoczy zasiew jad zinstytucjonalizowanej wręcz nieufności. Nieufność jest wpisana w system komunistyczny, w którym nie wiadomo, co robią władze, człowiek zaś, nawet ten partyjny, ma tylko cząstkową informację o ich działaniach, a władze jednocześnie starają się za pomocą policji politycznej wiedzieć wszystko o obywatelach, co tworzy podstawową nierówność w stosunkach społecznych. Życie jest podwójne, zakłamanie, można się domyślać, że nawet partyjni myślą co innego, niż mówią, a w dodatku nie wiadomo, kto jest donosicielem. Nikt nie ma prawdziwej tożsamości, na dobrą sprawę dopiero papież Jan Paweł II jest tym, kim jest. Pierwszy „sprawdzony” Polak, „nasz”, „stąd”, ale uzewnętrzniiony w Watykanie, autorytet potwierdzony przez Kościół powszechny, a więc autorytet zewnętrzny w stosunku do PRL-u. Pierwszy i ostatni. Poza nim, w każdego można wątpić. Do tego dochodzi nieufność transformacyjna. Przecież w nowych warunkach nikomu nie można wierzyć. Tutaj z kolei pojawia się typowa dla anomii gwałtownej zmiany niepewność przyszłości. Niepewność i nieprzewidywalność. Dzisiejszy kancelista może być jutro wojewodą, doktorant zostaje milionerem, profesor politykiem partyjnym, działacz partii X działaczem partii Y. Czy możemy powierzyć nasze tajemnice znajomym, skoro nie każdy wiceminister będzie skłonny do przedkładania lojalności koleżeńskiej nad interes publiczny? Z upływem czasu mierzonych kolejnymi kampaniami wyborczymi dawni znajomi mijają się z rozpoznawczym uśmiechem, ale bez słowa, wiedząc, że nie mogą sobie zaufać, ba, nie mogą nawet zbyt wyraźnie objawić swych preferencji politycznych, bo te są niepewne i podejrzane.

Dla społeczeństwa zinstytucjonalizowanej niepewności charakterystyczne są wieczna lustracja i mit nowego początku. Lustracja ma przywrócić szanse nowego początku. Założenie jest złudne z trzech powodów.

Po pierwsze, jak pokazuje praktyka, nawet rozstrzygnięcie lustracyjne nie kończy nieufności pod adresem tego czy innego człowieka. Proces odkrywania prawdy historycznej jest przecież nieskończony, zawsze mogą

pojawić się nowe papiery. Spójrzmy na telewizję i gazety. Mówi się, że sąd rozstrzygnie wszystko, ale ledwie przywódca „Solidarności” z lat 1980–1981 został oczyszczony wyrokiem Sądu Lustracyjnego, już pojawiają się publicznie formułowane wątpliwości, czy aby wyrok nie był stronnicy, a złorzeczący przeciwnicy powtarzają swoją wersję jeszcze na sali sądowej. Rozpracowany przez dziennikarzy pośmiertnie przywódca łódzkiej „Solidarności” okazuje się kanałą donoszącą za pieniądze, ale jego zdradzony przyjaciel musi jednak powiedzieć, że „zrobił dużo dobrego dla Polski”¹. Dalej, obserwujemy, jak w kampanii na rzecz lustracji Kościoła księży, którzy rozmawiali z pracownikami MSW czy nawet załatwiali z nimi sprawy, w których to ministerstwo miało bezpośrednio kompetencje (na przykład paszporty), traktuje się jako współpracowników, zacierając różnicę między rozmową a współpracą w realizacji zadań przez MSW tajnie zleconych. Tak oto sama idea lustracji ulega wypaczeniu, zamiast wyjaśnienia uzyskujemy coraz więcej zamieszania, w którym zaciera się różnica między szczerym zdrajcą a zwykłym bezpartyjnym obywatelem lawirującym pod naciskami władzy.

Po drugie, lustracja bez dekomunizacji jest ułomna, a ujawnienie agentów komunistycznych bez potępienia członków partii komunistycznej może prowadzić tylko do reakcji cząstkowej. Można podejrzewać, że lustracja to przerzucenie odpowiedzialności z kilkumilionowej rzeszy partyjnych na tajnych współpracowników, tym bardziej, że olbrzymie rzesze partyjnych były przez większą część historii PRL-u wyłączone z werbunku do tajnej współpracy z MSW, a z kolei ich współpraca z komunistycznymi władzami nie może – w przeciwieństwie do wspomnianych bezpartyjnych rozmówców – ulegać wątpliwości. Brak zapału do dekomunizacji ma przyczyny oczywiste. Nie myślę tu o tym, że bardzo wielu partyjnych było prywatnie bezpartyjnymi, a niektórzy nawet antypartyjnymi. Nie myślę nawet o tym, że prawdopodobnie większość czynnej opozycji przed „Solidarnością” stanowili ludzie, którzy przynajmniej krótko byli w PZPR czy w organizacjach satelitarnych. Przede

¹ Andrzej Ostojka-Owsiany o Andrzeju Mazurze w rozmowie z Mariuszem Gossem i Pawłem Spodenkiewiczem, którzy zresztą tytułują symptomatycznie swój materiał *Bohater, konfident, prowokator*, „Więź” 2006, nr 2.

wszystkim dekomunizacja nie jest „ujawnieniem”, bo co tu ujawniać, przecież w prawie każdej polskiej rodzinie byli partyjni, a na swe otwarte zebrania nieraz spędzali pozostałych. Nie ma w tym tajemnicy.

Po trzecie, co jest może w całej tej historii najważniejsze, to oczywista niemożliwość realizacji lustracyjnej utopii „nowego początku”, bo nawet skuteczna i pełna dekomunizacja nie oczyści pola z nieufności transformacyjnej, nagromadzonej i uzasadnionej już w okresie gwałtownej zmiany, jaka w Polsce miała miejsce w ostatnich 15 latach.

Widać to w walce dwóch koncepcji samego szesnastolecia. Mało miejsca zajmuje w nich lustracja, chodzi przede wszystkim o tajemnice nowe, które nagromadziły się, poczynawszy od Okrągłego Stołu, a skończywszy na kuluarach sejmowych komisji śledczych. W tej polemice biorą udział grabarze III RP, jak Zdzisław Krasnodębski, który choć przyznaje, że miała miejsce transformacja jawna, kształtująca podstawowe instytucje demokratyczne i rynek, to jednak wskazuje, że była też druga – tajna, prowadząca do nowego układu „społecznego i ekonomicznego panowania”, mająca nieformalny wpływ na te instytucje. „W 1989 roku postawiono nas w sytuacji bez wyjścia. Chcecie demokracji, powiadano, to musicie oddzielić grubą kreską przeszłość, musicie zaakceptować, że ci, którzy pozbawili was podstawowych praw i wolności, pozostaną bezkarni, a nawet, że znowu obejmą rządy, jeśli zostaną wybrani. Chcecie wolności, to nie możecie wymagać przyzwoitości od polityków i współobywateli. Chcecie gospodarki rynkowej, to musicie znieść uwłaszczenie nomenklatury, prywatyzację poza wszelką kontrolą i bezrobocie”².

Przeciwwstawić temu pogładowi można słowa Waldemara Kuczyńskiego, obrońcy III RP, nawet jeśli do kogoś innego – Wojciecha Roszkowskiego – są skierowane. „Nie widzi – zauważa Kuczyński – kraju – rekordzisty pośród krajów pokomunistycznych w skali wzrostu Produktu Krajowego Brutto od 1989 roku i jeszcze większego rekordzisty we wzroście spożycia gospodarstw domowych z dochodów osobistych oraz sprzedaży detalicznej. Nie widzi kraju, w którym poprawiło się spektakularnie wyposażenie gospodarstw domowych, miejskich,

² Zdzisław Krasnodębski, *Pożegnanie z III Rzeczpospolitą*, „Rzeczpospolita”, 10.09.2005.

a jeszcze bardziej wiejskich, w podstawowe urządzenia cywilizacyjne (jak łazienki i ustępy) i dobra trwałe, z samochodami (szczególnie wśród robotników i chłopów) włącznie. Nie widzi kraju, w którym nowa (jak pisze, 'oligarchiczna', zbudowana na przekrętach, z wyjątkiem pana Kluski) rynkowa gospodarka, wytwarzając o połowę większy PKB niż PRL-owska, zużywa o jedną trzecią mniej wody, o połowę mniej węgla, do atmosfery emituje dziesięć razy mniej pyłów, dwa i pół raza mniej gazów, a do rzek wlewa jedną trzecią mniej wody pozaklasowej. Nie widzi kraju, w którym długość życia wzrosła o trzy lata, a śmiertelność niemowląt spadła trzykrotnie, zbliżając Polskę w pobliże średniej Unii Europejskiej. We wszystkich tych wskaźnikach Polska jest rekordzistą wśród krajów pokomunistycznych albo plasuje się w czołówce"³.

W tej polemice, której cytowanie zabrałoby tomy, nie neguje się zresztą osiągnięć i niedociągnięć, a tylko spycha bądź pierwsze, bądź drugie na plan dalszy. W „czarnej” historii najważniejsze jest ujawnienie tego, co ukryte. Mówi się, że są podstuchy, tajne służby specjalne, przekręty i niejasny „układ” nawet nie „władzy”, ale „panowania”, nawet nie rządzenia, ale tylko „wpływu”. W historii „różowej” nie zaprzecza się tym zjawiskom, ale przypomina o podstawowych zmianach ustrojowych, rozwoju gospodarczym i ich znaczeniu. Polemiści czasem odwołują się do zjawisk szerszych (z natury rzeczy nie może być takim zjawiskiem oligarchia) i jak Zbigniew Krasnodębski wypominają bezrobocie, tak jakby kapitalizm bez bezrobocia w ogóle był możliwy, bądź piszą jak Waldemar Kuczyński o wzroście spożycia, jakby ważna społecznie i politycznie nie była względna deprywacja, którą odczuwa nawet nieźle zarabiający pracownik.

Jedną z najistotniejszych cech demokracji partycypacyjnej, którą „Solidarność” praktykowała w latach 1980–1981, była jawność negocjacji. Dzisiaj politycy wywodzący się z Trójmiasta niedawno lansowali ją ponownie jako konieczny warunek prowadzenia rozmów. Ma to swój plus, ale w istocie jest oznaką pewnej patologii, jaką stanowi **nieufność**, w tym nieufność zinstytu-

³ Waldemar Kuczyński, *Muszę się lękać*, „Rzeczpospolita”, 5.09.2005.

cjonalizowana w postaci Instytutu Pamięci Narodowej. Jeśli zastanowimy się nad historią transformacji, to jest to historia nieufności.

Nieufność jest w miarę spójnym systemem przekonań i przez to należy potraktować ją, za Peterem Bergerem, jako działanie legitymizujące. Ale co? Samą siebie. Nieufność jest, że tak powiem, autoreferencyjna, tworzy coraz nowsze podejrzenia. Jest ona jednocześnie stale delegitymizacyjna względem centrum polityki. Zinstytucjonalizowana nieufność delegitymizuje i rozbija życie publiczne. Podważa bowiem dobro wspólne, które wymaga wiary. Jak każdy spójny system przekonań, system podejrzeń nadaje sens temu, co nas otacza, choć w naszej nieufności różnimy się tym, czy podejrzewamy o coś Kościoła, KGB, komunistów, masonów, Opus Dei, służby specjalne, Żydów, jezuitów czy redemptorystów. Jest sens, bo jest spiszek – są już przecież całe socjologie oparte na tym założeniu, które dobrze trafiają w potrzeby masowego odbiorcy. Tylko co wynika z tego wyjaśnienia, skoro – choć aż perwersyjnie dociekliwe – porusza się ono jedynie na powierzchni zjawisk? Podstawa nieufności jest gdzie indziej, głębiej. Dotykamy tu kluczowego problemu transformacji, jakim był ukryty przed masami i nierozpoznany do końca przez większość uczestników proces, w którym socjalistyczne społeczeństwo powróciło do kapitalizmu.

Najdobitniej wyraził to Jacek Kuroń, pytany o odpowiedzialność polityka względem swoich wyborców i możliwe w tej dziedzinie konflikty: „Klasyczna sytuacja (to nie jest z kapelusza sytuacja) to jest ten balcerowiczowski skok początkowego okresu. W momencie kiedyśmy szli się wybierać w 89 roku, w czerwcu, ja nie miałem wyobraźni w ogóle na to, jaki zasięg będzie miała tzw. transformacja czyli zmiana ładu. Zmiana ładu w sposób znaczący godziła w znaczącą część mojego elektoratu. I tu mamy do czynienia z sytuacją, w której ja występowałem (nie tylko ja, większość posłów w parlamencie) w sposób, który godził w dążenia ich elektoratu, i w sposób sprzeczny z tym, co głosiliśmy w programie wyborczym. Zmienił się program wyborczy, bo zmieniły się warunki. To zresztą jest przyczyna głębokiego kryzysu politycznego, bo odrzucenie polityki, z jakim mamy do czynienia, to jest następstwo tego faktu. I straty (z) tego (powodu) będziemy ponosić bardzo długo. Można

by więc dziś zapytać, czy to nie był, politycznie rzecz biorąc, błąd. Czy myśmy mieli rację, wychodząc z założenia, że to jest konieczne. Póki co ja nie widzę innego wyjścia – wówczas kiedy tamał się system centralny, żeby stworzyć warunki gospodarki rynkowej”⁴.

Jak pokazały moje badania z 1988 roku, zdecydowana większość Polaków odczuwała w Polsce Ludowej zbyt mało wolności i zbyt mało równości; już rok później wolności było dla większości dosyć (dla niektórych nawet zbyt wiele), ale oczekiwanie równości pozostało niezaspokojone, a dziś nawet, w pierwszych latach XXI wieku, wyszło na plan pierwszy.

Interesujące są odpowiedzi udzielone w latach 1988–2004 na pytanie: „Wprawdzie wolność i równość to dwie bardzo ważne sprawy, ale gdyby musiał(a) Pan(i) wybierać, to którą z nich uznał(a)by Pan(i) za ważniejszą?

- 1) Za ważniejszą uznał(a)bym wolność osobistą, to jest, że każdy może być wolny i rozwijać się bez przeszkód;
- 2) Za ważniejszą uznał(a)bym równość, to jest, że nikt nie jest upośledzony i nie ma różnic między klasami społecznymi;
- 3) Trudno powiedzieć”.

Co ważniejsze?	OBOP 1988 100%=926	OBOP 1990 100%=898	OBOP 1992 100%=1319	CBOS 1994 100%=983	CBOS 2000 100%=1369	CBOS 2004 100%=988
Wolność	50	50	48	47	51	39
Równość	42	43	43	45	38	49
Trudno powiedzieć	8	7	9	9	11	11

Poziom niezadowolenia z braku wolności w Polsce (łączna suma odpowiedzi, że wolności jest w Polsce zdecydowanie za mało i raczej za mało) spadł, jak wiadomo⁵, po 1989 roku o 21 punktów procentowych. Taka była, mówiąc żartobliwie, renta emancypacyjna na początku III Rzeczypospolitej. Dzisiaj niezadowolenie z braku wolności jest jeszcze niższe – na poziomie

⁴ W wywiadzie nr 101, zob. Jacek Kurczewski, *Postowie a opinia publiczna*, Warszawa 1999.

13 procent, podczas gdy dla odmiany z parunastu do 38 procent wzrósł odsetek ludzi, którzy uważają, że wolności jest za dużo. Za to odczuwany poziom nierówności pozostaje od Polski Ludowej niezmiennie wysoki (łączna suma odpowiedzi, iż równości jest zdecydowanie za mało i raczej za mało), na poziomie ponad 70 i poniżej 75 procent. To, że równość „wyprzedziła” wolność tylko o 10 punktów procentowych, to nie jest tak mało, zważywszy na wielkość wspomnianej renty emancywacyjnej.

W badaniach CBOS-u z 2000 roku gospodarka kapitalistyczna kojarzyła się większości Polaków z zyskiem, postępem, wolnością, strajkami, korupcją, wydajnością, egoizmem, dobrobytem i brakiem równości, a socjalistyczna z represjami, brakami i niedoborami. Jeśli chodzi o sprawiedliwość, głosy dzieliły się prawie równo (35 procent pytanych kojarzyło sprawiedliwość z kapitalizmem, 30 procent z socjalizmem, a 35 procent nie wiedziało, co powiedzieć). 41 procent badanych uznało kapitalizm za najlepszy system gospodarczy dla kraju, a 28 procent było przeciwnego zdania. 38 procent Polaków stwierdziło, po 1989 roku jest w kraju gorzej, niż się spodziewali. Zdecydowana większość do przegranych zalicza chłopów, robotników i górników, do wygranych polityków, prywatnych przedsiębiorców i urzędników. Do zadań rządu, obok zapewnienia każdemu chętnemu pracy oraz właściwego poziomu życia starym i bezrobotnym, większość zaliczyła też zmniejszenie różnic w dochodach pomiędzy bogatymi a biednymi, a w badaniach Polskich Generalnych Sondaży Społecznych (PGSS) zadanie to z upływem czasu było postulowane przez coraz większy odsetek badanych⁶. Wzrastało też przekonanie, że różnice dochodów są w Polsce zbyt duże. W porównawczych badaniach okazało się też, że w Polsce, podobnie jak w innych biedniejszych krajach postkomunistycznych, dominuje przekonanie, że na górze jest niewielka elita, bardzo mało ludzi w środku i większość na dole, podczas gdy w większości społeczeństw zachodnich większość respondentów widzi strukturę co najmniej piramidalną (w przodującej pod względem zadowolenia obywateli Norwegii dostrzega się liczbową dominację klas

⁵ *Demokracja po polsku*, red. Jacek Kurczewski, Warszawa 1995, s. 6 i 7.

⁶ Bogdan Cichomski, Tomasz Jerzyński, Marcin Zieliński, *Polskie Generalne Sondaże Społeczne: struktura skumulowanych wyników badań 1992–2002*, Warszawa 2003.

średnich). Natomiast indeks nierówności Giniego wzrósł w Polsce z 0,272 w 1992 roku do 0,315 w roku 2002, a ogólnie, jak informuje zajmujący się od lat tym zagadnieniem Bogdan Cichomski z Instytutu Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego⁷, biedni w naszym kraju nie biednieją, jednak najbogatsi stają się coraz bardziej bogaci, zwiększa się więc dystans nie tylko od najbiedniejszych, ale także od przeciętnego Polaka.

Polacy – jak widać – mają ambiwalentną postawę wobec przemian, bo doświadczyli dobrych i złych stron nowego systemu, a pamiętają jeszcze wady poprzedniego. Przecież z gospodarką socjalistyczną większość nie kojarzyła żadnej dobrej cechy; jeśli ludzie chcieliby socjalizmu, to dobrego, a nie tego, jaki był, ani w żadnym razie ustroju politycznego, w którym on funkcjonował.

Czy to jest – jak sugerują apologety transformacji – niedojrzałość lub po prostu nierealne marzenie o dobrym ustroju? Pytanie dotyczy możliwości sprawiedliwego kapitalizmu, a wielu wskazuje, że zalety tego systemu trzeba opłacić jego kosztami. Tak, ale sporna jest wysokość tych kosztów. Ujawnienie spisku transformacyjnego przez przeciwników III Rzeczypospolitej jest kuracją zastępczą, która ma uleczyć chorego, odwracając jego uwagę od źródła jego problemów. Jeśli uważa się, że w istocie nowy ustrój gospodarczy nie ma alternatywy, pozostaje tylko skupienie się na eliminacji jego dotychczasowych beneficjentów. Jedyne skutki to rotacja, na podobieństwo tej, która przeczesuje szeregi rad nadzorczych wraz z ruchem wahadłowym polskiej polityki od prawa do lewa i z powrotem. Można wydzedziczyć uwłaszczoną nomenklaturę i ujawnić skład personalny służb specjalnych, tworząc na ich miejsce nowe, ale ani nie spowoduje to zmiany jakości polskich kadr politycznych, ani nie poprawi sytuacji społecznej przeciętnego obywatela. Problem został zdefiniowany zastępczo, więc rozwiązanie jest zastępcze, a polityka na nim oparta – krótkowzroczna.

⁷ Bogdan Cichomski, *Plaszczyzny nierówności dochodów i wynagrodzeń w Polsce w latach 90-ych*, w: *Sprawiedliwość społeczna. Polska lat 90-ych*, Warszawa 2001, s. 27–50. Zob. także strona internetowa www.monitoring.rownystatus.gov.pl o wynagrodzeniach oraz informacja ustna udzielona przez Bogdana Cichomskiego.

Komunizm w Polsce był odczuwany nie tylko jako brak wolności, ale także jako nieuzasadniona nierówność. Wolność przyszła szybko i szybko stała się stanem oczywistym, jej brak zapada w niepamięć, podczas gdy problem nierówności wyszedł na plan pierwszy. I znowu nie chodzi o faktyczną równość dochodów i majątku, o spadek w postaci *homo sovieticus*, jak zacierzawieni obrońcy transformacji chcą wmówić ludziom, ale o poczucie sprawiedliwych i niesprawiedliwych zróżnicowań. To poczucie jest oczywiście mgliste i niedookreślone, nie nadaje się do prawnych uściśleń, ale służy jako podstawa dla oceny prawomocności całego ustroju. W 1980 roku odrzucano jako niesprawiedliwe zróżnicowanie oparte na władzy, dzisiaj nie jest inaczej – tym, co ludzi denerwuje w demokracji, jest fakt, że udział we władzy służy pomnażaniu prywatnego majątku. Byłoby jednak chowaniem głowy w piasek, gdyby problem niesprawiedliwej nierówności sprowadzać do korupcji politycznej. Ludzie są gotowi akceptować zróżnicowanie tym bardziej, im bardziej czują się sami beneficjentami systemu, którego częścią są nierówności. Tempo i struktura wzrostu dobrobytu nie zadowolają społeczeństwa; gdy najbogatsi bogacą się dużo szybciej niż pozostali, a masy pozostają coraz bardziej w tyle, to w takiej sytuacji trudno liczyć na poczucie prawomocności obecnego układu społecznego.

Tajemnica III Rzeczypospolitej to zbyt mały udział klasy średniej w redystrybucji dochodu narodowego; rysuje się coraz bardziej wysmukła w górę struktura społeczna, w której im ludzie są bogatsi, tym jest ich mniej (zamiast sytuacji, w której najwięcej obywateli ma przyzwoity średni dochód). Co więcej, odczuwana „nierówność” nie musi wiązać się z brakiem majątku, ale z brakiem równości w traktowaniu ludzi. Część nieobecnego elektoratu po prostu nie interesuje się swoim państwem, ale część bojkotuje je albo głosuje na złość, bo czuje się zaniedbywana przez państwo. W moich badaniach terenowych brak zaufania do polityków waha się od 75 do 90 procent badanych w różnych miejscowościach kraju. Ludzie nie odczuwają, żeby politycy przyjmowali wobec nich postawę służebną, bo też i politycy rzadko już o swej służebnej roli mówią. Czas zachłyśnięcia się konsumpcją to zarazem czas oszałamiania innych konsumpcją, cecha może dobra dla pobudzenia

popytu na rynku, ale zła dla demokracji. Zachowujemy się jak Amerykanie w XIX wieku, lecz nie umiemy zarazem mieć amerykańskiej kultury równości, zakłamaną oczywiście, ale byłaby dobra i ta, skoro nie stać nas na znacznie bardziej autentyczną kulturę równości naszych północnych sąsiadów zza morza. To, że społeczeństwa skandynawskie są najbardziej zadowolone z życia, do nas nie przemawia, bo boimy się skandynawskiego socjalizmu bardziej niż komunizmu.

Dzisiaj „Solidarność” z lat 1980–1981 jest jak zinstytucjonalizowany wyrzut sumienia, stale przypominający o tym, że są sprawy godne współdziałania wszystkich, niezależnie od ich majątku i wykształcenia. W kraju, gdzie słowo „socjalizm” zostało skompromitowane do cna, gdzie określenie „lewica” jest tylko pozorem w grze politycznej, „prawicowa” tradycja „Solidarności” jest właśnie tym, co było kiedyś monopolem lewicy politycznej, a mianowicie przypomnieniem o wartościach współdziałania ludzi równych i wolnych. Brzmi to patetycznie, ale patetyczne są każde wyznawane wartości. Zarazem ta tradycja – i tu kłania się owa dialektyczna ironia – jest odczuwana jako balast. Odrzucają ją zarówno ci, którzy krzyczą, że byli zawsze ofiarą pasywności elity, jak i ci, którzy traktują wydarzenia z początku „Solidarności” jako przypadkowe spotkanie historyczne stanowiące w istocie wyjątek od normalnego biegu rzeczy.

Dzisiejsza „Solidarność” jest bowiem bytem dwoistym, stąd teoria „dwóch Związków”, która przenosi nas z powrotem w królestwo dialektyki, w jaką „Solidarność” była zawsze uwikłana. Teraz ma to charakter metafizyczny, bo z jednej strony mamy do czynienia z realną „Solidarnością”, drażniącą wielu jej byłych członków, z drugiej zaś z „Solidarnością” idealną. Nawet jeśli dzisiejsza jest odmienna od tej sprzed 25 lat, to nie znaczy, że ta, o której mówimy z nostalgią, była taka, jak o niej mówimy i jaką wspominamy.

Dzisiaj istnieją więc rzeczywiście dwie „Solidarności”: realna, dzisiejsza, która pozostaje krytyczna wobec współczesności, i idealna, służąca jako odniesienie w krytyce rzeczywistości, której jest genealogiczną podstawą. „Solidarność” dziś pełni w ten sposób funkcję mitu założycielskiego konstytuującego III Rzeczpospolitą, a proponujący kolejne RP też do tego mitu

konstytuującego się odwołują. Wyczerpała się bowiem moc uprawniająca umów Okrągłego Stołu, które służą dziś za kozła ofiarnego za wszystkie wyimaginowane i rzeczywiste wady III RP. Chłodno mówiąc, jest to robota ludzi z dawnego PZPR-u, którzy swoją kartę współtwórców ówczesnej umowy politycznej zgrali, dwukrotnie przejmując władzę i ostatecznie kompromitując się w ostatnich latach. Gdy dzisiaj czytamy, że postulaty z 1980 roku zostają włączone w program partii, która sama siebie wywodzi z PZPR-u i PRL-u, to można płakać, można zgrzytać zębami, ale można też uznać w tym nasze ostateczne zwycięstwo. W tej sytuacji nie dziwi, że prezydent Aleksander Kwaśniewski, ustępując, przyznał się do pomyłki, stanął po przeciwnej stronie i oddał cześć antykomunistycznemu Związkowi, a jego przywódców wyniósł do rangi Ojców Założycieli nowej Polski. To wzbudziło reakcje z drugiej strony, badanie teczek, spór o to, kto był na tej liście, konkurencyjne obchody. Okazuje się, że nie ma innej podstawy prawomocności Rzeczypospolitej, jak zbiorowe i solidarne działanie sprzed dwudziestu sześciu lat.

Tyle że, co jest moją główną tezą, nie można drugi raz wejść do tej samej rzeki. „IV Rzeczpospolita” jest oczywiście możliwa jako skojarzenie z tym czy innym, imiennie określonym, politykiem. Z tej perspektywy okaże się zresztą wkrótce, że inna była III Rzeczpospolita Lecha Wałęsy i III Rzeczpospolita Aleksandra Kwaśniewskiego. Nie o to chyba jednak chodzi. Nie chodzi też, jak sądzę, o nowy początek konstytucyjny, jest w końcu bardzo wiele możliwych poprawek prawnych do obecnie obowiązującej konstytucji, tyle że nawet najlepsza nowa ustawa zasadnicza nie dotyka sprawy zasadniczej, a mianowicie porządku aksjonormatywnego naszego społeczeństwa. Trudno wyliczać niezbędne poprawki moralne. Klucz tkwi w często ostatnio używanym słowie „solidarny”. Jeśli temu słowu nada się sens bliski temu, o co chodziło tak papieżowi Janowi Pawłowi II, jak i politykowi Jackowi Kuroniowi, to dojrzał czas dla IV Rzeczypospolitej, rozumianej jako moment konsumpcji dotychczasowych zmian gospodarczych, moment, w którym zaczyna się dbać o jak najszerszy udział obywateli w jak najlepszym wyniku gospodarczym, a więc: mówiąc językiem klasycznym – o klasę średnią, mówiąc językiem postmodernistycznym – o społeczeństwo bez wewnętrznych granic, czyli

o społeczeństwo bezklasowe, mówiąc językiem kapitalistycznym – o społeczeństwo otwartych szans, mówiąc zaś językiem socjalistycznym – o społeczeństwo solidarne. Jednak społeczeństwo solidarne wymaga wzajemnego zaufania społecznego.

Postępująca instytucjonalizacja nieufności uniemożliwia budowę solidarności. Nieufność, owszem, rodzi gwarancje proceduralne, ale nie może ze swej natury tworzyć projektu pozytywnego. Czy stoimy wobec nierozwiązywalnej sprzeczności? Sądzę, że nie. Historia innych społeczeństw pokazuje banalną prawdę, że najlepiej goi rany ogólny dobrobyt. Żeby większość była zadowolona, żeby stworzyć poczucie spłaconego długu za kurs z 1989 roku, trzeba i rozwoju gospodarki, i solidarnego podziału zysków, a to z kolei wymaga koalicji czynników opierającej się na wzajemnym zaufaniu i wzbudzającej zaufanie publiczne. Nie lubię pojęcia „sprawiedliwości społecznej” i występowałem przeciwko włączeniu go do konstytucji, ale to nie znaczy, iż uważam, że ludziom nie należą się sprawiedliwe schematy społecznego rozdziału nakładów i przychodów. Demokratyczny kapitalizm to jest zarazem banalny i niesłuchanie trudny postulat do realizacji, w przeciwieństwie do obietnicy, że rozwiąże się jakiś tajemniczy spisek. Tajne policje, spiski, wpływy i zmowy są stałym zjawiskiem, a ci, którzy je piętnują w drodze do IV Rzeczypospolitej, sami angażują się w rozbudowę inwigilacji fiskalnej oraz policji antykorupcyjnej, a także w lustrację majątkową. Tak więc nieufność zamiast zniknąć, pogłębia się na naszych oczach i zaraża nowe pokolenie. Swoją drogą, rzadko zrobiono tak wiele, mając do siebie nawzajem tak mało zaufania. Potrzebne jest przerwanie spirali samonapędzającej się nieufności, która zrywa fundamenty projektu solidarnej rzeczy wspólnej.

Dyskusja

Andrzej Walicki

W tekście Wiesława Władyki opublikowanym na łamach „Polityki” przeczytałem zdanie o III Rzeczypospolitej dobrze pokazujące sposób myślenia krytyków III RP: „Jej konstrukcja, dla której fundamentem było porozumienie okrągłostołowe właśnie z komunistami, ma być teraz rozbita”¹. Muszę powiedzieć, że inaczej postrzegam ówczesną sytuację. Widzę zasadniczą cezurę między początkami rządów Tadeusza Mazowieckiego, które opierały się rzeczywiście na „micie okrągłostołowym”, a ich zakończeniem. Mam na myśli datę 22 grudnia 1990 roku. Nie wiem, dlaczego nie uwzględnia się tej zasadniczej cezury? Moim zdaniem, III Rzeczpospolita narodziła się dopiero w tym momencie. To był jej akt założycielski. Co więcej, było to wydarzenie w duchu tego, co określa się mianem IV Rzeczypospolitej. Powiada się, że ta nowa Rzeczpospolita dopiero powstanie, ale ona narodziła się w dniu przyjęcia przez Lecha Wałęsę symboli władzy od prezydenta na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego, co odbyło się z pominięciem osoby prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego, czyli jednej ze stron Okrągłego Stołu. Nie można więc mówić o kontynuacji kompromisu. Sama nazwa „III Rzeczpospolita” miała oznaczać przekreślenie PRL-u jako państwa polskiego niesuwerennego wprawdzie, ale zastępującego przecież na miejsce w dziejach polskiej pań-

¹ Wiesław Władyka, *Choroby Adama Michnika*, „Polityka”, 7.01.2006.

stwowości. Ta nowa Polska nawiązywała wszak bezpośrednio do II RP. Zatem nie rozumiem, dlaczego zapomniano o tym symbolicznym akcie – legitymizującym cały tzw. „antykomunizm” (używam tej nazwy w cudzysłowie, ponieważ trudno mówić o komunizmie bez komunistów i bez ideału społeczeństwa komunistycznego) i delegitymizującym tzw. postkomunistów.

W III Rzeczypospolitej przestrzegano zasady pluralizmu politycznego. Jednak akt założycielski z 22 grudnia 1990 roku oznaczał, że jedna ze stron kompromisu Okrągłego Stołu nie istnieje. To elity post-solidarnościowe mają monopol na prawomocność. Stąd też polityka systematycznej, permanentnej izolacji drugiej strony. Wokół tej zasady panowała zgoda wśród całej strony postsolidarnościowej – i nie jest prawdą, że tylko prawica takie stanowisko zajmowała. Dzisiaj mówi się, że III Rzeczpospolitą najlepiej wyraża duet Adam Michnik–Aleksander Kwaśniewski. To przekłamanie! Pamiętajmy, że objęcie przez Aleksandra Kwaśniewskiego urzędu prezydenta zostało głośno oprotestowane. I znów nie były to tylko protesty prawicy. Na przykład Jerzy Turowicz ogłosił, że moralnie niemożliwa jest akceptacja prezydenta postkomunisty, aczkolwiek on przeciwko Kwaśniewskiemu osobiście nic nie ma. Przypomnę jeszcze sprawę Józefa Oleksego. Przez długie lata podkreślano, że spadkobiercy PZPR-u nie są prawomocną stroną, a wręcz stanowią obce ciało w polskim organizmie. Nie należy o tej stronie III RP zapominać.

Zgadzam się z Jackiem Żakowskim: jednym z obliczy III Rzeczypospolitej był ekonomizm, świetnie reprezentowany na przykład na łamach „Gazety Wyborczej” przez teksty Witolda Gadomskiego czy Ernesta Skalskiego. Jednak dominującym dyskursem – i nic nowego nie proponują tu zwolennicy powstania IV Rzeczypospolitej – są delegitymizacja porozumień Okrągłego Stołu i wyrugowanie z życia publicznego filozofii kompromisu.

Ostatnia sprawa to odwołanie się do kategorii „dobra wspólnego” w ostatnich książkach Ryszarda Legutki, Zdzisława Krasnodębskiego czy Pawła Śpiewaka. Dostrzegam tu także pewne niebezpieczeństwo, polegające na próbie rozszerzenia kontroli społecznej kosztem pluralizmu światopoglądowego i wolności indywidualnej.

Dariusz Gawin

Wybierając taką właśnie formułę uroczystości zaprzysiężenia na prezydenta w 1990 roku, próbowano zerwać z mitem założycielskim III RP, zbudowanym na porozumieniu Okrągłego Stołu. Co charakterystyczne, pomiędzy trzech przełomowych wydarzeń 1989 roku – obrad Okrągłego Stołu, wyborów do Sejmu 4 czerwca i powołania Tadeusza Mazowieckiego na rząd premiera 24 sierpnia tegoż roku – wybrano właśnie to pierwsze. Nie udało się tego zmienić, mimo próby podjętej przez Lecha Wałęsę, a stało się tak z dwóch przyczyn.

Przed wszystkim Aleksander Kwaśniewski podczas dwóch kadencji prezydenckich wykonał dużą pracę, usiłując wbudować mit Okrągłego Stołu w strukturę oficjalnego dyskursu III RP. Proszę spojrzeć na jego przemówienia oficjalne czy politykę orderową. Wreszcie, zwrócę uwagę na jeden symbol – w Pałacu Prezydenckim jest wystawiony za szkłem oślawiony okrągły stół. Ten mebel pełni funkcję nieomal relikwii legitymizacyjnej, jest symbolicznym potwierdzeniem pewnego porządku. Drugą przyczyną to wspieranie mitu przez takie osoby jak Adam Michnik. Wystarczy sięgnąć po artykuły publikowane w „Gazecie Wyborczej”, ale także w „Polityce” czy innych pismach. Uważam zatem, że dzisiaj nie warto już dyskutować nad znaczeniem gestu Lecha Wałęsy, wykonanego w 1999 roku. Fundamentem założycielskim III RP stał się mebel zamknięty w Pałacu Prezydenckim przy Krakowskim Przedmieściu.

Wróć do problemu dyskursów politycznych w Polsce. Od kilku miesięcy możemy obserwować zasadniczy konflikt pomiędzy dwoma w równym stopniu modernizacyjnymi dyskursami. Podkreślam słowo „modernizacyjny”, bo takimi według mnie są zarówno dyskurs, który określiłbym jako „ludowo-konserwatywny” (a nie „konserwatywny”, jak to zwykle się czynić), reprezentowany przez Prawo i Sprawiedliwość, jak i „liberalno-konserwatywny”, wyrażany przez Platformę Obywatelską. Do pewnego stopnia zaciemniają rzeczywistość, stwierdzając, że mamy do czynienia ze sporem „nowoczesnych” z „tradycjonalistami”. Z konfliktem między tymi, którzy chcą modernizować,

a tymi, którzy są pełni resentymentów, populizmu i sięgania w przeszłość. Podkreślam, są to dwa projekty modernizacyjne, które gdzie indziej szukają legitymizacji swoich działań, postępują się inną retoryką, zaciekle ze sobą walczą, a przedmiotem sporu czynią sposoby unowocześniania kraju.

Dlaczego tak trudno obecny spór między PO a PiS-em odczytać jako spięcie między dwoma projektami modernizacyjnymi? Problem tkwi w przeszłości, dawniejszej nawet niż III Rzeczpospolita. Wszyscy – mam na myśli polskich inteligentów – jesteśmy wychowani do odruchowego myślenia w kategoriach manichejskich. W Polsce, postępując się językiem z początku XX wieku, cały czas mamy do czynienia z myśleniem dialektycznym, wywodzącym się jeszcze z myśli Hegla – walki sił postępu i reakcji. Od dawna w Polsce istnieją środowiska działające na rzecz powszechnej racjonalności. To one postępują się językiem konieczności, nieuchronności zmian, modernizacji. W kolejnych pokoleniach mogą się posługiwać różnymi odmianami tego języka. Były to niegdyś różne odmiany marksizmu, dzisiaj to jest liberalizm rozumiany jako ideologia modernizacji, przedstawiana jako przedsięwzięcie „zero-jedynkowe” czy jako nieuchronna konieczność. Zakłada się istnienie określonego procesu dziejowego, z którym się nie dyskutuje, podobnie jak nie dyskutuje się z lawiną, tsunami czy trzęsieniem ziemi. Ci, którzy próbują podejmować dyskusję, ściągają na siebie jeszcze sroższą karę ducha dziejów. Jeżeli w ten sposób instynktownie budowana jest manichejska wizja całej polityki, to naturalnie poszukuje się silnych podziałów ról. Obecnie część mediów i część uczestników debaty publicznej instynktownie dzieli role: Platforma Obywatelska to egzekutorzy powszechnej racjonalności, gdy po drugiej stronie skupiają się siły ciemności, czyli tradycjonałiści, którzy się opierają, hamują i nie doprowadzają do zwycięstwa tego, co konieczne. Jednak, jak już powiedziałem, rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Są to bowiem do pewnego stopnia równorzędne projekty modernizacyjne.

Hanna Świda-Ziemia

Chciałabym zanegować sam podział na III i IV Rzeczpospolitą. Odwołałabym się do II Rzeczypospolitej. Czemu ją tak określano? Wówczas po stu latach niewoli, w zupełnie innych warunkach, zaczęto budować, dobrze czy źle, nową Rzeczpospolitą. Pamiętajmy, że w 1926 roku był zamach majowy, a po nim nastąpił okres sanacji, czyli odnowy. Jeżeli poszukujemy jakiejś nazwy dla określenia dzisiejszych czasów, to może nazwijmy je „sanacja III RP”? Skąd się wzięła nazwa „III Rzeczpospolita”? Ponad pięćdziesiąt lat byliśmy najpierw pod okupacją, a później w sytuacji zależności kolonialnej. Nie mieliśmy niepodległości, państwowości. I wreszcie zaczęliśmy budować nowe państwo. Można dyskutować, czy początkiem był Okrągły Stół, czy wybory 4 czerwca 1989 roku, czy objęcie urzędu prezydenta przez Lecha Wałęsę w grudniu 1990 roku, ale przecież nie był to jeden akt, lecz cały proces ewolucyjny. Otrzymaliśmy III Rzeczpospolitą. I nie jest to jakaś wartość moralna. Pamiętajmy, że II Rzeczpospolita rozpoczęła się od zabójstwa prezydenta! Później działały się także rzeczy nie mające specjalnej wartości moralnej. To niepodległość znaczyła tę numerację. A sami różnie się rządzyliśmy.

Oczywiście, ciekawą rzeczą jest kwestia: dlaczego hasło „IV RP” przyjęło się w dyskusji publicznej i programach polityków? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Pamiętajmy jednak, że jeżeli każde odrodzenie, zmiana, inny program polityczny, odmienna wizja organizacji państwa czy zmiana konstytucji będą związane z ogłaszaniem kolejnej Rzeczypospolitej, to niedługo będziemy dyskutowali o „XXII RP”.

Ostatnia sprawa. Wiele rzeczy zmienia się w dziedzinie polityki, ale mniejszym zmianom ulega mentalność wyborców. Przeprowadzałam badania przed wyborami do pierwszego Sejmu RP w 1991 roku. Przed wyborami w 2005 roku także interesowałam się „opinią publiczną”. Przedstawię tylko jeden przykład, dobrze obrazujący poglądy części wyborców. Mamy w Polsce „emerytów podwórkowych”. Przed domami siedzi siedmiu czy ośmiu emerytów. Debatają. Szli głosować na Lecha Kaczyńskiego. Dlaczego? Ponieważ jest biedny, zatem i biednych zrozumie. Podczas rozmowy z nimi okazało się, że

cztery lata temu poszli głosować na SLD, a osiem lat temu na AWS. Zapewnili mnie, że jeżeli teraz się zawiodą, to po raz czwarty nie pójdą głosować. Jeżeli popatrzyć na minione szesnaście lat, to widać, że jest poważna grupa wyborców, którzy niejako zatrzymali się w czasie, nie zmieniają sposobu myślenia, tylko stawiają na inną kartę. A o tym, jaką kartę im się podsuwa, decydują gry polityczne na górze. Dlaczego zatem, ponawiam moje pytanie, tak poważnie dyskutuje się o III i IV Rzeczypospolitej, podczas gdy mamy do czynienia jedynie z dwoma programami czy dwiema wizjami politycznymi, które w ramach III RP mogą znakomicie funkcjonować?

Rafał Matyja

Punktem wyjścia powinny być dwa kategoryczne stwierdzenia. Oczywiście, że jesteśmy w III Rzeczypospolitej i mamy do czynienia z próbą jej sanacji. Na pewno nie powstała jeszcze IV Rzeczpospolita. Dziś nie można nawet mówić o zakładaniu jej podwalin. Chciałbym zatem, abyśmy uniknęli bardzo niebezpiecznej wojny na bańki mydlane. To, że politycy w niej uczestniczą, przerzucając się zupełnie dowolnie terminami „III” i „IV Rzeczpospolita”, wydaje się zrozumiałe – zapewne ta gra jest im do czegoś potrzebna. Jeżeli jednak badamy dyskusję, która toczy się w mediach, to można policzyć, jak często terminem „IV Rzeczpospolita” posługują się ostatnio jej zwolennicy i przeciwnicy. Zauważyłem, że hasło „IV Rzeczpospolita” pojawia się coraz częściej w ustach krytyków niż sympatyków tej idei. Warto zatem postawić pytanie: co to jest „IV Rzeczpospolita”? Czy to jest mit, czy hasło, czy projekt? Nie jest na pewno tym ostatnim, bo przecież nikt z nas nie widział projektu ustrojowego IV RP.

W 1998 roku użyłem hasła „IV Rzeczpospolita”², nie traktując go jako zaprzeczenia III RP. Wręcz przeciwnie, IV Rzeczpospolita zakiełkowała w głowach ludzi, którzy o III Rzeczypospolitej myśleli i mówili z życzliwością. Wiązali z nią wielkie nadzieje, nie byli jej fundamentalnymi krytykami. Pojęcie IV Rzeczypospolitej w mojej intencji było próbą przywrócenia w dyskusji

² Rafał Matyja, *Obóz Czwartej Rzeczypospolitej*, „Debata” 1998, nr 3.

publicznej przekonania, że państwo jest niezmiernie ważnym tematem publicznych rozmów. Mój tekst adresowałem do ludzi AWS-u, którzy w latach 1997–1998 zaczęli traktować swoje powołanie jako bezwzględną wojnę na zasadzie „kto kogo”. Dla nich państwo stało się terenem walki o łupy, miejscem do prowadzenia *quasi*-wojny religijnej pomiędzy SLD a AWS-em.

Konieczne było w tej sytuacji uświadomienie, że oprócz pola walki politycznej istnieje pole budowania państwa i że to właśnie jest niezmiernie ważne zadanie polityków. Państwo, po latach destrukcji w epoce PRL-u, nie zostało zbudowane według dobrego wzoru. To powoduje, że momentami tracimy grunt pod nogami. Co to oznacza? Jak wiadomo, państwo powinno być strażnikiem reguł i nikt go w tej roli nie zastąpi. Antoni Kamiński kiedyś napisał, że jest potrzebny ktoś, kto będzie eliminował nieuczciwych graczy. Czy państwo polskie, w sensie ustrojowym, z tej roli się wywiązuje? Twierdę, że nie, i to nie tylko na poziomie ogólnopolskim, ale i na poziomie lokalnym: Kielc, Nowego Sącza, Starachowic... Dziś warto rozmawiać przede wszystkim o sprawach realnych, a nie o nierzeczywistych. Namawiam do rozmawiania o III Rzeczypospolitej, do postawienia diagnozy dzisiejszego jej stanu. Być może część osób uzna, że jest potrzebna tylko sanacja, a część opowie się ze bardziej zasadniczą zmianą. Niezbędne jest zdiagnozowanie naszej codzienności, i politycy tego na pewno nie zrobią. W puencie jednego z artykułów o IV Rzeczypospolitej przywołałem, za Aleksandrem Smolarem, słowa Konfucjusza, że wszelka reforma zaczyna się od nazywania rzeczy po imieniu. To jest nasze podstawowe zadanie. Jeżeli uda się nam nazwać rzeczy po imieniu, to, być może, wywrzemy wpływ na polityków, a przedstawiane przez nich projekty zmian będą bardziej racjonalne i lepiej osadzone w solidnej diagnozie politycznej.

Maciej Zięba OP

Uważam, że każda osoba racjonalnie myśląca i czująca się polskim obywatelem chce jakiejś sanacji. Jeżeli radykalnej, to będzie mówić o IV Rzeczypospolitej; jeśli mniej radykalnej, będzie mówić o rozwoju, ulepsza-

niu, poprawianiu III Rzeczypospolitej. Zresztą o samą numerację przestałbym się spierać. Wiadomo przecież, że nie ma sposobu na wprowadzenie radykalnych zmian. Możliwe jest powołanie Centralnego Biura Antykorupcyjnego, ale nie wydaje się możliwa na przykład wymiana nauczycieli czy policjantów. Oczywiście, niektórzy politycy używają takich radykalnych haseł, co zazwyczaj jeszcze bardziej petryfikuje układ, zamiast ułatwić dokonanie zmian.

Żyjemy w III RP i długo jeszcze będziemy w niej żyli. Pozostaje sprawa mitu założycielskiego. Nie można go wymyślić ani naukowo odkryć. Musi on być podzielany przez określoną grupę ludzi. Próbowano uczynić takim mitem uroczystość objęcia władzy przez Lecha Wałęsę 22 grudnia 1990 roku, ale w świadomości społecznej w ogóle taka data nie istnieje. Różne są przyczyny takiego stanu rzeczy: budowanie przez Wałęsę „lewej nogi”, powrót do rządów komunistów, wybór na prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego *etc.* Chcemy tego czy też nie, w świadomości społecznej funkcjonuje relikwia Okrągłego Stołu. Rok 1989 jest czasem radykalnej zmiany w Polsce. I tak zapewne zostanie. Chciałbym natomiast podkreślić, mówił już o tym Jacek Żakowski, że dyskurs zmiany nie oznacza dyskursu negacji. Dotyczy to wszystkich znaczących uczestników gry politycznej w Polsce. Niezbędne jest także dokonanie bilansu zmian, jakie zaszły w ostatnich szesnastu latach. Wtedy można będzie odpowiedzialnie dyskutować. Weźmy na przykład problem budowy autostrad. Jak się pewien poznański biznesmen wspólnie z państwem zajął budową jednej z nich, to mamy jedynie wyjazdy z miasta. Jak baron z SLD otrzymał od państwa koncesję na budowę autostrady z Gdańska, to nic się tam nie dzieje. Natomiast kiedy jednak państwo nie wkładało zbyt mocno łap w budowę połączenia między Wrocławiem a Krakowem, to od dawna jeżdżą tam samochody. Nie wierzę, by państwo, w obecnym stanie, potrafiło zbudować autostrady. Bariery jest jego słabość zarówno ekonomiczna, jak i organizacyjna.

W Polsce mamy dyskurs zmian, dyskurs racjonalny. Jego przeciwnikiem jest dyskurs historyczny. Można go odnaleźć po obu stronach, tak po stronie konserwatywno-ludowej, jak i po liberalnej, postępowej. Co mi przeszkadza i na co chciałem zwrócić uwagę? Mam poczucie, że po tej drugiej stronie, bar-

dziej lewicowej niż liberalnej, często brakuje symetrii. Młodzież Wszechpolska bywa traktowana jak faszyci, podczas gdy w większości są to idealistyczne, ale często sensowne, chociaż niestety skłonne do wandalizmu młodziaki. Natomiast fanatyczni Zieloni – mówię o tych radykalnych, którzy łamią prawo i bywają również agresywni – są przedstawiani jako pozytywne, dobre postaci. Obie postawy traktuję jako przejawy jednostronnej młodzieńczości. Jednak okazuje się, że jedni są w zasadzie pozytywni, można ich wspierać, bo stanowią siłę postępu, a drudzy są faszystami z definicji. Można podawać inne przykłady wspierania dyskursu historycznego. Uważam, że właśnie ten dyskurs – przyjmowany przez obojętnie którą stronę – jest wrogiem państwa, wrogiem sfery publicznej i wrogiem *consensusu* obywatelskiego. A jeżeli takiego *consensusu* brakuje, to następuje ideologizacja dyskursu publicznego i wszyscy stajemy się antagonistami.

Tadeusz Szawiel

Niemal u wszystkich uczestników dyskusji publicznej można zaobserwować zjawisko „nieukontentowania z III Rzeczypospolitej”. Były powody do niezadowolenia. Jednak dla znacznej części wypowiadających się publicznie intelektualistów, dla autorytetów publicznych, niemal zawsze to państwo po 1989 roku było czymś w rodzaju ciernia w oku. Trudno odpowiedzialnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak właśnie się stało.

Równocześnie, pewne wątki były niedoceniane i rzadko obecne w debacie publicznej. Na przykład rok 1989 symbolizuje odzyskanie wolności osobistych, społecznych, niepodległości. Nie mówi się o tym ani o głębszych konsekwencjach związanych z tymi osiągnięciami.

Natomiast w ciągu ostatnich szesnastu lat cały czas były obecne, w różnym natężeniu, wątki o charakterze deprecjonującym. Pierwszy to stosunek do partii politycznych, ich systematyczna deprecjacja, cyniczne kreowanie i wykorzystywanie niechęci do nich. Tak było w 1991 roku, kiedy to pojawiło się i było często powtarzane określenie „pięćset partii i partyjek”. Dziesięć lat później, w 2001 roku, Platforma Obywatelska powtórzyła figurę antypartyjnej retoryki

i przez pół roku urządziła festiwal deprecjacji partii politycznych. Drugi wątek to systematyczna deprecjacja polityki i polityków. Oczywiście, polityków można i należy krytykować. Natomiast zaciętość, nieustanne pokazywanie, że polityka zawsze jest czymś brudnym, a politycy to złodzieje, ludzie skorumpowani, nieudacznicy, były obecne, moim zdaniem, przez cały okres III RP.

Kolejne wątki ciągle żywe w dyskursie publicznym, bez troski o pogłębioną weryfikację, to rozwarstwienie społeczne i jego narastanie. Nie tylko istnienie w kraju obszarów biedy, ale też jej systematyczne powiększanie się. Podział na Polskę „A” i Polskę „B”, na „oświeconych” i „ciemnogród”, „kapelusz” i „moher”. Wymieniam hasłowo wątki trwale obecne w dyskursie publicznym, nie zajmując się tym, na ile odzwierciedlały one realne problemy społeczne.

Na koniec jeszcze jedna charakterystyczna cecha naszego dyskursu publicznego: niechęć do posługiwania się klasycznymi kategoriami opisu sceny politycznej (na przykład „lewica” i „prawica”) oraz skłonność do zamazywania granic między nimi. Twierdzi się, że aparat pojęciowy, którym dysponujemy, jest bezużyteczny, że nie opisuje ani nie wyjaśnia rzeczywistości. Cały czas słyszy się, że pojęcia „lewica” i „prawica” nic nam nie mogą powiedzieć ani o poglądach Polaków, ani o konstrukcji sceny politycznej.

Również pojęcie „solidarności” uległo zamazaniu. Myli się „solidarność” z „okazaniem pomocy”. Nie pamięta się o źródłowym znaczeniu „solidarności”: solidaryzujemy się z kimś, kto do czegoś dąży. Pojęcie „solidarności” funkcjonujące w dyskursie publicznym zostało tak bardzo rozszerzone, że w dużej mierze wyplukano je z treści.

Andrzej Mencwel

Muszę powiedzieć, że w ostatnich miesiącach jestem zgnębiony dominacją dyskursu historycznego. Obecnie w żadnej sprawie nie można się porozumieć. Oczywiście, do dyskursu historycznego nie należy jedynie nazywanie kogoś „barbarzyńcą”, ale także pogroźki, że ktoś pójdzie w kałasze. Nie jest też tak, iż tylko jedna strona sceny politycznej ma monopol

na ten dyskurs. Jeżeli to się nie zmienia, to możemy znaleźć się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

Problem numeracji „III” czy „IV” RP, chociaż wygląda banalnie, jest w istocie bardzo poważny. Różnica między I Rzeczpospolitą a II Rzeczpospolitą jest fundamentalna, nie tylko z powodu zmiany warunków wewnętrznych, ale także z racji przyjęcia nowego modelu państwa. Różnica między Polską Ludową a III Rzeczpospolitą jest równie fundamentalna, cokolwiek by sądzić o różnych nitkach ciągłości skrytej lub jawnej. Odczuwam ją w życiu codziennym, gdziekolwiek się znajdujemy. Jednocześnie zgadzam się z Jackiem Żakowskim – paradygmat III RP się wyczerpał, chociaż jestem jej stronnikiem i sympatykiem. Czym innym była polska rzeczywistość w roku 1993, czym innym w 1998, a czym innym jest w 2006 roku. Społeczność III Rzeczypospolitej przysparzała mi dotkliwych cierpień przez szesnaście lat. Przypomnę powtarzaną w różnych wypowiedziach politycznych i rozmaitych mediach legendę o „sowieckich” PGR-owcach, którzy ciągle przeszkadzają w dokonaniu modernizacji Polski, chociaż być może była to grupa najwyżej trzystu tysięcy osób w czterdziestomilionowym kraju. To są wstydlive cechy tej rzeczywistości zarówno socjalnej, jak i mentalnej.

Chcę powiedzieć o jeszcze jednej kwestii, będącej najbardziej wyrazistym przykładem aspołeczności III RP. Od wielu lat w tzw. życiu politycznym bierze udział mniej więcej 50 procent mieszkańców kraju. Świadomie nie mówię „obywateli”, bo nie bardzo wiadomo, czy nieuczestniczący w wyborach politycznych są obywatelami. Wskaźnik ten ostatnio dość dramatycznie się obniżył i oscyluje w granicy 40 procent. Polityków, publicystów, nawet media zajmuje wyłącznie tzw. scena polityczna. Natomiast gdzieś tu obok, w naszym domu, mieszka druga połowa Polaków, o której nic albo prawie nic nie wiemy. Należałoby zapytać, powtarzając za poetą: „Kto jest ten wielki nieznamy?”. Czy on jest Arielem? A może jest Kalibanem? I może ten Kaliban, po przebudzeniu, potrząśnie całą tą sceną tak mocno, że się nie pozbieramy? Dopóki nie okaże się, za pięć, dziesięć czy piętnaście lat, że w naszym społeczeństwie procent osób uczestniczących w życiu politycznym systematycznie rośnie, to spory o jakąkolwiek numerację RP są, jak powiedział Rafał Matyja, sporami o bańki mydlane.

Jacek Kurczewski

Po pierwsze, Polska to kraj zinstytucjonalizowanej nieufności. To państwo, w którym marszałek Sejmu nie może pójść do prezydenta, bo nie wie, co zrobi wicemarszałek! Polska to kraj, w którym zbiera się koalicja parlamentarna złożona z PiS-u i Samoobrony. Dominuje tu populizm. Nie ma nic stabilnego, dlatego też uważam, że nie można zbudować czegoś pozytywnego w mechanizmie tak funkcjonującego społeczeństwa.

Po drugie, w dyskusji bardzo wyraźnie powraca nurt państwotwórczy. Pojawiają się głosy o niezbędnej sanacji, rozumianej jako konieczność poprawiania państwa. Tylko po co państwo? Jeżeli pytamy, dlaczego hasło „IV RP” spotkało się z tak dużym odzewem, to czy powodem była obietnica lepszego państwa? Nie. Ludzie w tej IV RP mają po prostu lepiej żyć. Oni chcą „więcej równości”. Nie chodzi im o równość zarobków, ale o to, żeby nie byli pogardzani. To, co robią politycy, wyborcy traktują jako osobistą obrazę i odbierają jako poniżenie. Wytworzenie klimatu wzajemnego zaufania, także dla elit politycznych, i zbudowanie systemu poczucia uczciwości i równości we wzajemnym traktowaniu obywateli – to jest prawdziwe zadanie. Tylko jak to zrobić? Ja nie znam odpowiedzi.

Wybór instytucji, wybór polityki

Andrzej Rychard

Wybór instytucji, wybór polityki

Debata o przejściu od III do IV Rzeczypospolitej była do niedawna zdominowana przez wymiar ideologiczny. Toczyła się głównie na płaszczyźnie ideowej. Takie kwestie, jak tożsamość, pamięć, polityka historyczna, okazały się dominujące. Stosunkowo słabiej była w tej debacie obecna płaszczyzna instytucjonalna. A przecież przejście od III do IV RP ma być przebudową państwa, ma polegać na dokonaniu konkretnych wyborów politycznych i instytucjonalnych.

Zwrócenie uwagi na wymiar instytucjonalny wynika z jeszcze jednej przyczyny. Otóż od pewnego czasu można zauważyć, że w języku publicznych wystąpień liderów zwycięskiej partii coraz rzadziej pojawia się określenie „IV RP”. Co prawda, odżyła nieco jego popularność po podpisaniu paktu stabilizacyjnego, ale, co ciekawe, to głównie liderzy innych partii niż Prawo i Sprawiedliwość (LPR i Samoobrony) twierdzili, iż podpisanie paktu stanowi początek IV RP. Tak jakby PiS mimo podpisania paktu nie był do końca pewny, czy o taki początek miało chodzić. Generalnie jednak rzadsze niż kiedyś odwoływanie się do tej idei może wynikać także z faktu, że pełne urzeczywistnienie tego projektu wymaga, jak wiadomo, znaczącej większości parlamentarnej. W związku z tym może teraz nastąpił czas stopniowego wprowadzania zmian instytucjonalnych, krok po kroku, w takim wymiarze, w jakim można to zrobić bez konstytucyjnej większości. Może więc przedtem mieliśmy do pewnego stopnia ideologię IV RP bez IV RP, a teraz stopniowo wprowadza się IV RP, lecz bez odwołań do jej ideologii?

Widać więc, że myślenie o IV RP ma istotny wymiar instytucjonalny, co wynika z dwóch powodów: po pierwsze sam projekt IV RP to w istocie zmiana instytucjonalna, a po drugie, jego warstwa ideowa zdaje się obecnie nieco tracić na znaczeniu. Na tle tego procesu lepiej jest widoczny wymiar instytucjonalny.

Wiedzę na temat proponowanych wyborów politycznych i instytucjonalnych możemy czerpać zarówno z programu PiS-u – *IV RP. Sprawiedliwość dla wszystkich* – jak i z analizy konkretnych kroków i podejmowanych decyzji. Moja zasadnicza teza brzmi: PiS jest jak do tej pory partią, która bardzo konsekwentnie wprowadza w życie te rozwiązania instytucjonalne, które zawarła w swym programie. PiS po prostu realizuje to, co obiecał. Oczywiście z pewnymi ograniczeniami wynikającymi z niemożności wprowadzenia proponowanych przez tę partię zmian w konstytucji. Generalnie jednak tu nie powinno być zaskoczenia: tak miało być. Zupełnie inną sprawą jest to, jaka wyłania się z tego wizja państwa i systemu instytucjonalnego, a także czy może ona być zrealizowana dzięki tym krokom. To jest kwestia oceny celów i dyskusji z wartościami, a także sprawa oszacowania skuteczności proponowanych działań i adekwatności terapii do diagnozy. Czym innym jest natomiast to, że, jak do tej pory, w decyzjach i posunięciach PiS-u odnaleźć można to, co było wcześniej zawarte w programie.

Przyglądając się dokonywanym wyborom instytucjonalnym, widzimy, że układają się one w pewną spójną całość. Obejmuje ona, jak wiemy, m.in. zmiany w KRRiT, propozycję wprowadzenia przyspieszonego 24-godzinnego trybu osądzania pewnych przestępstw, ideę powołania Centralnego Biura Antykorupcyjnego, ograniczanie immunitetu sędziowskiego, dążenie do zapewnienia silnej pozycji Skarbu Państwa w spółkach z jego udziałem. W zanadrzu są i inne propozycje (na przykład dotyczące Rady Polityki Pieniężnej czy też powołania Komisji Prawdy i Sprawiedliwości), a w tle widnieje sto kilkadziesiąt projektów ustaw będących elementem paktu stabilizacyjnego podpisanego przez PiS, Samoobronę i LPR. Kiedy z kolei czyta się wspomniany wyżej program, wówczas uderza obecność w nim dwóch słów, które wydają się istotne dla zrozumienia klimatu zmian instytucjonalnych. Te słowa to „siła”

i „bezpieczeństwo”. Silne ma być niemal wszystko: państwo, gospodarka, rodzina. W sumie wyłania się obraz, w którym dominują posunięcia centralizacyjne, rozwiązywanie problemów przez powoływanie nowych urzędów z daleko idącymi uprawnieniami lub obsadzanie starych urzędów nowymi ludźmi. Prawie niewidoczne są natomiast próby tworzenia nowoczesnych mechanizmów instytucjonalnych, zasadniczych reform działania istniejących instytucji.

Takie środki zdaniem autorów programu wynikają z ich diagnozy sytuacji. Głównym źródłem zła są „wybór błędnej drogi transformacji” oraz błędne decyzje polityków, co doprowadziło do kontynuacji starego systemu w III RP¹. Tak więc III RP jest zła nie dlatego, że jest „trzecią”, ale dlatego, iż jest nią za mało, za dużo zaś w niej pozostałości PRL-u. Zarazem jednak III RP już się utrwaliła, tworząc postkomunistyczną hybrydę. Dlatego trzeba z nią zerwać.

Oczywiste jest, że stosunek do tej wizji i proponowanej instytucjonalnej terapii zależy od tego, czy uznaje się, że zmiana ustroju miała być wyłącznie wynegocjowanym „miękkim” przejściem od starego do nowego, gdzie samo przejście odbywa się w warunkach pokoju społecznego, kosztem pewnego spowolnienia reform, a istotni aktorzy starego porządku nie są wykluczeni z uczestnictwa w budowie nowego, czy też przeciwnie, uznaje się, że była to (a co najmniej powinna być) radykalna, choć rozciągnięta w czasie rekonstrukcja, swego rodzaju rewolucja, a nie zmiana jednej ekipy na drugą. W tej ostatniej koncepcji aktorzy starego porządku (głównie politycy) nie mogą automatycznie uczestniczyć w budowie nowego. Spór o to, co stało się w Polsce, a co powinno się stać po 1989 roku, nie jest i pewnie nigdy nie będzie rozstrzygnięty. Wydaje się zarazem oczywiste, że autorzy przywoływanego programu, programu obecnie po części wprowadzanego, stoją na gruncie koncepcji drugiej.

O ile jednak ideologiczna ocena programu i podejmowanych konkretnych kroków zależy od przyjmowanych wartości, o tyle można je oceniać również w sposób bardziej zobiektywizowany, z punktu widzenia prawa,

¹ *IV Rzeczpospolita. Sprawiedliwość dla wszystkich*, Warszawa 2005, s. 7.

stosunku do wolności obywatelskich, chęci samoograniczenia lub dążenia do omnipotencji państwa. Można też zastanawiać się nad skutecznością proponowanej terapii wobec tak zdiagnozowanych źródeł zła. I tym na koniec chcę się zająć.

Wizja, że postkomunizm jest tworem hybrydowym – niespójne elementy łączą się w nową jakość i zyskują zdolność samoreprodukcji, wyhamowując zarazem systemową zdolność do dalszej zmiany – wydaje się do pewnego stopnia przekonująca. Pisali o niej polscy socjologowie (choćby Jadwiga Staniszkis), opisujący głębszą naturę systemu. Wielokrotnie zwracano uwagę na to, że polityka ma dwoistą naturę: składa się ze sceny widzialnej, publicznej, i mniej widzialnej, ukrytej przed publicznością. Na tej ukrytej scenie tworzą się właśnie owe hybrydy łączące na przykład politykę i administrację z biznesem. Po wielu polskich aferach taka wizja stanowi już wręcz element obiegowej wiedzy. W jednym z wywiadów Jarosław Kaczyński² mówił, że rządzą nami układy, które nie mają wyraźnych ośrodków kierowniczych. Mówił, jakby wręcz odwoływał się do tych koncepcji, w myśl których władza staje się w coraz większym stopniu atrybutem rozmaitych sieci, a nie jasno wyodrębnionych jednostek, grup czy organizacji.

I tu moim zdaniem dochodzimy do największego paradoksu instytucjonalnego wymiaru koncepcji Prawa i Sprawiedliwości. Otóż przedstawia się go jako projekt radykalny. Uważam³, że propozycje te są niewystarczająco radykalne w tym sensie, że dotyczą „widzialnej”, „zewnątrznej” części polityki. Sieciowa, hybrydowa natura obecnych mechanizmów, w tym mechanizmów władzy (co skądinąd trafnie identyfikuje program, jak i lider PiS-u), nie bardzo chyba może zostać opanowana przez dość tradycyjne środki, a więc przez posunięcia centralizacyjne, tworzenie nowych centralnych urzędów, a wszystko to oparte na wierze, że „nasi” urzędnicy będą lepsi dlatego właś-

² *Nadchodzi czas zmian, bo ludzie mają już dość. Rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim i Janem Rokitą, „Fakt”, 11–12.10.2004.*

³ *Sformułowałem ten pogląd już jakiś czas temu – zob. Andrzej Rychard, Czy Europa może odnowić polską politykę i społeczeństwo obywatelskie?, w: Kręgi integracji i rodzaje tożsamości. Polska, Europa, świat, red. Włodzimierz Wesółowski, Jan Włodarek, Warszawa 2005.*

nie, że są „nasi”. Za dużo tu wiary w tradycyjną politykę personalną, za mało pomysłów instytucjonalnych. Zwracano uwagę na swoisty tradycjonalizm instytucjonalnych koncepcji PiS-u – na przykład niedawno uczyniła to Jadwiga Staniszkis⁴. W tym więc sensie terapia nie pasuje do diagnozy. Układ, sieci, które funkcjonują wedle nowej logiki politycznej, usiłuje się zwalczyć środkami właściwymi dla logiki starej. Po raz kolejny okazuje się, że polska polityka usiłuje gonić znikający punkt, jakim jest tradycyjny sposób sprawowania władzy, jak ujmowałem to wcześniej⁵. Choć formułowałem te sądy już blisko dwa lata temu, nie sądzę, aby straciły swą aktualność. To jest, moim zdaniem, jeden z nie zawsze dostrzeganych aspektów zmian instytucjonalnych. Chodzi o zasadniczy rozdźwięk między rewolucyjną frazeologią a niezmiernie tradycjonalistycznym podejściem do funkcjonowania instytucji. Dziś widzimy, że PiS jest dość sprawny i skuteczny we wprowadzaniu zamierzonych przez siebie środków. Pozostaje jednak wielką niewiadomą, czy same te środki okażą się skuteczne w realizacji stawianych celów. Wspomniany wyżej rozdźwięk może ową skuteczność zasadniczo osłabiać. Krótko mówiąc: tak pewnie można zbudować państwo inne od dzisiejszego, lecz chyba nie nowoczesne.

⁴ Jadwiga Staniszkis, *Trzy panie w pociągu, nie licząc Maraisa*, „Ozon”, 19–25.01.2006.

⁵ Andrzej Rychard, *Czy Europa może odnowić polską politykę...*, s. 472–473.

Antoni Kamiński

Ustrój państwa, polityka a obecny układ rządzący

Chciałbym zabrać głos w trzech kwestiach: ustroju państwa, polityki w szerokim rozumieniu tego słowa, wreszcie perspektyw związanych z układem tworzonym przez partię Prawo i Sprawiedliwość.

1.

Ustrój państwa jest określony przez konstytucję, ustawy wykonawcze, precyzujące założenia konstytucyjne, oraz przez uzusy. Mamy zatem do czynienia ze strukturą formalną, którą określają konstytucja i ustawy, oraz strukturami nieformalnymi, których podstawą są normy zwyczajowe. Struktura nieformalna może wspomóc realizację założonych celów państwa i usprawnić funkcjonowanie struktur formalnych, ale może też zastępować te struktury przez inne, zmierzające do realizacji odmiennych, często zgoła prywatnych interesów. Od tego, która z tych sytuacji ma miejsce, zależy przejrzystość funkcjonowania państwa.

Przy pomocy jakich kryteriów da się ocenić ustrój państwa? Tu możliwa jest znaczna arbitralność wyboru. Wskazałbym na dwa kryteria, które – w moim przekonaniu – należy uznać za kluczowe. Po pierwsze – *accountability*. Pojęcie to nie ma adekwatnego odpowiednika w języku polskim. Dotyczy „zobowiązania do zdania rachunku z czegoś, przed kimś”. Może ono dotyczyć zależności pionowych: na przykład relacji między administracją

państwową, jako narzędziem, a polityką, która to narzędzie wykorzystuje, ale i relacji między reprezentacją polityczną a elektoratem. Może dotyczyć relacji zachodzących w wymiarze poziomym, czyli między poszczególnymi instytucjami państwa. W tym ostatnim przypadku rzecz odnosi się również do mechanizmu kontroli i równowagi między władzą ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, ale nie tylko – w każdym państwie istnieje, czy raczej powinno istnieć, wiele *quasi*-autonomicznych instytucji kontroli, pełniących funkcję swoistych czujników umożliwiających wykrywanie i korektę błędów. Przyjmijmy, dla potrzeb tej analizy, że odpowiednikiem polskim pojęcia *accountability* jest „rozliczalność”, czyli zdolność aktorów społecznych do rozliczenia polityków oraz instytucji politycznych (czyli aktorów politycznych) z działań przez nich podejmowanych.

Drugim kryterium jest skuteczność rządów rozumiana jako zdolność do generowania długofalowych programów działania i wdrażania ich w życie, a nie jako zdolność eliminacji przeciwników. Takie ujęcie skuteczności jest zgodne z tradycją demokracji, która nakazuje spojrzenie na funkcjonowanie państwa z perspektywy dwu integralnie związanych ze sobą instytucji politycznych: obywatela i podatnika. Jak kiedyś zauważył Ralf Dahrendorf, instytucja obywatela stanowi krystalizację racjonalności w roli społecznej i narzuca współodpowiedzialność za losy zbiorowości. Podatnik, łożąc pieniądze na realizację interesów zbiorowych, ma – przynajmniej w płaszczyźnie ideologicznej – prawo żądania, by były one właściwie sformułowane i sprawnie realizowane. Przyjmuję skądinąd oczywiste założenie, że interesy zbiorowości, społeczeństwa, nie są identyczne z interesami jakichkolwiek jednostek, lub grup jednostek, w jego ramach.

Rozliczalność i skuteczność rządów w podanym tu rozumieniu są ze sobą ściśle związane. Rozliczalność dotyczy bowiem mechanizmów kontroli, które tworzą system motywacji i pobudzania działań aktorów politycznych. Mechanizmy te pozwalają zaś wyznaczyć kryteria oceny skuteczności i wiążą skuteczność z interesem ogólnym społeczeństwa. System motywacji i pobudzania może więc przyczyniać się do skuteczności działań aktorów, zgodnej z interesem ogólnym, ale może też ją wypaczać. Ten ostatni przypadek zacho-

dzi wtedy, kiedy społeczeństwo obserwuje arenę polityczną jako coś, z czym nie czuje związku nawet wówczas, gdy jest świadome, że to, co dzieje się na tej arenie, dotyczy bezpośrednio jego losów. Wtedy skuteczność związana z oceną formułowania i realizacji interesów ogólnych może zostać wyparta przez skuteczność rozumianą jako zdolność eliminacji przeciwnika politycznego niezależnie od skutków tego dla interesu ogólnego. Ta ostatnia perspektywa od lat lansowana jest przez niektóre polskie media. Podejście, które tu przyjmuję, jest podejściem instytucjonalnym, a – jak mawiał Napoleon – wojny wygrywają instytucje. Problemem, który nas tu interesuje, jest więc wydolność instytucji państwa (*institutional capacity*), jego zdolność do formułowania i wdrażania spójnych strategii, to jest długofalowych programów.

2.

Jak wspomniałem, istotę polityki często sprowadza się do walki o władzę. W systemie demokratycznym zdobywa się ją oczywiście dzięki poparciu wyborców. Coraz częściej jednak badacze mówią o demokracji pozorowanej: wybory się odbywają, ale obywatele mają niewielki wpływ na to, kto będzie nimi rządził i jaki program realizował. Państwo jest wtedy mocne wobec społeczeństwa, a jego przedstawiciele mają zbyt ograniczoną motywację, by brać interesy społeczeństwa pod uwagę. Zgodnie zaś z wcześniejszymi uwagami, oznacza to niewłaściwe działanie mechanizmów rozliczalności. Skłania to do zapytania, jak III RP radziła sobie z rozwiązaniem tych długofalowych problemów.

Zacznijmy od konkretnych przykładów. Już na początku XX wieku hydrolo-dzy mieli świadomość, że Polska cierpi na brak wody. Rządy międzywojenne wypracowały nawet programy, które miały temu problemowi zaradzić. Kwestia ta pojawiała się również w raportach Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” z końca lat 70. Później temat ten wielokrotnie poruszał Stefan Bratkowski, wreszcie ostatnio pisała o nim Liliana Sonik na łamach „Rzeczpospolitej”¹. Co więcej, zagrożenie to pogłębia się, a jednocześnie do tej pory

¹ Liliana Sonik, *Szli krzycząc: Polska! Polska, ale jaka?*, „Rzeczpospolita”, 31.12.2005.

nie znalazło się wśród priorytetów państwa. Inny przykład: Polska jest krajem tranzytowym, a zatem rozwój sieci komunikacyjnej powinien być dla rządów problemem naczelnym. Przed parunastu laty przyglądałem się przetargowi na budowę autostrady wielkopolskiej. Wygrała go firma, która nie miała żadnego doświadczenia w tej dziedzinie. Natychmiast po rozstrzygnięciu jej przedstawiciele rozpoczęli renegocjowanie warunków konkursu. W tej sytuacji przetarg powinien zostać unieważniony – nie został, a o efektach możemy czytać od czasu do czasu w prasie. Podobnie niedawny przetarg na budowę autostrady Północ–Południe wygrała firma, która zaproponowała wycenę kosztów realizacji wyższą o 30 do 40 procent niż koszty związane z budową autostrad w Europie Zachodniej. Takie przypadki pojawiały się przy okazji różnych inwestycji na Zachodzie. Szacuje się na przykład, że koszt budowy terminalu II we Frankfurcie nad Menem był zawyżony o 25 do 30 procent w stosunku do realnych kosztów. W przypadku Włoch lat 80. koszt inwestycji publicznych przewyższał często o ponad 50 procent realne ceny. Przyczyną była zawsze korupcja władzy publicznej.

Zagadnienie skuteczności dotyczy nie tylko trudności w określeniu priorytetów związanych ze sformułowaniem i realizacją interesu ogólnego, lecz także braku ciągłości w realizacji reform. Przykładem, którego nie będę tu szerzej omawiał, jest ochrona zdrowia. Potrzeba reformy instytucji z nią związanych była oczywista od samego początku III RP. Próbę tej reformy podjął pod koniec lat 90. rząd Jerzego Buzka. Po dojściu do rządów koalicji SLD/PSL nastąpił powrót do poprzedniego stanu, połączony z serią afer korupcyjnych. Nie jest to jedyny przykład sytuacji, kiedy względnie sensowna próba poprawy stanu przez jedną koalicję rządową zostaje zarzucona przez następną.

Ostatnim problemem jest oświata. Ekonomiści wiedzą, że inwestycje w tej dziedzinie są w perspektywie długoterminowej najbardziej rentowne, od nich bowiem zależy rozwój gospodarczy kraju. To właśnie one zadecydowały o skoku gospodarczym Irlandii i Finlandii. Jednocześnie dla wielu polskich rządów edukacja była pierwszą pozycją w budżecie wśród kandydatów do redukcji wydatków. Zabawne, że Leszek Balcerowicz, jako minister finansów zawsze skłonny do cięcia tych wydatków, w chwili, kiedy

przestał być ministrem, natychmiast założył Fundację Edukacji Narodowej. Gdzie zatem szukać przyczyn braku zdolności do realizacji długofalowego interesu narodowego? Jeżeli pierwsza część tego wystąpienia, wiążąca kwestię zdolności państwa do formułowania i realizacji strategii z kształtem instytucji politycznych, jest zasadna, to w kształcie tych instytucji należy owych przyczyn poszukiwać. Tematem tym zajmowałem się wielokrotnie i ze względu na brak czasu nie będę go tu podejmował.

3.

Moje trudności w ocenie potencjału obecnego układu tworzonego przez Prawo i Sprawiedliwość mają kilka przyczyn. Po pierwsze, ten układ ma bardzo niepewną przyszłość. Rząd mniejszościowy nie może funkcjonować przez długi okres. Może jednak uda mu się trwać, co jest prawdopodobne, bo partie parlamentarne oraz wchodzący w ich skład posłanki i posłowie mogą uznać, że przyspieszenie wyborów niesie ze sobą zbyt duże ryzyko. Znaczącym czynnikiem stabilizującym rządy mniejszościowe są kredyty bankowe zaciągane przez parlamentarzystów na początku kadencji sejmowej, na konto swych przyszłych dochodów. Jest więc kłopot z oceną czegoś, co dopiero powstało i co albo szybko zakończy swój żywot, albo będzie prowadzić politykę niekonsekwentną, opartą na negocjowaniu taktycznych sojuszy politycznych w odniesieniu do pojedynczych decyzji.

Po drugie, nie wiem, co w działaniu rządu premiera Kazimierza Marcinkiewicza jest taktyką, a co strategią. Nie wiem też, co obóz polityczny PiS-u rozumie pod hasłem „przeciwstawiania solidarności liberalizmowi”. Oba pojęcia są nieostre. Solidarność może być cechą kultury życia publicznego. Czujemy się solidarni z innymi ludźmi i w związku z tym jesteśmy gotowi nieść im pomoc, kiedy wymagają tego okoliczności. Jednak to poczucie nie może być tworzone przez rząd polityczny. Politycy mogą jedynie budować państwo opiekuńcze. Czy to jest celem PiS-u? Być może mamy tu do czynienia z powrotem do idei państwa korporacyjnego z lat 20. czy 30. Jednak ten problem, jak też inne nie zostały przez Prawo i Sprawiedliwość do końca wyjaśnione.

Jerzy Hausner

Gdy nie wiadomo, o co chodzi, wiadomo, że chodzi o władzę

Słabości formowania ładu instytucjonalnego w Polsce

Na początku chcę się odwołać do opracowania zespołu, który swego czasu współtworzyłem, a który przez szereg lat opracowywał raporty o zdolności Polski do integracji z Unią Europejską, publikowane po nazwą „EU-monitoring”. Interesujący mnie w tym miejscu raport zredagowany przez Mirosławę Marody i Jerzego Wilkina¹ ukazał się w 2002 roku i dotyczył problemów formowania ładu instytucjonalnego w naszym kraju. Za najistotniejsze z nich autorzy raportu uznali:

- przechwytywanie instytucji publicznych i podporządkowywanie ich funkcjonowania realizacji partykularnych interesów;
- instytucjonalną nieciągłość – reformowanie reform rozpoczętych przez poprzedników (moim zdaniem jaskrawym przypadkiem może tu być postępowanie ministra zdrowia w rządzie Leszka Millera – Mariusza Łapińskiego);
- wewnętrzną niekompatybilność systemu instytucjonalnego – hybrydalność, nieskonsolidowanie; prowadzi do tego polityka bez wizji ładu instytucjonalnego, z której często wynika ustanawianie rozwiązań należących do przeciwstawnych porządków. Znowuż krytycznie (po części samokrytycznie) przywołałam rząd Leszka Millera, który z jednej strony inicjował przedsię-

¹ *Meandry instytucjonalizacji: dostosowanie Polski do Unii Europejskiej. EU-monitoring VI*, red. Mirosława Marody, Jerzy Wilkin, Kraków 2002.

- wzięcia jednoznacznie centralizacyjne, jak Narodowy Fundusz Zdrowia, z drugiej zaś – zorientowane na praktyczne rozwinięcie konstytucyjnej zasady pomocniczości państwa (np. ustawa o działalności pożytku publicznego i wolontariacie, ustawa o pomocy społecznej). Rezultatem takiej chaotycznej polityki prowadzonej na zasadzie „krok do przodu, dwa kroki wstecz” była petzająca recentralizacja państwa;
- wyłącznie twarde prawo – rozumiane jako wąski legalizm oraz tendencja do omijania prawa, niezdolność adaptacyjnego rozumienia i stosowania prawa, opartego na odwoływaniu się do ogólnych nadrzędnych zasad postępowania, degeneracja prawa.

Ten ostatni problem znajduje swoje precyzyjne naświetlenie w raporcie przygotowanym na zlecenie firmy Ernst&Young, dotyczącym stanowienia prawa w Polsce. Czytamy tam między innymi: „W Polsce średnio raz dziennie stanowi się nową ustawę, co godzina wydawane jest nowe rozporządzenie i raz na siedem minut drukowana jest jedna strona Dziennika Ustaw”². I dalej: „Inflacja prawa, która jest naszym udziałem, wyraża się zarówno w nadmiarze przepisów w stosunku do potrzeb uregulowania, jak i w nadmiarze przepisów w stosunku do możliwości ich efektywnego funkcjonowania w życiu społecznym, do tego, na ile można je przyswoić, stosować i wyegzekwować”³. Wreszcie, dodają autorzy opracowania: „Zamiast tworzenia stabilnych norm posługujemy się prawem do rozwiązywania konkretnych, doraźnych spraw. Wprowadzamy w życie ustawy, które naruszają wszelkie przyjęte w danej gałęzi prawa zasady ogólne, pod pretekstem, że oto tworzymy kolejną regulację specjalną. Przy czym ilość owych uregulowań specjalnych stawia pod znakiem zapytania obowiązywanie zasad ogólnych”⁴.

² Klaus H. Goetz, Radosław Zubek, *Stanowienie prawa w Polsce. Reguły legislacyjne a jakość ustawodawstwa*, Warszawa 2005, s. 5.

³ Tamże, s. 6.

⁴ Tamże, s. 7–8.

Deklarowana przez Prawo i Sprawiedliwość wizja porządku instytucjonalnego

Chcąc odpowiedzieć na pytanie, jaka jest propozycja ładu instytucjonalnego dla Polski, sięgam po projekt konstytucji ogłoszony przez Prawo i Sprawiedliwość. W mojej ocenie projekt ten zasadniczo oznacza:

1. Ograniczenie praw obywatelskich:

- Rzeczpospolita Polska ma stać się państwem wyłącznie narodu polskiego, a nie wszystkich jego obywateli,
- konsekwentnie pomijane są prawa polityczne mniejszości narodowych,
- ma zostać wprowadzona niejasna i rozciągliwa klauzula lojalności obywateli wobec państwa,
- znika podstawowa w państwie prawa zasada niedyskryminacji,
- znacznie zawężona ma zostać zasada domniemania niewinności,
- zmarginalizowane są prawa socjalne, ekonomiczne i kulturalne,
- zlikwidowana ma zostać instytucja Rzecznika Praw Obywatelskich,
- w przypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego wszystkie prawa obywatelskie mogą być zawieszane, co pozbawi obywateli konstytucyjnej gwarancji nienaruszalności podstawowych wolności człowieka i obywatela.

2. Podważenie zasady podziału władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą:

- prezydent ma wyznaczać strategiczne kierunki polityki państwa, co spowoduje, że nakładać się będą zadania prezydenta i rządu, a odpowiedzialność zostanie rozmyta,
- prezydent w praktyce może przejmować uprawnienia innych organów państwa, w tym rządu,
- nie jest w pełni zapewniona samodzielność samorządu terytorialnego, prezydent bowiem może ingerować w obsadę stanowisk publicznych aż do szczebla gminy,
- prezydent może odmówić powołania premiera i Rady Ministrów, po rozważeniu przedstawionych mu opinii, nie wiadomo jednak czyich.

3. Ręczne sterowanie wymiarem sprawiedliwości:
- prokurator generalny ma pozostać zależny od rządu,
 - prezydent ma stanąć na czele Krajowej Rady Sądownictwa i powoływać sędziów na wniosek Rady, czyli organu, którym kieruje,
 - powoływanie sędziów po raz pierwszy ma się dokonywać na czas określony, co podważa ich niezawistość i uzależnia od władzy wykonawczej.

4. Osłabienie stabilności gospodarczej:
- pominięte są rozwiązania dotyczące finansów publicznych,
 - ma zostać zlikwidowana Rada Polityki Pieniężnej.

5. Utrudnienie uczestnictwa Polski w procesie integracji europejskiej:
- umowy międzynarodowe mają mieć niższą rangę prawną niż przepisy prawa krajowego,
 - nie wiadomo, czy będzie obowiązywać zasada bezpośredniej stosowalności umów międzynarodowych.

- W sumie PiS-owska wizja IV Rzeczypospolitej prowadzi do:
- zastąpienia ustroju demokratycznego ustrojem, który można określić jako „miękki autorytaryzm”, gdzie regułą stanie się „ręczne sterowanie” państwem,
 - zastąpienia systemu (zbliżonego do) kanclerskiego systemem prezydenckim, w którym prezydent pozostaje jednakże poza efektywną kontrolą,
 - przy tym prezydent ma mieć szeroko zakreślone zadania i niejasno wyznaczone kompetencje, może faktycznie rządzić na zasadzie władzy osobistej i bez realnej odpowiedzialności,
 - wykreowania ustroju, w którym nieunikniony jest spór między prezydentem a parlamentarną większością rządową, czyli stwarzania kłótliwego i konfrontacyjnego systemu rządzenia, w którym rząd i premier będą traktowani jako zderzaki, a odpowiedzialność będzie niejasna i rozmyta.

Bezsporna wydaje mi się konieczność przeprowadzenia w Polsce głębokiej zmiany instytucjonalnej. Za taką zmianą zdecydowanie się opowiadam, co przecież jasno wynika z zarysowanej przeze mnie diagnozy. Jednakże nie oznacza to w żadnej mierze poparcia dla propozycji PiS-u. Odrzucam je tak ze względu na ich antydemokratyczną treść, jak i związaną z tym imperatywną metodę projektowanej zmiany.

Alternatywna wizja niezbędnych zmian instytucjonalnych

W moim przekonaniu alternatywną wobec propozycji PiS-u całościową koncepcję zmiany instytucjonalnej zawiera projekt Narodowego Planu Rozwoju na lata 2007–2013 (NPR), przygotowany pod moim kierownictwem w ramach prac rządu Marka Belki i przekazany przez niego swemu następcy.

Projekt ten był przygotowany w toku bezprecedensowych co do skali konsultacji społecznych. Konsultacje projektu NPR przeprowadzono zgodnie z zaproponowanymi przez przedstawicieli organizacji pozarządowych zasadami:

- kompleksowości – miały charakter krajowy, sektorowy i regionalny,
- dokumentacji – poszczególne idee i stanowiska były dokumentowane,
- ciągłości – prowadzone były systematycznie i zmierzały do sformułowania społecznie legitymizowanego projektu NPR,
- sprzężenia zwrotnego – uczestnicy uzyskiwali odpowiedzi na swoje propozycje i stanowiska,
- przejrzystości – powszechnie dostępne były wszystkie rządowe dokumenty dotyczące projektu, jak i opinie wyrażane przez uczestników konsultacji,
- równości – w konsultacjach mogli wziąć udział wszyscy zainteresowani.

Zasady te zostały zapisane w przyjętym przez Radę Ministrów wstępnym projekcie Narodowego Planu Rozwoju oraz znalazły swoje odniesienie w specjalnie w tym celu wydanym rozporządzeniu prezesa Rady Ministrów, stanowiącym akt wykonawczy do ustawy o NPR. Rezultatem debaty były głębokie zmiany i korekty wstępnego projektu NPR. Rząd rozpatrywał i zaakceptował obszerny raport z przebiegu tej debaty. Jej uczestnicy zostali poinformowani o stanowisku rządu.

Po raz pierwszy w programowym dokumencie rządowym zaproponowano opis jego podstaw aksjologicznych, który miałby być fundamentem budowania szerokiego porozumienia społecznego wokół Narodowego Planu Rozwoju. Przyjęto następujący katalog podstawowych wartości i zasad.

Podstawowe wartości:

Suwerenność jednostki – swobody obywatelskie i gospodarcze, przedsiębiorczość, innowacyjność, prawo do autonomii i samorealizacji, poczucie odpowiedzialności za jakość własnego życia i za dobro wspólne, aktywność społeczna i polityczna sprzyjająca łaadowi demokratycznemu.

Spójność i solidarność społeczna – równe szanse wszystkich społeczności i grup społecznych, silna tożsamość kulturowa na poziomie lokalnym i regionalnym, usunięcie wszelkiej dyskryminacji i integracja wykluczonych.

Zrównoważony rozwój – orientacja na poprawę jakości życia obecnych i przyszłych pokoleń, przy zapewnieniu ochrony i zachowania zasobów przyrodniczych i dziedzictwa kulturowego oraz właściwej struktury demograficznej społeczeństwa.

Główne zasady sprzyjające realizacji podstawowych wartości:

Uznanie wykształcenia, wiedzy, informacji i kultury za fundament społeczno-gospodarczego rozwoju.

Pomocniczość państwa – umacnianie samorządności terytorialnej i społeczeństwa obywatelskiego, przy zachowaniu autonomii i partnerstwa w relacjach między administracją państwową oraz strukturami samorządowymi i pozarządowymi.

Polityka rodzinna przyczyniająca się do wyższego poziomu dzietności, gwarantująca prawidłowy rozwój dzieci i promująca partnerski model rodziny.

Ochrona rynku i konkurencji.

Zapewnienie równego dostępu do sądu i ochrony praw konstytucyjnych.

Dialog obywatelski i partnerstwo społeczne.

Kształtowanie partnerskich relacji Polski z państwami demokratycznymi oraz jej uczestnictwa w globalnej polityce i gospodarce.

Integralną część projektu NPR stanowi całościowy pakiet rozwiązań instytucjonalnych wraz z projektami ustaw, które miałyby prowadzić do:

- rozwoju instytucji demokratycznych i konsolidacji systemu demokracji parlamentarnej,
- wzmocnienia zdolności państwa do wypełniania swych podstawowych zadań i zobowiązań wobec obywateli oraz realizacji strategicznych przedsięwzięć rozwojowych,
- podniesienia sprawności administracji publicznej i jakości świadczonych oraz organizowanych przez nią usług,
- poszerzenia domeny społeczeństwa obywatelskiego i aktywności sektora organizacji pozarządowych,
- ugruntowania pozycji Polski w ramach UE.

Zaproponowane rozwiązania dotyczą między innymi:

- uregulowania możliwości wieloletniego budżetowania wydatków rozwojowych,
- tworzenia spółek kapitałowych użyteczności publicznej,
- utworzenia powiatu metropolitalnego,
- wzmocnienia kompetencji i zdolności rozwojowych samorządu województwa,
- ograniczenia kompetencji i skali zatrudnienia wojewódzkiej administracji rządowej,
- powołania służby cywilnej w samorządzie terytorialnym,
- usytuowania problematyki planowania przestrzennego w strukturze rządu,
- wspierania działalności innowacyjnej,
- sprawowania pieczy nad samorządami zawodów zaufania publicznego,
- nowelizacji Karty Nauczyciela,
- ograniczenia ciężarów fiskalnych nakładanych na wynagrodzenia,

- indywidualnego i zbiorowego prawa pracy,
- ograniczenia dyskryminacji kobiet na rynku pracy,
- rozwoju różnych form ekonomii społecznej,
- zwiększenia dochodów jednostek samorządu terytorialnego,
- objęcia gospodarstw rolnych i ludności wiejskiej powszechnym systemem fiskalnym,
- zmniejszenia presji podmiotów gospodarczych na środowisko,
- stosowania pomocy publicznej,
- procesu legislacyjnego i egzekucji prawa,
- dialogu obywatelskiego.

Niezbędność takiego pakietu wynika z kilku zasadniczych powodów. Otóż do tej pory, mimo wysiłków reformatorskich, nie udało się w Polsce ustanowić takiego układu instytucjonalnego, który wykazywałby w stopniu zadowalającym zdolność skutecznych działań rozwojowych. Chaotycznie miotamy się między centralizacją i decentralizacją, podejściem sektorowym i horyzontalnym, naciskiem na resortowość i samorządność. Wśród obywateli wywołuje to przekonanie o „biurokratycznej anarchii”. Państwo – zgodnie z tym odczuciem – stało się źródłem nieładu i rozkładu więzi społecznych. Gwałtownie obniża to zaufanie do instytucji publicznych, przy jednoczesnym rozbudzeniu roszczeniowych postaw w stosunku do państwa. A w rezultacie rośnie demokratyczny deficyt.

Zaradzić ma temu także przyjęcie w Narodowym Planie Rozwoju – jako jednego z sześciu – priorytetu „dobre rządzenie”, rozumianego jako usprawnienie administracji państwa i uczynienie jej służebną wobec obywateli i potrzeb społecznych oraz zdolną do partnerskiego współdziałania z podmiotami sektora obywatelskiego.

W ramach tego priorytetu byłyby podejmowane działania zmierzające do usprawnienia administracji publicznej poprzez: poprawę jakości ustawodawstwa, uporządkowanie procedur administracyjnych, poszerzenie zakresu jawności działania organów państwa, ustanowienie systemu oceny jakości

usług publicznych oraz wprowadzenie na szeroką skalę elektronicznej administracji. Równocześnie byłyby inicjowane przedsięwzięcia zorientowane na: zapewnienie wpływu organizacji pozarządowych i obywateli na projektowanie i prowadzenie polityk publicznych oraz pobudzanie aktywności obywatelskiej i obywatelskiego zaangażowania w sprawy publiczne.

Znalazło to swoje rozwinięcie w projektach dwóch programów operacyjnych: „Administracja sprawna i służebna” oraz „Społeczeństwo obywatelskie”.

Praktyczne działania podejmowane przez Prawo i Sprawiedliwość

Jest zbyt wcześnie, aby pokusić się o jakiegokolwiek sumowanie działań PiS-u jako ugrupowania rządzącego i dominującego na polskiej scenie politycznej. Natomiast uzasadnione wydaje mi się skomentowanie kilku konkretnych przykładów inicjatyw politycznych i instytucjonalnych.

Zgłoszono propozycję pospiesznego rozwiązania Rządowego Centrum Studiów Strategicznych (RCSS). Można różnie oceniać funkcjonowanie tej instytucji i jakość jej opracowań, ale wydaje się dosyć oczywiste, że państwo, w tym rząd, musi dysponować strategicznymi programami i projektami, czyli „suwerenną myślą strategiczną”. Rozsądne wydawałoby się odpowiednie przebudowanie tej instytucji, a nie jej likwidowanie. Jednym z ważnych i niezle wykonywanych przez RCSS zadań była koordynacja prac rządu w zakresie przestrzennego zagospodarowania kraju. Likwidacja RCSS oznacza, że teraz nie wiadomo, kto zajmie się tą kluczową dla zrównoważonego rozwoju problematyką – i to w okresie, w którym opracowywane są operacyjne plany wielkich inwestycji infrastrukturalnych, finansowanych ze środków Unii Europejskiej.

Nie wydaje mi się, aby można było przekonująco bronić decyzji o likwidacji Rządowego Centrum Studiów Strategicznych argumentem „taniego państwa”. Wystarczy przecież policzyć, o ile więcej – po trzech miesiącach rządów PiS-u – jest członków gabinetów politycznych oraz wysokich urzęd-

ników państwowych (R-ka), ilu nowych urzędników zostanie zatrudnionych w nowo powoływanych strukturach, aby uznać, że „tanie państwo” w praktyce jest jedynie socjotechnicznym chwytem.

W błyskawicznym tempie, przy narażeniu się na zarzut łamania konstytucyjnie określonej procedury ustawodawczej, przeprowadzona została przez parlament ustawa medialna rozwiązująca dotychczasową Krajową Radę Radiofonii i Telewizji (KRRiT). Nie dokonano przy tym żadnej istotnej zmiany funkcji tego organu ani też jego usytuowania względem innych organów państwa. Nie chodziło zatem o wprowadzenie jakiegś instytucjonalnej korekty, a jedynie o możliwie szybkie zastąpienie nie swoich swoimi. Trudno to ocenić inaczej niż jako partyjną kolonizację konstytucyjnego organu państwa.

Z jednej strony premier, z drugiej czołowi przedstawiciele PiS-u publicznie nawołują Radę Polityki Pieniężnej (RPP) do obniżenia stóp procentowych. Temu nawoływaniu towarzyszy jasna sugestia: jeśli tego nie zrobicie, jeśli nie będziecie prowadzić polityki zgodnej z naszymi oczekiwaniami, to was rozgonimy. Problem tkwi nie w tym, że przedstawiciele rządu czy rządzącego ugrupowania publicznie krytykują RPP lub Narodowy Bank Polski; żaden organ państwa nie może pozostawać poza krytyką. Mamy jednak w tym przypadku do czynienia z wywieraniem presji politycznej, która prowadzi do ubezwłasnowolnienia innego, formalnie niezależnego organu, a tym samym z naruszaniem istniejącego porządku instytucjonalnego. Podobny sens miały podejmowane osobiście przez premiera upublicznione starania o to, by doprowadzić do obniżenia cen benzyny przez krajowych producentów. To oczywiście naruszenie zasad ładu korporacyjnego i działanie niezgodne z prawem. Wszak premier i jego podwładni działali w tym przypadku jak właściciele (skarb państwa) szkodzący interesom własnej spółki.

Kolejna rządowa inicjatywa, która przybrała postać projektu legislacyjnego, dopuszcza możliwość urzędowego uznania pracowników samorządowych za członków korpusu służby cywilnej bez wymaganego od innych kandydatów postępowania oraz znosi konkursowy tryb obsadzania wielu stanowisk kierowniczych w administracji rządowej. To przecież jawny demontaż służby cywilnej.

Przykłady można by mnożyć – choćby zamiar zastąpienia naprawdę niezależnego i kompetentnego prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia osobą, która porzuciła PO dla PiS-u. Wszędzie w praktyce chodzi o możliwość obsadzenia własnymi ludźmi struktur nie podlegających bezpośrednio decyzjom rządowym i partyjnym, a jeśli nie jest to możliwe, idzie o takie zastraszenie i oszczenie ludzi nimi kierujących, żeby podporządkowywali się oczekiwaniom rządzących.

Nie ma przy tym żadnych granic i zahamowań. Dziennikarce Polskiej Agencji Prasowej, która zadała premierowi trudne pytania przy okazji jego wizyty w Brukseli, kierownictwo agencji zmienia za karę warunki zatrudnienia. Wybitny analityk finansowy, główny ekonomista polskiego oddziału wielkiego międzynarodowego banku musi odejść, bo publicznie krytykuje poczynania rządu. Widać, każdego można jakoś przekonać. W końcu nawet potężna prywatna firma czy gazeta w jakiś sposób może zostać dotknięta (wystarczy, że spółki skarbu państwa wycofają swoje zlecenia lub reklamy). Wątpiących niech ostrzeże przykład PKO S.A. W zanadru zaś mamy projekt utworzenia Urzędu Nadzoru Finansowego i obsadzenia go osobą, którą do dzisiaj firmy ubezpieczeniowe wspominają ze zgrozą.

Kolejne inicjatywy legislacyjne i organizacyjne nie podlegają przy tym żadnym procedurom konsultacyjnym. Dialogu w ogóle się nie podejmuje. Ma być tak, jak uważamy.

Bez ogłoszenia tego faktu rząd Kazimierza Marcinkiewicza zatrzymał prace nad Narodowym Planem Rozwoju na lata 2007–2013 i przygotowuje własną koncepcję rozwoju. Z tym, że z nikim nie jest ona konsultowana. Jedynym partnerem, z którym jeszcze trzeba się liczyć, pozostaje Komisja Europejska.

Sumując to wszystko, widzimy obóz rządzący, który zmierza do totalnego podboju państwa. Tu nie chodzi o zastąpienie jednego porządku instytucjonalnego, uważanego za zły, innym, który ma być lepszy. Pod hasłem naprawy państwa mamy w istocie jego hurtowe zawłaszczanie. To usprawiedliwia forsowanie na Rzecznika Praw Obywatelskich (RPO) osoby, która jest ich doktrynalnym oponentem, i nazywanie jego poprzednika, który zgłaszał

zastrzeżenia, „antypaństwowcem”. W przyszłości, gdy zdobędziemy wystarczająco wiele władzy, przeprowadzimy zmianę konstytucji i instytucja RPO zniknie. Póki co, trzeba tę zbędną instytucję obsadzić osobą, która nie będzie swoim postępowaniem utrudniała nam narzucenia naszej wizji państwa. A do tego potrzebne jest uformowanie „technologicznego ciągu władzy” w każdej dziedzinie władztwa państwowego: przykładowo w sprawiedliwości od prokuratora do strażnika więziennego. Dopiero wtedy aparat państwa będzie działał według naszego planu, stanie się efektywnym instrumentem rządzenia, będziemy mogli robić swoje.

Wnioski

Takiego postępowania nie da się wpisać w schemat określony pytaniem postawionym przez organizatorów panelu – „wybór polityki, wybór instytucji”. W tym przypadku nie idzie o wybór określonej polityki publicznej, prowadzonej w ramach danego ładu instytucjonalnego, ani o ukształtowanie określonego ładu instytucjonalnego, aby móc prowadzić daną politykę. Zamiast naprawy i porządkowania ładu instytucjonalnego, dokonują się jego polityczna instrumentalizacja i psucie.

Mamy do czynienia z imperatywem zdobycia pełni władzy. Nie może chodzić o realizację programu politycznego, skoro powołuje się na stanowisko wicepremiera odpowiedzialnego za gospodarkę i ministra finansów osobą, która była twarzą programu gospodarczego głównego konkurenta politycznego, programu zdecydowanie zwalczanego. Nie może też chodzić o jakiś trwały ład instytucjonalny, skoro krok po kroku dokonuje się demontażu wszelkich instytucjonalnych stabilizatorów porządku demokratycznego. Chodzi o jedno i tylko o jedno – władzę, najszerszą i możliwie niekontestowalną.

W związku z tym dzisiaj o IV RP można powiedzieć tylko tyle, że wiadomo, kto ma w niej rządzić, i że nie mają to być rządy pluralistyczne. To rysuje nową podstawową oś podziału i konfliktu politycznego w Polsce: autokracja – demokracja.

Oczywiście pewną przeszkodą w realizacji tego planu politycznego mogą być organizacje międzynarodowe, zwłaszcza Unia Europejska. Lecz minie sporo czasu, zanim te zbiurokratyzowane i nieruchawe struktury podejmą ostre środki prawne i polityczne. Do tego momentu chaos instytucjonalny i ogólne skonfliktowanie osiągną już taki poziom, że znajdziemy się w nowej systemowej rzeczywistości. Wyzwaniem stanie się nie tyle jej definiowanie i nazywanie, ile generalne uzdrowienie.

Rodzi się więc pytanie, czy i jak można to jeszcze powstrzymać? Czy realnie istnieje możliwość wyboru polityki i wyboru instytucji? Czy istnieje możliwość praktycznego zajęcia się rozwiązywaniem problemów wskazanych w cytowanym na początku mojej wypowiedzi raporcie, czyli usuwania słabości i deficytów instytucjonalnych trapiących III RP?

Dyskusja

Zdzisław Krasnodębski

Na wstępie muszę złożyć deklarację: jestem zwolennikiem budowania IV Rzeczypospolitej, a krytykiem III RP. I jedna rzecz w tej dyskusji natchnęła mnie wielką otuchą. Jeszcze pięć lat temu, a nawet dwa, trzy lata temu nie można było zbyt często usłyszeć krytycznych opinii na temat naszej rzeczywistości. Dzisiaj następuje zmiana paradygmatu, a także zasadnicza zmiana dyskursu, w jakim artykułujemy podstawowe problemy – przywołam tu wcześniejsze wystąpienia Jacka Żakowskiego¹ czy Andrzeja Mencwela².

Nastąpiła także druga, głęboka zmiana. Zniknęli bardzo ważni aktorzy, obecni przez lata na scenie. Indywidualni, jak Aleksander Kwaśniewski, i zbiorowi, jak niektóre partie polityczne: Unia Wolności, być może niedługo także SLD. Wielkim nieobecnym jest Adam Michnik, ale też „Gazeta Wyborcza” nie odgrywa już tej roli, jaką odgrywała w przeszłości. Nowoczesne teorie modernizacji zwracają szczególną uwagę właśnie na aktorów. Zmieniają się polskie elity. Zmieniła się także nasza pozycja w świecie. Niektóre cele polskiej transformacji zostały zrealizowane: jesteśmy członkami Unii Europejskiej i NATO. Jednocześnie pojawiły się zupełnie nowe problemy, na przykład sposób, w jaki postrzega nas Unia. Taka Unia Europejska widziana z bliska wydaje się nam inna.

¹ Zob. artykuł Jacka Żakowskiego w niniejszej publikacji, s. 19.

² Zob. wypowiedź Andrzeja Mencwela w niniejszej publikacji, s. 52.

Pozostaje jeszcze problem instytucjonalny, o którym najtrudniej mówić. To jest zapewne obszar największej ciągłości polskiej polityki. Jest ona w mniejszym stopniu nakierowana na rozwiązywanie problemów, a w większym na budowanie nowych konfiguracji na scenie politycznej. Interesujące może być porównanie z Niemcami. Tam nie zaskakują nas codziennie rewelacje personalne. Inaczej jest w Polsce. Nie ukształtował się u nas system partyjny i można tylko zapytać, dlaczego. Tu widziałbym jedną z podstawowych chorób III RP. Jeżeli Andrzej Rychard mówi o oczekiwanych przez wyborców sile i bezpieczeństwie, to można powiedzieć, że ostatnie wybory świadczą o dostrzeżeniu bardzo poważnych, wręcz zasadniczych problemów występujących w III RP. Wystarczy wymienić wielość przepisów, brak implementacji obowiązującego prawa. Przywołam jeden znaczący przykład. Wiadomo, że w Warszawie obowiązuje ograniczenie szybkości ruchu samochodowego do 50 km na godzinę. Nikt się do tego przepisu nie stosuje. Wszyscy jeżdżą szybciej. Kiedyś opowiadał mi taksówkarz, że jechał zgodnie z dozwoloną prędkością, został zatrzymany przez policję i ostrzeżony, że zostanie ukarany, jeżeli nadal będzie utrudniał poruszanie się samochodów po jezdni. Ten przykład dobrze pokazuje siłę i bezpieczeństwo „według państwa polskiego”.

Można wymieniać inne problemy, jak choćby bezpieczeństwo energetyczne kraju. To nie są wymyślone kwestie. Można oczywiście zastanawiać się nad środkami, jakie są podejmowane dla ich rozwiązania. Powiedziałbym jedno: rosnące poparcie społeczne dla Prawa i Sprawiedliwości to sygnał, że partia ta dostrzegła sprawy ważne dla obywateli. Czasami są to sprawy drobne, które jednak w żadnym cywilizowanym kraju europejskim nie występują, chociażby to, że pijany poseł prowadzi samochód, a policja nie może go zatrzymać i zbadać poziomu alkoholu w jego krwi. Można zapewne powiedzieć, że PiS dla rozwiązania tych wszystkich spraw proponuje „stare” środki zaradcze, niezgodne z duchem nowoczesności. Ale czy na przykład George W. Bush nie stosuje „starych” środków? W jakimś sensie tak czyni, choć oczywiście postępuje się nimi w innej sytuacji.

Wreszcie kolejna kwestia, o której już tutaj wspomiano, czyli ekonomizm, podporządkowanie polityki bez reszty ekonomii. W tym momencie pojawia

się spór z liberalizmem, nie tylko jako pewnym modelem ekonomicznym, ale też modelem państwa i funkcji przez niego spełnianej. Antoni Kamiński powiedział, że nie rozumie terminu „solidarność”. Ja nie mam kłopotu z jego zrozumieniem. Inni chyba także. Jeżeli w Bremie przychodzi do mnie studentka polskiego pochodzenia i mówi: „odwiedziłam swoją kuzynkę w Koszalinie; ona jest dentystką i zarabia mniej niż ja, pracująca dorywczo”, to podzielam jej zdumienie. Jeżeli w Polsce pielęgniarka zarabia 500 złotych brutto, a lekarz czasami 1000 złotych brutto, to nie można na te fakty zamykać oczu. Przecież mówimy o tak zwanej klasie średniej. Wreszcie dostrzeżono, że nie można budować współczesnego społeczeństwa, dopuszczając do tak wielkich rozbieżności między nowobogackimi a ludźmi, którzy w normalnych społeczeństwach są warstwą średnią, a nie *underclass*. Zrozumienie tego jest świadectwem europeizacji Polski, a nie jej odejścia od Europy.

Jerzy Hausner powiedział, że w przypadku PiS-u mamy do czynienia z dążeniem do opanowania ciągu technologii władzy. Oczywiście, można w ten sposób postrzegać politykę prowadzoną przez tę partię i wyrażać rozmaite obawy. Można jednak również powiedzieć, że określone zmiany, w tym personalne, z pewnej perspektywy nie wydają się tylko arbitralne. Przykładem niech będzie zmiana członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Miała ona związek ze stanem wolności mediów w Polsce. I należy zastanowić się nad realizowaniem prawa do wolności mediów w III RP. Powiedziałbym, że nie było ono realizowane w sposób idealny. Jeżeli mówi się o naciskach rządu na Radę Polityki Pieniężnej, to nie wolno zapominać, że spór związany jest także z ekonomizmem, o którym już była tu mowa. Wiadomo, iż członkowie Rady mają pewną wizję ekonomii, miejsca gospodarki oraz jej stosunku do państwa i społeczeństwa.

Podkreślano tu także, że warunkiem racjonalnej polityki jest ciągłość. Jej brak sprawił, że III RP nie była w stanie m.in. wybudować autostrad. A może, paradoksalnie, ten rzekomy brak ciągłości jest ciągłością, czymś stałym, z czym należy zerwać. Pytanie, dlaczego III RP nie była w stanie zbudować autostrad, nie jest trywialne. Dla mnie, jako obywatela i analityka, niezrozumiała wydaje się rozbieżność: z jednej strony podkreśla się (jak to

czyni Jerzy Hausner), że warunkiem powodzenia Polski jest ciągłość polityki, a z drugiej strony akcentuje się dotychczasową niemożność załatwienia przez państwo fundamentalnych spraw. Być może działo się tak dlatego, że istniała ciągłość tej samej strategii.

Wszyscy mówią o dobru ogólnym. I potem przechodzą do konkretów, które temu przeczą. Mówią o polityce personalnej i tracą wiarygodność. Jeżeli Jerzy Hausner dzisiaj protestuje przeciwko zmianom w KRRiT jako zagrożającym wolności mediów, to dla mnie ten protest nie brzmi wiarygodnie. Dlaczego nie protestował Pan wtedy, kiedy Krajową Radą Radiofonii i Telewizji kierowała Danuta Waniek?

Jeżeli mówimy o następującej zmianie paradygmatu, to nie można równocześnie mówić o ciągłości. Pamiętajmy też, że u podstaw każdej instytucji – co podkreślił Jerzy Hausner – leży aksjologia. Być może nasz problem z instytucjami w III RP polegał na niemożności porozumienia właśnie co do niej. W jakimś sensie ma rację Andrzej Walicki³, podkreślając, że historia III Rzeczypospolitej to dzieje walki o coś zasadniczego, na przykład o pozostałości PRL-u w konstrukcji RP. Walki, która dotyczyła właśnie sfery aksjologii.

Ryszard Bugaj

Jerzy Hausner mówił o pewnych zmianach instytucjonalnych i ciągłości, o którą zabiegał, pełniąc funkcję wicepremiera w rządzie Leszka Millera, a później Marka Belki. Potem nastąpiła zmiana polityczna i doszło do zerwania. Trzeba jednak powiedzieć, że kłopoty z zachowaniem ciągłości instytucjonalnej były także za rządów SLD. Zgadzam się, że proponowana przez PiS likwidacja Rządowego Centrum Studiów Strategicznych to fatalny pomysł. Jednak jak ocenić to, co wcześniej robiono z tą instytucją? Na jej czele postawiono Lecha Nikolskiego i przygotowano projekt ustawy, który pozwoliłby na obsadzenie RCSS swoimi ludźmi na pięć czy dziesięć lat. Weźmy inne przemiany instytucjonalne, w jakich Pan uczestniczył, jak chociażby ewolucja ministerstwa, którym Pan kierował. Wszystko dokonywało się na

³ Zob. wypowiedź Andrzeja Walickiego w niniejszej publikacji, s. 43.

zasadzie: jest człowiek, trzeba pod niego przykroić rząd. Spójrzmy, co się działo ze spółkami skarbu państwa kilka miesięcy po utworzeniu rządu przez Leszka Millera. Wszędzie trafili koledzy premiera. Powiem więc tak – być może będzie się działo źle, ale wtedy nie można mówić o jakiejś cezurze, zerwaniu, lecz o kontynuacji.

Przejdę do kluczowego według mnie problemu: co zaliczylibyśmy do esencji III Rzeczypospolitej? Jeżeli tego nie określimy, to trudno będzie zobaczyć jakieś alternatywy. Andrzej Walicki zaproponował uznanie za kryterium identyfikacji zdarzenie symboliczne, jak przejęcie przez Lecha Wałęsę insygniiów prezydenckich z rąk Ryszarda Kaczorowskiego⁴. Mnie to wydarzenie wydaje się mało istotne, ale są osoby, dla których ów akt mógł mieć znaczenie. Uważam jednak, że ani kryteria symboliczne, ani nawet kryteria natury politycznej nie są tu kluczowe. Dla mnie esencją III RP jest państwo będące stronnictwym nadzorcą. Nie jest to państwo, które wszystkie kategorie swoich obywateli stara się traktować mniej więcej tak samo i bezstronnie, ale takie, które dokonuje wyborów. Być może ten charakter III RP wynika z określonej wizji modernizacyjnej państwa i preferowanie konkretnych interesów jest wynikiem wcześniej podjętej decyzji o bardziej fundamentalnym charakterze. Choć w praktyce dzieje się inaczej – określone interesy są tak silne, że dla ich realizacji wykorzystuje się ową wizję modernizacyjną.

W przekonaniu ogromnej większości ludzi III RP nie jest ich państwem. Są oni przeświadczeni, iż nie działa ono w ich interesie. Chodzi nie tylko, co tak obsesyjnie podkreśla PiS, o jakiś „stolik”, który zresztą (w moim przekonaniu) rzeczywiście istnieje. Sprawa jest poważniejsza: chodzi o stosunek państwa do dużych grup obywateli, preferencji dla obywateli najzamożniejszych i dla elit. Chcę wrócić do polityki prowadzonej przez Jerzego Hausnera. Próbował wprowadzić ustawę, która byłaby małym krokiem w kierunku wyrównania obciążeń ubezpieczeniowych dla zatrudnionych i samozatrudnionych. I przegrał. Nic nie zrobiono w tej sprawie. Od dawna zamożni samozatrudnieni płacą cię składki, którą by płacili, gdyby ten sam dochód otrzymywali, będąc zatrudnionymi. Ten system trwa i jest źródłem

⁴ Zob. wypowiedź Andrzeja Walickiego w niniejszej publikacji, s. 43.

także rozlicznych patologii. Jednak druga rzecz, którą Jerzy Hausner i Leszek Miller wygrali, szła w przeciwną stronę. Chodzi o ustanowienie podatku liniowego dla samozatrudnionych, którzy sami zdecydowali się na wybór tej formy opodatkowania. Dokonałem szybkiego szacunku na podstawie *Malego Rocznika Statystycznego*. Stawka 19 procent podatku dla samozatrudnionych objęła niewiele ponad dwieście tysięcy osób, w większości nie prowadzących działalności gospodarczej polegającej na zatrudnieniu innych, lecz świadczących tzw. usługi niematerialne (na przykład adwokaci). Dlaczego tak chętnie przyjęli oni taką właśnie stawkę? Ponieważ w swej pracy prawie nie mają kosztów, więc nie mogli wiele ze swych faktycznych dochodów ukryć w tych kosztach i płacili podatki według wysokiej stawki podatkowej. Ustawa Millera pozwalała im zamiast płacenia podatku w wysokości 40 procent swojego dochodu płacić tylko 19 procent. Według mnie w 2004 roku otrzymali oni od rządu pięć–sześć, a może nawet więcej miliardów złotych. Jak te kwoty mają się do debat o kosztach ponoszonych przez państwo? Jak to wszystko ma się do wielkich krzyków, które pojawiły się z wydatkiem 100 milionów złotych na „becikowe”? Niektóre organy prasowe rozdzierały szaty i mówiły: to jest niszczenie budżetu państwa! A jednocześnie pozbyto się sześciu miliardów złotych, przyjmując regulację podatkową, której *nota bene* nikt specjalnie nie oczekiwał.

Drugą cechą konstytutywną III Rzeczypospolitej są media i stronnicze naświetlanie przez nie polskiej rzeczywistości. Utrudnia to artykulację interesów i zmianę polityczną. Oczywiście do pewnego momentu, kiedy dojdzie do tak dużego skumulowania sprzeciwu, iż będzie musiała nastąpić zmiana. To, co możemy przeczytać w polskich mediach na przykład o zabezpieczeniach dla bezrobotnych, to horror. System pomocy dla bezrobotnych jest jednym z najgorszych w Europie. I wydajemy na niego marne pieniądze, o czym zresztą Jerzy Hausner pisał w swoim dokumencie o Narodowym Planie Rozwoju. Co począć z inną, obowiązkowo głoszoną w mediach tezą, że polski budżet jest dramatycznie przeciążony wydatkami socjalnymi? A jak się liczy te wydatki? Na przykład w związku z reformą ubezpieczeń społecznych ponosi się bardzo wysoki koszt „przebrojenia” całego systemu. Płaci się ponad dwanaście

miliardów złotych rocznie ZUS-owi. Tych pieniędzy nie otrzymują emeryci, lecz są one kumulowane jako kapitał w „drugim filarze”. Jednak zalicza się te kwoty do wydatków socjalnych, co jest absurdalne.

Czy zatem IV Rzeczpospolita, lansowana przez siły polityczne odwołujące się do tego hasła – a robi to zarówno Platforma Obywatelska, jak i Prawo i Sprawiedliwość – doprowadzi do usunięcia tego, co jest esencją III RP? W projekcie Platformy Obywatelskiej nie dostrzegam nawet takich chęci. Co więcej, widzę tam raczej intencję pogłębienia niektórych cech III RP, połączoną z wymianą części elit politycznych. W projekcie PiS-u sprawa nie jest jasno przedstawiona. Co prawda Donald Tusk od czasu do czasu wypowiadał ostatnio zdanie: „PiS nareszcie zrozumiał, że socjalizm w gospodarce to zły pomysł”, jednak określenie projektu przedstawianego w kampanii wyborczej PiS-u mianem „socjalistyczny” jest rzeczą dziwną, chyba że z Donaldem Tuskiem postępujemy się dwoma odmiennymi językami. W tym projekcie istotne wydaje się coś innego: przekonanie, iż III RP jest państwem stronnictwym, przychylnym dla interesów zamożnych grup, i należy to skorygować. Natomiast w projekcie PiS-u brak konkretów, które by pokazywały, jak należy tego dokonać.

W tym projekcie można też dostrzec obsesyjne zafascynowanie politycznym wehikułem, jakim jest sam projekt IV RP, i nieświadomość tego, co można zrobić dla realizacji głównego planu. W moim przekonaniu, wcześniej czy później, to ugrupowanie, o ile będzie działać i będzie mogło to robić, sięgnie po środki dość odległe od demokratycznych standardów. Natomiast pojawią się problemy wewnątrz tego obozu, które będą spychać na boczny tor zasadniczą przebudowę państwa. Rząd PiS-u powstał – powiedzmy to jasno – z łapanek. Osoby odpowiedzialne w tej ekipie za sprawy społeczno-gospodarcze nie mają żadnej wspólnej wizji. Ministrem finansów została, jak ogłoszono, znana badaczka finansów publicznych (znam jej jeden artykuł na ten temat!). To jest wybór ściśle związany z grammi politycznymi uprawianymi przez PiS, a nie próba realizacji nowej wizji ustrojowej. Zresztą jaka to wizja? Nie znam drugich tak granitowych fundamentów ideologicznych, jak te, których posiadaczką jest Zyta Gilowska. Jeżeli projekt IV Rzeczypospolitej, w którym artykułowano słowo „solidarność” i konieczność wzięcia przez państwo

równej odpowiedzialności za wszystkie grupy społeczne oraz poszanowanie ich interesów, ma być realizowany, to jak on ma być realizowany jej rękoma? Nie podzielam tu optymizmu Zdzisława Krasnodębskiego.

Radostaw Markowski

Pomocne byłoby zapewne rozróżnienie między normatywnym rozumieniem III RP a jej realnym funkcjonowaniem. Pojawia się też pytanie, na ile w wielu przypadkach można mówić o świadomych wyborach, a w jakim stopniu byliśmy skazani na taki los? To problemy zasadnicze. Powiem jednak o czymś innym: o wynikach badań nad ostatnimi wyborami parlamentarnymi i prezydenckimi w 2005 roku. Po analizie wyników tych badań narzuciła mi się taka refleksja: życie jest gdzie indziej. Reakcje Polaków na programy polityczne i na samo hasło „trzeba uzdrowić państwo” pozostają w zasadniczej sprzeczności z tym, co ludzie naprawdę robią. Gdyby z lotu ptaka popatrzeć na ostatnie szesnaście lat i ocenić, w którym miejscu się nam ogólnie jako Polakom udało, a gdzie ponieśliśmy porażki, to można powiedzieć, iż sukcesy odniesiono tam, gdzie ludzie ignorowali państwo, działali wbrew niemu albo obok niego. Wciąż spotykam osoby, widać to również w badaniach, które tęsknią za byciem sierotkami tego państwa, na przykład w sferze redystrybucji dóbr i sposobu zapewniania przez państwo ochrony zdrowia lub zabezpieczenia przed przestępcami. Dostrzegamy, że nasze państwo niewiele może nam pomóc.

Muszę też powiedzieć, że w porównaniu z innymi krajami, na przykład z Estonią, nasze dysputy o liberalizmie pokazują jakąś jałowość dyskursu ideologicznego. Co więcej, tak naprawdę są to raczej spory o programy partyjne, które można w dwa miesiące wyrzucić do góry nogami bądź radykalnie zmienić. W badaniach opinii społecznej z lat 1997 i 2001 na podstawie dwunastu analizowanych aspektów polityk sektorowych widać, że Polacy potrafili ułożyć w koherentne, spójne ideologicznie wizje to, co mają robić. Badania z 2005 roku ukazują natomiast katastrofę poznawczą. Polacy nie potrafią na nowo złożyć tych wszystkich cegiełek, różne elementy polityki,

które dotąd były logicznie skorelowane na przykład z ideałami lewicowości, liberalizmu, prawicowości, w ubiegłym roku się rozpadły. Powstał totalny chaos w ludzkich umysłach.

Należy także wspomnieć o wręcz astronomicznej chwiejności wyborczej. Przy uczestnictwie w wyborach 40 procent obywateli, wciąż zawzięcie chodzących na głosowania, aż 65 procent pomiędzy dwoma wyborami zmienia partię, na którą głosuje. Na dodatek mamy do czynienia z prawie 30-procentową chwiejnością międzyblokową (między lewicowymi a prawicowymi partiami). Nie wspomnę już o zmianach poparcia dla poszczególnych, wciąż zmieniających się partii. Podobnej chwiejności wyborczej nie miały nawet takie kraje jak Boliwia, Ekwador czy Brazylia w pierwszych kilku latach po upadkach reżimów autorytarnych. Krótko mówiąc, takie instytucje jak partie w Polsce nie działają.

Antoni Kamiński mówił o *accountability*. Na własny użytek tłumaczę ten termin jako „rozliczalność”. Otóż w takim systemie jak polski dosyć dobrze działa rozliczalność horyzontalna. Co bowiem stało się w ostatnich kilku latach? To media i opinia publiczna doprowadziły do rozliczenia ekipy rządzącej. Natomiast w systemach parlamentarnych powinniśmy mieć do czynienia z „rozliczalnością pionową”, w której rozliczenie następuje na drodze wyborów. Bernard Manin, Adam Przeworski i Susan C. Stokes w 1999 roku opublikowali fundamentalną książkę o rozliczalności politycznej⁵. Konkluzja jednego z jej rozdziałów jest bardzo bolesna – po przeanalizowaniu kilkuset krajów i okresów wyborczych autorzy stwierdzają, że nie ma zależności między rozliczalnością a sukcesem ekonomicznym ekip, które w tym czasie rządziły. Nie bardzo wiadomo, dlaczego poszczególne partie i rządy są lub też nie są odwoływane. Jeżeli spojrzeć na nasze podwórko, to z łatwością zauważymy: nigdy nie wiadomo, dlaczego jakiś rząd zostanie odwołany. Partie rządzące pod koniec kadencji rozpadają się. Ostatnio każdy rząd kończy jako mniejszościowy. Poza tym nie ma już ludzi, którzy chcieliby chodzić na wybory i rozliczać.

⁵ *Democracy, Accountability, and Representation*, ed. by Adam Przeworski, Susan C. Stokes, Bernard Manin, Cambridge, U.K., New York 1999.

Wracając na koniec do problemu wyborów instytucjonalnych. Uważam, że ważne jest przyjrzenie się badaniom nad ekonomią polityczną wyboru instytucji politycznych w krajach postsowieckich. W badaniach tych próbowano odpowiedzieć na pytanie, dlaczego postsowiecka Europa Wschodnia wybrała głównie systemy prezydenckie, natomiast w Europie Centralnej preferowano systemy parlamentarne. Odpowiedź: klientelizm, nepotyzm i zrozumienie, że systemy prezydenckie są łatwiejsze do zawłaszczenia przez oligarchię i układy ekonomiczne. Jeżeli zatem zastanawiamy się nad tym, jakie wybory instytucjonalnie wiążą się z projektem IV RP, to warto przyjrzeć się doświadczeniom Ameryki Łacińskiej i Europy Wschodniej.

Janusz Reykowski

Sądzę, że jednym z głównych powodów, dla których warto zastanawiać się nad koniecznością zmian w III RP, jest niski poziom solidarności społecznej oraz niewielka troska państwa o wykluczonych i pokrzywdzonych przez proces transformacji. Jak dotychczas nikt na serio nie podejmował prób poradzenia sobie z tym problemem. Powszechnie obowiązywała „teoria łódki”: jak podwyższy się poziom wody, to wszystkie łódki wydostaną się z mielizny. To ideologia, która wprowadza w błąd. Choć dane z ostatnich dwóch lat zdają się wskazywać, że sytuacja ekonomiczna różnych grup się poprawiła, to jednak jest też bardzo wiele takich grup, które nie odnoszą żadnych korzyści z rozwoju gospodarczego. Dlatego idea solidarności formułowana przez PiS była skuteczną strategią polityczną. Powstaje pytanie, czy rzeczywiście strategia ta będzie realizowana? Można mieć co do tego wątpliwości i to dwojakiego rodzaju.

Po pierwsze, niezależnie od lansowanego hasła solidarności, za główną przyczynę defektów III RP Prawo i Sprawiedliwość oraz jego sojusznicy uznali „przeżarcie” tego państwa PRL-em i układami wywodzącymi się z poprzedniego systemu politycznego. Dlatego też główny cel PiS-u stanowi rozprawa z PRL-em. Czy to jest właśnie sposób na polepszenie losu pokrzywdzonych? W związku z tym mam pytanie do profesora Andrzeja Rycharda: czy

Pana zdaniem działania PiS-u (na przykład dążenie do zwiększenia władzy centralnej, do większej kontroli nad mediami i tak dalej) oddalają nas czy zbliżają do PRL-u? Przyglądając się dokonywanym zmianom pod kątem zasad i sposobów funkcjonowania państwa, można odnieść wrażenie, że są one zaczerpnięte z zupełnie innej epoki.

Po drugie, źródłem wątpliwości jest teza PiS-u, że przyczyną zła w Polsce są układy polityczno-biznesowe. Jeżeli jednak przyjrzeć się funkcjonowaniu innych systemów politycznych, zwłaszcza amerykańskiemu, to można tam dostrzec bardzo wiele przykładów takich powiązań. Zatem, czy obecna sytuacja w Polsce jest pozostałością po PRL-u, czy jest to defekt mechanizmu, powstający w bardzo różnych warunkach społecznych i politycznych? Jeżeli przedstawiony przez PiS program ma być odpowiedzią na ów problem braku solidarności, to – jak to jasno pokazał Ryszard Bugaj – są poważne powody, by uznać, że prowadzi on na manowce.

Głównym celem tego programu jest umacnianie władzy określonej siły politycznej. Jeżeli ta siła deklarowała publicznie, że jej głównym partnerem będzie Platforma Obywatelska, która przedstawiała całkowicie odmienny program polityki społecznej niż solidarny PiS, a ministrem finansów została właśnie osoba w całej swej karierze związana z PO, to czy świadczy to o chęci realizacji programu solidarności społecznej? Innymi słowy, mówiąc o IV Rzeczypospolitej, powinniśmy odróżnić język deklaracji obiecujący niezbędną zmianę od praktyki politycznej. Sądzę, że analiza powinna dotyczyć obu tych płaszczyzn.

Jacek Żakowski

Zdzisław Krasnodębski trafnie zauważył, że panuje wśród nas *consensus* co do rodzaju problemów, z którymi się borykamy, i słabości ostatnich lat. Spór powstałby, gdybyśmy zaczęli rozważać, czy mogliśmy uniknąć wielu defektów III RP. Jednak istotne pole sporu otwiera się, gdy postawimy pytanie, jak uporać się z naszymi problemami. Zapewne łatwo zgodzimy się ze Zdzisławem Krasnodębskim, że ekonomizm był jednym z czołowych problemów

ostatnich szesnastu lat. Co jednak z tym zrobić? Pojawiają się bardzo różne pomysły. Uważam, że obecnie wdrażane są śmiertelnie niebezpieczne. Odpowiedzią mają być rozwiązania wywodzące się z myśli neokonserwatywnej, w wersji najgorszej z możliwych. Rozwiązaniem problemów mają być możliwe najsilniejsze państwo i bardzo liberalna polityka w sferze gospodarczej. Mówiąc hasłowo, jest to rozwiązanie wdrożone niegdyś w życie przez juntę generała Pinocheta. Oczywiście żaden z liderów PIS-u nie jest Pinochetem, aczkolwiek chciałem zwrócić uwagę, że w czołówce tego ugrupowania są miłośnicy generała, którzy nawet wozili mu ryngrafy. Dokonywany obecnie wybór wynika, jak sądzę, z fundamentalnej niewiary w mechanizmy społeczne. Panuje prosta friedmanowska wiara w mechanizm gospodarczy, typu: „jak się tu obniży, to tam wzrośnie” itd. Co ciekawe, równocześnie brakuje ważnej u Milтона Friedmana świadomości istnienia społeczeństwa jako grupy ludzi wolnych, czyli drugiej strony liberalizmu, nie ekonomicznej, tylko społecznej. A przecież sam Friedman głosił rzeczy oburzające z punktu widzenia naszych ideologów politycznych, na przykład postuluje pensję społeczną dla tego, kto nie chce pracować.

Z jednej strony propaguje się nieograniczony liberalizm gospodarczy, a z drugiej odpowiedzią na niedostatki III RP mają być rozwiązania prowadzące do powstania państwa totalnego, kierowanego przez światłego, w najlepszym tego słowa znaczeniu, władcę. Kiedy Lech Kaczyński mówi, że trzeba dokonać zmiany w telewizji, czemu ma służyć nowa ustawa o KRRiT, to nie myśli o powrocie do PRL-owskiej propagandy. On pragnie, by telewizja była uczciwa. Trzeba ją wziąć pod kontrolę i tym samym wymusić poprawę. Mamy zatem do czynienia z bardzo szlachetną intencją, którą głęboko podzielam i szanuję, ale sądzę, że przy nieświadomości sposobu funkcjonowania mechanizmów w mediach wprowadzane zmiany zwrócą się przeciwko tej pierwotnej intencji. Chciałbym zatem usłyszeć od zwolenników IV RP, czy ich zdaniem potęczenie liberalizmu w sferze gospodarczej z etatyzmem w sferach bezpieczeństwa, symbolicznej i komunikacji społecznej nie niesie ze sobą bardzo poważnych zagrożeń dla projektu nawet nie modernizacji Polski, tylko naprawy III Rzeczypospolitej?

Zdzisław Krasnodębski

Wcześniej, podczas naszej pierwszej dyskusji, Jacek Żakowski powiedział⁶, że projekt PIS-u oparty jest na triadzie państwo–naród–społeczeństwo. Natomiast liberalny projekt, który przypisywał Platformie Obywatelskiej, to silne państwo, władza i rynek. Widzę tu pewną sprzeczność z tym, co Pan przed chwilą powiedział. PiS-owski projekt Polski solidarnej na pewno nie był programem skrajnie liberalnym. Chyba wszyscy się z tym zgodzimy. Oczywiście, pozostaje pytanie, jak i na ile ten program zostanie zrealizowany. Jednak niewątpliwie, gdy przyjrzymy się programom politycznym, to przedstawione właśnie zarzuty dotyczą raczej programu PO niż PiS-u.

Jacek Żakowski

Rzeczywiście, bliższa modelowi pinochetowskiemu jest Platforma Obywatelska, czyli Jan Rokita ze swym programem praworządnościowym i Donald Tusk ze swoim myśleniem o gospodarce. Równocześnie odnoszę wrażenie, że PiS i bracia Kaczyńscy wierzą w społeczeństwo, ale nie wierzą w mechanizmy społeczne. Ich zdaniem polskie społeczeństwo należy inżynierijnie ukształtować jako grupę patriotów zakorzenionych w historii. Dostrzeżenie samego problemu zakorzenienia uważam za bardzo ważne. Jednak PiS nie ma wiary, że ten proces, lekko wsparty przez państwo, może toczyć się spontanicznie.

Dariusz Gawin

Wypowiedź Jacka Żakowskiego świetnie pokazuje pęknięcie czy trudność prowadzenia debaty publicznej w obecnej Polsce. Przeprowadzona analogia z sytuacją w Chile lat 70. i 80. jest trafna. Jednak to samo porównanie wygłoszone w radiu czy telewizji jedynie wzmógłby potencjał historyczny, tak wyraźnie obecny w naszych dyskusjach. Uznano by bowiem, niezależnie od tego, która z tych partii wygra, że Polsce zagraża faszyzm. Oczywiście,

⁶ Zob. artykuł Jacka Żakowskiego w niniejszej publikacji, s. 19.

wiem, że Pan tak nie uważa. I należy przypominać o tych, którzy jeździli z ryngrafami do generała Pinocheta, jednak nie wolno przyczyniać się do umacniania opinii, według której po jednej stronie mamy „faszystów”, a po drugiej ludzi budujących jakieś nowoczesne fronty ludowe. A niektórzy uczestnicy debaty publicznej w Polsce tak właśnie widzą dzisiejszą sytuację.

Wiktor Osiatyński

Jacek Żakowski mówi o określonej wizji społeczeństwa w programie Prawa i Sprawiedliwości. Ja tej wizji nie dostrzegam. Jest tam przedstawiony program autorytarnego państwa, zdecydowanie konserwatywny, oparty na idei narodu. Pamiętajmy, że naród jest związkiem symbolicznym. To grupa obywateli powiązanych ze sobą w hierarchicznym układzie przez państwo. Natomiast społeczeństwo to system powiązań przede wszystkim poziomych między jednostkami, instytucjami i organizacjami tworzonymi przez te jednostki. Nie dziwi mnie, że w programie konserwatywnym społeczeństwu nie poświęca się zbyt wiele miejsca. To szczególnie rys właśnie programu PiS-u. Już teraz można na podstawie jego analizy, ale także dokonywanych zmian instytucjonalnych, tworzenia nowych instytucji państwowych, przekazywania albo ograniczania władzy i kompetencji, wskazać podobieństwa na przykład z frankizmem (z wyjątkiem, oczywiście, używania przez frankizm terroru). Sposób funkcjonowania państwa w społeczeństwie, hasła i symbole, do których się odwołuje PiS, próby wciągnięcia religii czy też zinstytucjonalizowanych instytucji religijnych do życia państwowego są bardzo bliskie rozwiązaniom przyjmowanym w Hiszpanii za czasów generała Franco. I pojawia się pytanie: jak reagować na tego typu projekty?

Ryszard Bugaj

Stoimy przed problemem precyzyjnego opisanie zamiarów Prawa i Sprawiedliwości, a także logiki działań tej partii. Dariusz Gawin słusznie podkreślił, że można zauważyć łatwość uznawania zamierzeń, ale też konkretnych działań PiS-u za pierwszy krok w kierunku faszyzmu. Tego typu proste

analogie, szczególnie chętnie snute w kręgach SLD, trzeba odrzucić. Jednak są też, moim zdaniem, powody do zaniepokojenia. W projekcie Prawa i Sprawiedliwości widoczne są skłonności nie tyle dyktatorskie, ile nie spełniające standardów demokracji. Co na przykład można znaleźć w projekcie nowej konstytucji przygotowanym przez PiS? Do tej pory sądziłem, że są rzeczy, których w demokratycznym kraju nikt już nigdy nie ośmielił się napisać. Tymczasem proponuje się tam m.in., aby prezydent jednoosobowo i całkowicie swobodnie mianował nadzorcę mediów elektronicznych. To niebywały pomysł!

Kolejny przykład, tym razem ze sfery działań. Zdzisław Krasnodębski uznaje zmiany przeprowadzone w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji za pozytywne. A ja widzę tu jedynie pomysł na zastąpienie jednej grupy politycznej przez drugą. Oczywiście, przy tej okazji opowiada się o oszczędnościach. To nawet nie jest śmieszne! To jest żalosne! Jeżeli chciało się je rzeczywiście poczynić, to wystarczyłoby pozbawić członków Krajowej Rady statusu ministra, a tymczasem znów funduje się posady dla „krewnych i znajomych Królika”. Czy w tym przypadku mamy do czynienia z zachowaniem ciągłości czy też ze zmianą? Z ciągłością oczywiście – i obawiam się, że podobnie będzie w innych przypadkach. Jeżeli spojrzymy na mechanizm funkcjonowania, to będziemy mieli do czynienia przede wszystkim z kontynuacją, zmiana będzie dotyczyła głównie spraw personalnych.

Tadeusz Szawiel

Pragnę wrócić do problemów instytucjonalnych III RP, pokazać pozytywne przykłady zmian, będące niewątpliwym osiągnięciem ostatnich szesnastu lat, oraz problemy w dwóch sferach. Teoretyk zmiany instytucjonalnej, Douglass North, zaproponował odróżnienie „instytucji” od „organizacji”. Instytucje to najogólniejsze reguły gry, według których budowane są organizacje łączące jednostki dążące do realizacji określonych celów. Instytucją w tym sensie jest np. konstytucja czy ustawa, która określa najogólniejsze ramy dla konkretnych organizacji, takich jak parlament, rząd, partie polityczne.

Przyjmując taką perspektywę, można dostrzec, jak drobna zmiana instytucjonalna, którą było na początku lat 90. uchwalenie ustawy o możliwości powoływania szkół prywatnych, spowodowała ogromną zmianę organizacyjną – powstanie szkół prywatnych na wielu poziomach – i w konsekwencji wielką zmianę społeczną. W Polsce jako jedynym spośród krajów postkomunistycznych rozwinął się, spontanicznie, ogromny sektor. Podobnego zjawiska nie można zaobserwować ani w Czechach, ani na Słowacji, ani na Węgrzech. Być może, ze względu na zmiany demograficzne nastąpi ograniczenie zasięgu tego sektora, ale może też prywatnym szkołom uda się znaleźć sposoby przeciwdziałania zagrożeniom, na przykład poprzez konsolidację i podniesienie poziomu nauczania.

Drugim osiągnięciem, niewątpliwie udanym, a o którym niemal kompletnie zapomina się w debacie publicznej, są samorządy lokalne. Od 1998 roku systematycznie otrzymują one w badaniach opinii publicznej jedną z najwyższych ocen spośród instytucji publicznych. Ponad połowa Polaków dobrze ocenia władze miast i gmin (dane CBOS-u).

Równocześnie, jako przykład problemu, muszę wymienić zmianę instytucjonalną, która się nie dokonała, co jest – moim zdaniem – fundamentalnym zaniedbaniem, swego rodzaju kulą u nogi chętnie noszoną przez wszystkie kolejne rządy. Ta kula to wciąż, szesnaście lat od początku przemian, nierozwiązany problem praw własności, a w szczególności reprivatyzacji, restytucji mienia żydowskiego bądź odszkodowań za to mienie oraz bezpieczeństwa własnościowego i poczucia własności na ziemiach zachodnich. Wszystkie te sprawy, ważne strukturalnie i z punktu widzenia rozwoju gospodarczego, są nieobecne w dyskursie publicznym, nie ma ich w programach ani Prawa i Sprawiedliwości, ani Platformy Obywatelskiej.

Drugi problem to społeczeństwo obywatelskie. Ze strony środowisk konserwatywnych, wbrew tradycji, dają się dostrzec próby jego pewnego rodzaju deprecjacji poprzez przeciwstawianie społeczeństwa obywatelskiego państwu. Pojawiają się diagnozy uznające zainteresowanie *civil society* i dobrowolnymi organizacjami za coś zastępczego wobec problemów państwa, jego roli i jakości. Z perspektywy jednostkowych bądź grupowych motywacji

być może tak się zdarzało. Należy jednak pamiętać, że społeczeństwo obywatelskie jest strukturalnym warunkiem systemów demokratycznych, ich jakości i trwałości.

Zdzisław Krasnodębski

W naszej rozmowie padło porównanie projektów, i to nawet dwóch partii, do programu realizowanego przez generała Pinocheta. Mówiono też o groźbie „autorytarnego państwa”. Powinniśmy sobie zdawać sprawę z odpowiedzialności za słowa. W Niemczech słowa, które padają w Polsce, traktuje się bardzo poważnie. Podam dwa przykłady. Niedawno w tamtejszej telewizji RTL pokazano egzekucję irańskich homoseksualistów. Zestawiono te informacje ze zdjęciem polskiego prezydenta! Inny przykład: ktoś w Polsce powiedział, że PiS jest partią narodowosocjalistyczną. Ta opinia została natychmiast w Niemczech podchwycona. Oczywiście, używamy pewnych słów jako metafor, czasami poddajemy się owemu dyskursowi historycznemu, ale musimy zdawać sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje takich wypowiedzi. Rozmawiając o polskim konserwatyzmie, pamiętajmy, że wzorem w Polsce byli i są raczej Ronald Reagan czy Margaret Thatcher, a nie generał Pinochet.

W sporze o IV RP musimy natomiast odróżniać dyskusję o zmianie paradygmatu i o tym, co ten nowy paradygmat oznacza, od rozmowy o bieżącej polityce. Gdzie widziałbym owe zmiany? Istotne są: odejście od modelu określanego mianem „stronniczego państwa”, krytyka ekonomizmu oraz pewnego typu liberalizmu. Te wszystkie punkty są obecne w myśli zwolenników IV RP. Nie zgodziłbym się natomiast z tezą Tadeusza Szawiela o zaniedbaniu *civil society* w tym projekcie, o pewnym niepodmiotowym traktowaniu obywateli (mówił na ten temat także Jacek Żakowski). Jeżeli spojrzymy uważnie na paradygmat III RP, to dostrzeżemy, jak bardzo niepodmiotowo traktowano społeczeństwo, uznawano je za obiekt procesu edukacyjnego. Aleksander Smolar napisał niedgdyś⁷, że po 1989 roku pojawiło się poczucie konieczności

⁷ Aleksander Smolar, *Rocznice, pamięć i przyszłość*, „Znak” 2001, nr 11, s. 37.

„demobilizacji” społeczeństwa. Przytoczył przy tej okazji wypowiedź Lecha Wałęsy o „spłoszonym koniu”, którego trzeba okiełznać.

Co można uznać za najistotniejsze punkty paradygmatu ideologicznego III RP? Połączenie wręcz afirmatywnego stosunku do PRL-u z ideą bardzo mocnej modernizacji kulturowej oraz zasadniczo negatywne nastawienie do polskiej przeszłości narodowej, a zwłaszcza do pewnych bardzo istotnych jej wątków, w tym do ruchu „Solidarności” (który, jak odkryto, jest antyliberalny, populistyczny i tak dalej). Do tego paradygmatu należało także, jak to dobrze uchwycił Ryszard Legutko⁸, przekonanie, że państwo jest tylko egzekutorem pewnych procesów modernizujących, które muszą się tak czy owak dokonywać. Zrywające z tym paradygmatem państwo aktywne, proponowane przez PiS, na pewno nie jest państwem autorytarnym.

Przechodząc do polityki bieżącej, uważam, że upłynęło zbyt mało czasu, aby można było powiedzieć, czy mamy do czynienia z wprowadzaniem w życie przedstawianego przez Prawo i Sprawiedliwość projektu zmiany czy też nie. O tym, na ile się uda nowy sposób myślenia w ogóle przełożyć, zoperacjonalizować, a następnie wcielić politycznie w życie, a na ile będziemy mieli do czynienia z tym, co jest przypisywane polskim politykom – zdobyciem łupu, zawłaszczeniem państwa – będzie można dyskutować za rok lub nawet później.

Joanna Kurczewska

Mam wrażenie, że nastąpiła zmiana w samym sposobie dyskusowania o porządku instytucjonalnym. Przeżył się już nie tak dawno wszechobecny język tranzytologiczny i transformacyjny. A był on obecny nie tylko w debatach akademickich, ale też przez ostatnie dziesięć lat wpływał na dyskurs polityczny, a nawet zniewalał go. Publiczność złożona z niekoniecznie świątłych obywateli była zalewana ogólnikowymi informacjami o transformacji i o podstawowych zasadach przejścia z jednego do drugiego systemu. W pewnym momencie nie było już wiadomo, także socjologom i politologom,

⁸ Zob. artykuł Ryszarda Legutki w niniejszej publikacji, s. 15.

w jakim kierunku zmierzamy, a co stanowiło punkt wyjścia przekształceń. Język tranzytologiczny i transformacyjny już dawno przyczynił się – śmiem twierdzić – do wyjątkowienia naszych sporów publicznych. Jego użyci były wysoce mało wartościowe dla odbiorcy masowego, który przecież nie musiał sobie zdawać sprawy z niejasności teorii modernizacyjnej. Nie uważam jednak, i pragnę to mocno podkreślić, iż obecnie proponowane dyskursy są klarowne i lepiej opisują naszą rzeczywistość.

Rozmawiamy o typach dyskursu. Narzuca się zatem pytanie: jak łączą się te dyskursy z myśleniem o porządku instytucjonalnym? Jak dotąd – tak sądzę – istniały: oddzielnie dyskurs ideologiczny, oddzielnie zaś polityczna refleksja nad porządkiem instytucjonalnym. Postawienie dzisiaj pytania o solidarność, czyli o wartościowe typy uspołecznienia, a także odejście od stylu myślenia zogniskowanego na wizjach indywidualistycznych – pozwalają uświadomić istotność porządkowania tych dyskursów. Obserwatora sceny publicznej może jednak niepokoić nieznośna lekkość bytów ideologicznych zajmujących ludzi na co dzień, może brakować dyskusji o podmiotach odpowiedzialnych za te różne dyskursy. Wydaje się, że obecne spory na temat porządku instytucjonalnego oraz relacji między państwem a gospodarką mogą przyczynić się do uporządkowania dyskursów ideologicznych i myślenia o porządku instytucjonalnym. Byłoby najlepiej, gdyby podmioty – osoby, instytucje – w swojej praktyce politycznej i społecznej te oba porządki – instytucjonalny i ideologiczny – łączyły. Wtedy dopiero można byłoby dyskutować o nowej mapie dyskursów.

Spieramy się o to, co będzie wyznacznikiem cezury III czy IV RP. Czy nie zadecyduje o tym także sposób postrzegania Polski na arenie światowej? Moim zdaniem, dla wielu zewnętrznych obserwatorów Polski momentem konstruującym tę IV RP może być przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Już teraz, bez względu na to, czy rozważa się naszą akcesję jako pewien złożony fakt historyczny, czy analizuje się ją jako długotrwały proces społeczny, należy ją uznać za impuls do myślenia o innowacyjnej zależności państwa od otoczenia europejskiego i światowego. A więc rozmawiając o różnych typach dyskursu publicznego, nie powinniśmy zapominać o dyskusjach o tożsamości europejskiej, o miejscu Polski

w Europie i relacjach Polska–Unia Europejska, nie możemy też takich dyskursów lekceważyć. Te wszystkie dyskusje, mądrze lub głupio zaplanowane czy odbywające się spontanicznie, spowodowały zmianę sposobu myślenia o własnym państwie i wprowadziły do debaty publicznej problem dobrowolnej i stopniowalnej niesuwerenności, z którą wiąże się nasze członkostwo we Wspólnocie Europejskiej, na różne sposoby kontestowanej i aprobowanej.

Kolejna istotna sprawa związana z dyskusją o III i IV RP dotyczy relacji między państwem a „naszym” społeczeństwem obywatelskim. Niektóre hasła ideologiczne identyfikowane ze społeczeństwem obywatelskim, przez wiele środowisk politycznych odbierane jako „zewnętrzne”, narzucone czy nawet „obce”, bo pochodzące z innego niż nasz świata instytucjonalnego – są w tej chwili akceptowane. Zauważono również to, że dostrzeżenie słabości polskiego państwa nie oznacza automatycznie przekonania, iż mamy „za to” silne społeczeństwo obywatelskie. Udało się ostatnio wyzbyć sympatycznych opinii z początku lat 90. o możliwości instalacji czy kreacji, i to natychmiast, zgodnie z ideałem instytucji społeczeństwa obywatelskiego. W tej chwili – co pokazują badania – coraz więcej środowisk politycznych, a także opiniotwórczych jest przekonanych, że to społeczeństwo dopiero jest z wolna budowane. Cieszę się, że patrzy się na jego stan raczej z perspektywy porządku instytucjonalnego niż dyskursów ideologicznych, nierzadko wolnych całkowicie od oczekiwań i interesów tych, których bezpośrednio dotyczą.

I sprawa ostatnia. Andrzej Rychard mówił na temat „innej mechaniki”, sieci władzy itd. Jednak na podstawie analizy funkcjonowania mediów można dostrzec, że dziennikarze, pragnąc przedstawić zawile mechanizmy władzy i złożoność powiązań, nader chętnie sięgają po rozmaite personifikacje i korzystają z „ludzkiego” słownika politycznego. Łatwo to krytykować. Można, a właściwie należy, zapytać, czy określony rodzaj komunikacji publicznej nie zmusza jej uczestników do sięgnięcia po uproszczony język polityczny i do używania starych, ale nadal efektywnych sposobów myślenia o polityce jako sferze mocno spersonalizowanej? Czy nie jest to sposób odpowiedzi – trafny socjotechnicznie – na zbyt zagęszczony i wyrafinowany dyskurs publiczny? Rozmawiając o III i IV RP, nie można pominąć tych pytań czy ich bagatelizować.

Andrzej Rychard

Janusz Reykowski postawił pytanie: czy wymieniona przeze mnie lista działań PiS-u świadczy o odejściu od PRL-u czy też o przybliżeniu się od niego? Muszę powiedzieć, że w wielu z podejmowanych działań dostrzegam więcej mechanizmów personalnych niż instytucjonalnych. Głębsza struktura systemu pozostaje w dużym stopniu nienaruszona. Widziałbym zatem cezurę, pewne zerwanie, na poziomie powierzchownym, natomiast na poziomie głębszym dostrzegam raczej kontynuację. Pytanie, które podczas naszej rozmowy nie padło, brzmi: co by się musiało wydarzyć, abyśmy mogli powiedzieć, że oto jest cezura, nie zaś kontynuacja? Jak powinno się zdefiniować mechanizmy instytucjonalne i ich zmianę, abyśmy mogli powiedzieć, że jest więcej zmiany niż kontynuacji?

Można też zgodzić się z twierdzeniem, iż układy, sieci, związki nie są niczym egzotycznym, lecz stanowią defekt pewnego mechanizmu instytucjonalnego w systemie demokratycznym. Jednak, w moim przekonaniu, w ustabilizowanych demokracjach ich tożsamość instytucjonalna jest w większym stopniu określona przez wydarzenia na tzw. publicznej scenie politycznej niż na ukrytej. Specyfiką tego defektu mechanizmu w Polsce jest niepełne ukształtowanie systemu instytucjonalnego. Przy równoczesnej słabości konsolidacji demokratycznej polityki to, co ukryte, staje się relatywnie ważniejsze. Dlatego też można mówić o bardziej egzotycznej sytuacji w Polsce niż w innych krajach demokratycznych.

Antoni Kamiński

Zdzisław Krasnodębski jako probierz rozumienia pojęcia „solidarność” podał swoje reakcje na sytuację służby zdrowia w Polsce. Jednak przypadek naszych pielęgniarów i lekarzy dotyczy mechanizmów wykorzystania kapitału społecznego. A zatem sprawa nie wymaga odwoływania się do idei solidarności, lecz racjonalnej reformy systemu zdrowia, co, jak sądzę, natychmiast zmieniłoby system płac w tej dziedzinie. Niestety, dotychczasowa reforma tego systemu została całkowicie przekreślona przez Mariusza Łapińskiego

et consortes. Jest to smutny fakt, ale nie ma nic wspólnego z zatraceniem rozumienia pojęcia „solidarności” w III RP. Uważam, że solidarność jest wartością, która powinna być osadzona w kulturze publicznej, jednak wprowadzenie jej do programu partii politycznej sprawia, że pojawiają się rozmaite pytania i wątpliwości.

Jerzy Hausner

Chciałbym na wstępie przywołać jeden przykład. Uznaje się, że przywileje zapisane w Karcie Nauczyciela w połączeniu z niżem demograficznym przyniosą upadek finansowy gmin, zwłaszcza wiejskich. Co to stwierdzenie oznacza? Określone rozwiązanie instytucjonalne, korporatyzacja zawodu nauczycielskiego i istotny nadzór Ministerstwa Edukacji, przy scedowaniu odpowiedzialności finansowanej za ten system na najniższy poziom samorządu z równoczesnym niżem demograficznym powodują, iż wydajemy na oświatę coraz więcej, jednak nie podnosi to jakości samej oświaty, ale wyłącznie zwiększa przywileje nauczycielskie. To obecnie bardzo poważny problem. Co można w tej sytuacji uczynić? Dać gminom wiejskim większą dotację oświatową, co będzie oznaczało zachowanie obecnej sytuacji. Można wykonać krok do tyłu: wrócić do scentralizowanego, w pełni resortowo-korporacyjnego systemu, pozbawić samorządy wpływu i odpowiedzialności finansowej za sieć szkół i finansować ją całkowicie z budżetu centralnego. W tym przypadku będziemy mieli do czynienia ze zmianą, ale na gorsze. Istnieje jeszcze jedno rozwiązanie. Można, zmieniając Kartę Nauczyciela – nie mówię o jej likwidacji – osłabiając wpływy korporacji nauczycielskiej i inaczej definiując funkcję ministerstwa, spowodować, że gminy będą zainteresowane rozwojem finansowania szkoły, a nie skazane na opłacanie przywilejów nauczycielskich. Będzie to oznaczało przeprowadzenie zmiany, która jednocześnie stanie się kontynuacją pewnej koncepcji. Problemem nie jest przecież zmiana lub jej brak, lecz to, jak, po co i jaką metodą jest ona dokonywana. Zdzisław Krasnodębski przywołał przykład Niemiec i budowy tam autostrad. Chciałbym jednak przypomnieć inny przypadek z tego kraju:

wschodnich landów po zjednoczeniu. Przeznaczono wielkie pieniądze na modernizację tych obszarów, a mimo to proces zakończył się – biorąc pod uwagę rozwój społeczno-gospodarczy – całkowitym niepowodzeniem. To był bardzo zły projekt, ponieważ przeprowadzano go niewłaściwą metodą oraz bez uwzględnienia ładu instytucjonalnego i zachowania reguł partnerstwa społecznego.

Odnosząc się do uwagi Ryszarda Bugaja: nie mogę odpowiadać za nagłą decyzję Leszka Millera o połączeniu dwóch ministerstw. Wiem, dlaczego on tego dokonał. Mogłem oczywiście powiedzieć: nie interesuje mnie kierowanie taką strukturą. Do mnie jednak nie należy dowodzenie, czy ta decyzja była słuszna, tylko przekonanie, że coś dobrego można było zrobić w takiej sytuacji. Kształtowałem Ministerstwo Gospodarki jako przeciwwagę Ministerstwa Finansów, pragnąc przezwyciężyć narzucone przez Leszka Balcerowicza podejście do gospodarki. Chciałbym podkreślić, że nie krytykuję Leszka Balcerowicza. Nie wiem, co ja bym zrobił na jego miejscu w latach 1989–1990. Z szacunkiem odnoszę się do jego wielkich osiągnięć. Jednak – co mówię publicznie – nie zgadzałem się wówczas z jego polityką, uważałem, że można reformy przeprowadzić inaczej, a dzisiaj jest już oczywiste, że kontynuacja takiej polityki przynosi nieszczęścia. W związku z tym starałem się zbudować ministerstwo rozwoju, aby powiedzieć, że i równowaga, i rozwój są ważne, ale w innej sekwencji zdarzeń: nie poprzez równowagę do rozwoju, lecz poprzez zapewnienie warunków rozwoju do trwałej równowagi makroekonomicznej.

Chciałbym wyraźnie podkreślić, że nie było moją intencją obniżenie podatku PIT, tylko CIT. A dlaczego uważałem, że należy go obniżyć? Chciałem skończyć z automatycznym cięciem wydatków, a zależało mi na wychodzeniu z długu. Okazało się, że obniżenie podatku CIT spowodowało większe wpływy do budżetu, przyczyniło się do ożywienia gospodarki i w konsekwencji można dzisiaj powiedzieć, że chociaż nadal nie został rozwiązany problem finansów publicznych, to na pewno nie mamy sytuacji krytycznej. Jednak wraz z dokonaniem tej zmiany pojawił się problem małych i średnich przedsiębiorców, którzy rozliczali się według stawek w podatku PIT. Zgodziłem się

na jednorazowe, roczne rozwiązanie w przekonaniu, że w 2005 roku zostanie uchwalona ustawa oddzielająca opodatkowanie od działalności gospodarczej od podatków od dochodów osobistych. Taka ustawa była przygotowana, lecz zmieniła się sytuacja polityczna i podobnie jak wiele innych ustaw pozostała jedynie na papierze.

Na koniec jedna uwaga. W ramach prac nad Narodowym Planem Rozwoju 2007–2013 przygotowano program operacyjny „Społeczeństwo obywatelskie”, wynegocjowany z reprezentacjami organizacji pozarządowych. Ten program został dzisiaj całkowicie odsunięty na bok, co oznacza, że organizacje pozarządowe będą otrzymywały pieniądze wedle uznania, a nie będą upodmiotowione w procesie wykorzystania środków Unii Europejskiej, przeznaczonych na rozwój. Jeżeli ostatecznie zostanie on wyrzucony do kosza, to będzie dowodem, że społeczeństwo obywatelskie traktowane jest przez głosicieli IV RP wyłącznie instrumentalnie, a zapowiadana zmiana okaże się jedynie pustą deklaracją. Realizowany za to będzie program umacniania władzy autokratycznej, który, moim zdaniem, nie przyniesie pozytywnych efektów.

**Między tradycją a nowoczesnością.
Bunt przeciw nowoczesności
czy też specyficzna nowoczesność?**

Jacek Kochanowicz

Pożegnanie z nowoczesnością?

1.

Czy jesteśmy dziś w Polsce świadkami buntu przeciw nowoczesności? Wielu ludzi zagłosowało wszak na partie, które określają się jako konserwatywna prawica i które prezentują ideowe propozycje o tradycjonalistycznym charakterze. Jeśli próbować owe propozycje zrekonstruować, to składają się na nie: chrześcijaństwo jako fundament etyczny, tradycja narodowa jako budulec spójności społecznej, tradycyjna rodzina, solidaryzm, moralny stosunek do przeszłości (w tym kategoryczne potępienie komunizmu jako zdrady narodowej oraz brak wyrozumiałości dla ludzi z komunizmem jakoś związanych), silne i uczciwe państwo, które stawia sobie także ambitne zadania kształtowania tożsamości i wrażliwości moralnej obywateli, wreszcie zgoda (mało entuzjastyczna) na Unię Europejską, pojętą co najwyżej jako związek suwerennych państw narodowych, na pewno zaś nie jako przyszła federacja. Dwie partie, które odniosły największy sukces – Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość – najbardziej różnią się stosunkiem do gospodarki. Program PO ma charakter liberalny, PiS-u zaś – socjalny i etatystyczny. Zarazem w ideologii tej zwycięskiej partii niewiele jest zrozumienia dla wolności i inicjatyw obywatelskich, światopoglądowego pluralizmu, proceduralnej demokracji czy obyczajowej różnorodności, nie widać w niej też otwartości na świat i nowe idee. Zauważyć przecież wypada,

że projekt konserwatywno-narodowy nie jest *tout court* „nienowoczesny”. W jego centrum znajduje się suwerenne i silne państwo narodowe, a więc twór charakterystyczny dla „nowoczesności klasycznej” czasów XIX stulecia i pierwszej połowy XX wieku.

Powody popularności PiS-u i jego ideologii można rozważać z różnych punktów widzenia. Jednym z nich jest perspektywa socjologii i dynamiki polskiej polityki ostatnich kilkunastu lat. Z tej perspektywy wielkie znaczenie ma chroniczna niestabilność systemu partyjnego w Polsce, w szczególności zaś kompromitacja SLD. Pominę jednak ten wątek, a skoncentruję się na perspektywie cywilizacyjnej, na pytaniu o stosunek Polaków do nowoczesności. Popularność głoszonej przez PiS ideologii to niewątpliwie jakiś znak czasu. Jej przestanie trafia do znacznej, jak na to wskazują sondaże, części społeczeństwa. Trafia zapewne dlatego, że wśród tej części lęki przed nowoczesnością – albo raczej „późną nowoczesnością”, „rozwinętą nowoczesnością” czy „ponowoczesnością” – przeważają nad odczuciem jej atrakcyjności.

Pojęcie „nowoczesność” można rozumieć co najmniej na trzy sposoby. Po pierwsze, jako pewien – jak to się teraz mówi – „projekt”. Projekt, a właściwie projekty nowoczesności nie są dane raz na zawsze. Wręcz przeciwnie, ciągle się je na nowo formułuje, jest ich wiele i konkurują ze sobą. Po drugie, nowoczesność – a właściwie modernizację – można rozumieć jako w znacznej mierze spontaniczny proces zmian społecznych, gdzie to, co najnowsze, dzisiejsze (łacińskie słowo *modo* znaczy „teraz”), to, co obecne w przodujących regionach świata, jest punktem odniesienia dla oceny sytuacji jednostek, grup społecznych, regionów i krajów. Ów punkt odniesienia, dodać wypada, z natury rzeczy nie jest czymś stałym, a raczej okazuje się ruchomym celem, wymagającym wielkiego wysiłku dla utrzymania go w polu widzenia, a jeszcze większego po to, by za nim nadażać. Nie ulega wątpliwości, że jednym z zasadniczych składników tak rozumianego procesu modernizacji jest, od czasów rewolucji przemysłowej, napędzany procesem innowacji postęp techniczny. Po trzecie, nowoczesność bywa rozumiana jako pewna epoka historyczna, stopniowo ustępująca miejsca „ponowoczesności” czy też „późnej nowoczesności”.

Nowoczesność w pierwszym i drugim znaczeniu zawsze budziła zarówno nadzieje, jak i lęki, lęki budzi też i ponowoczesność. Nadzieje, najogólniej, związane są z postępem. Z postępem technicznym, a w ślad za nim materialnym, przedłużającym, ułatwiającym i uprzyjemniającym życie. Także z możliwością postępu moralnego, czyli lepszego, mniej bolesnego układania się spraw ludzkich. Lęki płyną stąd, że zmiana społeczna może okazać się pod jakimiś względami zmianą na gorsze, a nawet gdy jest zmianą na lepsze, to pociąga za sobą koszty i wiąże się z ryzykiem. Czy w danym momencie przeważają nadzieje czy też lęki, zależy zarówno od bezpośrednich doświadczeń tych zmian przez konkretne jednostki i grupy, jak i od tego, na ile perswazyjnie skuteczne są wizje (ideologie) nowoczesności – lub też ideologie wobec nowoczesności przeciwstawne.

2.

Stosunek do nowoczesności zależy od tego, na ile atrakcyjne i porywające są wizje i projekty tej nowoczesności, a także od tego, na ile uniwersalistyczny mają charakter. Projekty te rzadko bywają sformułowane jednoznacznie, raczej „wyłaniają się” z debat intelektualistów, ekspertów i polityków, by funkcjonować w publicznej przestrzeni w nie do końca domkniętej postaci. Po raz pierwszy taki projekt został sformułowany w czasach Oświecenia: konstytuowały go pojęcia rozumu, wolności i równości, a polegał na przekonaniu, że rozum pozwala odkryć zasady rządzące światem, znajomość zaś tych zasad ułatwi kształtowanie go tak, by był coraz lepszy. Projektem modernizacyjnym była też idea komunistyczna, owo „wielkie złudzenie”, jak określił ją François Furet. Z dzisiejszej perspektywy zdumiewający wydaje się jej sukces w mobilizacji ruchów społecznych w najrozmaitszych regionach świata.

Po II wojnie światowej wyrazistym projektem nowoczesności była idea *welfare state*. Ten model obiecywał nieograniczony wzrost dobrobytu dzięki dynamice gospodarki, będącej połączeniem rynku i państwa, a sprawiedliwy podział tego bogactwa dzięki uzupełnieniu rynku przez państwową redy-

strybucję. Składały się ponadto na ten model demokracja i prawa człowieka, w tym prawa socjalne, a także liberalna koncepcja państwa, które obecność w sferze wartości ogranicza do minimum, pozostawiając dokonywanie wyborów moralnych jednostce.

Pomysł *welfare state* w pewnym sensie zużył się, na co wskazują zarówno jego fiskalne kłopoty, jak i nieustająca krytyka, której jest poddawany. W USA – gdzie nigdy nie był on mocno zakorzeniony, mimo reform *New Deal*-u i johnsonowskiego *Great Society* – już w latach 70. ustępować zaczął przed atrakcyjnością idei neokonserwatywnych, łączących skrajny indywidualizm i liberalizm rynkowy z religią, wartościami rodzinnymi i wiarą w wyjątkowość, a czasem nawet misję Ameryki. W kontynentalnej Europie *welfare state* nie został wprawdzie frontalnie zaatakowany, ale stracił wiele ze swej atrakcyjności.

W latach 80. triumfy na całym świecie święciła neoliberalna koncepcja nowoczesności, stanowiąca odwrócenie o sto osiemdziesiąt stopni pomysłu *welfare state*. Państwo miało ulec ograniczeniu do niezbędnego minimum, a problemy społeczne miały być rozwiązywane przez wzrost gospodarczy, możliwy dzięki rozluźnieniu gorsetu regulacji. Gospodarcze granice pomiędzy poszczególnymi krajami miały być znoszone, by wszyscy mogli korzystać z owoców jednoznacznie pozytywnie ocenianej globalizacji. Apogeum tego sposobu myślenia nastąpiło mnie więcej w tym samym czasie, gdy rozpadał się komunizm, a jego upadek traktowany był jako ostateczny dowód triumfu idei wolnego rynku i liberalnej demokracji. Dobre czasy dla projektu neoliberalnego trwały przez prawie całe lata 90. Datę symboliczną załamania optymizmu stanowi 11 września 2001 roku, choć zapowiedzi można było dostrzec już wcześniej. Dziś pomysł neoliberalny obciążany jest odpowiedzialnością za narastanie nierówności, utrzymywanie się biedy i wykluczenia oraz za naruszanie równowagi ekologicznej. Podważanie go nie oznacza jednak pojawienia się nowych, wyrazistych projektów nowoczesności – dyskurs alterglobalistyczny ma bowiem raczej charakter krytyki niż projektu.

3.

Proces modernizacji zawsze jednak wywoływał ambiwalentne odczucia. Dziś ambiwalentny stosunek do tego, co przynosi nowoczesność, nie jest właściwy tylko Polakom. Tę ambiwalencję nietrudno dostrzec w postawach rozmaitych społeczeństw Europy i Ameryki, nie mówiąc już o reszcie świata. Nigdzie nie oznacza ona jednak całościowego odrzucenia podstawowego składnika nowoczesności, jakim jest cywilizacja techniczna oraz związane z nią możliwości wytwórcze, komunikacyjne i militarne. Lęki i wątpliwości dotyczą tylko wybranych materialnych, społecznych i kulturowych konsekwencji tej cywilizacji, a z różnego odczytania szans i zagrożeń płynnie odmiennosc modernizacyjnych projektów. Dla zrozumienia świata współczesnego nie wystarcza więc ten typ opozycji „społeczeństwo tradycyjne” – „społeczeństwo nowoczesne”, jakim posługiwali się klasycy socjologii z końca XIX i początku XX wieku, Max Weber, Ferdinand Tönnies czy Emil Durkheim. Mówiąc o procesie racjonalizacji, o *Gemeinschaft* i *Gesellschaft*, o wspólnocie mechanicznej i organicznej, opisywali przejście od cywilizacji agrarnej do społeczeństwa przemysłowego. Cywilizacje agrarne zeszyły już jednak ze sceny, wszystkie społeczności – nawet najbiedniejsze i najbardziej odizolowane – są dziś jakoś włączone w sieć światowych powiązań, w których centrum znajduje się ulegająca ciągłym zmianom nowoczesna gospodarka przemysłowa i poprzemysłowa. Każda społeczność i każdy kraj stoją wobec wyzwania, jak sformułować swój projekt poradzenia sobie z tą zmienną rzeczywistością. W tym sensie wszyscy są nowocześni czy też na nowoczesność skazani.

Jakie związane z nowoczesnością zjawiska wywołują dziś szczególne lęki? Listę można rozmaicie konstruować, gdyż owe lęki wynikają nie tyle z samej natury procesów zmian technicznych i społecznych, ile ze sposobów ich postrzegania, a te mają charakter przygodny, zależą od miejsca i chwili. Zwróćmy tu uwagę na trzy grupy tych obaw.

Pierwsza wiąże się z domniemanymi zagrożeniami, wywoływanymi przez postęp techniczny i materialny. Od czasów opanowania energii nuklearnej

należy do nich na przykład strach przed skażeniem i przed użyciem broni nuklearnej. Raporty Klubu Rzymskiego zapoczątkowały obawy związane z wyczerpywaniem się zasobów naturalnych, skażeniem środowiska i zaniżaniem gatunków. Ostatnie dekady przyniosły strach przed skutkami nadmiernej emisji dwutlenku węgla i przed niebezpieczeństwami związanymi z inżynierią genetyczną.

Druga grupa obaw związana jest z niekorzystnymi skutkami globalizacji. Zaliczają się do nich: wzrost różnicowań dochodów w skali świata i poszczególnych krajów, utrzymywanie się masowego ubóstwa, wymykanie się wielkich korporacji ponadnarodowych spod demokratycznej kontroli oraz niepewność przyszłości dla jednostek i grup społecznych, wynikająca z postępu technicznego i z elastyczności rynków kapitału i siły roboczej. Związanym z globalizacją powodem obaw jest poczucie kryzysu państwa narodowego. Kryzys ów w skrajnej formie przejawia się w postaci państw „upadłych” i „rozbójniczych”, stwarzających zagrożenie nie tylko dla własnych mieszkańców, ale i dla innych krajów. W wersji umiarkowanej kryzys ten postrzegany jest jako utrata przez państwo kontroli nad fizycznym, ekonomicznym, socjalnym i – jeśli tak można powiedzieć – kulturowym bezpieczeństwem obywateli. Odczucie zagrożenia państwa narodowego wiąże się z jednej strony z rozkładem wewnętrznym, w tym z korupcją, z drugiej – z międzynarodową konkurencją i masowymi migracjami, w szczególności z napływem odmiennych kulturowo imigrantów. Jako zagrożenie postrzega się globalizację działalności przestępczej: handel narkotykami i bronią, pranie brudnych pieniędzy czy powstawanie międzynarodowych mafii.

Trzecia wreszcie grupa obaw dotyczy przemian wartości i obyczajów. Szczególnie wiele budzą te, które wiążą się ze sferą reprodukcji biologicznej i seksualnością – a więc postawy wobec aborcji, modelu rodziny i związków homoseksualnych. Obawy te przybierają z jednej strony formę scjentystycznych ostrzeżeń przed niekorzystnymi zmianami w demograficznej strukturze ludności, z drugiej zaś – motywowanej etycznie krytyki relatywizmu wartości.

Jednoznacznej „prawdziwej” skali zagrożeń nie sposób na ogół ustalić, czego dowodem są nieustanne spory ekspertów. Do szerszej publiczności ich interpretacja dociera za pośrednictwem środków masowego przekazu w postaci – siłą rzeczy – uproszczonej, a często udratyzowanej, emocjonalny odbiór zaś zależy od kulturowego bagażu danego społeczeństwa i jego aktualnego „stanu ducha”. Poszczególne społeczeństwa reagują na te przekazy odmiennie i z różną wrażliwością – na przykład Amerykanie zdają się bardziej niż Europejczycy bać terroryzmu i dymu tytoniowego, a mniej efektu cieplarnianego i transgenicznej żywności.

4.

Wróćmy do Polski. Wizja modernizacji, jaką po upadku komunizmu kształtowały czołowe media, a w znacznej mierze także i kolejne rządy, najbliższa jest projektowi neoliberalnemu. Została ona przedstawiona społeczeństwu, które w niewielkim stopniu było przygotowane na jej przyjęcie. Do lat 60. Polska była krajem w połowie wiejskim, a enklawy przedprzemysłowego rolnictwa pozostały w niej po kres socjalizmu państwowego, jeśli nie po dzień dzisiejszy. Industrializacja nastąpiła z opóźnieniem i w czasach komunizmu stworzyła wysoce niedoskonałą kopię przemysłu i społeczeństwa (w tym klasy robotniczej) epoki „klasycznej modernizacji” (fordyzmu), replikując procesy, które wysoko rozwinięte społeczeństwa Zachodu przeżywały pod koniec XIX i w pierwszej połowie XX wieku. Mimo wpływu ideologii komunistycznej, emocje i idee Polaków koncentrowały się wokół religii, rodziny i narodu. Oficjalna ideologia ulegała zresztą przemianom, z jednej strony akceptując prywatność życia rodzinnego, z drugiej – podkreślając coraz mocniej wątki narodowe. Tak ukształtowane społeczeństwo z chwilą rozpadu komunizmu zostało w sposób niezwykle gwałtowny skonfrontowane z postindustrialnym, otwartym światem „późnej nowoczesności”. To, co określa się mianem transformacji, było przecież zarazem włączeniem Polski w proces globalizacji, zarówno w sferze gospodarki, jak i kultury. Biorąc pod uwagę, jak bardzo drętwa i izolacja socjalizmu państwowego nie przygotowała ludzi do rynku,

do szybkich zmian i doświadczania różnorodności, w gruncie rzeczy dziwić się można, że wszystko przebiegało aż tak spokojnie.

Polska stała się jednak społeczeństwem dwóch prędkości, jeśli można posłużyć się metaforą powołaną do życia w innych celach. Znaczna, choć trudna do statystycznego określenia część obywateli radzi sobie w nowej rzeczywistości nieźle, czy to na miejscu, czy poszukując zajęcia poza krajem. Dla innych ten nowy świat okazuje się obcy i zbyt trudny do akceptacji. Świadczą o tym statystyki bezrobocia i ubóstwa, jak i trudniejsze do skwantyfikowania dane o wykluczeniu społecznym. Świadczą o tym także niechęć do różnorodności obyczajowej i częsty brak tolerancji wobec „innych”. Ludzie, którym się nie udaje – wracając do sporządzonej wyżej listy obaw, jakie wiążą się z nowoczesnością – boją się raczej braku pewności ekonomicznego bezpieczeństwa, jaki charakteryzuje gospodarkę włączoną w zglobalizowany świat, niż na przykład skutków nadmiernego palenia lub spożywania transgenicznej żywności. Ci spośród owych niezadowolonych, którzy fatygują się udziałem w wyborach, głosowali na początku lat 90. na Stana Tymińskiego, później na Samoobronę. Stanowili także część elektoratu mniej egzotycznych partii, którym na pewien czas udawało się ustabilizować na polskiej scenie politycznej, a które zarazem miały w swej wyborczej ofercie jakieś socjalne obietnice – AWS oraz postkomunistycznej lewicy. Nie sposób nie dostrzec, że faktyczna polityka gospodarcza zarówno koalicji AWS–UW, jak i lewicy postkomunistycznej – mimo powoływania się czy to na tradycyjne wartości, czy na społeczną wrażliwość – w niewielkim, jeśli w ogóle, stopniu uwzględniała interesy i odczucia tych grup, które z transformacją sobie słabo radziły. Wraz z politycznym zużyciem się dotychczas rządzących ugrupowań, nadzieja tych grup wyborców przesunęła się w kierunku obiecującej społecznej solidarności narodowej prawicy.

Można więc powiedzieć, że popularność idei głoszonych przez PiS jest odpowiedzią na jednostronność neoliberalnej wizji modernizacyjnej Polski, która dominowała w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Mówię „wizji”, praktyka była bowiem znacznie bardziej skomplikowana, a udział transferów społecznych (zwłaszcza świadczeń emerytalnych i rentowych) jest w Polsce bardzo

wysoki. Jednak dominujący dyskurs przedstawiał – i przedstawia – te wysokie świadczenia jako przeszkodę w rozwoju, jako problem do rozwiązania oraz coś, co właściwie należałoby zredukować tak dalece, jak tylko się da. Zarazem niewiele miał on do zaoferowania słabiej wykształconym, mniej przedsiębiorczym i mobilnym członkom społeczeństwa, spisywał ich raczej na straty, określając protekcyjnym mianem „elektoratu socjalnego”.

PiS całkiem świadomie odwołuje się do tych wyborców, których neoliberalna wizja modernizacyjna lekceważyła. Obiecuje im poczucie wspólnoty i swojskości (rodzina, naród), mocny fundament etyczny (religia), stabilne rządy (miękki autorytaryzm), bezpieczeństwo fizyczne (surowe prawo) i bezpieczeństwo socjalne (Polska solidarna). Mówiąc ogólniej, obiecuje konstrukcję świata pewnego, bezpiecznego – ale i zamkniętego. Jest to projekt anachroniczny. Nie wyrażana wprost, ale wyczuwalna w tym projekcie skłonność do kulturowego izolowania się od świata jest nie tylko niepożądana, lecz także niemożliwa do zrealizowania. Konserwatywno-narodowa ideologia nie zawiera zarazem jakichkolwiek odpowiedzi na pytania, jak polskie społeczeństwo miałoby sprostać nieuchronnym wyzwaniom świata zewnętrznego, zwłaszcza zaś wyzwaniom technologicznym i ekonomicznym – a mówimy tu o kraju, który znalazł się na szarym końcu Europy pod względem zdolności do tworzenia innowacji.

Anachroniczność tej ideowej koncepcji nie unieważnia jednak krytyk słabych stron neoliberalnego projektu modernizacji – czyli krytyk poglądu, wedle którego sprawna gospodarka i trwały wzrost same przez się rozwiążą wszelkie problemy społeczne. Wielkim wyzwaniem pozostaje więc sformułowanie takiej wizji nowoczesności, która przynajmniej złagodzi, jeśli nie zniesie, alternatywę „Polska liberalna czy Polska solidarna”. W historii kapitalizmu wskazać można przykłady łagodzenia tego typu alternatywy – choć oczywiście w warunkach, których albo nie chcemy, albo nie bardzo możemy powtórzyć. Do pierwszej kategorii należą kraje Dalekiego Wschodu. Jedną z cech „cudu azjatyckiego” lat 60. i 70. był jednak *shared growth*, jak określano szybki wzrost gospodarczy powiązany ze zmniejszaniem się różnicowań dochodowych. Do drugiej kategorii można zaliczyć wcześniej

wspomniany przypadek europejskiego *welfare state* w okresie pierwszych trzydziestu lat po drugiej wojnie światowej. Dziś często wskazuje się na kraje nordyckie, zwłaszcza zaś na Finlandię. Wysokiej konkurencyjności tych w pełni rynkowych gospodarek towarzyszy wysoki stopień bezpieczeństwa socjalnego. Mało tego, najlepiej w Europie radzą sobie one z kryzysem demograficznym.

Te historyczne przykłady dają do myślenia nie dlatego, by stosowane tam rozwiązania dały się wprost przenosić w odmienne warunki. Sukcesy polegały wszak właśnie na specyficznym dobraniu sposobów postępowania do konkretnych okoliczności i na wykorzystaniu lokalnych zasobów kulturowych. Programów takich dziś w Polsce brakuje. Problem chwili polega bowiem także i na tym, że zwolennicy nowoczesności otwartej na świat, innowacje i różnorodność są dziś w defensywie i nie potrafią swych projektów przedstawić w sposób, który by tym pomysłem zapewnił społeczną nośność i polityczne poparcie.

Zdzisław Krasnodębski

Tradycja a nowoczesność

1.

Na pytanie, czy jesteśmy świadkami buntu przeciw nowoczesności, czy też specyficznej nowoczesności, nie sposób odpowiedzieć, nie definiując nowoczesności. Gdy dzisiaj się w Polsce mówi i marzy o nowoczesności, to najczęściej ma się na myśli po prostu współczesność. Oczywiście nie każdą współczesność, lecz wybraną, szczególną – współczesną rzeczywistość zamożnych demokratycznych krajów zachodnich. Jednak nawet ta prosta definicja nowoczesności okazuje się myląca, gdyż owa rzeczywistość jest wielowymiarowa, różnorodna, zmienna, skomplikowana, ambiwalentna, pełna sprzeczności i konfliktów. Często bywa także mało nowoczesna albo wręcz tradycyjna, a ponadto – z drugiej strony – zawiera zjawiska, których z rozsądnego punktu widzenia trudno nie uznać za symptomy kulturowego kryzysu czy nawet dekadencji i rozkładu. Dlatego wielu badaczy twierdzi, że w istocie jeszcze żadne dotychczasowe społeczeństwo nie było nowoczesne. Mówi się o nowoczesności jako niedokończonym projekcie (Jürgen Habermas) lub o konieczności modernizacji nowoczesności (Anthony Giddens, Ulrich Beck), o drugiej, refleksyjnej lub zradykalizowanej nowoczesności, która dopiero teraz się zaczyna. Mówi się także o wielości nowoczesności (Szmuel Eisenstadt), gdyż coraz trudniej bronić linearnej wizji historii.

Prawdziwie nowoczesne teorie nowoczesności pokazują, że nie ma jednej nowoczesności, do której prowadzi jedna, prosta droga, lecz istnieje wiele nowoczesności i wiele dróg, a proces historyczny jest wielowymiarowy, pełen przypadków i nagłych zwrotów. Nowoczesność sama w sobie zawiera sprzeczności, napięcia i konflikty, którym zawdzięcza swój dynamiczny charakter. Jak pisze Shmuel Eisenstadt, jeden z najwybitniejszych badaczy procesów modernizacyjnych: „Rozwój europejskiej nowoczesności i jej późniejsza ekspansja w żadnym razie nie były pokojowe. Wbrew optymistycznemu widzeniu nowoczesności jako nieuniknionego postępu, procesy krystalizowania się różnych nowoczesności były stale rozdzielane wewnętrznym konfliktem i konfrontacją wynikającą ze sprzeczności i napięć związanych z rozwojem systemów kapitalistycznych oraz, na płaszczyźnie politycznej, z rosnącymi żądaniami demokracji. Rozwój nowoczesności niósł ze sobą destruktywne możliwości, które często były udaremniane [w tekście jest *voiced* – wyrażane, ale wydaje mi się to błędem, zapewne powinno być *voided*] – co zakrawa na ironię – przez jej najbardziej radykalnych krytyków uznających nowoczesność za siłę moralnie destruktywną i podkreślających negatywne efekty niektórych z jej centralnych właściwości”¹.

Nawet ci badacze – sądzący, iż da się określić uniwersalne cechy nowoczesnego kodu kulturowego – wskazują, że sposób, w jaki ów kod zostaje kulturowo wyartykułowany oraz społecznie zinstytucjonalizowany, zależy od partykularnego, na przykład narodowego, kontekstu i okoliczności historycznych². Łatwo także zauważyć, że pojęcie nowoczesności ma charakter normatywny – stwierdza przecież nierównoczesność tego, co równoczesne – a to, co uznane za nowoczesne, jak jest rozumiana i oceniana nowoczesność, zależy od stanowiska filozoficznego. Kryteria stają się jednak coraz bardziej niejasne, od kiedy załamała się naiwna, oświeceniowa wiara w rozum. Ponadto modernizacja jest pojęciem używanym w walce politycznej, zwłaszcza

¹ Shmuel Eisenstadt, *The Challenge of Multiple Modernities*, w: *New Horizons in Sociological Theory and Research. The Frontiers of Sociology at the Beginning of the Twenty-first Century*, ed. Luigi Tomasi, Burlington 2001, s. 110.

² Zob. Richard Münch, *Die Kultur der Moderne*, Frankfurt a. Main 1993.

w krajach peryferyjnych. Obsesja na punkcie postępu i modernizacji jest sama w sobie znakiem zapóźnienia i peryferyzacji.

Mimo wszystkich zastrzeżeń, mimo postmodernizmu i dokonanej przez niego dekonstrukcji opozycji nowoczesne–tradycyjne, nadal powszechnie sądzi się, że to, co nowoczesne, jest samo w sobie dobre. Zapomina się przy tym, że także narodowy socjalizm, podobnie jak komunizm, był pod wieloma względami przedsięwzięciem modernizacyjnym, i to skutecznym, mimo że doprowadził do klęski militarnej³. Pesymizm kulturowy nie jest w modzie. Myśliciele tacy jak Leo Strauss, Eric Voegelin czy Martin Heidegger, dla których nowoczesność była rezultatem historii upadku duchowego, pozostają wprawdzie wpływowi, lecz nie oni kształtują dominujący sposób myślenia.

2.

Nie w ma w Polsce buntu przeciw nowoczesności rozumianej w najprostszym sensie – jako dążenie do rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego kraju, do dorównania najsilniejszym. Nie ma sił politycznych i społecznych, które by nie chciały, by w Polsce powstały autostrady, szybkie koleje, nowoczesne miasta, aby rósł polski dochód narodowy, a Polska dołączyła do krajów zamożnych i stabilnych. W tym sensie modernizacja jako cel nie podlega dyskusji. Jest także w miarę jasne – ale tylko w miarę – o co w takim procesie modernizacji chodzi, wiemy, czym różni się nowoczesna gospodarka od nienowoczesnej. Nie jesteśmy natomiast zgodni co do tego, jak taki stan osiągnąć, jaka polityka do niego prowadzi. Co więcej, choć niektórzy teoretycy uważają, że nie da się wyznaczyć jasnych kryteriów rozwoju, a więc i nowoczesności, w polityce, nie mówiąc już o kulturze, to jednak jesteśmy zgodni w zasadniczych politycznych wyborach – w uznaniu demokracji parlamentarnej, gwarantującej podstawowe wolności, za obowiązujący model ustrojowy. Jeśli taką demokrację rozumiemy jako wyraz nowoczesności w sferze politycznej, to także w tym sensie żadne liczące się ugrupowanie polityczne ani żadna znacząca grupa społeczna nie odrzucają tak pojętej politycznej nowoczesności.

³ Zob. na przykład wydany w Polsce przez Huberta Orłowskiego zbiór tekstów: *Nazizm, Trzecia Rzesza a procesy modernizacyjne*, Poznań 2000.

Nawet te uchodzące za najbardziej skrajne chcą demokrację parlamentarną usprawniać i urealniać, a nie zlikwidować.

Tym bardziej dotyczy to tych, którzy opowiadają się za programem głębokich reform i zmiany strategii, za projektem określanym mianem IV Rzeczypospolitej. Postulat zreformowania Polski lub zastąpienia III RP „czwartą” nie jest postulatem antymodernizacyjnym. Wręcz przeciwnie: IV Rzeczpospolita ma raczej zbliżyć Polskę do standardów zachodnich, niż nas od nich oddalić.

Nie jest bowiem tak, że istnienie i rozwój Wojskowych Służb Informacyjnych stanowią warunek nowoczesności, że bez uzależnienia energetycznego od Rosji Polska przestanie być nowoczesna, że bez firmy J&S zarejestrowanej na Cyprze pogrążymy się w mrokach średniowiecza, że odwołanie na przykład Stefana Paszczyka ze stanowiska ambasadora lub zwolnienie byłych esbeków z policji spowodują modernizacyjne tąpnięcie. Także zwalczanie korupcji, wzmacnianie prawa i sprawdzanie w uzasadnionych przypadkach trzeźwości postów prowadzących pojazdy mechaniczne trudno uznać za pociążnięcia antymodernizacyjne. Demontaż postkomunizmu w Polsce, w tym także lustracja, jest więc zbliżaniem Polski do świata współczesnego, a jeśli on wyznacza standardy nowoczesności – to jest to zabieg modernizacyjny. Albowiem według standardów przyjętych w Europie czyny reżimów bezprawia nie powinny pozostać bezkarne, a archiwa mają zostać otwarte. Także zasada solidarności społecznej i polityka prorodzinna nie są czymś obcym współczesnej Europie, wręcz przeciwnie. Przekonanie, że należy zmniejszać różnice społeczne, żadną miarą nie może być uznane za antymodernizacyjne. Podobnie idea wzmocnienia państwa będzie raczej zbliżać Polskę do stanu osiągniętego „w rdzeniu” Europy, niż ją od Europy oddalać – niezależnie od wszelkich teorii o schyłku państwa narodowego.

3.

O co więc chodzi? Skąd bierze się przekonanie, że w Polsce mamy do czynienia z buntem wobec nowoczesności? Na pewno są w Polsce grupy, które mają problem z odnalezieniem się we współczesnym świecie i które

tego świata nie rozumieją. Nie o to jednak chodzi w tym przypadku. Reakcje na projekt IV RP wynikają z faktu, że stanowi on zerwanie z dotychczasowym bezrefleksyjnym fatalizmem transformacyjnym i pewnymi jednostronnymi wyobrażeniami o tym, czym jest nowoczesność i co to znaczy modernizacja. Projekt ten jest naruszeniem pewnego monopolu ideowego – skądinąd mało nowoczesnego, jak każdy monopol, ale niezwykle korzystnego dla monopolistów.

Po raz pierwszy po 1989 roku otwiera się możliwość dyskusji o modelu gospodarki rynkowej, o typie kapitalizmu, jaki się w Polsce rozwinął i jaki chcemy rozwijać w przyszłości, o dotychczasowych i przyszłych strategiach prywatyzacyjnych oraz o polityce przemysłowej państwa. Dyskusje takie toczą się intensywnie na świecie, w Polsce zaś panowała i ciągle panuje dogmatyczna neoliberalna ortodoksja.

Projekt IV RP jest także próbą nadania innego, bardziej racjonalnego i sprawiedliwego kształtu polskiej demokracji. Nie chodzi w żadnym razie o podważenie i ograniczenie podstawowych wolności – wielkiego osiągnięcia nowoczesności – lecz o krytykę ich zgoła niekoniecznych interpretacji i reakcję na związane z nią negatywne konsekwencje dla życia politycznego i społecznego. W tym kontekście widzieć należy nawiązanie do tradycji republikanizmu, tradycji wolnościowej, ale wyrażającej inne niż liberalne rozumienie wolności. Na świecie ożywienie zainteresowania republikanizmem wynika z „powszechnego niezadowolenia z pluralizmu grup interesów oraz ekonomicznego modelu polityki”⁴. Projekt ten wyrasta także z przekonania, że polskie państwo wykazuje wszystkie cechy państwa peryferyjnego, słabego, i że należy dokonać jego wzmocnienia i sanacji, także dlatego, by mogło ono właściwie funkcjonować w ramach Unii Europejskiej.

Powiada się, że projekt IV RP jest zwrócony przede wszystkim w przeszłość. W tej krytyce chodzi głównie, jak rozumiem, o kwestie kulturowe, etyczne i obyczajowe, w tym także o stosunek do narodowej tradycji i o politykę historyczną, która afirmuje polską przeszłość, a nie jest jej odrzuceniem,

⁴ Bill Bruger, *Republican Theory in Political Thought*, New York 1999, s. 1.

o budzenie postaw patriotycznych. Czy jest to sprzeczne z nowoczesnością, z dążeniami modernizacyjnymi?

Tak może sądzić tylko ten, kto postuluje się prostym przeciwstawieniem tradycji i nowoczesności, bardzo w gruncie rzeczy nienowoczesnym. Dzisiaj nawet ci socjologowie, którzy – jak Anthony Giddens – twierdzą, że modernizacja powoduje detradycjonalizację, przyznają, że tradycja bynajmniej nie zniknęła i nie straciła na znaczeniu, że dotychczasowa – „pierwsza” – nowoczesność nieustannie wytwarza nowe tradycje. Dopiero obecnie – w epoce drugiej, „refleksyjnej nowoczesności” – ma powstać rzeczywiście „posttradycyjne społeczeństwo”, a państwo narodowe zostanie zastąpione „państwem transnarodowym” lub co najmniej nim uzupełnione, jak twierdzi kolega i sojusznik Giddensa – znany niemiecki socjolog Ulrich Beck.

Ten ostatni należy do tych autorów, którzy sądzą, że w rzeczywistości w ogóle jeszcze nie istniały społeczeństwa nowoczesne. Jego zdaniem wszystkie – łącznie z najbardziej rozwiniętymi społeczeństwami przemysłowymi – wiążą ze sobą elementy nowoczesne, nienowoczesne i antynowoczesne. Nowoczesność była dotąd tylko cząstkowa, radykalna modernizacja dokonywała się co najwyżej w pewnych sektorach lub podsystemach i udaremniała modernizację całego społeczeństwa, odbywała się kosztem jego modernizacji.

Jednak koncepcja nowej refleksyjnej modernizacji, „drugiej nowoczesności”, która unowocześni społeczeństwo, nie jest przekonująca. Opiera się na wątpliwych podstawach filozoficznych i socjologicznych. Wierzyć należy raczej tym socjologom, którzy pokazują, że procesy rutynizacji i tradycjonalizacji należą do istoty życia społecznego i że modernizacja nie oznacza zaniku tradycji. Posttradycyjne społeczeństwo jest raczej lewicową utopią niż czymś, co występuje w rzeczywistości. Polska „nowa lewica” przejmuje tę utopię w uproszczonej formie. Jednak opierając się na takich zasadach, można zbudować klub „Le Madame”, a nie państwo, wedle takich reguł może żyć bohema, lecz nie można uczynić ich zasadami życia społecznego w ogóle.

Szmuel Eisenstadt słusznie wskazuje na to, że tylko te zapóźnione społeczeństwa odnoszą sukces, które umiejętnie łączą procesy modernizacyjne

ze swoją tradycją. Tradycja jest programem kulturowym danej cywilizacji czy społeczeństwa, który kieruje procesami zmiany społecznej, przyspiesza je lub hamuje. Nie wydaje się, aby polska tradycja była takim programem, który uniemożliwiałby szybki rozwój.

Trzeba dodać, że w istocie problemem Polski jest nie silna, lecz zbyt słaba świadomość narodowa (której nie należy rozumieć jako ideologicznego, ksenofobicznego nacjonalizmu, stanowiącego często kompensację tej słabości) oraz słaba, a nie zbyt silna, więź narodowa między obywatelami RP. Narody „starej Europy” są w istocie o wiele bardziej zintegrowane narodowo niż „nowa Europa”. Nie można się temu dziwić, zważywszy na przerywany i skomplikowany sposób, w jaki Polacy stawali się nowoczesnym narodem. Istotną rolę w tym procesie odgrywa relacja między symbolicznym centrum – obowiązujący zespół wartości wcielony w centralne instytucje tego społeczeństwa – a peryferiami społeczeństwa⁵. Jak się wydaje, wiele problemów transformacyjnych społeczeństwa polskiego wynika ze słabej integracji, słabego oddziaływania tak rozumianego centrum na społeczeństwo. To symboliczne centrum jest wprawdzie silne i wyraziste, ale jego oddziaływanie na społeczne peryferie pozostaje słabe. Dotyczy to zarówno wpływu na peryferyjne regiony, jak i na niższe warstwy społeczne. Jeśli zaś chodzi o samo centrum, modernizacja polegać może na jego przekształceniu, sublimacji, a nie na jego zaniknięciu. Nic nie wskazuje na to, aby w wyniku procesów modernizacji rzeczywiście pojawiały się społeczeństwa pozbawione centrum lub całkowicie wielocentryczne. Fakt, że obecnie w państwach Europy Zachodniej „odwołano multikulturalizm”, jest tylko następnym tego potwierdzeniem.

4.

Inną sporną kwestię stanowi obecność religii w życiu publicznym. Jednak nie ma w tym zjawisku nic „nienowoczesnego”. Nie jest tak, że Stowarzyszenie Ordynacka jest na mocy definicji nowoczesne, a Opus Dei nienowoczesne. Obecnie nikt już nie sądzi, że modernizacja oznaczać musi „prywatyzację”

⁵ Zob. Edward Shils, *The Constitution of Society*, Chicago 1972.

religii, wyparcie jej ze sfery publicznej, pozbawienie jej wszelkiego wpływu na politykę. José Casanova twierdził w swej znanej książce, w której analizował proces „deprywatyzacji” religii, że głos wspólnot religijnych w dyskursie publicznym jest prawomocny w pewnych szczególnych przypadkach:

- a. obrony w ramach *civil society* zasady wspólnego dobra przeciwko indywidualistycznym, nowoczesnym teoriom liberalnym;
- b. krytyki uroszczeń dwóch głównych systemów społecznych – administracji państwowej i rynku – działających wedle wewnętrznych imperatywów funkcjonalnych, bez oglądania się na normy moralne;
- c. obrony tradycyjnego świata przeżywanego przed penetracją przez mechanizmy rynkowe i biurokratyczne⁶.

Tak więc w tym ujęciu kolonizacja *Lebenswelt*, o której pisał Jürgen Habermas, przez cząstkowe systemy może być powstrzymywana głównie przez religię. To, co w Polsce bywało uznawane za antymodernizacyjne – krytyka współczesnego liberalizmu – jest według Casanovy szczególnie ważnym zadaniem religii.

Patrząc z takiego punktu widzenia, trzeba stwierdzić, że ruch zwolenników Radia Maryja jest ruchem nowoczesnym, i to nie tylko dlatego, że używa nowoczesnych środków przekazu, ale także dlatego, że broniąc tradycyjnego *Lebenswelt*, występuje przeciw patologiom nowoczesności. Paradoksalnie może być uznany nawet za przejaw „nowoczesności refleksyjnej” Urlicha Becka. W porównaniu z tym, co głosi na przykład protestancka New Christian Right w USA, jest to ruch dość umiarkowany. Zupełnie inną sprawą jest ocena polityczna niektórych głoszonych w tym radiu poglądów. Nie sądzę, żeby miało to wiele wspólnego z kwestią nowoczesności – na przykład antysemityzm należy potępiać niezależnie od tego, czy jest on nowoczesny, czy nie. *Nota bene*, jak wiadomo, wielu autorów, wśród nich Zygmunt Bauman, przekonująco dowodziło, że Shoah to rezultat centralnych tendencji nowoczesności.

Niewątpliwie problemem Polski pozostaje fakt, że silny udział religii i Kościoła, także „łagiewnickiego”, w życiu publicznym i politycznym nie jest zgodny z modelem stosunku religia–polityka dominującym w krajach

⁶ José Casanova, *Public Religions in the Modern World*, Chicago 1994, s. 229.

zachodnio-północnej postprotestanckiej Europy oraz Francji. Z punktu widzenia nowoczesnej socjologii religii to jednak te kraje uznawane są za wyjątek, w którym modernizacja rzeczywiście oznaczała sekularyzację. Nie ma żadnych powodów – poza zewnętrznym kulturowym i politycznym naciskiem – by Polska musiała przyjąć ten, bynajmniej nie uniwersalny, model.

Warto przypomnieć, że podobne tendencje do rewitalizacji tradycyjnych, w tym także religijnych, norm i wzorów zachowań występowały w wielu krajach. Współczesny neokonserwatyzm, podkreślający znaczenie tradycyjnych cnót i wartości, nie jest bynajmniej uznawany za ruch reakcyjny, cofający społeczeństwa w ich rozwoju. Wręcz odwrotnie, Ronald Reagan i Margaret Thatcher byli modernizatorami swoich krajów. Unowocześnili je – tzn. wzmocnili pozycję gospodarczą i polityczną Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych – promując wolny rynek oraz zwalczając dążenia radykalnie lewicowe.

Można wszakże pytać, czy także ruchy lewicowe nie unowocześniły zachodnich społeczeństw? Czy Polsce – konserwatywnej i katolickiej – nie potrzeba takiej właśnie modernizacyjnej terapii? Dziś jednak już widać negatywne skutki tamtych wydarzeń. Na przykład w Niemczech permissywnizm obyczajowy osłabił gospodarczą energię Niemców, wzmocnił egalitarną ideologię państwa opiekuńczego, doprowadził do silnego kryzysu motywacji i kryzysu demograficznego. Fakt, że w Niemczech nie doszło do neokonserwatywnej rewolucji, uznawany jest dzisiaj za przyczynę stagnacji Republiki Federalnej⁷. Dlatego postuluje się nie tylko reformy gospodarcze w duchu neoliberalizmu, ale także wzmocnienie sfery wartości przez ożywienie patriotyzmu oraz religijności. Ostatnio zapowiedziano ponowne oparcie edukacji na wartościach chrześcijańskich.

5.

Nie ulega wątpliwości, że dotychczasowe wyobrażenia „modernizacyjne” były w Polsce niezwykle jednostronne. Polscy „modernizatorzy” byli i są bardzo fundamentalistyczni i populistyczni. Jeśli populizm oznacza propo-

⁷ Zob. Paul Nolte, *Generation Reform. Jenseits der blockierten Republik*, München 2004.

nowanie prostych, magicznych rozwiązań skomplikowanych problemów, to takim samym populizmem jak państwowe rozdawnictwo i apele do ludowych resentymentów jest przekonanie, iż zmniejszenie podatków samo przez się gwarantuje większy wzrost gospodarczy, że nie oglądając się na stan budżetu, można wprowadzić podatek liniowy, że kryzys demograficzny nie jest żadnym problemem, bo można go rozwiązać przez imigrację, że każdy eksperyment kulturowy powinien być obyczajowo i społecznie dozwolony itd. Najpoważniejsza słabość programu „modernizatorów” to przekonanie, że zarówno polska tradycja, jak i polskie społeczeństwo stanowią przeszkodę dla modernizacji. W związku z tym mieli oni zawsze ambiwalentny stosunek do demokracji, dającej zbyt wiele głosu i wpływu „ciemnemu ludowi”. W ten sposób bowiem obiekt zabiegów modernizacyjnych stawał się podmiotem wymykającym się spod kontroli. Można rzec, że polscy liberalni modernizatorzy w gruncie rzeczy reprezentują bardzo tradycyjny wątek w polskiej kulturze – niechęci wobec „wolnego państwa”⁸.

Uzdrowienie polskiego życia politycznego polegałoby więc na **zmodernizowaniu modernizatorów** albo w ogóle na rezygnacji z kodowania bieżących sporów politycznych według prostych kryteriów, tak jak dzisiaj już nie postępujemy się przeciwstawieniem postępu i reakcji. Spierajmy się raczej tylko o środki modernizacji i sposoby jej rozumienia, zamiast piętnować przeciwników jako tych, którzy chcą zawrócić „bieg historii”. Konkludując – nie ma w Polsce buntu przeciw nowoczesności, lecz istnieje raczej próba ostatecznego usunięcia pozostałości dawnego reżimu i skorygowania jednostronności dotychczasowych strategii. A czy w Polsce powstaje jakaś specyficzna nowoczesność? Nie – jeśli miałoby to oznaczać jakiś całkiem odrębny model lub jakiś rodzaj „trzeciej drogi”. Tak – w sensie specyficznej realizacji tego modelu, gdyż nowoczesność każdego narodu jest specyficzna, a dróg modernizacyjnych mamy wiele.

⁸ Daniel Beauvois, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, przeł. Krzysztof Rutkowski, Lublin 2005, s. 71.

Janusz Lewandowski

Między marszami równości a budową IV RP

Dyskusja o nowoczesności i tradycji w Polsce ma swój wymowny kontekst polityczno-społeczny. Z jednej strony słyszymy o zadekretowanej budowie IV Rzeczypospolitej, z jej polityką historyczną. Z drugiej strony na polskich ulicach odbywają się marsze równości, przełamujące obyczajowy *status quo*. Jest to symboliczne zderzenie, zderzenie czołowe i realne.

IV Rzeczpospolita wykreśla ze swojego słownika takie pojęcia, jak „postęp”, „modernizacja”, „nowoczesność”. Byłyby one zaprzeczeniem wybranej melodii propagandowej, nasyconej frazeologią narodowo-katolicką. Jarostaw Kaczyński głosi sprzeciw wobec modernizacji Polski w wersji dotychczasowej, tożsamej wedle niego z gubieniem tożsamości, rozmyciem kodu kulturowego. Nie ma tu mowy o cofaniu się w sensie cywilizacyjnym, ale jest próba zakotwiczenia Polski w tradycji, z jej katolickim spoiwem. „Nowoczesność” ma odcień pejoratywny, jeśli oznacza import nowinek obyczajowych z Zachodu.

Natomiast marsze równości są przejawem ucieczki do przodu, w stronę europejsko pojmowanej nowoczesności. Otwarte manifestacje uliczne, w imię standardów obyczajowych dotąd skrywanych, nam wydają się rewolucyjne w swej treści, natomiast w niektórych krajach Unii Europejskiej są akceptowaną oczywistością. Coraz częściej stają się obyczajową normą, usankcjonowaną przez systemy prawne poszczególnych krajów członkowskich.

Zapewne upraszczam i wulgaryzuję, ale według mnie ani jedno, ani drugie podejście nie wyrasta z realnego, społecznego podglebia. Oba zjawiska

są udawaniem nieciągłości, na przekór realnej ciągłości. Ani dekretowana IV Rzeczpospolita, ani marsze równości nie są uzewnętrznieniem żadnego społecznego przełomu. W obu przypadkach jest to próba wprowadzenia w sposób sztuczny znamion rewolucji w żywy organizm społeczny, który znajduje się w toku spokojnej ewolucji i utrzymuje w niezłej równowadze pierwiastki tradycji i modernizacji. Narzuca się i potęguje konflikty odgórnie. Nie są one manifestacją czegoś głębszego, lecz manifestacją samą w sobie, naskórkową. Dekretuje się rzeczywistość.

Póki co, IV Rzeczpospolita to zestaw instrumentów prawno-instytucjonalnych, które mają służyć naprawie moralnej. Proponuje się leczenie narodu poprzez państwo i jego urzędników, przy nieskrywanej nieufności wobec wszelkich przejawów samorządności i społecznej samoorganizacji. Moralna naprawa codziennych obyczajów ma się zacząć od sanacji struktur państwa, czyli wyczyszczenia tych wszystkich brudów, którymi zarosła III Rzeczpospolita z przyzwolenia Adama Michnika i zbiorowego „szwarczaka”, jakim mianuje się Unię Wolności. Ryba psuła się od głowy i naprawę trzeba zacząć od góry. Sposobem na układ gnilny jest własny układ, czyli administratorzy sanacji, przepętieni poczuciem misji, wspomagani przez Narodowy Instytut Wychowania. Tylko w ten sposób – zdaniem zwolenników tej wizji powrotu do tradycyjnych wartości – można zakończyć żywot PRL-u. Przypominają mi się inne, mniej buńczuczne, próby wyznaczenia odmiennej daty „prawdziwego” końca PRL-u niż przełom 1989 i 1990 roku. Słyszałem w Sejmie, jak Michał Kulesza łączył to z reformą administracyjną kraju, wywołując szczere zdumienie Tadeusza Mazowieckiego. Teraz, ze śmiertelną powagą, zapowiada się wskrzeszenie Rzeczypospolitej, po okresie błędów i wypaczeń, zapoczątkowanym przy Okrągłym Stole.

Dostrzegam u niektórych głosicieli IV RP nieśmiałe nawiązanie do tej syntezy tradycji i nowoczesności, jaką stanowi Bawaria. Wyraża się to w hasle Edmunda Stoibera *Laptop und Lederhose*. Chciałoby się łączyć gospodarkę informatyczną ze szczerym zakorzenieniem w tradycji. Jednak w naszym przypadku jest to jedynie marna imitacja. Wątek gospodarczy, uboczny, jest kwiatkiem do kożucha IV RP. Ten projekt eksploatuje raczej lęki trans-

formacji i budzi nostalgię za bezpieczeństwem socjalnym PRL-u. Grzęźnie w przeciwstawianiu „zgniłej” Europy dobrej w swej istocie Polsce, którą trzeba chronić przed nadmiernym wpływem Zachodu. To jest sedno przekazu Radia Maryja i telewizji Trwam jako nowych mediów rządowych. Temu wszystkiemu jednak nie po drodze z innowacyjną, otwartą gospodarką. Natomiast pasują tu jak ulał etatystyczne narzędzia naprawy państwa i społeczeństwa – urzędy centralne i komisje sejmowe.

Marsze równości jako drugi biegun współczesnej Polski są także zjawiskiem naskórkowym. Dla części uczestników stanowią one okazję do wyrażenia autentycznych przekonań, dla części to wyraz solidarności z tymi, którym zakazano manifestacji, ale w znaczącej części jest to produkt importowany. Co więcej, z całym szacunkiem dla tych, którzy idą na paradę w imię tolerancji, pierwiastek autentyczny jest eksploatowany i zinstrumentalizowany politycznie przez lewicę. Marsze te nie porywają społeczeństwa, które już dojrzało do tolerancji, natomiast niekoniecznie godzi się na agresywne demonstrowanie inności. To razi i wcale nie służy sprawie tolerancji.

Rzeczywistość poza oknami sali, w której debatujemy o tradycji i nowoczesności, stawia symboliczną barykadę. Z jednej strony manifestacje europejskiej rewolucji obyczajowej, z drugiej strony – polityka historyczna, powrót do przeszłości. Powtórzę swoje odczucie – po obu stronach mamy do czynienia ze sztuczną próbą zerwania ciągłości, wyrwaną ze społecznego kontekstu. Niejako ponad głowami ludzi wciąganych w nieswoją bitwę. Testem jest dla mnie zachowanie młodzieży. Młode pokolenie bywa zazwyczaj nośnikiem buntu, a może to być także bunt konserwatywny. Ten główny, potencjalny bohater pozostał na uboczu. Obie strony barykady nie definiują i nie rozwiązują problemu młodego pokolenia Polaków. Pozostało ono raczej klientem i kibicem niż podmiotem. Jego kondycję można opisać bardziej jako alienację niż współudział.

Jakiś czas temu rozgorzała dyskusja o pokoleniu III RP, które na łamach „Gazety Wyborczej” definiowało się jako „pokolenie Nic”. Mowa o rocznikach, które spóźniły się na wielką przygodę opozycji, jaka była udziałem pokolenia NZS-u. Nie przeżyło także przygody bardziej elitarnej, jaką był

polski żywiłowy kapitalizm początku lat 90. Wtedy absolwent uczelni nosił buławę w plecaku, gotów ryzykować własny biznes (typu „Wirtualna Polska” zakładana w akademiku Politechniki Gdańskiej) na nienasyconym rynku. Pokolenie, o którym mowa, spóźniło się i na tę przygodę. Ugrzęzło w dosyć przyziemnym bytowaniu, trafiając na fatalną sytuację na rynku pracy, która ogranicza aspiracje życiowe. Pomimo frustracji i alienacji, nie jest to klientela IV Rzeczypospolitej. Ta przedstawia się mniej ciekawie, jako głos prowincji, starszy niż młodszy, mniej wykształcony, gotów żywić zawiść i ulegający typowemu w Europie Środkowo-Wschodniej arsenatowi chwytów populistycznych. To pokolenie nie jest też specjalnie zainteresowane manifestacjami rozmaitych mniejszości w Polsce. Scharakteryzowałbym je jako pokolenie postmodernistycznego konserwatyzmu. Młodzi opowiadali się w ostatnich wyborach za wizją Polski proponowaną raczej przez Donalda Tuska niż przez budowniczych IV RP, ale wielu nie poszło do urny. Jakiś ślad pozostawiło w nich doświadczenie śmierci Jana Pawła II, choć etykietowanie ich jako „pokolenie JP2” jest nieco na wyrost. Ludzie ci znajdują się bez kompleksów w Unii Europejskiej, są otwarci i tolerancyjni, ale nie porywają ich uliczne demonstracje rewolucji obyczajowej.

Dzisiejsze, odgórnie aranżowane spięcia „nowoczesności” i „tradycji” nie wyrastają ze społecznej gleby. Moim zdaniem, jako konflikty politycznie manipulowane powodują szkodę. Prowadzą do zaostrzenia zastępczych sporów i odciągają uwagę od rzeczywistych problemów. Demonstracje obyczajowe tworzą i potęgują nową linię podziału w społeczeństwie. Nie budują kultury współzycia, bo są zbyt agresywnym przejawem ucieczki do przodu, w imię jednostronnie pojmowanej „postępowości”. Z kolei ideologia IV Rzeczypospolitej z właściwym jej pojmowaniem tradycji także dzieli, a nie integruje. W dodatku jest antytezą uwolnienia energii ludzkiej. To ucieczka w stronę opiekuńczej ręki państwa i poddania jej nie tylko gospodarki, ale też publicznej moralności. Jest to zła odpowiedź na współczesne wyzwania. Nie ułatwia Polsce znalezienia właściwego miejsca w europejskiej rodzinie. Zakompleksiony kuzyn, który jednocześnie próbuje być mesjaszem, nie będzie twórczym uczestnikiem europejskiego dialogu...

Dyskusja

Jerzy Jedlicki

W XIX wieku i pierwszej połowie następnego stulecia w Europie panował lęk przed nową technologią i skutkami, jakie ze sobą niesie, przed rosnącym tempem życia, przed rozpadem małych, gminnych czy parafialnych wspólnot, wreszcie przez zmianami obyczajowymi. Obawy te były bardzo silne i znalazły swoje odbicie w ówczesnej literaturze, filozofii i sztuce. W drugiej połowie XX wieku sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Technika zwyciężyła, potrafiła bowiem trafić do umysłów dzieci i młodzieży. Pielęgnowana od dzieciństwa pasja do samochodów, samolotów, czołgów, komputerów i gier komputerowych, wreszcie do telefonów komórkowych ostatecznie przewyciężyła opory przed nowoczesną technologią. Na marginesie wspomnę, że dawniejsze obawy biologów, fizjologów, lekarzy, psychiatrów itd., iż nadmierna stymulacja spowoduje groźne skutki psychiczne, okazały się bajkami. Mózg człowieka jest organem o nieprawdopodobnej zdolności do adaptacji, potrafi się przystosowywać do dawniej zupełnie niewyobrażalnych doświadczeń i ciągle pragnie ich więcej.

Jaki jest związek między życiem w coraz szybszym tempie i uzbrojeniu technicznym, na które przyzwala czy które wręcz afirmuje większość społeczeństw współczesnych, a naszymi wyobrażeniami mentalnymi, religijnymi, metafizycznymi czy politycznymi? Dokładnie tego niepodobna stwierdzić.

Na pewno nie można mówić o obowiązywaniu jakichś ścisłych determinizmów. Ludzie poddani takiej ponowoczesnej czy ultranowoczesnej stymulacji mogą przestać uznawać jakiegokolwiek autorytety i stać się zdecydowanymi permissywiŃstami w wychowaniu i w swoich wyobraŃzeniach socjologicznych. Inni, przeciwnie, mogą odczuwać duŃy głód wartoŃci sprawdzonych, trwałych, tradycyjnych i wspólnotowych. Różne mogą być reakcje na zmiany cywilizacyjne. Trzeba jednak podkreŃlić, Ńe mówienie o postępie czy wstecznictwie w sferze mentalnej jest nieporównanie trudniejsze, aniŃeli mówienie o zewnętrznych objawach cywilizacji technicznej. Proces nowoczesnoŃci, powodujący w Europie opustoszenie koŃciółów, w Ameryce do tego nie prowadzi. MoŃe zatem w różny sposób oddziaływać na religijnoŃć i ludzką potrzebę istnienia wspólnoty wyznaniowej. Natomiast jest dziedzina, gdzie, jak sędzę, mamy prawo mówić o postępie w Ńwiecie wyobraŃeŃ: chodzi o prawa człowieka. To, Ńe nie uznaje się dzisiaj tortur, kar haŃbiących, poddaŃstwa kobiet i niewolnictwa, mimo Ńe te zjawiska nadal istnieją na Ńwiecie, pokazuje, Ńe można mówić o procesie postępu w dziedzinie aksjologii, doktryny prawnej i doktryny politycznej. Podobnie jak mówi się o prawach dzieci do tego, aby nie byli bite, czy o prawach mniejszoŃci.

Spróbujmy z tego punktu widzenia przyjrzeć się Polsce. Na pewno można stwierdzić, Ńe w naszym kraju, podobnie jak wszędzie tam, gdzie procesy globalizacji technicznej oraz cywilizacyjnej weszły z opóźnieniem i w gwałtowny sposób, brak dostosowania pospolitej społecznej mentalnoŃci do nowej sytuacji. NowoczesnoŃć zderza się – w wielu segmentach społeczeŃstwa – z doŃć archaiczną mentalnoŃcią i z dawnymi, niewspółczesnymi wyobraŃzeniami o uprawnieniach jednostki ludzkiej i poszczególnych wspólnot (na przykłąd o prawach kobiet). DoŃć częŃte są uprzedzenia w stosunku do grup mniejszoŃciowych, etnicznych, narodowych, do Ńydów, do czarnych, do muŃułmanów. Słyszemy wiele doniesieŃ z rozmaitych miast i miasteczek polskich o napadach na ludzi wyróżniających się chociaŃby kolorem skóry.

Ten bardzo wysoki poziom nietolerancji w polskim społeczeŃstwie napotyka w tej chwili na atmosferę przyzwolenia dla takich postaw ze strony ugrupowaŃ prawicowych: nie ze strony samego Prawa i SprawiedliwoŃci, ale

ugrupowań, które ta partia legitymizuje. Niewiele dotąd tutaj mówiło się o Lidze Polskich Rodzin, o Młodzieży Wszechpolskiej, którą o. Maciej Zięba OP uznał za stosowne porównać z działaczami ekologicznymi, twierdząc, że jedni i drudzy stwarzają podobne (*sic!*) niebezpieczeństwo dla warunków współżycia społecznego¹. Jeżeli weźmiemy pod uwagę treści prezentowane w Radiu Maryja i „Naszemu Dzienniku”, jeżeli popatrzymy na organizacje wychodzące obecnie z marginesu społecznego dzięki ich legitymizacji przez partię braci Kaczyńskich i zajmujące miejsce w głównym nurcie życia politycznego w Polsce, to sądzę, że mamy prawo mówić o poważnym zagrożeniu. Można uznać tego typu przekonanie o istniejących zagrożeniach za histerię. Jeśli tak, to pozostanę zwolennikiem dyskursu historycznego wedle definicji, którą sformułował Ryszard Legutko².

Wiktor Osiatyński

Nowoczesność jest pojęciem trudnym do zdefiniowania, jednak wyróżniki podane przez Jerzego Jedlickiego – otwarcie na nowość i inność oraz ochrona tej inności – wystarczają na potrzeby naszej dyskusji. Przyjmując ten punkt widzenia, trzeba stwierdzić, że Radio Maryja i jego słuchacze reprezentują nurt antymodernizacyjny czy też nienowoczesny, niezależnie od nowoczesności samej organizacji. Zarówno to Radio, jak i cały ruch skupiony wokół niego są niewątpliwie jedną z najlepiej stworzonych instytucji niezależnego społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. Jednak nie ten aspekt ich działalności jest dla nas istotny. Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych należy do grupy nowo narodzonych chrześcijanin. Owo „nowonarodzenie” odbyło się na rękach protestanckiego kaznodziei Billy Grahama. Jednak ani ministrowie powoływani przez prezydenta, ani sam George W. Bush nie jeżdżą do rozgłośni radia prowadzonego przez tegoż kaznodzieję – ważnego przecież medium – by ogłaszać tam program działań swojego rządu. Tego typu zachowania nie mieszczą się w standardach cywilizowanego społeczeństwa,

¹ Zob. wypowiedź Macieja Zięby OP w niniejszej publikacji, s. 49.

² Zob. artykuł Ryszarda Legutki w niniejszej publikacji, s. 15.

gdzie przyjęty jest – niezależnie od konkretnych definicji – rozdział między Kościołem a państwem. Oczywiście, w systemie demokratycznym obowiązują różne modele tych stosunków, jednak naruszanie zasady rozdziału państwa od Kościoła, a tym właśnie jest tak częsta obecność w rozgłośni Radia Maryja aktualnie rządzących Polską, musi budzić obawę.

Zdzisław Krasnodębski podkreśla, że obecnie w Polsce nie ma zagrożenia autorytaryzmem. Na pewno – muszę to stanowczo zaznaczyć – można dzisiaj mówić o przejawach braku tolerancji, czego przykładem są zakazy marszów gejów. Marsze równości – ku przypomnieniu Januszowi Lewandowskiemu – przetoczyły się jako odpowiedź na te zakazy. Była to odpowiedź ludzi – często z gejami nie mających nic wspólnego – na ograniczanie konstytucyjnego prawa. Dlatego oburza mnie stwierdzenie, że organizacja takich imprez powoduje niepotrzebne zaostrzenie sytuacji, sama będąc wręcz przejawem agresji. Ani w Poznaniu, ani w Warszawie nie było żadnej agresji ze strony uczestników tych marszów.

Jednak poza tymi przejawami nietolerancji można już teraz mówić o zagrożeniach autorytaryzmem. Przykładem mogą być: tworzenie instytucji specjalnych o uprawnieniach policyjnych czy skracanie trwałości konstytucyjnego, niezależnego organu, bez uzyskania poparcia większości konstytucyjnej. Przecież podstawowym problemem nie jest „skok” Prawa i Sprawiedliwości na Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Każde ugrupowanie, przejmując władzę, starało się podporządkować sobie KRRiT i obsadzić ją swoimi ludźmi. Jednak robiono to, szanując mimo wszystko konstytucję i przepisy prawne, określające reguły kadencyjności członków rady. Sam termin upływu kadencji mógłby być skrócony, ponieważ nie jest on chroniony konstytucyjnie. Nie doszło w tym przypadku do złamania konstytucji, lecz reguł państwa konstytucyjnego. Jeżeli jednak już chciano doprowadzić do wymiany członków Rady, to powinno się uzyskać poparcie konstytucyjnej większości 2/3 głosów. Tylko taki ruch miałby jakąkolwiek legitymację.

Ważna jest też sfera werbalna. Stwierdzenie rzecznika rządu, że jakaś wypowiedź gazety albo dziennika telewizyjnego narusza interesy rządu, bo nie była odpowiednio afirmatywna, czy też grożenie lekarzom, że zostaną

poślani w kamasze, jest niebezpieczne. Oczywiście, są to drobiazgi, ale z nich właśnie, powoli, niepostrzeżenie, zwłaszcza przy tak niskim zaufaniu społecznym i jednoczesnym poparciu dla skrajnych poglądów, buduje się podwaliny państwa autorytarnego.

Zdzisław Krasnodębski zaznacza też, że demontaż komunizmu postulowany przez Prawo i Sprawiedliwość nie jest sprzeczny z nowoczesnością. Kiedy się patrzy na instytucje państwa i stosunek państwa do społeczeństwa – o czym mówił Janusz Reykowski³ – można dostrzec, że w Polsce następuje remontaż komunizmu. Dzisiaj – mówię to wprost – dekomunizację w Polsce trzeba zacząć od głów braci Kaczyńskich, bo tego śmiecia jest tam ogrom! To ogrom niebezpiecznych pomysłów. Lektura projektu Konstytucji przygotowanego przez PiS pozwala zobaczyć, jak rodzi się pomysł autorytarnego państwa. Przeanalizujmy inne ich projekty, przede wszystkim proponowane mechanizmy instytucjonalne i programowe polityki karnej oraz polityki stosunku do przeszłości. Polityka karna, o której mówi nie tylko Zbigniew Ziobro, może przynieść dobre rezultaty instytucjonalne, ale towarzyszy jej atmosfera – podsycana przez propagatorów tych zmian – represji, odwetu, urazy i nienawiści. Obawiam się, że na takich uczuciach nie można budować społeczeństwa czy jakiejś harmonii społecznej, która mogłaby scalić zdeintegrowane społeczeństwo. Mamy do czynienia nie z realizacją programu, lecz z rozczarowaniem. IV Rzeczpospolita miała być budowana w oparciu o pewne zasady oczyszczenia moralnego. Jednak – przepraszam za banal – mówienie o odnowieniu moralnym we współpracy z Andrzejem Lepperem, Jackiem Kurskim czy – mimo wszystkich różnic – z Zytą Gilowską, która – przypomina – odeszła z poprzedniej partii z powodu działań nepotystycznych, jest nieporozumieniem. Współpraca z tymi ludźmi nie mieści się w kategoriach odrodzenia moralnego. Tym bardziej mogą budzić wątpliwość intencje, które miały uzasadniać działania zwiększające autorytaryzm państwa.

Chciałbym odnieść się do jeszcze jednej kwestii. Zdzisław Krasnodębski postulował prowadzenie polityki historycznej afirmującej, a nie odrzucającej

³ Zob. wypowiedź Janusza Reykowskiego w niniejszej publikacji, s. 89.

polską przeszłość. Czy któryś krytyczny historyk odrzuca polską przeszłość? Czy pisanie o Jedwabnym, o polskich wadach, o okrucieństwach popełnionych przez Polaków na Białorusinach, Litwinach czy Ukraińcach jest odrzuceniem polskiej przeszłości? Polityka historyczna w wizji, którą chcą nam ufundować zwolennicy IV Rzeczypospolitej, świadczy o ich ślepotcie. Żadne społeczeństwo, naród, nawet pojedynczy człowiek nie może uczyć się jedynie na podstawie dobrych i wielkich rzeczy uczynionych w życiu. Uczy się przede wszystkim na podstawie złych czynów i starań, by je przewyciężyć. Wykastrowanie polskiej historii ze spraw bolesnych i trudnych jest intelektualnie bardzo wątpliwe, a też szkodliwe czy wręcz niebezpieczne.

Ostatnia, zasadnicza rzecz. Zasada solidaryzmu nie jest obca Europie. Natomiast przeciwstawienie zasady solidarności – zasadzie liberalizmu, czyli tolerancji, jest czymś nowym w Europie i doskonale wpisuje się w antymodernizacyjny projekt zwany *illiberal democracy*, czyli nieliberalną demokracją.

Andrzej Mencwel

Z zainteresowaniem przyjmuję propozycję Zdzisława Krasnodębskiego, aby dokonać zmyślnego odwrócenia kwestii modernizacji i – upraszczając – zmodernizować modernizatorów. Dodałbym jednak do tego zabiegu drugi, analogiczny, lecz skierowany do tradycjonalistów. Trzeba bowiem, moim zdaniem, nauczyć tradycjonalistów polskiej tradycji, bo najwyraźniej jej nie znają albo – co gorsze – ją kastrują. Być może zapowiadany przez PiS Narodowy Instytut Wychowania nauczaniem tym się zajmie, w co jednak wątpię, bo instytuty w nauce nie robią niczego, jeśli nie mają uczonych, a tych jakoś nie widać. Może więc wedle dobrze znanej reguły – trzeba najpierw wychować wychowawców.

Można też powiedzieć, że politykę historyczną uprawia się zawsze. Nawet jej zaniechanie jest też uprawianiem takiej polityki. Podjęcie tego zagadnienia przez młodych intelektualistów związanych z Prawem i Sprawiedliwością jest ważne, ale pamiętajmy, że politykę historyczną można uprawiać na różne sposoby, wspierając się na różnych wizjach historii Polski i polskiej

tożsamości historycznej. W toku ostatnich kilkudziesięciu lat – wskazanie początku jest zawsze trudne, ale powiedzmy, że od wyboru Karola Wojtyły na papieża – dokonano się, moim zdaniem, istotne przesunięcie dominant polskiej tożsamości. Nawiasem mówiąc – tożsamość jest zawsze dynamiczna, ponieważ jest historyczna, a nie kamienna, stanowi więc pewną konfigurację właściwości, o zmiennych relacjach wewnętrznych. Na przykład wewnątrz kraju i przynajmniej częściowo również w świecie katolicy polscy przestali być identyfikowani (i samoidentyfikowani) jako grupa etniczno-nacjonalistyczna, a zaczęli być postrzegani jako ekumeniczni i uniwersalistyczni. Zastugi Jana Pawła II są tu zasadnicze, ale nie on jeden ma udział w tej przemianie. Kwestia ta nie jest abstrakcyjnie religioznawcza czy moralistyczna, ma ona również praktyczne znaczenia polityczne. Nie można uprawiać przyszłościowej polityki wschodniej (to znaczy nastawionej na emancypację narodów i państw strefy posowieckiej), jeśli się tego ekumenicznego i uniwersalistycznego wizerunku Polaków nie wzmocni, a będzie się wracać do wizerunku etniczno-nacjonalistycznego. Radio Maryja korzysta z prawa do wolności słowa, jest więc elementem społeczeństwa obywatelskiego i ma prawo do istnienia – ale to ono podważa ekumeniczny wizerunek polskiego katolicyzmu.

Drugim ważnym składnikiem tej nowej tożsamości zbiorowej i naszego wizerunku w świecie, co przecież wpływa na nasze relacje z innymi nacjami i krajami, jest „Solidarność”, największy pokojowy ruch społeczny w nowoczesnej Europie. Nie jestem zwolennikiem historii apologetycznej i pospiesznych uświęceń – jestem zwolennikiem historii krytycznej, a nie należę też do żadnej organizacji kombatanów. To jednak, co dzieje się wokół historycznego wizerunku „Solidarności” i tego jej symbolu, jakim – w skali światowej – jest Lech Wałęsa, napawa mnie po prostu przerażeniem. Nazbyt wielu, nie wiem, czy ze złej woli czy z głupoty, stara się ten wizerunek znieprawić i ten symbol zniszczyć – dowodząc zaciekle, że Wałęsa był agentem, a cały ruch został przeżarty agenturą, więc poniekąd był jej tworem. Jeśli zapytać, komu może naprawdę zależeć na tej degradacji, odpowiedź będzie prosta – tym, którzy nie pogodzili się z końcem sowieckiej dominacji.

Trzecim bardzo ważnym składnikiem tej nowej polskiej identyfikacji był sposób wyjścia z dawnego reżimu, z komunizmu, i przejścia do III Rzeczypospolitej, która radykalnie zmieniła, nie wolno o tym zapominać, naszą sytuację geopolityczną. Stało się to jednocześnie dzięki sile pokojowego ruchu masowego i dzięki zdolności polityków do historycznego kompromisu, którego symbolem jest Okrągły Stół. To był koniec stereotypowego wizerunku polskiego irredentyzmu, który nie cieszy się wielkim uznaniem w świecie – och, ci Polacy, znowu nie w porę, znowu ofiarnie i znowu daremnie! Cały proces pokojowego wychodzenia z komunizmu świadczy o politycznym realizmie, dobrej kalkulacji i niechęci do ponoszenia daremnych ofiar. Dzięki Kościołowi, opozycji demokratycznej (silniejszej niż gdziekolwiek indziej), dzięki „Solidarności” i wreszcie historycznemu kompromisowi rozmontowaliśmy największe imperium w dziejach świata – bez jednego wystrzału.

Ten nowy wizerunek polskości nie tylko nie został należycie wyzyskany, ale jest też obecnie degradowany. Zastępuje się go odgrzewanymi romantycznymi kliszami, naznaczonymi niewolą i wszystkimi jej kompleksami – narodu opuszczonego, jeśli nie osaczonego, nieustannie cierpiącego, z chorobliwym poczuciem krzywdy i klęski. Z tym się niczego nie da osiągnąć w świecie, w jakim żyjemy.

Te trzy wskazane powyżej właściwości naszej odnowionej tożsamości uważam za warunki brzegowe naszego historycznego istnienia. Przekroczenie tych warunków brzegowych będzie oznaczać zepchnięcie nas do tożsamości etnicznej, przedmiotowej, anarchicznej. Komuś znowu uda się wmówić światu, że Polska jest chorym człowiekiem Europy. Nie trzeba dowodzić, w czyim interesie leży utrwalenie tego wmówienia. Od trzystu lat – zawsze w tym samym.

Andrzej Walicki

Nie tylko zdziwienie, lecz również sprzeciw wywołują we mnie twierdzenia Zdzisława Krasnodębskiego, że w Polsce nie ma przeciwników modernizacji. Wydaje mi się, że tacy przeciwnicy są, i to nawet liczni. Dlaczego? Trzeba zde-

finiować termin „modernizacja”. Moim zdaniem, jednym z jej aspektów – nie pretenduję do definicji wszechogarniającej – jest indywidualizacja. W modelu modernizacyjnym jednostki są mobilne, tożsamościowo niedookreślone, zdolne do przenoszenia się z miejsca na miejsce, zgodnie z logiką globalizacji, akceptują inność. Tymczasem w Polsce propaguje się model jednostki zakotwiczonej, przynależnej, wyraźnie określonej tożsamościowo, a nawet światopoglądowo. Postulowana jest polityka tożsamości, której element stanowi właśnie polityka historyczna. Jestem krytyczny wobec wielu zjawisk w Stanach Zjednoczonych, tam po prostu nieprzyzwoitością jest zajmowanie się polityką tożsamości. Polityka tożsamościowa jest polityką wykluczania, a nawet monotożsamością w dziedzinie modelu narodu. W Polsce propaguje się naród monotożsamościowy, nie zaś – jak to nazwałem – „nacjonalizm liberalny”, czyli model narodu wielotożsamościowego, będącego wspólnotą komunikacyjną, w ramach której mieści się wspólnota porozumienia, ale mieszczą się również różne tożsamości, odmienne tradycje i pamięci narodowe. W Polsce nacisk położony jest na jedną pamięć narodową, dodatkowo zinstytucjonalizowaną i wymuszaną przez instytucję państwową, jaką jest Instytut Pamięci Narodowej. Owo wymuszanie dokonuje się niekiedy przy pomocy pogroźek, że sprawdzi się czyjaś tożsamość i przeszłość. Polityki tożsamościowej nie można uznać za zgodną z modernizacją.

Zdzisław Krasnodębski w swojej książce *Demokracja peryferii*⁴ przeciwstawił nowoczesnej demokracji liberalnej model klasyczo-republikański czy też wspólnotowo-republikański. Odwołał się nawet do republikanizmu staropolskiego z okresu katolickiej kontrreformacji. Ideał klasycznego republikanizmu, nawet pozbawiony sztafażu staropolskiego, w debatach „nowoczesność” – „nienowoczesność” jest określany jako antymodernizacyjny, sprzeczny z modernizacją, ponieważ ma silny wydźwięk antyliberalny. To model sprzężony z tzw. starożytnym rozumieniem wolności, czyli, posługując się typologią Benjamina Constanta, ideą, w której wolność przysługuje nie jednostce, tylko pewnej zbiorowości. Ta zbiorowość ma być wolna, ale

⁴ Zdzisław Krasnodębski, *Demokracja peryferii*, Gdańsk 2003.

jednocześnie ma prawo do nawet tyrańskiej władzy nad jednostkami, egzekwowanej przez różne ostracyzmy, banicje, potępienia; wolność przystępuje tu podmiotowi zbiorowemu, a nie jednostkom szukającym ochrony przed despotyzmem zbiorowości. Ten podmiot zbiorowy, jakim jest republika, ma władzę wykluczania. Wobec jednostek reprezentuje instancję bezwarunkowo nadrzędną, wymagającą nie tylko zgodności z prawem, ale także moralnego konformizmu. Ten konformizm jest wymuszany przez formy społecznej kontroli nad jednostką, ścisły, wzajemny nadzór, gdzie jedni ludzie pilnują moralności drugich. Starożytna koncepcja wolności jest zaprzeczeniem nowożytnej koncepcji wolności, sprzężonej z modernizacją.

Przeciwnikiem nowoczesności był Jean-Jacques Rousseau, jeden z niewielu zwolenników republikańskiego ideału w okresie Oświecenia. W swoich *Uwagach o rządzie polskim*⁵ – tak pozytywnie ocenianych w książce Zdzisława Krasnodębskiego – wystawiał starorepublikańską wolność szlachecką, zgodnie z którą wszyscy, od ostatniego ze szlachty, a nawet z chłopów, aż do króla, w miarę możliwości zależą od szacunku publicznego, a bez tego ostatniego nie można nic zrobić, niczego nabyć, do niczego dojść. Jednym słowem, podmiot zbiorowy zajmuje się kontrolą dystrybucji szacunku społecznego: jednym daje ten szacunek, drugim go odbiera, w ten sposób egzekwując władzę. Z nowoczesnego punktu widzenia jest to model tyrański i trudny do zaakceptowania. Nie można przystaniać różnic między starożytnym ideałem wolności a nowożytnym ideałem wolności, między „jednostką mobilną” a „jednostką zakotwiczoną”, między jednostką monotożsamościową a tą zdolną do akceptacji inności. Dzisiaj *expressis verbis* każde polskie dziecko akceptuje elektroniczne przyrzady. Nie tu trzeba szukać wrogów nowoczesności. Niebezpieczeństwem jest upolityczniony neotradycjonalizm. Tu raz jeszcze odwołam się do przykładu Instytutu Pamięi Narodowej. Jednym z aspektów IPN-u jest pozaprawna, pozasądowa kontrola, sprawowana w imieniu zbiorowości nad cudzą moralnością, i dystrybucja szacunku w społeczeństwie.

⁵ Jean-Jacques Rousseau, *Umowa społeczna oraz Uwagi o rządzie polskim*, przeł. Bronisław Baczko i inni, Warszawa 1966.

Rafał Matyja

Chciałbym powiedzieć o często pomijanej perspektywie modernizacyjnej. Inaczej wygląda proces modernizacyjny w krajach rozwiniętych, inaczej w krajach mających poczucie zacofania, zapóźnienia. W takich przypadkach, jak Rosja, Turcja, ale też w pewnym okresie Prusy, istniał program modernizacyjny, który można określić okcydentalizacją z kompleksami. Nie należy sytuacji tych państw porównywać z takimi przypadkami jak współczesna Polska. Co ciekawe, w naszym kraju mieliśmy do czynienia z programami modernizacyjnymi niekoniecznie związanymi ze światem liberalnym czy lewicowym. Wystarczy przytoczyć przykłady krytyki charakteru narodowego dokonywanej przez Stańczyków, *Myśli nowoczesnego Polaka* Romana Dmowskiego czy program wykorzeniania wad narodowych autorstwa kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wszystkie te projekty były częściowo afirmatywne, ale jednocześnie pełne radykalnej krytyki polskości. Niedostrzeżenie tego aspektu modernizacji byłoby błędem. Natomiast przykładem „terapeutycznego” aspektu polityki historycznej „terapeutycznej” mogą być słowa Jana Pawła II wygłoszone podczas pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 roku, kiedy Papież odwoływał się do korzeni polskości jako źródła siły narodu. Wystąpienie Papieża pokazuje, że nie każda afirmacja przeszłości jest groźna i powoduje ogłupienie narodu. Można pokazywać pozytywy, bez żądania jednoczesnego milczenia o rzeczach negatywnych. Czytałem teksty autorów proponujących dzisiaj prowadzenie współczesnej polityki historycznej. To są wypowiedzi nierzadko lokujące się w tradycji konserwatywnej krytyki charakteru narodowego Polaków. Proszę pokazać mi tekst, który nakazywałby mówienie jedynie afirmatywnie o narodzie polskim, bez wspomniania o złych stronach jego przeszłości. Nie znajdziemy tak daleko idących żądań. Postulat prowadzenia aktywnej polityki historycznej jest reakcją na postępującą amnezję, a nie na nadmiar krytyki. Nie możemy sprowadzać jedynej dopuszczalnej krytyki charakteru narodowego do modelu proponowanego przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego. To był ciekawy projekt modernizacyjny, ale przecież nie jedyny w XX wieku.

Dzisiaj dyskutuje się o dwóch aspektach okcydentalizacji. Jeden dotyczy sfery obyczajowej, drugi – instytucji publicznych. To są odrębne kwestie. Chcę mówić właśnie o tym drugim aspekcie. Polskie instytucje, zwłaszcza publiczne, potrzebują naprawy. Potrzebne są na przykład publiczna kontrola pokazu nadawanego w telewizji publicznej oraz zapewnienie demokratycznego dostępu do wizji i wolności pracy dziennikarskiej. Natomiast do uzdrowienia tej instytucji potrzeba znacznie więcej, potrzeba – niestety – bardzo twardych rządów. Telewizja publiczna, rozumiana nie tylko jako to, co „na wizji”, ale jako ogromna spółka, musi znaleźć się pod superkontrolą jednego ośrodka decyzyjnego, ponoszącego pełną odpowiedzialność za jej stan. Dotychczas zarówno Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, jak i rada nadzorcza telewizji skutecznie „rozmywały” jakąkolwiek odpowiedzialność za sytuację panującą w TVP. Naprawa tej instytucji wymaga rządów twardej ręki. Oczywiście, proces naprawy musi przebiegać tak, aby nie dochodziło do rządów partyjnych w tych instytucjach.

Wiele osób mówiło tu o różnych obawach i lękach. Opowiem o swojej obawie. Nie bardzo boję się autorytaryzmu Prawa i Sprawiedliwości, zwłaszcza po pierwszych miesiącach rządów tej partii. Lękam się tego, że, jak pisał przed laty Marcin Król w swojej książce *Podróż romantyczna*, może powtórzyć się sytuacja: „poszli nasi w bój bez broni”. Obawiam się, że cały projekt naprawy państwa może ograniczyć się do deklamacji, ugrzęznąć w gwałtownych polemikach, pozostać w sferze słowa, a nie czynu. Uważam, że prawdziwym zagrożeniem jest rozpetnięcie się próby naprawy państwa w nijakości. Wówczas rządzącym pozostanie jedynie pilnowanie własnych interesów partyjnych czy, co jeszcze gorsze, osobistych.

Antoni Sułek

Tematem naszej dyskusji jest „tradycja” i „nowoczesność”. Tymczasem umyka nam inne ważne pojęcie: „dziedzictwo”. Różnica między oboma pojęciami wydaje się istotna: dziedzictwo jest czymś już określonym i nam danym, tradycja zaś to przedmiot wyboru, będący częścią dziedzictwa

narodowego wartościowaną pozytywnie. W związku z tym nie ma jednej tradycji, nie istnieje wybór między tradycją a nowoczesnością, lecz między rodzajami nowoczesności i różnymi rodzajami tradycji. Wybór tradycji jest zawsze wyborem politycznym i zawsze wiąże się z nim rozmaite lęki i obawy, jednak od tradycji uciec nie możemy. Może ona jedynie być obejmująca lub wykluczająca. Obecnie obserwujemy zmianę tradycji. Zaczyna dominować wizja afirmatywna, natomiast zmniejsza się znaczenie refleksyjności wobec własnego dziedzictwa historycznego. Podkreśla się rolę pięknych i szlachetnych wydarzeń narodowych, następuje wręcz ich przenoszenie do kategorii „mitów”, które łączą społeczność poprzez akceptację własnych dziejów, a nie poprzez refleksję nad nimi.

Gdybyśmy chcieli opisać obecną sytuację w Polsce, to warto byłoby odwołać się do wczesnej nowoczesności, kiedy za dominujące zagrożenie uważano indywidualizm, będący, jak wiadomo, wrogiem wszelkiej wspólnoty. W postawie indywidualistycznej dominuje egoizm, przywiązanie do własnych wartości, a nie do wartości wyższych. Upowszechnienie indywidualizmu wiąże się z anomią, rozchwianiem, brakiem jednoznacznej sytuacji aksjologicznej. Panuje zamęt w głowach. W takim stanie słabe są więzy społeczne, a podejmowane przez polityków PiS-u próby dokonania zmian można zrozumieć jako projekt zmiany społeczeństwa, tak aby nastąpiło jego uspójnienie, wzrost integracji, silniejsze przywiązanie do ograniczonego zespołu wartości, z czym wiąże się większa regulacja tej sfery. Oczywiście, na końcu tak wytyczonej drogi zmian może znajdować się porządek, którego by nikt nie polubił. Do osiągnięcia harmonii społecznej, czyli pewnego *equilibrium*, potrzebne są jednostki autonomiczne, znajdujące się gdzieś pośrodku, między wymiarem egoizmu, anomii i altruizmu. Jednak nie każdy ruch w stronę wartości wspólnotowych, wprowadzenia regulacji społecznej, jest negatywny. Jest nim jedynie ruch wychodzący spoza granic *equilibrium*. Uważam, że nie można oceniać krytycznie ruchu politycznego tylko z powodu przesuwania się w pewnym zadanym kierunku. Podstawowym zadaniem powinno być zasta-

nowienie się, jakie zmiany w organizacji społeczeństwa i w jego ideologii są możliwe, aby jednostka pozostała wolna i autonomiczna.

Andrzej Waśkiewicz

Problem autorytaryzmu był już przedmiotem krótkich wystąpień kilku osób, natomiast mniej zajmowano się problemem etatyzmu. Tymczasem – sędzę – jest to obecnie jedno z ważniejszych pojęć. Po neoliberalnej modzie w latach 90. wracamy do właściwej tradycji politycznej Polski, z którą właśnie wiąże się problem etatyzmu. Etatystyczną politykę chciały prowadzić wszystkie partie polityczne w dwudziestoleciu międzywojennym, przeciwników etatyzmu zaś było niewiele. Adam Krzyżanowski, nestor polskich liberałów, przytacza taką anegdotę: powstała liga do walki z etatyzmem i pierwsza uchwała, jaką podjęła, dotyczyła zwrócenia się do państwa o dotację. Odnoszę wrażenie, że polski republikanizm nieuchronnie toczy się w koleiny tradycji etatyzmu. Przy czym chciałbym podkreślić, iż uważam, że w dwudziestoleciu był to wybór przyspieszenia, transformacji, scalania państwa. Za opowiedzeniem się za etatystycznym państwem kryło się przekonanie, że Polska jest skazana na taki rodzaj *Sonderweg* w procesie modernizacyjnym. Również dzisiaj, przy odrobinie dobrej woli, można w ten sposób interpretować poczynania obecnej władzy – jako naprawianie czy może nadrabianie zaległości w sytuacji, kiedy społeczeństwo nie jest zdolne wytworzyć określonych regulatorów życia społecznego. Tę rolę musi zatem odgrywać państwo w obliczu – jak mówił Antoni Sułek – anomii, rozchwiania norm.

Tadeusz Szawiel

Mam wątpliwości co do diagnozy źródeł ewentualnego buntu przeciw nowoczesności w Polsce w ciągu ostatnich lat, a nawet miesięcy, jeżeli interpretować zwycięstwo PiS-u jako jeden z przejawów tego buntu. Wskazywanie jako takiego źródła rozmaitych wspólnych globalnych lęków nie wydaje mi się trafną diagnozą. Badania opinii publicznej z ostatnich piętnastu lat

pokazują, że systematycznie rosną rozmaite wskaźniki samopoczucia społecznego. Znakomita większość Polaków jest zadowolona ze swego życia i jego ważnych aspektów. Gdyby ten powszechny lęk był istotnym czynnikiem, zapewne zaobserwowalibyśmy to w wynikach różnych badań. Sądzę, że bardziej prawdopodobna jest banalna interpretacja. Za buntem przeciw polskiej nowoczesności kryje się raczej frustracja, typowa dla młodego człowieka z licencjatem, mieszkającego w Radomiu czy też w Spale, jedyna bowiem dostępna mu tam praca to funkcja kasjerki lub sprzedawcy w sklepie. Co istotne, ta frustracja jest, być może, łagodzona przez spontanicznie podejmowaną działalność w organizacjach czy poprzez wyjazdy za granicę, które nie są postrzegane jako emigracja, ale indywidualny sposób rozwiązywania zbiorowych problemów, takich jak zbyt niski poziom rozwoju gospodarczego mogący zmniejszyć bezrobocie czy stworzyć atrakcyjniejszy rynek pracy.

Druga uwaga dotyczy problemu modernizacji. Niezbędne jest odróżnienie dwóch typów modernizacji. Pierwszy, jako docelowy model, można opisać hasłowo: sprawne instytucje, niewielkie rozwarstwienie społeczne, niski poziom korupcji, trzeźwi postowie. Taka modernizacja jest oczywiście pożądana, ale moim zdaniem nie to stanowi istotę problemu, przed którym stoi Polska. Drugi sens modernizacji wiąże się z pytaniem, co stanie się z zasobami, które cenimy i które są istotnym składnikiem naszej tożsamości. Jedną z takich wartości są wiara religijna i Kościół. Jak będzie wyglądała Polska za dwadzieścia lat? Czy Polska modernizacja pójdzie, na przykład, drogą Hiszpanii? Czy będziemy krajem sprawnych instytucji, niewielkiego rozwarstwienia, niskiego wskaźnika korupcji, trzeźwych postów, ale pustych kościołów? To ważna kwestia. Problemem jest adaptacja tych elementów naszej tradycji, które cenimy, do nowych warunków, przeniesienie w nowe czasy i okoliczności tego, co dla nas ważne. Przecież rezultat procesów modernizacji nie jest automatycznie określony. W Stanach Zjednoczonych w 1938 roku Gallup zadał po raz pierwszy Amerykanom pytanie, czy byli w ostatnią niedzielę w kościele. 40 procent respondentów odpowiedziało wówczas „tak”. W 2003 roku Gallup ponownie zadał pytanie o poziom praktyk religijnych. Mimo wszystkich zmian i procesów modernizacyjnych, ponownie 40 procent Amerykanów odpowiedziało „tak”.

Czy za dwadzieścia lat połowa Polaków, jak obecnie, również odpowie, że w poprzednią niedzielę uczestniczyli we mszy? To będzie decydować, jakim krajem w wyniku procesów modernizacji stanie się Polska.

Maciej Zięba OP

Ważne jest zachowanie proporcji, istnienia centrum i niedopuszczanie do polaryzacji, z tym podziałem bowiem – jak słusznie wskazywał Janusz Lewandowski – wiązą się liczne niebezpieczeństwa. Podział na Polskę „solidarną” i Polskę „liberalną” jest niebezpieczny, niedobry, a przede wszystkim nieprawdziwy. Podział na Polskę „radiomaryjną” i Polskę „marszrównościową” wydaje się równie niebezpieczny, ideologiczny i sztuczny. Oczywiście, należy mówić o każdym złym incydencie, o pobiciu kogoś. Należy sprawców takich czynów karać, a ludzi edukować, co nie jest proste, bo wystarczy popatrzeć na analogiczne problemy Wielkiej Brytanii lub Holandii, a także Niemiec czy Francji. Warto zatem dyskutować poważnie o Narodowym Instytucie Wychowania, a nie ograniczać się do wyśmiewania tego pomysłu. W ten sposób funduje się jedynie podziały w społeczeństwie, co jest w interesie stronnictw ideologicznych.

Wspominano w naszej rozmowie problem koncernu medialnego ks. Tadeusza Rydzyka. Tu niestety sformułowałbym zarzut wobec Prawa i Sprawiedliwości. Polityk mieniący się „katolickim” musi stosować pewną ascezę. Wystąpienia polityków PiS-u w radiu zakonnym ponownie wypromowały Radio Maryja i telewizję Trwam. A przecież to zjawisko spokojnie odchodziło na margines. 90 procent Polaków deklaruje się jako katolicy, a telewizja Trwam ma tylko 0,15 procent oglądalności, czyli 360 tys. osób dziennie, słuchalność Radia Maryja to 2,3 procent, czyli około miliona odbiorców. Większość to kobiety w wieku powyżej sześćdziesięciu lat, mieszkańcy małych miast i wsi. Czy należy się ich bać? Tymczasem kreuje się sztuczne podziały. Jeden przykład: na pierwszej stronie stołecznego wydania „Gazety Wyborczej”⁶

⁶ Wojciech Surdziel, *Uczniowie przeciw katolicyzacji szkół*, „Gazeta Stołeczna” [dodatek do „Gazety Wyborczej”], 12.01.2006.

znalazł się artykuł zatytułowany *Uczniowie przeciwko katolicyzacji szkół*. Jest to informacja o pięciu gimnazjalistach, którzy protestując przeciwko pomysłowi PiS-u o powołaniu Narodowego Instytutu Wychowania, leżeli krzyżem przed gmachem Ministerstwa Edukacji. W tym samym dniu miało miejsce wiele innych wydarzeń, miasto sprzedało jakiś teren za sto siedemdziesiąt milionów złotych, zdarzył się duży wypadek – trzynaście osób rannych. A jednak za główną wiadomość uznano protest piątki uczniów. Czy nie jest to przejaw przesady? Jakaś wypowiedź, mało konkretny pomysł, wywołuje nagle tak ostre reakcje.

W polskiej postnowoczesności rzeczą ciekawą, wymykającą się prostym schematom i postoświeceniowemu widzeniu religii oraz jej tradycyjno-narodowo-etniczemu przeżywaniu, jest projekt Jana Pawła II, o którym mówił już Andrzej Mencwel. Ważne, że jest to projekt szerszy, stwarzający płaszczyznę rozmowy dla osób o rozmaitych przekonaniach. Papież pokazał, że można dokonywać różnych wyborów tradycji. Mówił na przykład o „patriotyzmie jagiellońskim”, a więc pluralistycznym, otwartym i tolerancyjnym. Pierwszym jego warunkiem według Jana Pawła II jest rachunek sumienia. Podobnie rzecz się ma z miłością do Kościoła – tu również rachunek sumienia okazuje się nieodzowny. Jan Paweł II przez cały pontyfikat, a szczególnie w ramach przygotowań do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000, dokonał takiego rachunku. Trzeba bowiem stanąć w prawdzie, a nie sprowadzać całej kwestii do dylematu: afirmacja kontra odrzucenie. W wyborze tradycji może mieć miejsce odrzucenie pewnych wątków, ale równocześnie konieczne jest przyjęcie gorzkiej prawdy, a nie tylko afirmacja rzeczy pozytywnych. Projekt Jana Pawła II jest powszechny, trafia do osób prezentujących odmienne przekonania i do różnych generacji, nie tylko najmłodszej, chętnie nazywanej „pokoleniem JP2”. Zresztą nie bardzo wierzę w istnienie takiej generacji. Natomiast wśród młodzieży jest spora grupa, którą socjologowie umownie nazwali „generacją 4R”: rozum, religia, rodzina, rynek. Jej istnienie jest ciekawym zjawiskiem. Można ją też określić „postmodernistycznym konserwatyzmem”. Pokolenie to rozumie religię nowocześnie i nie mieści się w podziale: Radio Maryja kontra marsze równości.

Janusz Grzelak

Jacek Kochanowicz dokonał dość istotnej korekty tematu naszej dyskusji. Pytanie o tradycję i nowoczesność zamienił na pytanie o tradycję i zmianę oraz o powody, dla których ta ostatnia może być zmianą groźną, budzącą lęk, obawy czy wręcz destabilizującą. Ta korekta być może jest konieczna, bo trudno mówić o „nowoczesności” porządku społecznego. Dla mnie jest także istotna, gdyż narasta pula źródeł lęku przed zmianą, wzrasta zagrożenie, poczucie braku ciągłości, a co za tym idzie, przeświadczenie, iż świat staje się mało przewidywalny. Staje się również trudno przyswajalny intelektualnie. Ludzie łatwiej przyjmują to, co jest w miarę określone, trwałe. Akceptują tradycyjne instytucje, takie jak naród czy Kościół, a także władzę, również autokratyczną. Dlatego mogę zgodzić się ze Zdzisławem Krasnodębskim, że Radio Maryja jest istotnym, interesującym, a nawet potrzebnym elementem polskiej scenarii. Moich obaw nie wzbudza istnienie tego Radia, lecz jego słuchanie przez tak duże rzesze ludzi. Nie niepokoją mnie władza braci Kaczyńskich ani autorytarne zapędy Prawa i Sprawiedliwości, lecz brak oporu społecznego, a nawet społeczna aprobata dla tych ciągów. Można obserwować wręcz mechanizm samowzmacniania się. Posiadający autorytarne skłonności widzą, że istnieje potrzeba czy przyzwolenie społeczne dla takich działań, zatem chcąc odpowiedzieć na te oczekiwania, tym bardziej umacniają się w swych skłonnościach autorytarnych. Właśnie ten mechanizm, a nie pojedyncze incydenty, jest groźny. Powstaje zatem pytanie, jak redukować lęk, który leży u podłoża postaw proautorytarnych? Jak ma się bronić osoba odczuwająca strach przed otaczającą nas rzeczywistością? Odpowiedzi na to pytanie nie udzielił Jacek Kochanowicz. I zapewne trudno to zrobić, można jedynie pokazać instrumenty intelektualne pozwalające na zrozumienie tego, co się dzieje dookoła nas. Można też starać się zmniejszać poczucie zagubienia i niepewności, jakie stwarzają globalizacja i mało zrozumiały postęp technologiczny. Są to ważne sprawy, bo dzisiejsze wybory polityczne Polaków okazują się głęboko naznaczone poczuciem lęku, a nawet zagrożenia współczesnością.

Janusz Reykowski

W swoim wystąpieniu Jacek Kochanowicz mówił, że dostrzega aspekt modernizacyjny w polityce obozu obecnie rządzącego. Chciałbym zapytać, w czym się ten „aspekt” przejawia?

Zdzisław Krasnodębski sformułował natomiast dwie tezy, które z pewnego punktu widzenia wydają mi się słuszne.

Teza pierwsza: kategorie „modernizm” i „antymodernizm” mogą być używane nie jako kategorie poznawcze, tylko jako narzędzie delegitymizacji przeciwnika. To prawda, bardzo często różne szlachetne terminy i pojęcia bywają używane do poniżenia kogoś, z kim się nie zgadzamy, nie zaś do porozumienia się z nim lub przynajmniej do ustalenia obszaru różnic.

Teza druga: nie ma zasadniczej sprzeczności między ideą „modernizmu” a obecnością wartości narodowych i religijnych w życiu publicznym. Myślę, że i ta teza nie musi być kontrowersyjna. Natomiast spór może wywoływać pytanie, jaka forma religijności i narodowych tożsamości ma charakter antymodernizacyjny. Sądzę, że jest to forma wykluczająca drugich i zakładająca wyższość własnego narodu i własnej religii nad innymi. Obecnie możemy zaobserwować, w tym również w działalności obozu rządzącego, model ujmowania wartości religijnych i narodowych jako wartości wykluczających, pozwalających na dyskryminację inaczej myślących. Może ta ostatnia opinia jest zbyt skrajna i raczej trzeba by mówić o tendencji niż o programie w pełni zrealizowanym. Tak więc krytyka skierowana przeciwko antymodernizacyjnemu charakterowi części polskiej polityki odnosi się jak na razie bardziej do niepokojących zapowiedzi niż do faktów.

Odnosi się ona również do tego, co stanowi centralny temat politycznego programu obozu rządzącego. Jednym z wielkich wyzwania modernizacyjnych, przed jakim stanął nasz kraj, jest stworzenie warunków zapewniających Polsce efektywny cywilizacyjny rozwój, ponieważ jesteśmy cywilizacyjnie zapóźnieni. Trudno powiedzieć, aby ten właśnie temat stanowił centralny punkt programu obozu rządzącego. Program ten jest skupiony na czymś zupełnie innym. Zarówno retoryka, jak i praktyka koncentrują się na walce

z przeciwnikami politycznymi z przeszłości, a nie na wyzwaniach, które współczesność ze sobą niesie.

Chciałbym wreszcie nawiązać do kategorii „dyskurs historyczny”, o której mówił Ryszard Legutko⁷. Jego klasyfikacja sugerowała, że to jest treściowo odmienna postać dyskursu. Jednak w tym wypadku nie chodzi o treść, tylko... o formę. Kategoria „dyskurs historyczny” może mieć dwa odmiennie znaczenia. Jedno dotyczy wypowiedzi o charakterze emocjonalnym. Atakuje się jakieś zjawiska czy przeciwników przy pomocy kategorii nastawionych na wzbudzanie nastroju wrogości, niechęci, podniecenia. Wszakże wydaje się, że ten sam termin został tu użyty i w innym znaczeniu. Został odniesiony do wypowiedzi rozważających niebezpieczeństwa, które mogą się pojawić, jeżeli dany proces będzie przebiegał dalej w tym samym kierunku, co dotychczas. Lub też, gdy pewne deklaracje zaczną być wcielane w życie. Tak na przykład nikt z wypowiadających się dotychczas nie twierdził, że w Polsce panuje autorytaryzm. Natomiast mówiono, że gdyby obecny kierunek się utrzymał, to grozi nam takie zjawisko. Nazwanie podobnej analizy czy refleksji „dyskursem historycznym” jest próbą delegitymizowania obaw, które powinny być rozsądnie rozważone. Kiedy one staną się realnością, będzie za późno, żeby o tych zagrożeniach dyskutować.

Jacek Kochanowicz

Oczywiście, starałem się program Prawa i Sprawiedliwości traktować z maksymalnie dobrą wolą. Projekt, który jako wehikułu postępu używa państwa narodowego, należy do klasycznej nowoczesności, jaka się zaczęła – mówiąc skrótowo – wraz z rewolucją francuską, a skończyła w roku 1970. Jest zatem nowoczesny w ścisłym rozumieniu tego słowa, natomiast anachroniczny dzisiaj.

I słowo komentarza do wystąpienia Jerzego Jedlickiego. Oczywiście, ludzie akceptują postęp techniczny w tej mierze, w jakiej on uprzyjemnia, wydłuża

⁷ Zob. artykuł Ryszarda Legutki w niniejszej publikacji, s. 15.

i ułatwia życie. Natomiast boją się, na przykład, odpadów nuklearnych, skażenia chemicznego, efektu cieplarnianego.

Cezary Michalski

Podstawowym i najważniejszym pytaniem – umykającym nam niestety w tej dyskusji – pozostaje pytanie następujące: czy jesteśmy i możemy być w Polsce jedynie świadkami bezsilnego i patologicznego buntu przeciw nowoczesności, czy też mamy do czynienia z propozycją innej, specyficznej nowoczesności, której źródła tkwią w naszej tradycji? Dyskusja o tym, czy istnieje rzeczywisty potencjał dla polskiej, specyficznej nowoczesności, trwa od dłuższego czasu. Aleksander Smolar pisał swego czasu o modernizacji imitacyjnej, przyjętej przez Polaków po 1989 roku, jako o fatum wynikającym z braku własnych rezerw⁸. Zdzisław Krasnodębski, Ryszard Legutko, Jadwiga Staniszkis czy Jarosław Marek Rymkiewicz formułowali wielokrotnie tezę silnie polemiczną, że w polskiej tradycji możemy odnaleźć potencjał, pozwalający także dzisiaj pokusić się o nadanie polskiej modernizacji cech specyficznych, odpowiednich wobec lokalnych uwarunkowań społecznych, politycznych, religijnych. Ten obecny w polskiej tradycji potencjał nazywano w toczącej się po roku 1989 dyskusji na różne sposoby, ostatnio określa się go „konserwatywnym republikanizmem”. Problem w tym, że intelektualiści broniący tezy o możliwości ocalenia w procesie modernizacji tego, co dla Polaków ważne, wartości i punktów odniesienia, które pozwoliłyby nam odnaleźć się w modernizacji jako w procesie uwewnętrznionym, a nie tylko narzuconym z zewnątrz, siłą czy na mocy racjonalnej historycznej konieczności, byli zwykle zmuszani do dyskusowania z banałem modernizacyjnym, reprezentowanym przez inną część polskiej inteligencji, także na tej sali. Wedle tego popularnego wyobrażenia istnieje jeden zachodni paradygmat modernizacyjny, i albo można go zaakceptować, albo lokujemy się po stronie wrogów nowoczesności.

⁸ Aleksander Smolar, *Rocznice, pamięć i przyszłość*, „Znak” 2001, nr 11.

To oczywiste uproszczenie, bo właśnie na owym mitycznym dla części polskich inteligentów Zachodzie – w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych – toczą się obecnie fundamentalne dyskusje na temat samych podstaw nowoczesności. Padają pytania o sekularyzację, o indywidualizację, o kwestię zakorzenienia. Rozważany jest także bardzo odważnie problem niechcianych konsekwencji modernizacji. Również w czasie dzisiejszej dyskusji znaleźliśmy się w bardzo symptomatycznej sytuacji. Zdzisław Krasnodębski został zmuszony do polemiki z polskim banałem modernizacyjnym i nie ma, po raz kolejny, czasu odpowiedzieć na pytanie naprawdę ciekawe i niebanalne, na pytanie, czym miałby w ogóle być ów model polskiej nowoczesności, w którego realność i siłę, jak rozumiem, wierzy, jak miałby wyglądać ów nowoczesny konserwatywny republikanizm budowany w oparciu o nasz własny historyczny potencjał.

Odpowiedzią przecież nie może być jedynie odwołanie do republikanizmu I Rzeczypospolitej. Od czasu, kiedy ten model był żywy, minęło kilka wieków. Bez silnego przekładu unowocześniającego tamto doświadczenie nie mamy prawa mówić, że w ogóle dysponujemy jakimś realnym potencjałem pozwalającym nam na nasz własny sposób definiować instytucje i normy demokracji czy liberalizmu. Podobnie rzecz się ma z republikanizmem „Solidarności”, który pozostał bez artykulacji, który po rozpadzie solidarnościowej wspólnoty na lewe i prawe skrzydło – oba równie, z punktu widzenia doświadczenia pierwszej „Solidarności”, patologiczne – nie został ani zapamiętany, ani poddany teoretycznej refleksji. Przeciwnie, został on jako doświadczenie intelektualne całkowicie roztrwoniony. Zatem, zanim Zdzisława Krasnodębskiego pochtonie po raz kolejny emocjonalna dyskusja z banałem modernizacyjnym, którego wyznawcy używają pojęcia „modernizacji takiej jak na Zachodzie” w funkcji pałki milicyjnej, ucinającej wszelką refleksję, szczególnie refleksję krytyczną, prosiłbym o odpowiedź na pytanie, na czym polega ów nowoczesny, alternatywny projekt polskiego konserwatywnego republikanizmu? Jakie środowiska go ewentualnie artykułują? Sądzę, że są to ważne pytania, bo coraz częściej słyszę dzisiaj ze strony krytyków polskiej modernizacji po 1989 roku raczej pamflety antymodernizacyjne, niż widzę wykonywaną przez nich intelektu-

alną pracę nad jakimkolwiek projektem innej, polskiej nowoczesności. Także teza Zdzisława Krasnodębskiego, z którą całkowicie się zgadzam, że istnieje wielość paradygmatów modernizacyjnych, nie przesądza jeszcze, niestety, o tym, że w tej wielości Polacy potrafią zdefiniować i ocalić swój własny model. Ostatecznie nie udało się to ani Niemcom, ani Rosjanom, ani Japończykom – a przecież wszystkie te narody podejmowały nieporównanie bardziej gwałtowne i tragiczne próby zdefiniowania i obrony swojej „innej nowoczesności”. Czy zatem Polacy rzeczywiście mają wystarczający potencjał, aby podjąć ryzyko „innej nowoczesności”, i czy ryzykować w ogóle powinni?

Zdzisław Krasnodębski

Cezary Michalski zarzucił mi, że znowu dyskutuję z banałem modernizacyjnym. Jest dla mnie rzeczą niepokojącą kodowanie uczestników sporu na zasadzie: „są za zmianą”, „są przeciwko zmianie, bo się boją”. Następuje hierarchizacja: z jednej strony występuje racjonalny partner w dyskusji, który wie, że zmiana jest konieczna, skąd się bierze taka potrzeba i jaki ma charakter; po drugiej stronie są ci nieracjonalni, którzy się boją. A przecież granicą oddzielającą uczestników sporu jest ocena zachodzącej zmiany. Jedne zmiany są dobre, inne złe. O to właśnie się spieramy.

Zresztą, odnosząc się do problemu lęków, trzeba powiedzieć, że dane statystyczne pokazują, iż Polacy nie są narodem specjalnie lękającym się zmian, w porównaniu chociażby z Niemcami. W jednym z artykułów zamieszczonych w tygodniku „Wprost”⁹ określono Polaków mianem „europejskich Amerykanów”. Społeczeństwa europejskie są bardzo mało mobilne – Polacy przeciwnie. W ramach Unii tylko 7,2 procenta osób decyduje się na zmianę osiedlenia.

Andrzej Walicki podkreślał, że nowoczesność to pewien typ indywidualizmu. Jednak, jak wiemy, prowadzony jest wielki spór o to, co oznacza „nowoczesna jednostka”. Niektórzy mówią, że w klasycznej nowoczesności była ona wewnątrzsterowna, a dzisiaj sterowana jest z zewnątrz, iż stała

⁹ Krzysztof Trębski, *Amerykanie Europy*, „Wprost”, 15.01.2006.

się zupełnie elastyczna, straciła charakter, jak to ujmuję w swej książce *The Corrosion of Character* Richard Sennett¹⁰. Toczy się debata, jaki typ jednostki jest adekwatny do kapitalizmu klasycznego, a jaki do nowego kapitalizmu – tak więc z definicją nowoczesności jako pewnego rodzaju indywidualizmu sprawa nie jest taka prosta.

Nieprzypadkowo też odniesiono się tu do doświadczeń Stanów Zjednoczonych. Nie zgodziłbym się z tezą Andrzeja Walickiego, że w USA nie uprawia się polityki historycznej. Wystarczy zobaczyć waszyngtońskie National Mall. Wielu badaczy podkreśla, że jest to społeczeństwo o niesamowitym nacisku normatywnym: z jednej strony niezwykle indywidualistyczne, a z drugiej – bardzo kontrolujące jednostki.

Jerzy Jedlicki poruszył problem rozwoju technicznego i zmian mentalności oraz reakcji na te zmiany. Należy pamiętać, że pomiędzy mentalnością a techniką znajduje się struktura społeczna. Podstawowym problemem w dyskusjach o procesach modernizacyjnych jest pytanie nie o reakcje mentalne, lecz o typ struktury. Jakiego typu struktura społeczna umożliwia nie tylko adaptację do zmian, ale ich wytwarzanie? Czy Polska będzie jedynie przyjmować wytwory centrum modernizacyjnego, najnowsze karabiny, radio tranzystorowe czy telewizor, oraz kulturę i strukturę państwową, umożliwiającą co najwyżej dostarczanie taniej siły roboczej? Pytanie dotyczy tego, jak powstają społeczeństwa, które są nie tylko dynamiczne, ale także zdolne do wytwarzania atrakcyjnych wytworów, również kulturowych. Czy jest to społeczeństwo liberalne w sensie, o jakim mówił Andrzej Walicki? I czy tylko takie społeczeństwo? Oprócz tego nie wiem, czy można nowoczesność utożsamiać z liberalizmem, zwłaszcza w przypadku Stanów Zjednoczonych. Ważnym elementem tamtejszego społeczeństwa, obok jednostkowości i pluralizmu, jest element wspólniający. Niektórzy, poczynając od Hannah Arendt, na Johnie Pococku kończąc, podkreślali znaczenie tradycji republikańskich dla tożsamości amerykańskiej. Takie wartości jak dobro wspólne są bardziej republikańskie niż klasyczno-liberalne. Podobnie jak nasza

¹⁰ Richard Sennett, *The Corrosion of Character. The Personal Consequences of Work in the New Capitalism*, New York 1998.

cywilizacja, również nowoczesność jest synkretyczna, składa się z różnych ingrediencji. Być może w Polsce (niektórzy mówią, że także na Węgrzech) tradycje republikańskie przetrwały i stanowią podstawę rozwoju.

Jerzy Jedlicki, a także Wiktor Osiatyński definiowali nowoczesność jako otwartość na inność i nowość. Jest to w pewnym sensie prawdziwa obserwacja. Powiedziałbym jednak, że nie ma otwarcia bez granic. Każde otwarcie powoduje inne wyznaczenie granic. Gdzie, na przykład, są granice tolerancji? Ostatnio badania opinii amerykańskiej młodzieży pokazują, że w coraz większym stopniu odrzuca ona aborcję, a akceptuje homoseksualizm. Opinia publiczna wciąż się zmienia. Różne społeczeństwa rozmaicie te granice definiują. Oczywiście, można się sprzeczać o sposób definiowania granic przez Polaków. Czy robią to tak, jak byśmy chcieli? Równocześnie wszędzie, także w Stanach Zjednoczonych, spotkać można uprzedzenia, nietolerancję, *hate crimes*. Można powiedzieć, że społeczeństwo niemieckie w większym stopniu niż polskie akceptuje homoseksualizm, ale nie jest tak, iż związki homoseksualne są traktowane na równi z heteroseksualnymi. Osoby o tradycyjnych czy konserwatywnych poglądach mają takie samo prawo do uczestnictwa w życiu publicznym jak inni. Z przyganą mówiono w Polsce na przykład o powołaniu Janusza Kochanowskiego na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Tymczasem w Ameryce powołano Johna Ashcrofta na stanowisko ministra sprawiedliwości.

Zgadzam się z postulatem Andrzeja Mencwela, że trzeba tradycjonalistów nauczyć tradycji. Jednak przede wszystkim powinniśmy dyskutować o tym, co chcemy z tej tradycji zachować. Istotne jest to, co z niej zachowamy za dwadzieścia pięć lat. Nie wiem na przykład, czy wszyscy zgodziliby się z postulatem, że powinno się w Polsce zachować wysoki stopień religijności. Należy dyskutować o tym, co jest cenne w naszej tradycji, chociaż na pewno będziemy się różnili w ocenach.

Często, również w naszej dyskusji, przywoływano jako negatywny przykład Radio Maryja. Przed laty słuchałem nadawanej w tym Radiu dyskusji na temat powstania listopadowego. Jak zwykle dzwoniли radiostuchacze i w ich wypowiedziach pojawiały się znane motywy. Jeden z wypowiadających

jących się zarzucił, że to powstanie było antypolskie, ponieważ zostało wywołane przez masonów. Uczestniczący w dyskusji Ryszard Bender mówił, że polska masoneria była zawsze bardzo patriotyczna; broniąc polskich tradycji niepodległościowych, musiał jednocześnie sprzeciwić się opiniom wyznawanym przez słuchaczy tego Radia. Nawet Radio Maryja zdaje sobie sprawę z zawitości polskiej historii. Trzeba rozpatrywać naszą tradycję w całej złożoności i ambiwalencji. Dla mnie jednak najistotniejszym elementem polskiego dziedzictwa pozostają tradycje wolnościowe. Dlatego też uważam, że są godne pielęgnowania.

Ostatnia moja uwaga dotyczy polityki historycznej. Za postulatem jej prowadzenia nie kryje się chęć usunięcia krytycznego patrzenia na przeszłość, a ja nie pragnę upiększania polskiej historii. Uważam na przykład, że debata o Jedwabnym była potrzebna. Jeżeli jednak mówimy o krytycznej debacie historyków, ale też *public intellectuals*, to może ona i powinna dotyczyć również przywódców „Solidarności”. Co więcej, uważam, że debata na ten temat nas nie ominie, ale jej przeprowadzenie nie oznacza dezawuacji „Solidarności” i wartości, które „S” ze sobą niosła. Jeżeli opowiadamy się za krytycznym spojrzeniem na historię, to nie możemy unikać podejmowania także tego tematu, a co za tym idzie, konieczne jest otwarcie wszystkich archiwów i udostępnienie ich badaczom. Uważam również, że upominanie się o polską historię jest ważne, ponieważ w polskiej debacie silny był głos domagający się budowania tożsamości postnarodowej. Według zwolenników tego poglądu nasze dziedzictwo w ogóle nie jest już potrzebne. Nie należy go kultywować, ponieważ jest ono jedynie przeszkodą w procesach modernizacji. Otóż nasze dziedzictwo nie jest przeszkodą, a właściwie pojmowana polityka historyczna, pokazująca pozytywne przykłady, będzie tej modernizacji sprzyjała.

Podstawowe podziały polityczne:
„solidarni” przeciw „czerwonym”?
„socjalni” przeciw „liberałom”?
„moderniści” przeciw „tradycjonalistom”?

Janusz Reykowski

Osie polskich konfliktów ideologicznych

Trzy sprzeczności: „solidarni” przeciw „czerwonym”, „socjalni” przeciw „liberałom”, „moderniści” przeciw „tradycjonalistom” – są próbą ujęcia podstawowych osi ideologicznych i politycznych konfliktów, jakie toczą się w naszym kraju.

Konflikt „socjalni” przeciw „liberałom” jest pewnym sposobem opisanie sprzeczności między dwiema wartościami: wolnością ekonomiczną i bezpieczeństwem socjalnym. Idea wolności ekonomicznej zakłada, że państwo ma trzymać się z daleka od gospodarki, nie przeszkadzać jej – pilnować, aby zasady wolnego rynku nie były gwałcone, a legalnie nabyta własność pozostawała bezpieczna. Państwo w tym ujęciu, zgodne z klasyczną formą liberalizmu ekonomicznego, zostaje sprowadzone, jak się to czasami określa, do funkcji „nocnego stróża”. Przeciwnieństwem tego poglądu jest teza, że państwo ponosi poważną odpowiedzialność za gospodarowanie, a przede wszystkim zajmuje się tym, aby niesprawiedliwości podziału rynkowego były odpowiednio korygowane – troszczy się głównie o tych, którzy w grze rynkowej przegrywają. Tak więc można powiedzieć, że w tym wypadku przedmiotem sporu jest kwestia zakresu wolności ekonomicznych.

Niektórzy zwolennicy „wolności” uważają, że jest to sprzeczność pozorna, ponieważ gospodarka nieskrępowana przez różne niepotrzebne państwowe regulacje będzie się bujnie rozwijała, a wynikające stąd korzyści spłyną na wszystkich. W każdym razie na tych, którzy gotowi są brać odpowiedzialność

za swój los we własne ręce. Ale także na tych, którzy choć z racji wieku czy stanu zdrowia nie są w stanie zadbać o siebie, to jednak byli dostatecznie odpowiedzialni i przewidujący, aby zabezpieczyć się zawczasu.

Konflikt „tradycjonaliści” przeciw „modernistom” dotyczy sfery światopoglądowej, a w szczególności sposobu ujmowania relacji między jednostką a społeczeństwem. Dla „tradycjonalistów” sprawą bardzo istotną jest podporządkowanie normom i zasadom wynikającym z przynależności do podstawowych wspólnot: rodziny, Kościoła, narodu, a troska o dobro tych wspólnot pozostaje jednym z głównych wymogów moralnych. W skrajnym ujęciu tego stanowiska wymagania te traktowane są jako ostateczne kryteria dobra i zła.

Takiemu ujęciu przeciwstawia się przekonanie o prawie jednostki do autonomii – do tego, by wspólnie z innymi ustanawiała zasady i reguły, według których ma przebiegać życie wspólnoty przy założeniu, że reguły pozostawiają każdemu szeroki obszar możliwości swobodnego kształtowania jego sposobu życia. Tak więc „moderniści” ujmują człowieka jako istotę samodzielną, wolną, mającą prawo do kierowania się w życiu własnym poglądem na to, co dobre, prawdziwe i słuszne. Uważają, że jednostka ma prawo do krytycznego odnoszenia się do wymagań i norm podstawowych wspólnot. Ponadto uznają, że moralna odpowiedzialność człowieka nie ogranicza się do obszaru tych wspólnot.

Widać więc, że i w tym przypadku spór dotyczy wolności, ale chodzi tu o wolność związaną z czymś innym: nie o wolność ekonomiczną, lecz o wolność samodzielnie myślącej i oceniającej jednostki.

Trzecia oś sporu – „solidarni” przeciw „czerwonym” – jest zbudowana na innej zasadzie niż dwie poprzednie. Tu trudno wyróżnić jedną dominującą ideę czy wartość. Podstawą sprzeczności jest identyfikacja z którąś ze stron historycznego antagonizmu między tymi, którzy w ten lub inny sposób popierali PRL, a tymi, którzy z nim walczyli. Jest to identyfikacja oparta na osobistej historii, związkach rodzinnych, a także na przekonaniach światopoglądowych. Tak więc główną rolę odgrywa tu sfera symboliczno-tożsamościowa. Utworzone w ten sposób dwa obozy są ideologicznie

niejednorodne. Tak np. w każdym z nich można znaleźć zwolenników wolności ekonomicznej i bezpieczeństwa socjalnego, osoby zorientowane na tradycyjne wartości i osoby zorientowane na wolność jednostki. Mimo to podział według tej tożsamościowej zasady był, jak sądzą różni autorzy, główną osią konfliktu politycznego w Polsce.

Wspomniane na wstępie trzy osie podziałów ideologicznych dotyczą pewnych podstawowych sprzeczności występujących w naszym społeczeństwie. Jednak ta lista ważnych sprzeczności nie jest wyczerpująca. Sądzę, że należałoby tu wymienić jeszcze inne, co najmniej dwie.

Inne osie głównych konfliktów

Przede wszystkim należałoby tu wspomnieć o sprzecznościach dotyczących praw obywatelskich i wyobrażeń o pożądanym porządku politycznym. Po jednej stronie są ci, dla których przestrzeganie praw obywatelskich i zachowanie demokratycznego charakteru władzy to sprawa w życiu społecznym fundamentalna. Natomiast po drugiej stronie tej osi lokują się tacy, dla których najważniejsze jest zachowanie porządku i bezpieczeństwa w państwie. Dla tego celu godzą się oni na mniej lub bardziej daleko idące ograniczenia wolności obywatelskich i demokracji. Tak więc i w tym wypadku konflikt dotyczy wolności – chodzi tu o wolności obywatelskie.

Spór wokół tego zagadnienia nie jest polską specyfiką – właściwie dotyczy on wszystkich społeczeństw. W Stanach Zjednoczonych idea ograniczeń pewnych praw ujęta została, jakiś czas temu, w formie hasła „prawo i porządek” – hasło to stanowi przedmiot zaciętego sporu między liberalną i konserwatywną częścią tamtejszego społeczeństwa. Spór ten nabrał ostatnio szczególnie intensywnych barw w związku z ustawodawstwem pod nazwą *Patriotic act*, które w imię walki z terroryzmem wprowadza różne zwiększone formy kontroli państwa nad obywatelami.

Wśród obywateli Polski nasza wersja „prawa i porządku” ma znaczną popularność. Mówią o tym m.in. wyniki badań CBOS-u. Tak na przykład w kilku różnych badaniach powtarzanych w przeciągu pięciu lat około

40 procent respondentów zgadzało się z opinią, że „dla ludzi takich jak ja nie ma w gruncie rzeczy znaczenia, czy rząd jest demokratyczny, czy niedemokratyczny”. Również teza, że jest nam potrzebny silny przywódca, który wprowadziłby porządek w kraju, nie oglądając się zbytnio na niewydolne demokratyczne instytucje, ma niemało zwolenników.

Jest też jeszcze inny, bardzo ważny obszar sprzeczności występujących w polskim społeczeństwie, o którym w dyskusjach politycznych nieraz się zapomina, choć wielu socjologów zwraca nań uwagę. Są to sprzeczności wynikające z obiektywnego położenia społecznego. Występują one między różnymi grupami społecznymi, ale chyba najbardziej podstawowa dzieli tych, którzy skorzystali na społecznej zmianie, i tych, którzy na niej stracili (lub myślą, że stracili) – „wygranych” i „przegrych” transformacji. Także i ta sprzeczność bywa ujmowana w języku wartości. Chodzi tu o kwestię równości.

Jak dotychczas podział ten nie uległ wyraźnej, politycznej krystalizacji. Tłumią go inne podziały – przede wszystkim tożsamościowy (między obozem „postsolidarnościowym” i „postkomunistycznym”). Przedstawiciele obu obozów są zarówno po stronie „przegrych”, jak i „wygranych”. I tu, i tu spotkać można tych, którzy chcą bronić upośledzonych, jak również tych, którzy reprezentują interesy uprzywilejowanych. Niektóre ugrupowania polityczne nawiązują do owej sprzeczności i starają się w swych programach czy też działaniach propagandowych ją wykorzystać. Najwyraźniej interesy przegrych próbowała artykułować Samoobrona. Od pewnego czasu interesy te zdają się też dostrzegać Prawo i Sprawiedliwość oraz inne partie.

Trzy spośród powyżej opisywanych osi konfliktów dotyczyły wolności: ekonomicznych, osobistych i politycznych. Można by domniemywać, że stanowiska w sprawie wolności powinny być zbieżne – kto opowiada się za wolnością w jednej sferze, będzie opowiadał się za nią także i w innych – ale w praktyce okazuje się co innego. Jest niemało przykładów takich ideologii i takich ruchów społecznych oraz partii politycznych, które walcząc o wolność jednego rodzaju, są za ograniczeniami wolności drugiego rodzaju. Tak na przykład często spotykamy się z faktem, że zwolennicy szerokiego zakresu wol-

ności w sferze ekonomicznej są zarazem głosicielami ograniczenia wolności w sferze politycznej – jaskrawą tego ilustracją jest popieranie reżimu generała Pinocheta przez pewnych zwolenników gospodarczego liberalizmu. Ideologia wolnego rynku nieraz bywa łączona z ideologią konserwatywną w sferze światopoglądowej, czego przykładem jest stanowisko wielu prominentnych przedstawicieli Partii Republikańskiej w Stanach Zjednoczonych.

Omawiane wyżej osie podziałów ideologicznych nie są jedynie polską specyfiką. Można uznać, że mają one charakter uniwersalny. Występują niemal w każdym kraju, choć wszędzie mogą mieć swoją specyfikę. W szczególności dotyczy to podziału tożsamościowego, ponieważ wynika on ze specyficznych doświadczeń historycznych danego kraju. Tak na przykład we współczesnej Ameryce dotąd jeszcze spotkać można odległe echa podziału z okresu wojny secesyjnej (na Północ i Południe). W Irlandii podział na katolików i protestantów jest nadal niebezpiecznie żywotny. W wielu krajach natrafiamy na rozmaite podziały tożsamościowe, przebiegające według kryteriów narodowych, religijnych, etnicznych, politycznych, mniej lub bardziej ugruntowanych w historycznych doświadczeniach. Obecnie szczególnego znaczenia nabral podział religijno-kulturowy między chrześcijaństwem a islamem.

Niespójność i niestałość poglądów ideologicznych

Opisując w powyższy sposób główne sprzeczności, jakie dzielą polskie społeczeństwo, jesteśmy skłonni milcząco przyjmować, że wynikają one z trwałych cech jego członków. Innymi słowy, nieraz zakładamy, że większość obywateli da się odpowiednio zaklasyfikować jako takich, którzy opowiadają się za wolnym rynkiem, i takich, którzy chcą państwa opiekuńczego, jako „konserwatystów” lub „modernistów”, zwolenników obozu solidarnościowego lub obozu postkomunistycznego itd. To założenie jest prawdziwe tylko częściowo i to z kilku powodów

Po pierwsze dlatego, że to, co w tym wywodzie i często w dyskusjach przedstawiane jest jako dychotomiczna opozycja, okazuje się w rzeczywi-

stości pewnym wymiarem czy kontinuum, którego skrajności mają niewielu zwolenników. Tak na przykład idea rynku niczym nieregulowanego, a więc całkowicie wolnego, ma bardzo ograniczone poparcie – w Polsce stanowisko takie reprezentuje Unia Polityki Realnej, która ma pozycję zupełnie marginalną. Także zupełnie marginalną pozycję mają stronnicy pełnego etatyzmu, a więc całkowitego zniesienia wolności ekonomicznych. Tylko radykałowie lokują się na krańcach opisanego kontinuum. Natomiast ogromna większość ludzi umiejscawia się gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami.

Jest też i drugi powód, który sprawia, że klasyfikowanie postaw obywateli według opisanych wyżej kryteriów może wprowadzać w błąd. Powodem tym jest fakt, że opinie większości ludzi w tego rodzaju sprawach są raczej niestabilne i niespójne. W umyśle tej samej osoby mogą współwystępować zarówno idee „liberalne”, jak i „solidarne”, zarówno „modernistyczne”, jak „konserwatywne” itd.

Już około 40 lat temu amerykański socjolog Philip E. Converse wykazywał, że układ przekonań ideologicznych przeciętnego Amerykanina nie jest koherentny. To samo można też powiedzieć o Polakach. Wskazują na to wyniki różnych badań. Tak na przykład w jednym z nich, dotyczącym ekonomicznych poglądów Polaków (przeprowadzonym kilkanaście lat temu), poparcie dla opinii, że „nie-wydolni pracownicy powinni być zwalniani”, wyraziło 89 procent respondentów, a równocześnie 90 procent deklарowało, że „państwo powinno zapewnić pracę wszystkim chętnym”. 88 procent respondentów uważało, że dochody powinny być zróżnicowane w zależności od kwalifikacji i wydajności, ale 68 procent uznawało, że państwo powinno zadbać o zniwelowanie różnic między bogatszymi a biedniejszymi. Takich przykładów można przytoczyć wiele.

Dotyczą one także sfery politycznej. Tak na przykład z twierdzeniem: „demokracja ma przewagę nad wszelkimi innymi formami rządów” w roku 2004 zgodziło się 60 procent. W innym badaniu na to samo pytanie, w tym samym roku odpowiedziało twierdząco 34 procent respondentów. Różnica związana była z tym, że w pierwszym badaniu przytoczone stwierdzenie oceniane było osobno, a w drugim respondenci wybierali je spośród trzech

(dwa inne były „niedemokratyczne”). Taki sam układ rezultatów uzyskiwano w badaniach prowadzonych w innych latach.

Opisane tu badanie wskazuje na pewien ważny fakt – obserwowana niestabilność lub niespójność poglądów politycznych i ideologicznych może wiązać się ze sposobem zadawania pytań. Znaczy to, że ludzie mogą dochodzić do różnych wniosków w zależności od tego, w jakim kontekście rozważają pewne problemy społeczne i polityczne. Tak więc twierdzenia o tym, co naprawdę ludzie myślą, trzeba wypowiadać z wielką ostrożnością.

Oczywiście są i tacy, którzy wypowiadają się w sposób spójny i konsekwentny. Częściej dotyczy to poglądów skrajnych. Poglądy umiarkowane bywają mniej stabilne. Nie wyklucza to jednak faktu, że w pewnym momencie historycznym dane poglądy mają znacznie większe prawdopodobieństwo akceptacji niż inne – są poglądami typu *default*. Tak więc można opisać przekonania, które w określonych segmentach społeczeństwa okazują się dominujące. Ale tylko w niewielu przypadkach są podstawy do tego, aby uznać, że jest to utrwalony stan rzeczy.

Weźmy jako przykład stosunek Polaków do lustracji. Przyglądając się wynikom badań z różnych lat, możemy stwierdzić, że poparcie dla lustracji przez dłuższy czas utrzymywało się na tym samym poziomie (z wyjątkiem roku 1997), natomiast wyraźne zmiany nastąpiły w okresie ostatniego półtora roku. W tym czasie obserwujemy znaczny wzrost poparcia, co zbiega się z intensywnymi kampaniami medialnymi prowadzonymi wokół tego tematu. Przykład ten wskazuje, że postawy w sferze społecznej i politycznej zależą nie tylko od tego, jaki stosunek do sprawy spontanicznie ukształtował się w umysłach obywateli. Zależą też w niemałym stopniu od tego, jakim oddziaływaniami informacyjnym i propagandowym obywatele są poddawani.

Krystalizacja przekonań ideologicznych

Stwierdzenie, że poglądy i postawy polityczne bywają niespójne i niestałe, jest tylko częściowo prawdziwe. W życiu społecznym mogą bowiem działać czynniki, które przyczyniają się do stabilizacji pewnych poglądów

i do tworzenia mniej lub bardziej spójnych ich konfiguracji. Sądzę, że można wymienić dwie klasy takich czynników.

Po pierwsze, są one kształtowane przez pewne okoliczności obiektywne. Tak na przykład zwiększenie się społecznego zagrożenia – z powodu aktów terroryzmu, gwałtownego wzrostu przestępczości, działań wojennych – będzie czynnikiem przesuwającym postawy w kierunku autorytarnym. Doświadczenie biedy i bezradności w obliczu potężnych sił rynkowych sprawi, że wzrosnie poparcie dla postaw etatystycznych (państwa opiekuńczego). Zetknięcie z sytuacjami, w których własna grupa etniczna (narodowa, społeczna) spotyka się z dyskryminacją, może zwiększać stopień identyfikacji z tą grupą, a w związku z tym wzmacniać postawy konserwatywne.

Tak więc trzeba stwierdzić, że określone doświadczenia społeczne mogą przesuwać postawy ludzi w różne strony. Co więcej, stałe cechy położenia społecznego mogą sprzyjać przyjmowaniu i utrwalaniu tych treści ideologicznych, które z tym położeniem mają związek. Systematyczne popieranie idei wolności ekonomicznych przez środowiska biznesowe oraz zasady opiekuńczej roli państwa przez środowiska ekonomicznie upośledzone tym właśnie się tłumaczy.

Jednak oddziaływanie obiektywnych okoliczności nie dokonuje się automatycznie. Poglądy i przekonania ludzi nie są prostym odbiciem ich sytuacji i doświadczeń. Są one społecznie konstruowane w toku społecznego komunikowania się. To właśnie w trakcie procesu komunikowania się kształtują się interpretacje sytuacji – ustala się znaczenie zdarzeń i określa własną sytuację *vis-à-vis* innych. Wielką rolę w konstruowaniu tych interpretacji odgrywają politycy, ideologowie, media.

Ich rola polega, po pierwsze, na selektywnym dostarczaniu informacji o sytuacji. Świeżym, wręcz spektakularnym tego przykładem są okoliczności poprzedzające amerykański atak na Irak. Dzięki odpowiedniej selekcji informacji społeczeństwo amerykańskie zostało niemal w pełni przekonane o konieczności tej wojny. Jak wiadomo, większość tych obywateli dzisiaj żałuje tej decyzji.

Innym przykładem, bliższym nam, jest sukces propagandowy tych, którzy dążyli do pogrążenia III Rzeczypospolitej w oczach Polaków – interpretacja

aktualnej sytuacji w kraju została, w dużym stopniu, ukształtowana przez strumień informacji wysyłanych przez nadzwyczajne komisje sejmowe i sposób ich przedstawiania w mediach.

Po drugie, politycy i ideologowie przedstawiają pewne interpretacje rzeczywistości. Są to na ogół narracje, które mają dostarczyć obywatelom klarownych, prostych, przekonujących wyjaśnień tego, co się dzieje i dlaczego tak się dzieje. Politycy i ideologowie bardzo się różnią, jeśli idzie o umiejętność budowania takich narracji. Tak na przykład wydaje się, że narracje przedstawiane przez polityków PiS-u były dużo lepiej dostosowane do stanu umysłów nader licznej części obywateli niż narracje ich konkurentów. Narracje te przyczyniają się do kształtowania wyobrażeń o społecznej rzeczywistości, a tym samym skłaniają do zajęcia określonej postawy wobec konfliktów, które się w kraju toczą.

Po trzecie, politycy i ideologowie przedstawiają programy, które mówią, jak można będzie poradzić sobie z istniejącą sytuacją. Przykładem takiego programu jest zaproponowana przez PiS idea oczyszczenia państwa. Idea ta jest dla pewnej kategorii umysłów bardzo przekonująca. W szczególności dla tych obywateli, którzy o życiu społeczno-politycznym myślą w konkretnych kategoriach – widzą je przez pryzmat swych codziennych, potocznych doświadczeń. W świetle tych potocznych doświadczeń większość zła ma źródło w złych uczynkach złych ludzi. Kiedy wyobrażenie to przeniesie się na skalę kraju, to wyjaśnienie powodów zła, które widzimy w naszym państwie, nasuwa się samo: państwo zostało opanowane przez złych ludzi. Cóż więc trzeba zrobić? Trzeba ich wypędzić i zastąpić dobrymi. Po czym jednak poznać „złych”, jak odróżnić ich od „dobrych”? PiS podaje prostą wskazówkę: „źli” to postkomuniści, różowi, politycy, którzy dotąd rządzą (z pewnymi wyjątkami), członkowie służb specjalnych (ubecy) i skojarzeni z nimi biznesmeni. A „dobrzy”? Ci, którzy przy pomocy starannych procedur zostali przez PiS wyselekcjonowani do zajmowania stanowisk publicznych.

Tak konstruowana narracja wyjaśniająca rzeczywistość i przedstawiająca program jej naprawy wspomagana jest przez dodatkowe elementy. Takim dodatkowym elementem jest aktualizacja nastrojów patriotycznych i tradycji

solidarnościowych blisko z nimi związanych, a także identyfikacji wyznaczonych. Tak więc mobilizuje się określone systemy przekonań związane z wartościami konserwatywnymi i tożsamością solidarnościową.

W konkluzji chciałbym sformułować następującą tezę. W umysłach dużej części obywateli istnieją pewne przesłanki dla popierania wolności ekonomicznej i państwa opiekuńczego (choć u większości ta ostatnia tendencja wydaje się silniejsza), do wspierania wartości konserwatywnych i wolności jednostki (ale te pierwsze zdają się mieć przewagę), do akceptacji postsolidarnościowych tradycji i do „tęsknoty za PRL-em”, do wspierania demokracji i godzenia się na pewne formy autorytaryzmu. Sądzę, że tylko mniejszość ma w tych sprawach dobrze ukształtowane i ustabilizowane przekonania. Natomiast większość jest podatna na oddziaływanie propagandowo-perswazyjne, które doprowadzają do krystalizacji poglądów wokół idei programowych określonego ugrupowania politycznego, a co za tym idzie – do mobilizacji poparcia politycznego dla tego ugrupowania. Ugrupowanie to ma szanse zachowania przewagi politycznej tak długo, jak długo nie powstanie konkurencyjna narracja, która może okazać się przekonująca dla obywateli. Narracja, która także potrafi wyjaśnić, dlaczego obietnice i zapowiedzi deklarowane przez rządzących przynoszą inne efekty, niż oczekiwano.

Mirostawa Grabowska

Polskie podziały polityczne

Pojęcie podziału politycznego

Przez podział polityczny nie warto rozumieć każdego podziału w bieżącej polityce – tych jest bardzo wiele, politycy bowiem mogą różnić się w każdej kwestii, tak co do określenia polityki, jak co do pożądanego jej rozwiązania oraz jego czasu i metod. Różnić się mogą politycy tego samego nurtu ideowego, jednej partii czy nawet ekipy rządzącej. Przymiotnik „podstawowe” niewiele wyjaśnia, nie wskazuje bowiem kryteriów odróżniania podziałów podstawowych od niepodstawowych.

Dlatego warto wrócić do klasyków socjologii – Seymoura Martina Lipseta i Steina Rokkana – i do wprowadzonego przez nich pojęcia podziałów (*cleavages*)¹. W ich rozumieniu jest to związek podziału(ów) w społeczeństwie z rywalizacją i konfliktem(ami) na poziomie polityki. W historii Europy wyróżnili oni cztery podziały: centrum – peryferie, państwo – Kościół, gospodarka ziemiska – gospodarka miejsko-przemysłowa oraz klasa posiadaczy – klasa robotników. Podziały te na poziomie polityki – w zależności od działań elit politycznych poszczególnych krajów – były reprezentowane i rozgrywane przez różne partie (m.in. partie konserwatywne, liberalne, agrarne, socjalistyczne, komunistyczne).

¹ Seymour Martin Lipset, Stein Rokkan, *Osie podziałów, systemy partyjne oraz afiliacje wyborców*, przeł. Olgierd Wojtasiewicz, w: *Władza i społeczeństwo. Antologia tekstów z zakresu socjologii polityki*, red. Jerzy Szczupaczyński, Warszawa 1995.

Dodam od siebie, że taki związek podziałów społecznych i rywalizacji politycznej nie pojawia się automatycznie, ale tworzy się czy raczej jest tworzony w trakcie długotrwałych, gwałtownych i złożonych procesów historycznych, wdzierających się w biografię i styl życia całej społeczności, angażujących ludzkie emocje, wartości i tożsamości. Właśnie ze względu na swój zakres i złożoność oraz zwiążanie z wartościami i tożsamościami procesy te wyrażają się w polityce w zinstytucjonalizowanej formie partii politycznych i ich rywalizacji.

Podziały w Polsce po roku 1989

W Polsce po 1989 roku istniała, odziedziczona po przeszłości, **różnica wieś–miasto**. Mogła ona stanowić podstawę do wykreowania podziału społeczno-politycznego, tak aby ta różnica społeczna zyskała polityczną reprezentację. PSL, a potem Samoobrona wydawały się zapowiadać takie właśnie polityczne działanie. Jednak żadna z tych partii nie była konsekwentna: PSL mocno podkreślało pożądaną jedność społeczeństwa, Samoobrona skręciła w kierunku reprezentowania ubogich. Niewykluczone, że obie partie obawiały się zamknięcia w „wiejskim zaścianku” (choć na wsi mieszka niemal 40 procent Polaków), że miały większe ambicje wyborcze i polityczne. Niewykluczone, iż współczesna polska wieś stała się tak zróżnicowana, że jednej partii trudno reprezentować profesjonalnego farmera, tradycyjnego chłopa i postpegeerowskiego bezrobotnego.

Chcę być dobrze zrozumiana: nie twierdzą, że polska wieś nie ma specyficznych interesów i problemów – twierdzą, że żadnej partii nie udało się do tychczas zorganizować swojej oferty wyborczej wokół różnicy wieś–miasto.

Jeśli podział rozumieć jako związek różnic w społeczeństwie z rywalizacją w polityce, to jasne staje się, że w Polsce w okresie pierwszych piętnastu lat po roku 1989 polityka organizowana była przez **podział postkomunistyczny**: z jednej strony znajdowali się ludzie PRL-u, jego funkcjonariusze i zwolennicy oraz reprezentująca ich partia postkomunistyczna, najpierw SdRP, a potem SLD, a z drugiej strony – rozmaite ugrupowania i partie o rodowodzie antykomunistycznym i solidarnościowym oraz ich zwolennicy i wyborcy. Empiryczne

dowody tej tezy przedstawiłam gdzie indziej². Składają się one między innymi z systematycznych, pogłębionych analiz zależności między głosowaniami w różnych wyborach: zarówno zależności wszystkich późniejszych głosowań od głosowania w roku 1989 (na stronę partyjno-rządową bądź stronę solidarnościową), jak i zależności głosowania w wyborach późniejszych od głosowania w wyborach wcześniejszych. Dla przykładu przedstawiam – w Tabeli 1. – zależność głosowania w 2001 roku od głosowania w roku 1997.

Tabela 1. Wybory parlamentarne: rok 1997 a 2001 (procentowanie w wierszach)

W wyborach parlamentarnych w 1997 roku głosował na ^a (procent ogółem):	W wyborach parlamentarnych w 2001 roku głosował na (procent ogółem):									
	SLD–UP (44)	PSL (8)	AWS P (4)	PiS (9)	PO (12)	UW (3)	Samobrona (9)	LPR (7)	Inna partia ^b (1)	Nie pamięta (3)
SLD (35)	88	2	1	2	2	0	4	1	1	0
PSL (9)	11	56	1	1	5	0	21	5	0	0
AWS (26)	15	3	12	19	20	1	10	17	1	3
Partie prawicy (2)	3	0	6	34	6	0	13	34	3	0
UW (8)	20	1	1	11	38	24	1	2	0	1
UP (2)	58	0	3	6	14	0	8	6	3	3
Inna partia (2)	13	3	0	10	5	3	44	8	10	5
Nie pamięta (17)	34	10	1	9	10	3	12	6	1	14

Źródło: IS 2001+PGSW 2001; N=1598

^a Wśród innych partii w 1997 roku znalazły się między innymi: KPEiR (2,6 procent) oraz KPEiRRP, UPR, Blok dla Polski, dwa stowarzyszenia mniejszości niemieckiej, których elektoraty nie przekroczyły 1,2 procent.

^b Wśród innych partii w 2001 roku znalazły się partie o elektoratach poniżej 1 procenta: dwa stowarzyszenia mniejszości niemieckiej, Ruch Społeczny Alternatywa, Polska Wspólnota Narodowa, Polska Unia Gospodarcza i PPS.

Widać, że jeśli ktoś w 1997 roku głosował na SLD, to niemal w 9 przypadkach na 10 tak samo głosował w 2001 roku. Natomiast głosy zwolenników

² Mirosława Grabowska, *Podział postkomunistyczny. Społeczne podstawy polityki w Polsce po 1989 roku*, Warszawa 2004.

AWS-u z roku 1997 w 2001 roku podzieliły się pomiędzy PO, PiS i LPR. Przeprowadzone obszerne analizy tego typu umożliwiły sformułowanie ogólniejszego wniosku, że jeśli ktoś w wyborach wcześniejszych oddał głos na reprezentujący stronę postkomunistyczną SLD (lub jego kandydata), to z największym prawdopodobieństwem głosował tak w następnych wyborach, a jeśli wybrał którąś z partii reprezentujących stronę postsolidarnościową, to i w następnych wyborach z największym prawdopodobieństwem głosował na którąś z partii postsolidarnościowych (niekoniecznie tę samą, co poprzednio) albo przynajmniej nie głosował na SLD. Uogólnienie to ujawnia, że relacja między postkomunistyczną stroną podziału społecznego a jej polityczną reprezentacją – SLD – była efektywna. Natomiast o reprezentację postsolidarnościowej strony podziału rywalizowało wiele, w dodatku zwalczających się i niestabilnych organizacyjnie elit politycznych, więc relacje między ową stroną a partiami nie mogły się zawiązać ani utrwalić. Na poziomie społeczeństwa postsolidarnościowa strona istniała, ale reprezentujące ją partie powstawały i niknęły, łączyły się i dzieliły, zmieniały nazwy i liderów, rozsypywały się ich koalicje i organizacje.

Wybory roku 2005

Ostatnie wybory ujawniły możliwy początek stabilizacji polskiego systemu partyjnego: oto po raz pierwszy rywalizowali i weszli do Sejmu ci sami główni aktorzy polityczni, co w wyborach poprzednich. A jak się ma podział postkomunistyczny? Odpowiednie dane zawiera Tabela 2.

Tabela 2. Wybory parlamentarne: rok 2001 a 2005 (procentowanie w wierszach)

W wyborach parlamentarnych w 2001 roku głosował na (procent ogółem):	W wyborach parlamentarnych w 2005 roku głosował na (procent ogółem):								
	SLD (9)	SdPI (3)	PSL (7)	PO (23)	PiS (34)	LPR (7)	Samoobrona (9)	Inna partia (4)	Nie pamięta (5)
SLD–UP (25)	30	7	6	19	19	1	8	6	3
PSL (5)	2		48	4	30	2	8	2	4
PO (7)	5	2		66	22	2	3	2	
UW (5)		4		45	27	6	2	16	

AWSP (6)		3	3	30	53	3	4	3	1
PiS (4)		2	2	10	77	6		2	
LPR (3)			7	9	38	38	2	7	
Samoobrona (5)			4	8	24	10	48	4	2
Inna partia (1)	25	13		25		13	25		
Nie pamięta (39)	3	1	5	22	39	8	10	2	10

Źródło: PGSW 2005

Formułowane dalej wnioski winny być traktowane z należytą ostrożnością (ze względu na wątpliwości o charakterze metodologicznym³).

Zależność głosowania w roku 2005 od głosowania w roku 2001 ukazuje **kształtowanie się partyjnych elektoratów**. Z reguły jest tak, że kto w 2001 roku głosował na jakąś partię, ten w roku 2005 z najwyższym prawdopodobieństwem wybrał tę samą partię. Od tej reguły jest wyjątek: wyborcy LPR-u z 2001 roku równie chętnie głosowali na PiS, co na LPR. Natomiast ci, którzy nie mogli głosować na swoje partie z 2001 roku (te bowiem zniknęły lub przekształciły się w inne), zachowali się „logicznie”: wyborcy AWS-u z najwyższym prawdopodobieństwem głosowali na PiS, wyborcy UW zaś – na PO.

Strona postkomunistyczna przetrwała, choć daleko jej do efektywności i siły z okresu 1993–2001. W wyborach 2005 roku na SLD głosowało mniej niż kiedykolwiek⁴, bo 11,31 procent wyborców (1 335 257 osób), a SdPl do Sejmu nie weszła, gdyż uzyskała poparcie tylko 3,8 procent wyborców (459 380 osób). Ale postkomunistyczna lewica wciąż funkcjonuje – AWS rozpadła się wobec kompromitacji i trudności nieporównanie mniejszych! Postkomunistyczna lewica przetrwała,

³ Zwraca uwagę, po pierwsze, wysoki odsetek niepamiętających, jak głosowali cztery lata wcześniej (w 2001 roku 17 procent nie pamiętało, jak głosowało w 1997 roku), czego nie można wyjaśnić zmianami na scenie politycznej, gdyż w 2001 i 2005 roku rywalizowali ci sami główni aktorzy polityczni. Po drugie, niedokładny wydaje się pomiar głosowania w 2001 roku, bardziej niedokładny niż pomiar dokonany w 2001 roku głosowania w 1997 roku. Za oboma tymi zjawiskami dopatrują się presji opinii publicznej i mediów na badanych: część z nich wolała „nie pamiętać”, niż okazać się niepoprawnymi politycznie (czyli głosującymi na SLD).

⁴ Koalicja SLD w wyborach parlamentarnych 1991 roku otrzymała niemal 12 procent głosów, by w 2001 roku dojść do 41 procent.

ponieważ istnieje jej elektorat: SLD i SdPI otrzymały łącznie poparcie ponad 15 procent głosujących. Spośród tych, którzy w 2001 roku głosowali na koalicję SLD–UP, 37 procent w 2005 roku głosowało mimo wszystko na SLD lub SdPI (może nawet więcej, wzięwszy pod uwagę tych, którzy „nie pamiętają”, jak głosowali w 2001 roku). Postkomunistyczna lewica przetrwała także dlatego, że posiada liczące się zasoby: Sojusz zachował część członków i działaczy, nazwę (zszarganą, ale rozpoznawalną), organizację (słabszą niż dwa lata temu, ale funkcjonującą), pozycje samorządowe. Ponadto osłabiony SLD wycofał się do swojego wyborczego matecznika, przyznając się, choć niechętnie, do swoich korzeni, ideowych afiliacji, miejsca na politycznej scenie. Tam przetrwał.

Oczywiście, nie ma gwarancji, że SLD będzie trwał i to w obecnej postaci. Od dawna słychać było o pomysłach budowania szerszej formacji lewicowej. Jednak po wyborach 2005 roku podział postkomunistyczny wciąż istnieje i owa projektowana nowa lewica ma szanse na zagospodarowanie postkomunistycznej strony podziału.

Strona postsolidarnościowa zawsze była zróżnicowana, podzielona, a nawet skłócona. Z dzisiejszej perspektywy wyodrębniają się trzy jej nurty⁵: liberalna centroprawica (Tadeusz Mazowiecki, UD, KLD, UW, PO), liberalno-konserwatywna prawica (ZChN, PC, AWS i Marian Krzaklewski, PiS i Lech Kaczyński) oraz prawica radykalna (RdR i Jan Olszewski, LPR). Tożsamość ideowo-polityczna tych odłamów zamazywana była przez niechęci i konflikty w ich wnętrzu (jak na przykład niechęć i rywalizacja między PC a ZChN na początku lat 90.), przez instytucjonalną niestabilność (partie pojawiały się i znikły, zmieniały nazwy, łączyły się i dzieliły) oraz przez zmieniające się poparcie wyborcze (na korzyść opcji centroprawicowej lub liberalno-konserwatywnej, ze znaczącą lub marginesową rolą opcji prawicoworadykalnej). Trzeba też przyznać, że jest kłopot z radykalną prawicą i LPR-em⁶. Jednak

⁵ Kryteria ich wyodrębnienia to m.in. stosunek do Okrągłego Stołu, do postulatów lustracji i dekomunizacji oraz do AWS-u.

⁶ Radykalna prawica i LPR jest antykomunistyczna, a wśród jej przywódców są lub byli działacze opozycji „Solidarności” i podziemia, ale pozostaje ona niezmiernie krytyczna wobec porozumienia Okrągłego Stołu i solidarnościowych rządów, sięgając po radykalnie antysolidarnościową retorykę. Dlatego analizuję ją z dwóch perspektyw: jako radykalne skrzydło strony postsolidarnościowej i, dalej, jako ugrupowanie stawiające się poza postkomunistycznym podziałem.

wybory parlamentarne 2005 roku potwierdziły ten trójpodział: w dwóch kolejnych wyborach parlamentarnych (w roku 2001 i 2005) rywalizowały ze sobą i znalazły się w Sejmie te same, zorganizowane siły polityczne: PO–PiS–LPR, utrzymując znaczną część swoich elektoratów (PiS utrzymał 77 procent swojego elektoratu z 2001 roku, PO 66 procent, LPR zaś 38 procent), wszystkie z wyrazistymi liderami.

Krystalizowanie się tożsamości ideowych

Utrwalaniu się tego podziału „na trzy” sprzyja – poza trwałością organizacji partyjnych i stabilnością elektoratów (w przypadku LPR-u stabilnością relatywną) oraz trwałym i wyrazistym przywództwem politycznym – artykułowanie różnic ideowych. Katolicko-narodowa opcja radykalnej prawicy i LPR-u wyartykułowana była już wcześniej. Natomiast kampania wyborcza 2005 roku przyniosła **przeciwstawienie Polski solidarnej Polsce liberalnej**. Czy i w jakim stopniu różnice te istniały i istnieją w społeczeństwie, a w jakim stanowią polityczny slogan na potrzeby kampanii wyborczej? Slogan ten zresztą przyniósł przewidywane zyski, ale dopiero po fiasku koalicji PO–PiS wyrażone w nim różnice próbuje utrwalić i zagospodarowywać PiS. Jest to pytanie trudne i złożone. Tabela 3. przedstawia wybrane dane na temat postaw elektoratów partii politycznych.

Tabela 3. Poglądy i postawy polityczne elektoratów partii parlamentarnych

Poglądy i postawy polityczne	Partie Sejmu V kadencji						
	SLD	SdPL	PSL	Samobrona	PO	PiS	LPR
Średnia na skali lewica (niższe wartości) – prawica	2,5	3,9	5,95	5,85	6,8	7,4	7,8
Poglądy:							
– socjalistyczne (18)	64	76	20	13	13	9	
– ludowe (3)			15	11			
– liberalne (17)					38	13	
– chadeckie (22)			16	14	15	34	43
– konserwatywne (4,5)							
– narodowe (13)			17	12	11	18	9
– brak (20)	11	5	22	38	15	20	27

Kwestia dekomunizacji (za – niższe wartości)	6,0	5,7	3,8	4,8	3,1	2,7	3,2
Kwestie ekonomiczne – niższe wartości za:							
– prywatyzacją	7,8	6,7	8,6	8,0	6,1	7,5	8,5
– podatkiem progresywnym	3,7	3,8	4,0	2,2	4,8	3,2	2,8
– dotacjami dla rolnictwa	4,0	4,7	2,3	2,1	4,4	3,4	2,4
– świadczeniami społecznymi	1,7	2,7	1,7	1,2	2,5	1,8	0,9
Kwestia stosunków państwo–Kościół (za rozdziałem – niższe wartości)	1,2	1,4	2,5	2,2	2,1	3,4	4,8
oraz aborcji (za – niższe wartości)	2,7	2,1	4,5	3,9	4,0	5,0	6,8
Twarde zwalczanie przestępczości (za – niższe wartości)	4,5	4,3	4,1	4,4	5,2	4,1	4,0
Kwestia stosunku do obcego kapitału	4,1	4,6	4,9	4,6	3,7	4,7	5,2
oraz osiedlania się obywateli innych państw (akceptacja – niższe wartości)	5,7	5,2	5,8	6,3	5,0	5,6	6,8
Kwestia współpracy z UE (za – niższe wartości)	5,0	4,6	5,7	6,5	4,9	6,1	7,7

Źródło: PGSW 2005

Przedstawione w Tabeli 3. dane są fragmentaryczne – celowo pominięto niektóre z nich (puste pola), aby te zamieszczone były bardziej czytelne. I tak swoje poglądy jako socjalistyczne określa niemal dwie trzecie wyborców SLD i trzy czwarte SdPl-u, ale tylko 13 procent elektoratu PO i 9 procent wyborców PiS-u. Jako liberalne swoje zapatrywania definiuje 38 procent wyborców PO i nieporównanie mniej wyborców innych partii. Z kolei swoje poglądy jako chadeckie określa 43 procent wyborców LPR-u, 34 procent – PiS-u i znacznie mniej wyborców innych partii. Określenie swoich poglądów jako konserwatywnych zdarza się bardzo rzadko (4,5 procent) – w poszczególnych elektoratach są to odsetki pomijalne (i dlatego zostały pominięte w Tabeli 3.). Nie oznacza to, że ludzie nie mają konserwatywnych poglądów, ale że ich tak nie nazywają. Odwoływanie się do konserwatyzmu w dyskursie publicznym czy w kampaniach wyborczych nie będzie „rezonować” i nie będzie efektywne. Jako narodowych swoich zapatrywań nie określają wyborcy SLD i SdPl-u,

a w pewnym stopniu robią to elektoraty innych partii. Wreszcie brak określonych poglądów deklaruje niemal czterech na dziesięciu wyborców Samoobrony, a mniej lub znacznie mniej wyborców innych partii.

Nie jest zaskakujące, że partyjne elektoraty różnią się między sobą, te różnice zaś w poszczególnych kwestiach kształtują się niejednakowo. Pod wieloma względami najbardziej różnią się od siebie wyborcy partii postkomunistycznych i postsolidarnościowych. Elektoraty SLD i SdPL-u określają się jako lewicowe i socjalistyczne, są przeciwne dekomunizacji, opowiadają się za rozdziałem państwa i Kościoła oraz za dopuszczalnością aborcji. W tych kwestiach PO i PiS są blisko siebie. Elektorat Platformy jest centroprawicowy i liberalny, ale z komponentem chadeckim, elektorat PiS-u zaś – prawicowy i chadecki, ale z komponentem liberalnym. Oba elektoraty opowiadają się w podobnym stopniu za dekomunizacją. Oba są umiarkowane w kwestiach stosunków państwo–Kościół i aborcji. Elektorat Samoobrony lokuje się bliżej SLD niż PiS-u, elektorat LPR-u zaś jest bardziej prawicoworadykalny.

Z kolei w kwestiach ekonomicznych – prywatyzacji, podatków, dotacji dla rolnictwa, świadczeń socjalnych – elektorat PO jest bardziej liberalny niż wszystkie pozostałe. Przywódcy PiS-u, którzy lubią oskarżać PO o skłonność do SLD, zapewne zdają sobie sprawę, że to ich wyborcy (oraz wyborcy Samoobrony i LPR-u) skłaniają się ku opcji SLD-owskiej: chcą progresywnych podatków i daleko posuniętej redystrybucji.

Również jeśli chodzi o zwalczanie przestępczości, elektorat Platformy wyróżnia się mniejszą punitywnością – pozostali, od SLD po LPR, chcą karać.

Także w kwestii stosunku do świata – obcego kapitału, UE czy osiedlania się w Polsce obywateli innych państw – elektorat PO jest najbardziej otwarty, a swoim zamknięciem wyróżniają się elektoraty Samoobrony i LPR-u.

W tak złożonej sytuacji nie da się mówić o uogólnionej bliskości czy dystansie, bo to zależy od sfery życia i dziedziny polityki. To prawda, że elektorat Platformy jest liberalny, ale między PO a PiS-em nie ma przepaści. Nietrudno sobie wyobrazić postsolidarnościową, chadecko-liberalną koalicję: wspólne historyczne fundamenty, umiarkowanie w kwestiach religijnych i obyczajowych oraz liberalizm ekonomiczny i otwarcie na świat Platformy

równoważone prosocjalnym nastawieniem PiS-u i podkreślaniem przezeń wartości narodowych.

Jednak przepaści nie ma także między PiS-em a Samoobroną czy LPR-em. Można wyobrazić sobie katolicko-narodową koalicję z LPR-em. W tym układzie to elektorat PiS-u jest mniej prawicowy, bardziej umiarkowany i, wstyd powiedzieć, liberalny w kwestiach ekonomicznych. Podobnie z Samoobroną – również i taką prosocjalną koalicję można sobie wyobrazić. Wprowadzie elektorat Samoobrony jest ideowo nieokreślony (co w tym układzie nie stanowi wady), a w kwestiach dekomunizacji bliżej mu do elektoratu postkomunistycznego, ale „za to” w kwestiach ekonomicznych jest bardzo prosocjalny.

Co dalej?

W przedstawionej diagnozie zawarte są elementy przewidywania. Muszę jednak podkreślić, że socjologowie przewidywać nie lubią, gdyż w działaniu społecznym i politycznym wiele czynników, doraźnie decydujących, pozostaje niejako poza zasięgiem socjologii czy politologii. Zwłaszcza w polityce liczą się przywództwo, wybory i działania liderów, to, co ktoś zrobił lub czego nie zrobił, powiedział lub nie powiedział, a na to wpływ mają możliwości poznawcze polityków, ich cechy osobowości, żądza władzy i frustracje, a także wszelkie inne, niesocjologiczne i niepolitologiczne czynniki. Po tych koniecznych zastrzeżeniach czas na wnioski.

Po pierwsze, podział postkomunistyczny przetrwał i w perspektywie średniookresowej będzie wpływał na kształt polskiego systemu partyjnego i na scenę polityczną.

Po drugie, postkomunistyczna strona tego podziału nie zaniknie. Na poziomie partii jest ona obecnie podzielona, ale prawdopodobnie w nieodległej przyszłości podjęte zostaną próby jej rekonstrukcji lub budowania nowej, szerszej formacji lewicowej. I ta nowa czy „zrekonstruowana” formacja ma wszelkie szanse na zagospodarowanie postkomunistycznej strony podziału.

Po trzecie, po stronie postsolidarnościowej nie ma stabilizacji i to mimo stabilizacji organizacji partyjnych i przywództwa oraz elektoratów. Można przypuszczać, że w krótkim okresie między partiami toczyć się będzie swoista wojna pozycyjna. Widać już linie natarcia i frontu: PiS, z pomocą Samoobrony i LPR-u, próbuje zepchnąć PO do centrum i w lewo oraz przejąć jej działaczy, a może i jakieś struktury. Dla Platformy jest to atak bardzo niebezpieczny, tak w wymiarze organizacyjno-politycznym, jak i tożsamościowo-ideowym. PO usiłuje odplątać pięknym za nadobne, oskarżając PiS o przymierze z Andrzejem Lepperem i Radiem Maryja.

Nie są to mało znaczące harce polityczne. Stawką w grze jest – poza tym, co byłoby do osiągnięcia w tej kadencji parlamentarnej – relatywna spójność strony postsolidarnościowej, jej nowoczesna forma koalicji konserwatywno-liberalnej. Inna możliwość to taki model stosunków, jaki przez długie dekady panował między partiami socjaldemokratycznymi a komunistycznymi w krajach Europy Zachodniej: mimo że oba typy partii reprezentowały tę samą stronę podziału, to zawzięcie się zwalczały. Największym wrogiem był ten, kto znajdował się najbliżej.

Zatem to, co stanie się w przyszłości, tej bliższej, a nawet tej dalszej, zależy w wielkiej mierze od przywódców politycznych: rozumienia i definiowania przez nich sytuacji, strategii i umiejętności działania.

Po stronie postkomunistycznej wielkiego wyboru nie ma. Strategia minimalistyczna, ale nieobciążona większym ryzykiem, to nastawienie na współpracę SLD i SdPL-u, na przykład zawiązanie porozumienia przed wyborami samorządowymi 2006 roku, praca nad poprawą wizerunku i... czekanie na błędy rządzącego PiS-u. Strategia bardziej ryzykowna, ale i kusząca większymi szansami (wynikiem w przyszłych wyborach na poziomie ponad 20 procent), to budowanie nowego ugrupowania, z założenia nieco eklektycznego, obejmującego środowiska od nowej lewicy po, co najmniej, dawną UW. Jeśliby politycy UW nie włączyli się w taką inicjatywę, to powstałaby po prostu jakaś nowa lewica. Jeśliby natomiast zaakceptowali taką strategię, to utworzyłaby się formacja o charakterze centrolewicowym i podział postkomunistyczny zostałby przekroczony.

Po stronie postsolidarnościowej możliwości jest więcej. Pierwsza to taka, że mimo sukcesów i potknięć ze strony rządzącego PiS-u, ale także reagujących na bieżącą politykę PO i innych partii, układ sił między PO, PiS-em i LPR-em pozostaje w miarę stały: PiS nie zyskuje zbyt wiele, PO zbyt wiele nie traci, LPR się broni. Takiemu rozwojowi wydarzeń sprzyjać będą przede wszystkim umiarkowany sukces polityki rządu i okopywanie się partii na swoich pozycjach.

Druga możliwość zakłada niepowodzenia polityki rządu: wtedy PiS traci i na korzyść PO, i na korzyść innych partii (Samoobrony oraz LPR-u).

Niewykluczone, że wobec niepowodzeń rządu Jarosław Kaczyński zdecyduje się na koalicję PiS-u z PO – byłaby to trzecia możliwość, mało prawdopodobna, lub z Samoobroną i LPR-em – byłaby to możliwość czwarta, bardziej prawdopodobna. Ta druga koalicja dla Kaczyńskiego stanowiłaby okazję do swoistego zhołdowania obu tych ugrupowań: przejścia części elektoratu, dokooptowania niewielkiej części działaczy i struktur organizacyjnych. Zaś dla Andrzeja Leppera czy Romana Giertycha – okazję do symbolicznego i faktycznego wzmocnienia ich ugrupowań poprzez wprowadzenie do struktur parlamentarnych i państwowych.

W rozważanych tu scenariuszach nie uwzględniam ani oszałamiającego sukcesu polityki rządu PiS-u, ani desperackiego zbliżenia PO do SLD. Obu tych możliwości nie przewiduję. Ale, jak widać, dopuszczam zmiany na scenie politycznej i w systemie partyjnym. Nie wykluczam nawet pewnego osłabienia podziału postkomunistycznego spowodowanego albo przez ruch po stronie postkomunistycznej – udaną ofensywę tworzenia centrolewicy, albo przez ruch po stronie postsolidarnościowej – konflikty PiS-u z PO o natężeniu rozsadzającym tę stronę. W polityce ostatecznie wszystko zależy od ludzi: od wyborów obywateli, od decyzji polityków. Z tym, że odpowiedzialność polityków jest znacznie większa od odpowiedzialności wyborców, odpowiedzialność polityków rządzących zaś jest większa od odpowiedzialności polityków opozycyjnych.

Bronisław Łagowski

Transformacja restauracyjna

Nie lekceważę podziału na „liberalnych” i „socjalnych”. Pośrednio warunkuje on możliwości i kierunki rozwoju kraju. Jednakże problemy w danym czasie czy w ogóle dla społeczeństwa obiektywnie najbardziej żywotne mogą być politycznie neutralne i podlegać rozstrzygnięciom socjotechnicznym lub prawnym. Pod względem politycznym podział na „liberalnych” i „socjalnych” jest obecnie szczątkową pozostałością wielkiego konfliktu, który przez półtora wieku rozdzierał społeczeństwa Europy (jedne mniej, drugie więcej), groził rewolucją i nieraz ją realnie wywoływał. Zaznaczył się także bardzo mocno w stosunkach międzynarodowych, w szczególności w podziale na grożące sobie wojną atomową obozy: kapitalistyczny i socjalistyczny. Polityczna, jeśli nie neutralizacja, to degradacja tego podziału uwidacznia się poprzez nieprawdopodobieństwo rewolucji socjalnej. Obecnie strony „liberalna” i „socjalna” nie pozostają do siebie w stosunku wrogości, uznają wzajemnie swoje prawa do istnienia i wypracowały rutynę kompromisu.

Podział na „tradycjonalistów” i „modernistów”, traktowany przez długi czas jako czysto kulturowy, coraz bardziej również w Polsce się upolitycznia i wywołuje wrogości nieproporcjonalne w swej zaciekłości do wagi materii tego niejasno wyartykułowanego sporu.

Oba te podziały są relatywnie mało znaczące w porównaniu do wrogości dzielącej „solidarnych” i „czerwonych”. Rzeczowe podstawy nie tłumaczą uporczywości tego konfliktu. Różnice programowe między tymi stronami są

mniejsze niż między partiami solidarnościowymi. „Czerwoni” od początku transformacji czynili wysiłki dostosowania się do poglądów i programów strony „solidarnej” i zachowali nie więcej programowej odmienności niż trzeba dla rywalizacji wyborczej. Ich dwukrotne rządy były naśladowaniem polityki rządów solidarnościowych. SLD posuwał się aż do głosowania za uchwałami sejmowymi przygotowującymi klimat dla „dekomunizacji”. Premier rządu „czerwonych” opowiedział się wcale nie gołostownie za gospodarczym liberalizmem, a po nim miejsce szefa postkomunistycznego rządu zajął ekonomista, który od lat miał opinię liberała i uchodził za polityka bardzo proamerykańskiego. Ugodowość „czerwonych” wobec „solidarnych”, czy może ich bojaźliwość, ujawniała się również w tym, że powyborcze rugi partyjne miały pod ich rządami o wiele skromniejszy zasięg, niż to jest zwyczajem w III Rzeczypospolitej. „Czerwoni” usiłowali i nadal usiłują uwiarygodnić się poprzez szukanie uznania w obozie przeciwnika, co, nawiasem mówiąc, nigdy nie przyniosło innych rezultatów niż przyciągnięcie pojedynczych „znanych twarzy” z liberalnych kręgów solidarnościowych.

Rzeczowa podstawa konfliktu między „czerwonymi” a „solidarnymi” jest taka sama, jak między wszystkimi partiami; chodzi, jak wiadomo, o przejście prestiżowych i wysoko płatnych stanowisk w państwie. Obwinianie konkurencyjnej partii o korupcję, gra o to, kto w oczach opinii publicznej będzie szeryfem, a kto złodziejem, którą „czerwoni” sromotnie przegrali, jest w demokracji zadawnionym i powszechnym zwyczajem, ale niczego nie dowodzi. Oprócz pogoni za korzyściami materialnymi, oprócz walki o prestiż, obok chęci narzucenia swojej woli w stosunku do kwestii wymagających załatwienia, partie walczą o wpojenie społeczeństwu swojego poglądu na rzeczywistość, swoich zasad moralnych, swojej wizji historii, krótko mówiąc, swojej ideologii. Czynniki typu ideologicznego bardzo zogniają konflikty międzypartyjne i zwykłą sprzeczność interesów zamieniają w walkę Dobra ze Złem. Otóż „czerwoni” pod względem ideologicznym są nieczynni, indyferentni; wspólnych przekonań w oderwanych kwestiach nie posiadają. Utracili wpływy w wielkich mediach, ale nawet wówczas, gdy są do nich dopuszczani, nie mają nic do powiedzenia. Z całą pewnością więc to

nie czynnik ideologiczny zadrażnia konflikt między „czerwonymi” a „solidarnymi”. Podział na „liberalnych” i „socjalnych” przebiega tak samo poprzez „czerwonych”, jak i poprzez „solidarnych”. W niewyklarowanym pojęciowo antagonizmie tradycjonalistów i modernistów „czerwoni” inercyjnie biorą stronę tych drugich, ale nie wykazują tu ani większej aktywności intelektualnej, ani zaangażowania emocjonalnego.

O ile „solidarnych” charakteryzuje silne akcentowanie własnej tożsamości, o tyle „czerwonych” cechuje wykrętne stanowisko w swojej sprawie, na pewnym poziomie świadomości posunięte do samonegacji. „Solidarni” heroizują swoją przeszłość, ci drudzy swoją odwartościowują, „wybierają przyszłość”. „Solidarni”, zasadnie lub nie, wpisują się w tradycję patriotyczną i odwołują do mitologii narodowej; jest to formacja bardzo „kulturalna” w tym znaczeniu, że z rezerwuaru kultury narodowej i religijnej czerpie symboliczne środki walki politycznej. Po stronie „czerwonych” zdumiewa obojętność, niewrażliwość na kwestie kultury; można mówić o ich samowykluczeniu się z kultury narodowej (pod tym względem różnią się także od PSL-u, partii wybiórczo, ale starannie kultywującej swoją tradycję i podtrzymującą nawet w niesprzyjających warunkach skromną „ludowcową” kulturę). Aspektem tej akulturalności jest odrywanie się od swoich korzeni historycznych i obywanie bez własnej tradycji. Tradycja radykalizmu społecznego, idei i ruchów demokratycznych, mająca swój początek już przed połową XIX wieku (z której wywodziły się dwa najwcześniejsze rządy II Rzeczypospolitej), pozostaje przez „czerwonych” tak samo nieprzyswojona, jak będąca na drugim biegunie tradycja politycznego realizmu. Gdyby doszło do zasadniczego sporu ideowego, nie potrafiliby przeciwstawić politycznemu romantyzmowi „solidarnych” niczego prócz mglistej lewicowości.

Obóz „solidarnych” głosi apologię II Rzeczypospolitej; za legalny i prawowity deklaratywnie uznaje emigracyjny rząd londyński; emigrację powojenną stawia moralnie i politycznie wyżej niż krajową pracę organiczną; rehabilituje ziemiaństwo, zwłaszcza kresowe, i w wielu innych sprawach przyjmuje stanowisko typowo restauracyjne. Komentarzem do kursu na odtwarzanie stosunków politycznych i społecznych II RP mogą być następujące słowa

Leszka Kołakowskiego: „Nie widzę, by były potrzebne polemiki z takimi, co myślą o powrocie do układów politycznych przedwojennych, bo jeśli by tacy istnieli, to wystawiliby sobie świadectwo umysłowej niepoczytalności i nie warto by doprawdy energii tracić na ich zwalczanie”¹. Istotnie w kursie na restaurację jest coś niepoczytalnego i rzeczywiście dyskusja z tymi, którzy ten kurs usprawiedliwiają lub go pobudzają, pozostaje bezcelowa. W tym sensie słowa Kołakowskiego są dziś równie słuszne jak 30 lat temu.

„Czerwoni” albo są zakłopotani, albo zrezygnowani i w tym stanie ducha przyjmują z małymi zastrzeżeniami poglądy przeciwników. Dla „polityki historycznej” nie mają zrozumienia, tak jak dla kulturalnego instrumentarium polityki. Widać w tym jakąś poczciwość, ale również prostaczkowość, a może cynizm.

W kwestiach moralnych występuje następująca różnica: „solidarni” (najpierw mniejszość, a następnie niemal cała formacja) za najwyższy nakaz etyki w życiu publicznym uznali odwet i zemstę. Dzięki swojej kulturalności potrafili ten nakaz ubrać w symbole i metafory religijne, tak że zdają się one górować nad powszechnymi zasadami moralnymi. „Prawda” i „Pamięć” są zawołaniami bojowymi tej etyki, a znaczą właśnie zemstę. Słowa Chrystusa z Ewangelii św. Jana: „I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi” (prawda znaczyła tam wiarę, że Jezus jest Synem Bożym) uczynili głównym sloganem lustracji. Etyka „czerwonych” dla odmiany jest trywialna i sprowadza się do płaskiej maksymy: „żyj i daj żyć innym”.

Dlaczego formacja bez przyszłości, a w gruncie rzeczy już bez terażniejszości – mówię o „czerwonych” – jest tak systematycznie zwalczana przez „solidarnych” wszystkimi dostępnymi im środkami? Nie mieści się to w ramach normalnej kłótniowości demokratycznej czy wielopartyjnej rywalizacji. Zapowiedziane przejście do tzw. IV Rzeczypospolitej ma polegać głównie na wzmożeniu walki z „czerwonymi”, co już się dzieje.

Aby objaśnić naturę podziału na „solidarnych” i „czerwonych”, trzeba odwołać się do typu transformacji ustrojowej, jaką przechodzi Polska. Ty-

¹ Leszek Kołakowski, *O nas samych*, „Kultura” (Paryż) 1975, nr 6.

pologia transformacji jest poznawczo równie ważna jak typologia ustrojów i jak tamta odnosi się nie tylko do formalnej strony zjawiska, lecz mówi nam również o uwarunkowaniach i przymusach, jakim w danym typie ustroju czy transformacji ulegają działające jednostki.

Socjologia i politologia z pewnością nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa o przemianach zachodzących od 1989 roku. Jeśli chodzi o głębsze zrozumienie tych przemian to, moim zdaniem, więcej niż tamte nauki tymczasem daje nam historia francuskiej Restauracji lat 1815–1830. W każdym razie szczegółowa wiedza o tamtej Restauracji jest niezwykle pomocna. Ralf Dahrendorf bardzo się pomylił, biorąc *Rozważania o rewolucji we Francji* Edmunda Burke’a za klucz do interpretacji upadku komunizmu w Europie Wschodniej, w znanej książce pod tytułem parafrazującym tytuł dzieła Burke’a. Upadek komunizmu nie był rewolucją, lecz końcem rewolucji. I początkiem restauracji. Prowadzą do takiego wniosku zarówno opis fenomenologiczny, jak i umiejscowienie tych przemian w dialektyce historii, mówiąc słowami Augusta Cieszkowskiego.

Transformacja dokonywana przez „solidarnych” nie posiada cech rewolucji. Nie pobudza jej utopia, nie dąży do równości, nie stosuje terroru fizycznego, nie obiecuje totalnego wyzwolenia, lecz tylko wolność polityczną. Nie nacjonalizuje własności, ale przeciwnie, reprivatyzuje. Krytyka społeczna, jaką uprawia, jest powierzchowna i nieradykalna. Jej ideały i jej „kultura” są przejęte z niedalekiej przedkomunistycznej przeszłości, głównie z II Rzeczypospolitej, którą wielu jeszcze pamięta jako bardzo niedoskonałą. Nie można tu mówić o retrospekcji przewrotowej w sensie wziętym z Kazimierza Kelles-Krauza, lecz o retrospekcji restauracyjnej lub kontrewolucyjnej. Piętnowanie radykałów transformacji jako rewolucjonistów, „jakobinów” czy „bolszewików” jest zupełnie chybioną retoryką.

Przedmiotem wrogości i poczynań delegitymizacyjnych jest system komunistyczny, a dokładniej Polska Rzeczpospolita Ludowa jako jego ucieleśnienie. PRL jest powtórnie totalizowany, tym razem pojęciowo i symbolicznie, tak że wszystko, co wchodziło w skład państwa, uznaje się za komunistyczne lub nawet – w potocznej mowie polityków – „totalitarne”. Nie wchodzi

w to, czy pojęcie komunizmu zostało właściwie dobrane. Z pewnością komunizm znajdował się u początków tego systemu społeczno-politycznego i bez wątpliwości był zjawiskiem rewolucyjnym. Nie można też zaprzeczyć, że w swojej istotnej treści, którą jest kolektywizm własności środków produkcji i negacja rynku, obowiązywał do końca. Transformacja restauracyjna polega na przywróceniu do życia tego, co przez rewolucję komunistyczną zostało obalone, a więc przede wszystkim kapitalizmu i jego formy politycznej: pluralizmu partyjnego, wolnych wyborów, wolności słowa. Wzorem dla polskiej transformacji była II Rzeczpospolita, która jest oczyszczana nie tylko z tych zarzutów, jakie przeciw niej miotali komuniści, lecz także z krytyki pochodzącej ze środowisk liberalnych, demokratycznych i chłopskich. Restauracyjny charakter transformacji przejawia się również w powrocie Kościoła na swoje utracone wskutek rewolucji komunistycznej miejsce w systemie władzy i w zajęciu przez religię dominującej pozycji w kulturze.

Podobieństwa między dzisiejszą polską restauracją a Restauracją boubrońską są uderzające, i nie powierzchowne, lecz strukturalne. Również polska restauracja na zakończenie oddaje władzę ultrasom. Mamy nawet szuanerię, czyli moherowe berety. Atmosfera jest przesycona duchem odwetu, a głównym zadaniem staje się „rozliczenie przeszłości”. Cała reszta z punktu widzenia ultrasów ma drugorzędne znaczenie. Warstwy plebejskie, chłopskie i robotnicze, bądź mające taki rodowód, przyjęły restauracyjną ideologię: ciemniźcyiele ich przodków mieli rację, a chłopci, co przenieśli się ze wsi do Nowej Huty, popełnili czyn, którym nie należy się chwalić. Trzeba raczej zatrzeć o nim wspomnienia, nazywając plac Centralny imieniem Ronald Reagana lub stosując inne egzorcyzmy.

Proste następstwo po ustroju komunistycznym, rewolucyjnym, nie sprawia automatycznie, że transformacja staje się restauracją. W Rosji transformacja dokonała się w sposób radykalny, krańcowy w stosunkach własnościowych i politycznych, jednakże nie pociągnęło to za sobą takiej idealizacji stanu przedrewolucyjnego, która byłaby równoznaczna z bezwzględnym i totalnym potępieniem okresu komunistycznego. Rosjanie nie wyłączyli Związku Radzieckiego z dialektyki historii, przyjęli inną postawę niż polscy „solidarni”

w stosunku do PRL-u. Nowy reżim odciął się od rewolucji wcielonej w totalne państwo, lecz nie od całości życia społecznego i narodowego, jakie toczyło się w ramach tego państwa. Forma zerwania z państwem rewolucyjnym przypomina pod niejednym względem stosunek napoleońskiego cesarstwa do jakobińskiej rewolucyjnej republiki. Nowa, niejednorodna, „pluralistyczna” hierarchia łączy się z elementami radzieckiej nomenklatury. Badania przeprowadzone przy pomocy Fundacji Eberta świadczą, że ten stosunek do państwa radzieckiego oznacza porażkę mediów, przedstawiających siedemdziesiąt lat historii jako jeden „koszmar”. Sprzeciw wobec transformacji restauracyjnej w Rosji ma źródło w postawie mas społecznych, a nie nowej władzy, bo ta początkowo skłaniała się do stanowiska dysydentów².

Można usłyszeć opinię, że w Polsce nie było rewolucji, a komunizm został przyniesiony na bagnietach, nie należy zatem mówić o restauracji, lecz o powrocie do „normalności”. Jeśli rozumieć rewolucję tak wąsko, to nie było jej także w Rosji; wystąpiła tylko w Piotrogradzie i Moskwie, a reszcie kraju komunizm został narzucony siłą przez tych, którzy zwyciężyli w stolicach. Nadzieжда Mandelsztam pisała o oddziaływaniu samego słowa „rewolucja” na umysły inteligencji; miało ono w sobie pewnego rodzaju „magię”, obywatelniało umysły wobec naporu propagandy bolszewickiej i terroru. Słowo to wchłonęło w siebie utopijne nadzieje XIX wieku, a rewolucja bolszewicka w wielu krajach świata jeszcze je wzmocniła. W XX wieku dyktatorzy chcieli być rewolucjonistami i ci, którzy walczyli z dyktaturą, również. „Solidarni” nie obrażają się, gdy nazywa się ich ruch rewolucją, mimo swego konserwatywnego wyznania i swojej antykomunistycznej tożsamości. Żadnej rewolucji jednak nie dokonali. Dzięki „solidarnym” Polska stała się Wandą dla światowej rewolucji socjalistycznej, a polscy „czerwoni” biorą baty za ofiary śmiertelne, jakie ta rewolucja za sobą pociągnęła na świecie.

² Nie tu miejsce na rozwijanie tego zagadnienia; zainteresowanych odsyłam do artykułu Jean-Marie Chauviera *En Russie, nostalgie soviétique et nouveau patriotisme d'Etat*, „Le Monde diplomatique” 2004, nr 3.

Dyskusja

Aleksander Smolar

Listę podstawowych podziałów politycznych – „solidarni” i „czerwoni, „socjalni” i „liberalni, „moderniści” i „tradycjonałiści” – można i należy uzupełnić o tak ważne tradycyjnie opozycje, jak biedni – bogaci i lewica – prawica. Pytanie o podstawowe podziały jest także pytaniem o możliwą dynamikę polityczną, o to, jakiego typu interesy i formacje mogą mieć na nią wpływ. Trudno sobie wyobrazić, że tradycyjny podział na obóz postsolidarnościowy i postkomunistyczny może w przyszłości odegrać znaczącą rolę. Obóz postkomunistyczny nie ma przed sobą przyszłości. Nie ma on szans na zdobycie politycznego znaczenia czy też jego odzyskania, ponieważ postkomuniści nie są w stanie przedstawić – zgadzam się tu z oceną Janusza Reykowskiego – silnej i atrakcyjnej narracji, nie mają możliwości narzucenia społeczeństwu własnej opowieści o historii. Czyli, innymi słowy, być może mamy dzisiaj do czynienia z kontrewolucją, ale specyficzną, bo odniosła ona już sukces. Jeżeli zatem wygrała, to czy podział na obozy: postkomunistyczny i postsolidarnościowy jest nadal aktualny? A jeżeli nie ma już znaczenia, to jaka jest inna istotna linia podziału?

Dzisiaj podstawowe pytanie – nie neguję innych linii podziału na polskiej scenie politycznej – dotyczy podziału wyznaczanego przed dwie dominujące formacje, obie lokujące się po stronie prawicy i konkurujące przede wszystkim

o prawicowy elektorat. Chociaż należy tu dodać, że Prawo i Sprawiedliwość, w którego programie wyraźny jest też wymiar społeczny, a nawet socjalny, walczy o część tradycyjnego elektoratu lewicowego. Również Platforma Obywatelska walczy, przy pomocy elementów liberalizmu politycznego i ekonomicznego, o część tego elektoratu.

I ostatnie zdanie komentarza. Mirosława Grabowska wskazała podobieństwo elektoratów Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. Jest to – patrząc na cały problem w kategoriach taktycznych – argument za współrządzeniem obu partii. Jednak gdy rozważa się to w kategoriach długofalowych, można powiedzieć, że podobieństwo elektoratów pokazuje, że przynajmniej jedna z tych formacji nie może liczyć na trwałą przyszłość w przestrzeni publicznej i ideowej, którą obecnie okupuje.

Janusz Grzelak

Oczywiście można zarysować wiele linii politycznych podziałów w Polsce. Jedną zaproponował Antoni Sułek w swej antynomii: „indywidualiści” *versus* „uspołecznieni, troszczący się o dobro wspólne”¹. Otóż ta opozycja jest fałszywa, ponieważ, jak podkreśla Janusz Reykowski, mamy do czynienia z *continuum*. Ludzie będący indywidualistami jednocześnie mogą być prospołeczni, jeżeli na przykład nie przynosi im to wyraźnej szkody. Podobna może być sytuacja osób, u których prymat ma troska o innych. Postawy mogą też się zmieniać. Przy czym istnieje możliwość pogodzenia obydwu tych postaw, a nawet ich życie obok siebie, w zgodzie. Przyjrzyjmy się Stanom Zjednoczonym, gdzie – podam tylko jeden, banalny, *casus* – indywidualna pycha, ambicje czy interesy donatora są zaspokojone przez tabliczkę umieszczoną na ławce w publicznym parku. Dlaczego o tym wspominam? Ponieważ ten podział ma odwzorowanie, niepełne oczywiście, w etykietach politycznych. Chętnie jest podkreślana opozycja między indywidualistyczną, wolnościową, liberalną ideologią Platformy Obywatelskiej a solidaryzmem Prawa i Sprawiedliwości. To jednak – moim zdaniem – fałszywe, a co więcej szkodliwe

¹ Zob. wypowiedź Antoniego Sutka w niniejszej publikacji, s. 142.

przeciwstawienie. Dodatkowo, nagłaśniane publicznie, utrwała przekonanie, że to, co moje, nie może być wspólne. Ta antynomia jest gdzieś głęboko osadzona w polskiej tradycji, chociaż stoi w sprzeczności ze stanem rzeczywistym; a przecież nie jest powiedziane, że należy kogoś potępiać za indywidualizm czy wręcz egoizm, bo nawet ten ostatni może służyć interesowi społecznemu. Jednak na użytek doraźnych potrzeb politycznych odsuwa się i niszczy możliwość budowania w ludziach postaw, które łączyłyby, a nie dzieliły własne i wspólne interesy obywateli państwa.

Piotr Pacewicz

Sądzę, że jesteśmy dość niesprawiedliwi w ocenie ostatnich szesnastu lat. Nie ma tu potrzeby przypominać wartości i osiągnięć tego okresu. Warto jednak postawić pytanie: dlaczego wyczerpała się atrakcyjność narracji związanej z III RP? Odpowiedzi są dwie. Pierwsza, narzucająca się i obecnie modna, to wskazanie na wady i kłęski tego okresu. Wymienię tylko trzy hasłowo: korupcja, niedostateczne zadbanie o socjalną solidarność oraz zgłupienie kultury i mediów.

Porównywałem orędzia Aleksandra Kwaśniewskiego z 2000 roku i Lecha Kaczyńskiego z 2005 roku². Różnice są ogromne. Wspomnę o jednej. Aleksander Kwaśniewski trzydzieści pięć razy użył słów kojarzących się z satysfakcją i zadowoleniem: „dziękować”, „radość”, „satysfakcja”, „duma”, „wiara”, „ optymizm”, „zaufanie”, „życzliwość”, „przyzwolenie”, „dialog” i tak dalej. U Lecha Kaczyńskiego tylko sześć razy pojawiają się słowa z tej grupy. Dominują zupełnie innego rodzaju określenia, jak „zagrożenie”, „walka”, „korupcja”, „układy” i wielokrotnie powtarzające się obietnice związane z „władzą” i „państwem”.

Cechą charakterystyczną III RP był klimat emocjonalny, który odchodzi w przeszłość. Trochę szkoda, bo optymizm stanowił siłę – wierzono, że jeżeli ktoś się postara, to da sobie radę. Ten klimat jednak był równocześnie

² Zob. Piotr Pacewicz, *Kwaśniewski i Kaczyński o Polsce i Polakach*, „Gazeta Wyborcza”, 14–15.01.2006.

słabością, bo przecież część obywateli nie dała sobie rady w nowej rzeczywistości. W pewnym momencie kształtujący obyczajowość i umysłowość tych czasów nie dostrzegli, że rośnie grono wyraźnie niezadowolonych. I nawet nie idzie o to, że pogorszyła się ich sytuacja materialna, ale o to, że zmieniły się ich odczucia.

Paradoksalnie to rozczarowanie mogło być wynikiem faktu, że nasze sny z 1989 roku – wolny rynek, demokracja, członkostwo w NATO i Unii Europejskiej – stały się rzeczywistością. Powstała pustka, którą wypełniła ideologia IV RP. Ideologia być może zawsze jest groźna. Póki co padają jedynie słowa, ale są one groźne, ponieważ podważają pryncypia demokratyczne.

Oczywiście, można mieć nadzieję, że nowa władza się uczy. Dwa razy zadałem Kazimierzowi Marcinkiewiczowi to samo pytanie o jego głośną wypowiedź, że gej to coś nienaturalnego. Za drugim razem odpowiedział: „Uważam, że jako premier już tak nie powinienem mówić”. Jednak w tym samym kontekście pragnę przypomnieć zdanie Lecha Kaczyńskiego, wówczas prezydenta Warszawy, który na pytanie dziennikarki o wydany przez niego zakaz parady równości odpowiedział, że nie jest to wystąpienie przeciwko demokracji, bo przecież „oni mogą demonstrować jako obywatele, ale jako geje nie”.

Obok wymienianych już tu podziałów istnieje na szczęście jeszcze jeden. Antyliberalne, ideologiczne zacięcie PiS-u sprawia, że oprócz tych wszystkich niezadowolonych klientów IV RP, biernie oczekujących pomocy od partii politycznych, aktywnie niezadowolonych, odradzają się środowiska poruszonych tym, co się dzieje w Polsce, i jednocześnie zmobilizowanych. To tworzy potencjał, dobry kapitał. Podam jeden, może zaskakujący przykład. „Gazeta Wyborcza” dwukrotnie przeprowadzała akcję „Rodzić po ludzku”. Pierwszy raz w połowie lat 90., drugi raz – obecnie. Odzew jest nieporównywalny. Co minutę otrzymujemy – drogą internetową – ankietę od kobiety z opisem porodu, co posłuży do stworzenia *Przewodnika po szpitalach położniczych*. Zadano pytanie o tak znaczne zainteresowanie akcją. Okazało się, że dla wielu kobiet udział w tej konsumenckiej akcji jest wyrazem „obywatelskiego niepostuszeństwa”, to rodzaj deklaracji wobec tego, co obserwują w Polsce.

Okazuje się, że prawicowa, rządząca opcja, popierana przez znaczną część społeczeństwa, jednocześnie mobilizuje wielu ludzi do wyrażania alternatywnych postaw.

Wiktor Osiatyński

Podobnie jak Piotr Pacewicz, uważam III RP za największy sukces w całych dziejach Polski, przy jednoczesnej świadomości związanych z nim wielkich kosztów wynikających z procesu demokratyzacji oraz przejścia z gospodarki sterowanej do wolnego rynku. Jednak ów sukces został zatarty przez negatywne symbole i oceny, wykorzystywane przy tworzeniu konkurujących ze sobą ugrupowań politycznych i w walce o władzę.

Przejdę do kwestii podziałów politycznych. Mam wątpliwość co do dychotomii „postsolidarni” i „czerwoni” czy „solidarni” i „liberalni”. W Polsce w pojęciu „liberalny” mieszczą się dwie zbite ze sobą koncepcje liberalizmu – liberalizmu rynkowego, będącego w gruncie rzeczy usankcjonowaniem zwycięstwa najbardziej dostosowanych, czyli posiadających większą siłę na tym rynku, oraz liberalizmu w znaczeniu nadawanym przez Johna Locke’a czy Johna Stuarta Milla, czyli koncepcji opowiadającej się za pluralizmem, tolerancją i ideą państwa ograniczonego konstytucyjnymi wolnościami i zwyczajami. Przed drugą wojną światową to ostatnie rozumienie liberalizmu było w Europie rzadkie, później przyjęli je socjaldemokraci, tacy jak Joseph Schumpeter.

Jeżeli będziemy pamiętali o tym podwójnym rozumieniu liberalizmu i o akcentach różnie rozłożonych w obu tych koncepcjach, to łatwiej zrozumiemy nagłą zmianę linii podziałów sprzed kilku miesięcy. Dwa dni po rezygnacji Włodzimierza Cimoszewicza z kandydowania w wyborach prezydenckich podstawowa linia podziału: „czerwoni przeciwko solidarnym” została zastąpiona przez „solidarni kontra liberalni”. Tym samym konflikt między środowiskami postsolidarnościowymi a postkomunistami uległ marginalizacji, a linią podziału stały się postawy reprezentowane przez PiS i PO. Przy czym uznanie, iż ci ostatni są reprezentantami liberalizmu,

jest zasadne, jeżeli rozumiemy liberalizm jedynie jako przywiązanie do wolnego rynku. W pełni zgadzam się bowiem z poglądem, że ani Platforma Obywatelska, ani Prawo i Sprawiedliwość nie są partiami liberalnymi, jeśli pod tą etykietą będziemy rozumieli przywiązanie do tolerancji i pluralizmu, w tym do liberalizmu obyczajowego. Jeżeli ograniczymy rozumienie liberalizmu do liberalizmu rynkowego, to proszę zauważyć, iż najbardziej liberalnym rządem w Polsce po 1989 roku był rząd Leszka Millera. Doskonałe reprezentował on interesy grupy posiadającej silny kapitał zarówno w postaci znajomości czy kontroli nad państwowymi przedsiębiorstwami, jak i kontroli nad kapitałem prywatnym. Ci, którzy skorzystali z transformacji, w dużej mierze znaleźli się w SLD. Doszło do pokrycia się grup „czerwonych” i „liberalnych”, a pozostali „czerwoni” i zarazem „antyliberalni” albo szukają dzisiaj swojego miejsca w różnych grupach lewackich, albo pokładają nadzieję w obietnicach złożonych przez braci Kaczyńskich.

Sadzę jednak, że żaden z podziałów – „solidarni” i „czerwoni, „socjalni” i „liberalni, „moderniści” i „tradycjoniści” – nie ma wielkiego znaczenia. Podstawowy podział od trzystu lat przebiega inaczej: według linii oddzielającej elity od mas. Wszystkie inne podziały są wobec niego wtórne. Masy w Polsce zawsze chciały silnego przywódcy, który przyjdzie i zrobi porządek – z Żydami, liberałami, wyzyskiwaczami czy innymi krwiopijcami. Elity zaś chcą parlamentarnego systemu demokracji i mniej lub bardziej otwartej gry pomiędzy reprezentantami różnych opcji politycznych czy ideologicznych. Przy czym – w związku ze zjawiskami określanymi przez mnie pojęciem „demokracji elektronicznej” – podział ten wszędzie się wzmacnia (nie tylko w Polsce). Dzisiaj elity są na tyle silniejsze od mas, że można już mówić o kryzysie demokracji. Demokracja, podobnie jak prawa człowieka, była wynalazkiem ery przemysłowej. Dzisiaj żyjemy w społeczeństwie postprzemysłowym. Jednym z jego przejawów jest postępująca demobilizacja obywateli. Za niemalże cud uważam to, że 40 procent obywateli chodzi do urn wyborczych w społeczeństwie, w którym przestały istnieć silne instytucje politycznej mobilizacji mas. W końcu XIX wieku związki zawodowe pilnowały robotników, aby szli głosować. Dzisiaj już nie ma takich instytucji mobilizujących.

Innym przejawem tego kryzysu jest zmniejszenie roli racjonalnej debaty. Obecnie państwo coraz mniej kontroluje decyzje gospodarcze i sferę symboliczną, a nowe elity gospodarcze w dużym stopniu żerują na strachu jako podstawowej emocji życia publicznego. W tej sytuacji łatwo politykom walczącym o władzę manipulować masami, które są bez porównania słabsze, nie mają własnych organizacji i instytucji. Prowadzi to do powstawania nieliberalnych demokracji, przy czym owo „nieliberalne” nie jest rozumiane jako „antyrynkowe”.

Grupy dominujące obecnie w Polsce – Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska – optują za gospodarką rynkową (w przypadku PiS-u zabarwioną tendencją solidarną), a jednocześnie są właśnie nieliberalne: odrzucają idee tolerancji, ograniczonego państwa i tak dalej. Za kilka lat będziemy mogli sprawdzić, czy określenie reprezentowanych przez nie tendencji mianem „etatyzmu” czy raczej „autorytaryzmu” było bardziej trafne. Chciałbym podkreślić coś innego: podobne tendencje można zauważyć w innych krajach, które niedawno weszły do Unii Europejskiej: na Łotwie, w Słowenii czy na Słowacji. I pojawia się pytanie, czy to silne państwo, bez ograniczeń, owo *illiberal democracy*, przetrwa. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że wszystkie nieliberalne demokracje przestawały być demokracjami i padały łupem złodziei oraz skorumpowanego aparatu państwowego, nawet jeżeli obejmował on władzę jako uczciwy i podkreślał to w swoim programie. W Polsce nie dostrzegam wystarczającej liczby zabezpieczeń, chroniących nas przed takim właśnie rozwojem wydarzeń.

I pozostaje jeszcze jedno pytanie: dokąd pójdą masy, kiedy narosną ich niezadowolenie i niecierpliwość wobec obecnie rządzących? Czy i jaka pojawi się alternatywna siła polityczna, mogąca w następnych wyborach z tej frustracji mas skorzystać? Na razie nie ma alternatywy wobec prawicowej, niezbyt liberalnej demokracji, reprezentowanej przez PO i PiS.

Ryszard Bugaj

Czy podział „Polska liberalna” – „Polska solidarna” jest absurdalny? Nie. Mam głębokie przekonanie, że to rozróżnienie może być użyteczne. Ten podział nie jest oczywiście zanurzony w historii myśli społecznej, czego przykładem chociażby wspomniany przed chwilą John Stuart Mill, u którego można znaleźć wątki „socjalistyczne”, choć przecież to Mill jest ojcem liberalizmu. Mamy jednak ważny kontekst miejsca i czasu. Projekt lewicowy został skutecznie zawłaszczony przez środowiska postkomunistyczne i pozbawiony swej tożsamości. W tej sytuacji jądrem racjonalnej różnicy i osią sporu może być właśnie ów podział „Polska liberalna” – „Polska solidarna”.

Zbigniew Krasnodębski

Oczywiście, podział „czerwoni” – „solidarni” nie jest tożsamy z podziałem „lewica” – „prawica”. Zgadzam się też z opinią, że trudno powiedzieć o Leszku Millerze, że był – w pewnym rozumieniu tego słowa – lewicowym politykiem. Nieprzypadkowo jest on dzisiaj publicystą tygodnika „Wprost” i głosi tam bardzo prorynkowe teorie. Jednak podział „czerwoni” – „solidarni” zasadza się na czymś innym. Bronisław Łagowski uznał odwet za podstawową ideę polskiej prawicy. Ja zaś za cechę konstytutywną ludzi określanych mianem „czerwoni” uznaję uczestniczenie w systemie władzy reżimu, który łamał podstawowe prawa człowieka i obywatela. Zatem jeżeli uważamy owe prawa za centralną wartość w systemie demokratycznym i troszczymy się o prawa homoseksualistów, to powinniśmy również troszczyć się o prawa ofiar komunizmu, na przykład zabitych górników i ich rodzin. Dlatego podział „czerwoni” – „solidarni” dotyczy znów problemu III RP. Jednym z powodów jej odrzucenia jest poczucie, że podstawowa zasada sprawiedliwości została zachwiana i nie wprowadzono ważnych elementów państwa prawa, takich jak otwarcie archiwów służb specjalnych.

Istnieje jednak drugi problem, związany z podziałem „czerwoni” – „solidarni” i „solidarni” – „liberalni”. W pierwszych latach III RP politolodzy i socjologowie często głosili, że nastąpi racjonalizacja polskiej sfery politycznej

– partie będą reprezentowały interesy, a nie tożsamości historyczne. Później odkryto, a może zauważono, iż podziały z przeszłości odgrywają dużą rolę. Co się dzieje w chwili obecnej? Badania opinii publicznej przedstawione przez Mirosławę Grabowską pokazały, że elektorat dwóch głównych – i opozycyjnych wobec siebie – partii politycznych jest bardzo podobny i trudno zrozumieć linię podziału między PO a PiS. Ale czy jest to jedyna możliwa interpretacja tych danych? Uwaga Aleksandra Smolara o możliwej przypadkowości jednej z tych partii pokazuje, że interpretacji może być więcej.

Jeżeli już rozmawiamy o liniach podziałów politycznych, to chciałbym spytać – nawiązując do wypowiedzi Janusza Reykowskiego – jaki jest dyskurs po lewej stronie polskiej sceny politycznej: liberalny czy lewicowy? To uderzające, że w naszej rozmowie nie pojawiła się jakaś klasyczna lewicowa analiza rzeczywistości, odwołująca się do struktury klasowej, konfliktu, hegemonii. A przecież powstają tego typu interpretacje, czego przykładem może być niedawno wydana książka Davida Osta o dziedzictwie „Solidarności”³.

Ostatnia sprawa to podział na elity i masę, zaproponowany przez Wiktora Osiatyńskiego. Jeżeli popatrzymy na konflikt wokół III RP z punktu widzenia właśnie dyskursu lewicowego, to nie możemy pominąć problemu władzy i hegemonii. Przeglądając się strukturze władzy w III RP, można powiedzieć, że były dwie grupy: ludzie posiadający kapitał polityczny, ale też symboliczny, wpływy i zapewnione bezpieczeństwo oraz kontestatorzy. Pojawia się pytanie: czy do tej drugiej grupy należeli jedynie przedstawiciele dołów społecznych, czy też członkowie elity (lub jakiejś kontrolity)? Jeżeli do grupy kontestującej należała też część elit, to spór o III RP można uznać za walkę o interpretację, spór o kontrolę nad „mainstreamem”. Podczas kampanii wyborczej PO i PiS były partiami kontestującymi III RP. Jednak podczas drugiej fazy kampanii wyborczej oraz już po jej zakończeniu jedna z tych partii – świadomie czy nieświadomie – dokonała nowej autodefinicji lub też została przededefiniowana przez ludzi bojących się, nieufających, ale odrzucających zmiany (bo obawiają

³ David Ost, *The Defeat of Solidarity. Anger and Politics in Postcommunist Europe*, Ithaca NY, London 2005.

się, że ich pozycja lub ich kapitał symboliczny mogą się zmienić). W tej sytuacji podział na „solidarnych” i „liberalnych” jest bardzo aktualny i nośny.

Jacek Żakowski

Nie ma żadnego dowodu, że III Rzeczpospolita została całkowicie odrzucona, natomiast dość powszechnie zakwestionowano istotne elementy tamtej rzeczywistości. Jednak nawet wynik wyborczy SLD świadczy, że nie przekreślono III RP. Nie spotkałem się z żadnym istotnym syndromem społecznego odrzucenia liberalno-demokratycznego modelu tamtego państwa, odrzucenia zasad praworządności, legalizmu, wolności obywatelskich. Owszem, są grupki skrajne, jak zawsze i wszędzie. W Warszawie raptem pięćdziesiąt osób protestowało przeciwko paradzie równości. Trudno uznać to za poważne zjawisko społeczne. Problem jest inny, raczej kadrowy niż polityczny. Liberalno-demokratyczny dyskurs nie ma żadnej reprezentacji politycznej. A może raczej został – mówiąc brutalnie – ukradziony przez Platformę Obywatelską, której część udaje partię liberalno-demokratyczną, chociaż nią nie jest. Ukradziony został też przez Sojusz Lewicy Demokratycznej, który pozorował liberalno-demokratyczne oblicze. Ten dyskurs nadal czeka na zagospodarowanie polityczne.

Wiele razy we wcześniejszych dyskusjach przestrzegano przed poddawaniem się dyskursowi histerycznemu. Warto jednak pamiętać, że upowszechnia się on w sytuacji w uzasadniony sposób wywołującej najgorsze emocje. Jestem przekonany, iż rządy PiS-u są lepsze niż samodzielne rządy koalicji LPR-u i Samoobrony. Istnieje bowiem znacząca różnica między elektoratami tych partii. Prawo i Sprawiedliwość, mimo wszystkich zastrzeżeń, jest partią demokratyczną i ma prodemokratyczny elektorat. Natomiast elektoraty LPR-u i Samoobrony są niedemokratyczne. Ich zwolennicy w większości wyrażają opinię, że demokracja nie jest najlepszym ustrojem na świecie. To jeszcze jedna linia podziału na polskiej scenie politycznej.

Jerzy Jedlicki

Chciałbym poruszyć dwa bardziej szczegółowe problemy.

Pierwszy. Czy w badaniach preferencji wyborczych w Polsce w 2005 roku klasyczne wyznaczniki socjologiczne – takie jak wiek i wykształcenie, a także miejsce zamieszkania: „miasto”, „wieś” – cokolwiek jeszcze tłumaczą i cokolwiek warunkują? Czy też zachodzą tylko słabe korelacje: że gdzieś jest trochę większa skłonność w danej grupie wiekowej do wyboru partii „x” albo „y”? Czy są jeszcze jakieś silniejsze determinanty socjologiczne?

Drugi. Dzisiaj, w rynkowym systemie medialnym mówi się często, że media, chcąc uzyskać większą oglądalność, dostarczają takich przekonań i analiz, jakie podobają się ich odbiorcom. Jeżeli tak jest istotnie, to może w tej sferze istnieje stała korelacja? Nie twierdzę, że to media manipulują przekonaniami, raczej elektorat i media wzajemnie sobą manipulują.

Janusz Reykowski

Ciekawa jest zmiana, jaka dokonana się w ostatnich latach w amerykańskim elektoracie. Partii Republikańskiej, prowadzącej politykę zdecydowanie probiznesową i przyczyniającą się do bogacenia się zamożnych warstw społeczeństwa, udało się uzyskać duże poparcie uboższych warstw. Przeciwnieństwo klasowe, używając tego tradycyjnego terminu, zostało przysłonięte przez inne przeciwnieństwo – ideologiczne, narzucone przez fundamentalistyczną chrześcijańską prawicę. Ten przypadek pokazuje, że socjologiczne wyznaczniki są bardzo ważne, ale nie muszą być determinujące. Okazuje się, że można skonstruować w umyśle ludzi obraz świata skłaniający ich do działania odmiennego, niż można by oczekiwać po ich pozycji społeczno-ekonomicznej.

Nie mogę zgodzić się z opinią, iż media działają wedle preferencji odbiorców i dlatego też spełniają przede wszystkim oczekiwania ich większości. Przecież preferencje są różne i można „grać” na różnych preferencjach. Pole wyboru jest rozległe. Nie ma tutaj prostego determinizmu. Powiedziałbym raczej, że media, pragnąc zdobyć jak najwięcej odbiorców, mogą brać pod uwagę rozmaite oczekiwania. Jak wynika z różnych badań – większość

obywateli pragnie władzy autorytarnej, a jednocześnie demokratycznej, lubi walkę, ale pragnie harmonii społecznej. A mało kto chciałby żyć w strachu przed władzą. Z pragnień i oczekiwań można odczytać bardzo różne – niejednokrotnie sprzeczne ze sobą – rzeczy. Dokonanie wyboru pozostaje w rękach ideologów, polityków i ludzi mediów.

Przechodząc do kwestii przeciwieństwa „liberalni” – „solidarni”: jest to podział na tych, którzy wierzą w wolny rynek, i tych, którzy państwu przypisują główną odpowiedzialność za sytuację w gospodarce i za ich indywidualny los. Jednak ten podział nie zawsze jest tak klarowny. W Polsce od początku lat 90. znaczna większość wierzyła w kreatywną moc państwa, a jednocześnie pokochała wolny rynek. Można zatem powiedzieć, że jest grupa osób opowiadających się za wolnym rynkiem, pod warunkiem, że państwo będzie się o nich troszczyło.

Kolejna sprawa dotyczy sporu o III Rzeczpospolitą. Niektórzy używają delikatnego języka: mówią o zmianie, a nie o zerwaniu czy przełomie. Równocześnie większość zgadza się – widać to w naszej dyskusji – że III RP miała wiele wad. A więc zwolennicy IV RP pytają: dlaczego nie godzicie się na gruntowną zmianę? Czy nie chodzi wam o to, aby spetryfikować zły stan rzeczy?

To bałamutna teza – toczący się spór nie dotyczy potrzeby samej zmiany, lecz tego, co i jak ma zostać zmienione! A także tego, co warto zachować. Głoszony przez zwolenników IV RP program naprawy prowadzi do stratowania całego dorobku III RP, a nie do poprawiania jej wad. W ich wypowiedziach dominuje tendencja do niszczenia tradycji tego państwa, jego fundamentów, w tym także symboli „Solidarności”, np. takich postaci jak Lech Wałęsa. Miłośnicy IV RP nie próbowali oddzielić tego, co było dobre, od złego w ostatnim szesnastolecu, tylko bezpardonowo niszczyli wszystko, ponieważ to pozwalało im na formułowanie nowej koncepcji władzy i nowego sposobu jej uprawiania.

Ostatnia uwaga dotyczy problemu postawy odwetu w polityce Prawa i Sprawiedliwości. Zdzisław Krasnodębski dostrzegł sprzeczność: są osoby, które w III RP broniły praw człowieka, a jednocześnie nie opowiadały się za polityką rozprawy z przedstawicielami PRL-owskiego państwa. Chciałbym zatem zapytać: czy byłby Pan za politycznymi procesami funkcjonariuszy

rządów generała Franco? Czy byłoby dobrze, gdyby po przejściu władzy w Hiszpanii w inne ręce rozpoczęły się procesy polityczne za ewidentne łamanie praw obywatelskich w czasie działania frankistowskiego reżimu? W postulatach „rozliczenia” w ogóle nie uwzględnia się kontekstu historycznego. Oceniając czyny ludzi, trzeba brać pod uwagę nie tylko to, co niedobrego się stało, ale także to, co niedobrego mogłoby się stać, gdyby działano inaczej.

Bronisław Łagowski

Nie zajmowałem się podziałem na lewicę i prawicę, chociaż nadal zachowuje on ważność. Jest on jednak wtórny, nie odgrywa obecnie zbyt wielkiej roli i przebiega przez obóz solidarnościowy i obóz postkomunistyczny. Rugi przeprowadzane obecnie w policji, administracji czy prokuraturze nie są dokonywane według kryterium „lewicy” i „prawicy”, ale według kryterium „człowiek postsolidarnościowy” albo „człowiek postkomunistyczny”. Chciałbym raz jeszcze podkreślić, że „restauracja” – kategoria, którą postępuję się, interpretując polskie przemiany po 1989 roku – rządzi zachowaniami politycznymi i wyznacza główne podziały. Zastąpienie III RP – IV RP jest tylko kolejnym etapem jej rozwoju. Jednak restauracja to stan, który musi mieć swój kres. Kiedy on nastąpi, podział na „postkomunistów” i „postsolidarnościowców” przestanie być ważny. Będzie wspomnieniem, mającym zapewne jakiś wpływ na teraźniejszość, ale nie większy niż wojna secesyjna na dzisiejsze spory w Stanach Zjednoczonych. Obecnie jest to jednak główny podział polityczny, charakteryzujący się największym napięciem wrogości, chociaż, równocześnie, nie odnosi się do najważniejszych problemów w kraju. Mimo iż główny, nacechowany złymi uczuciami, to zarazem jałowy.

Mirosława Grabowska

W dyskusji poruszono wiele problemów i na pewno nie do wszystkich zdołam się ustosunkować.

Po pierwsze, dzisiaj nie ma konfliktu elit i mas, o którym mówił Wiktor Osiatyński, lecz doszło do konfrontacji różnych segmentów społeczeństwa.

Każdy z tym segmentów ma swoją elitę, swoich zamożnych, swoją klasę średnią, a nawet swoich robotników i chłopów. Ten podział dobrze widać w badaniach elektoratu w wyborach parlamentarnych w 1997 roku. Wówczas Sojusz Lewicy Demokratycznej poparła część elit, klasy średniej i przedsiębiorców, robotników i chłopów, bezrobotnych i emerytów. Ale także AWS zyskała poparcie tych samych grup społecznych i zawodowych, tylko innych ich części i w nieco innych proporcjach. Zatem w Polsce o preferencjach i zachowaniach wyborczych nie decydują miejsce w strukturze społecznej i związane z nim interesy. Decydują o nich historycznie uwarunkowane tożsamości, wartości i przekonania.

Do drugie, zwracam uwagę przede wszystkim na podział na „postkomunistów” i „postsolidarnościowców”, chociaż nie zapominam o innych podziałach: „socjalni” – „liberalni” czy „solidarność” i „liberalizm”. Uważam bowiem, że w Polsce obecnie podstawowe znaczenie wciąż jeszcze mają uwarunkowania historyczne, petryfikujące konflikty na długie lata. Aby wyjaśnić, o co mi chodzi, podam przykład Irlandii. Nadal istnieje tam podział mający swe źródło w sporze sprzed dziesiątków lat: po walkach z Brytyjczykami w okresie 1919–1921 i zawarciu traktatu pokojowego w 1921 roku irlandzcy patrioci podzielili się: jedni opowiedzieli się za traktatem, drudzy byli przeciw niemu. Doszło do bratobójczych walk. Po jednej stronie tego konfliktu powstała partia Fianna Fáil (antytraktatowa), po drugiej zaś – Fine Gael. Mimo upływu dekad i wielkiego skoku cywilizacyjnego w Irlandii trwa scena polityczna ukształtowana pod koniec drugiej dekady XX wieku. Emocje i podziały były tak silne, że dwie powstałe na gruncie tamtego konfliktu partie przetrwały wszelkie zmiany społeczne, strukturalne, globalne i wejście do Unii Europejskiej. Czy podobnie będzie w Polsce? Powinnam odpowiedzieć: „to zależy”. Nie żartuję! Podziały na polskiej scenie politycznej zależą od działań, które zostaną podjęte przez elity polityczne w dzisiejszej sytuacji. Może się zdarzyć, że strona postkomunistyczna, zdeintegrowana, ze zszarganym wizerunkiem publicznym i pozbawiona pomysłów na przyszłość, stopniowo zejdzie ze sceny politycznej i zaniknie, choć niewątpliwie w *spectrum* politycznym jest miejsce i społeczne zapotrzebowanie na jakąś lewicę. Chciałabym

zwrócić uwagę na jeszcze jedno zjawisko. W ciągu szesnastu lat mieliśmy już do czynienia z okresami koniunktury i dekonunktury na prawicę. Obecnie panuje dekonunktura na lewicę, przynajmniej w postaci znanej nam z lat 2001–2005, ale – moim zdaniem – nie oznacza to końca lewicy.

Po trzecie, sytuacja w Polsce okazuje się bardzo dynamiczna. Jest możliwy scenariusz, w którym poparcie dla Platformy Obywatelskiej, lokującej się pomiędzy jakąś odnowioną lewicą a nieźle radzącym sobie PiS-em, stacza się do poziomu długo osiąganego przez Unię Wolności. PO będzie otrzymywało 10 procent poparcia, a może nawet mniej. Z kolei Prawo i Sprawiedliwość grozi powtórzenie losu Akcji Wyborczej Solidarność. PiS jest formacją spójną i dość sprawnie zarządzaną, ale wśród jej członków, także w parlamencie, znajdują się osoby wywodzące się z różnych środowisk politycznych i ideowych. Może to w przyszłości doprowadzić do podziałów znanych nam z czasów AWS-u, zwłaszcza jeśli to ugrupowanie rozrośnie się, a skończą się sukcesy.

Po czwarte, czy pamiętając o wymienionych przeze mnie zastrzeżeniach, można powiedzieć, że nie ma w Polsce konfliktu: liberalizm *versus* solidaryzm? Ten konflikt istnieje, tylko przebiega według linii podziału innej, niż rysowana przez polityków Prawa i Sprawiedliwości. Nie jest to starcie między solidarnym PiS-em a liberalną PO. Ten podział należałoby zarysować inaczej: jako konflikt między liberalnym ekonomicznie oraz otwartym na świat PO a etatystycznymi i socjalnymi oraz zamkniętymi na świat Samoobroną i LPR-em. W niektórych kwestiach PiS jest bliżej PO niż Samoobrony i LPR-u.

Po piąte, chciałabym wrócić do innej linii podziału. Niektórzy głoszą, że IV RP chcą zwolennicy naprawy państwa, a sprzeciwiają się jej ci, którzy się boją różnych rzeczy: utraty wpływów, ujawnienia ich powiązań, wyjścia na jaw ich udziału w przestępczych układach itp. Ten rodzaj argumentacji przypomina mi inny podział, zaproponowany przez Adama Michnika, który w zeznaniach przed komisją sejmową do sprawy Rywina powiedział, że jest jeden istotny podział w Polsce: na przeciwników i zwolenników korupcji. Oba podglądy są równie absurdalne. Nie da się zadekretować nieistniejącego podziału. Opisując swoje wątpliwości wobec hasła budowy IV RP, powiedzia-

łabym: jestem przywiązana do III Rzeczypospolitej nie z powodu lęków, co mnie spotka w IV RP. Uważam jednak, że dorobek III RP, jej zakorzeniecie w „Solidarności” oraz jej dokonania zbyt łatwo się przekreśla. Nie oznacza to, że nie chcę zmian! Trzeba jednak pamiętać, że wiele złych rzeczy przydarzy się nam w IV Rzeczypospolitej. Dobre państwo nie oznacza braku problemów, istnienia w nim klik, patologii czy czworokątnych stolików. Dobre państwo to takie, w którym elity polityczne – poprzez demokratyczne instytucje – starają się radzić sobie z napotykanymi problemami. Jeżeli w ramach III RP można było zacząć budować zręby IV RP, to z III RP nie było tak źle.

Aleksander Smolar

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę na pewien szczegół: w dyskusji poświęconej obecnym podziałom politycznym jeden problem nie został poruszony. Dwa lata temu największą partią w Polsce była Samoobrona Andrzeja Leppera. Wówczas jako podstawowe zagrożenie polityczne postrzegano ruch populistyczny i to, co jest dla niego charakterystyczne: odmowę uznania instytucji pośredniczących i wrogość wobec elit. Dzisiaj można powiedzieć, że radykalizm Prawa i Sprawiedliwości, ale także radykalizacja języka Platformy Obywatelskiej spowodowały absorpcję tego niezadowolenia społecznego w kanały demokratycznej polityki. Równocześnie wzmocnieniu uległy populistyczne elementy w języku obu partii. To pierwsza uwaga.

Druga jest jednocześnie ostrzeżeniem. Jeżeli wspominamy o możliwości połączenia się w przyszłości PiS-u i PO – biorąc pod uwagę podobieństwa programowe, a także bliskość elektoratu tych dwóch formacji – i utworzenia wspólnej partii, to pamiętajmy o niebezpieczeństwie takiego rozwiązania. Jednym z wyjaśnień niepojawienia się w ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych istotnej formacji populistycznej (w odróżnieniu od Europy) jest spolaryzowanie tamtejszej sceny politycznej. Istnienie dwóch silnych partii daje obywatelom poczucie alternatywy. Jeżeli podstawowe partie łączą się, to wywołuje poczucie braku wyboru. I jest to najlepsza recepta na powstanie poważnego, niebezpiecznego ruchu populistycznego.

Jaka Polska? Czyja Polska?

Mirostawa Marody

Zawłaszczany kraj

Gdybym miała najkrócej sformułować ocenę obecnego stanu rzeczy w Polsce, powiedziałabym – będzie to wyostrzony sąd – że mamy do czynienia z **próbą przejęcia pełnej kontroli nad społeczeństwem**. W sferze ekonomicznej dokonuje się ona poprzez zatrzymanie procesów prywatyzacyjnych i obsadzanie spółek państwa własnymi ludźmi, co powinno ułatwiać drenaż tychże spółek w celu politycznego pacyfikowania dużych grup zawodowych zależnych od państwa, takich jak górnicy, stoczniovcy, nauczyciele czy służba zdrowia. To polityczne pacyfikowanie nie oznacza kupowania jedynie tak zwanego „spokoju społecznego”, ale i względnej subordynacji oraz poparcia dla konkretnych planów. Było to dobrze widoczne w działaniach Romana Giertycha, który jako minister edukacji już na początku swojego urzędowania obiecał nauczycielom siedmioprocentową podwyżkę, oczekując jednak w zamian poparcia lub przynajmniej braku sprzeciwu wobec planowanych zmian w edukacji.

Z kolei w sferze politycznej podejmowane są przede wszystkim różnego rodzaju próby przejęcia kontroli, a nawet demontażu niezależnych instytucji. Wspomnę jedynie o trzech dobrze znanych przykładach. Pierwszy to powołanie sejmowej komisji śledczej do zbadania rozstrzygnięć dotyczących przekształceń kapitałowych i własnościowych w sektorze bankowym (tzw. komisja bankowa), skierowanej ewidentnie przeciwko „nadmiernej” autonomii Narodowego Banku Polskiego. Drugi to systematyczne podważanie

autorytetu Trybunału Konstytucyjnego oraz zapowiedzi pełnej wymiany jego członków tak, aby reprezentowali oni wyłącznie jedną opcję polityczną. Trzeci to Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, której skład całkowicie wymieniono, podporządkowując ją w pełni rządzącemu obozowi.

Do sfery politycznej zaliczyłabym także pacyfikowanie prób spontanicznej ekspresji wartości alternatywnych wobec opcji rządzącej. Tytułem przykładu należy tu wymienić stosunek obecnych władz do różnego typu parad równości czy też usunięcie uczniów sprzed gmachu Ministerstwa Edukacji Narodowej przy pomocy policji, co – jak się wydaje – dokonano z użyciem zupełnie nieadekwatnych środków w stosunku do demonstracji grupy młodych, a nawet bardzo młodych osób. Jednak problemem są nie tylko reakcje władz na pojedyncze wystąpienia. Do tej samej grupy działań zaliczyłabym ciągłą rozbudowę aparatu państwowego, której towarzyszą próby demontażu instytucji społeczeństwa obywatelskiego. W niedawno przedstawionym projekcie rządowego programu operacyjnego, którego celem ma być budowa kapitału ludzkiego, brak wzmianek o budowie społeczeństwa obywatelskiego¹. Znalazło się tam natomiast inne zadanie: jednym z celów programu jest przygotowanie organizacji pozarządowych do pełnienia funkcji partnera państwa. W gruncie rzeczy jest to próba zamienienia tych organizacji w agencje państwowe nadzorowane przez administrację rządową. A należy pamiętać, że wchodzi w grę olbrzymie środki finansowe, ponieważ do roku 2013 w ramach tego programu będzie do wydania kwota nawet kilkunastu miliardów euro.

Wreszcie próby przywrócenia dominacji – celowo używam tu słowa „przywrócenie”, gdyż cofa nas ono do okresu komunistycznego – w sferze symbolicznej. Temu przeciw mają służyć przejęcie telewizji publicznej przez obóz rządowy, pomysły lustracji dziennikarzy, projekty zmian w obszarze edukacji, takie chociażby jak pomysł powołania Narodowego Instytutu Wychowania Patriotycznego w miejsce Centralnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli. Do zjawisk najgroźniejszych zaliczyłabym tu zawłaszczanie języka

¹ Program Operacyjny Kapitał Ludzki 2007–2013, <http://www.mrr.gov.pl/ProgramyOperacyjne+2007-2013/>.

debaty publicznej – od lansowania zbitek „geje-pedofile” do narzucania listy tematów, które dominują dyskusje w mediach.

Wymienienie wszystkich tych zjawisk musi prowadzić do postawienia pytania: po co władzy kontrola nad społeczeństwem? Odpowiedź wydaje się prosta: po to, by dopasować społeczeństwo do wizji rzeczywistości uznawanej przez rządzących za jedynie słuszną. Przy czym chciałabym zwrócić uwagę, że jest to wizja głęboko anachroniczna, oparta na idei budowania potęgi państwa (i to państwa narodowego) zagrożonego przez konkurencję ze strony innych państw. Społeczeństwo w tej wizji traktowane jest jedynie jako środek do osiągnięcia tego celu. Ma się przede wszystkim rozmnażać, gdyż od liczebności narodu zależy jego siła, i pielęgnować tożsamość formułowaną w kategoriach „naszości”, a w kontrze wobec „obcości”. Oczywiście, to społeczeństwo ma słuchać swych przywódców, więcej – powinno solidarnie stać za nimi murem.

Nie będę się nad tym szerzej rozwodziła, zamiast tego przejdę do ostatniego punktu, który chciałabym w tym wstępie zasygnalizować. Otóż taka diagnoza nie byłaby pełna bez uwzględnienia dwu dodatkowych kwestii, dla których punktem wyjścia jest zastrzykana przeze mnie ostatnio uwaga: „Giertych nie wziął się znikąd”. Ta uwaga wręcz nakazuje zapytanie: skąd wyrasta ta Polska, której wyłanianie się obecnie obserwujemy? Co sprzyja przejmowaniu kontroli nad społeczeństwem?

Odpowiedź na to pytanie odsyła, po pierwsze, do elementów kontynuacji w kulturze politycznej. Wyostrajac, można powiedziec, że obecna ekipa polityczna w swoich działaniach przejawia dokladnie te same cechy, co jej poprzednicy. Tyle tylko, że ujawniaja się one bardziej wyraziście. Tak zwane kupowanie spokoju społecznego towarzyszy nam od początku transformacji. Obecnie dokonuje się po prostu w bardziej systematyczny sposób. Oczywiście, inne były cele reform wprowadzanych przez ekipy demokratyczno-liberalne. Większość z nich gorąco popieram, nie zmienia to jednak faktu, że wszystkie reformy, poczynając od tej wprowadzanej przez Leszka Balcerowicza – której prawdopodobnie nie sposób było zrealizować inaczej niż przez odgórne

narzucenie – dokonywano nie na drodze debaty publicznej, lecz metodą przekupywania kłopotliwych grup społecznych.

Podobny jest również stosunek do społeczeństwa – tutaj także mamy do czynienia z kontynuacją. Społeczeństwo było i jest nadal widziane jako główna przeszkoda w realizacji pewnych wizji politycznych. Oczywiście, można powiedzieć, że zupełnie inna była wizja idealnej rzeczywistości tych opcji politycznych, które obecnie pozostają w opozycji. Jednak, co należy podkreślić, zawsze była to właśnie **wizja idealna** i – niezależnie od tego, czy w jej centrum odnajdujemy „wolny rynek i demokrację”, czy „patriotyzm i budowanie potęgi państwa” – nie licząca się z realnymi problemami polskiego społeczeństwa. W efekcie polskim przemianom cały czas towarzyszy wizja „społeczeństwa przypadkowego”, jak je określali przedstawiciele opcji konserwatywnych, lub też „społeczeństwa, które nie dorosło do demokracji”, jak głosili zwolennicy liberalnych przemian gospodarczych. W obu wypadkach społeczeństwo było traktowane jako coś, co nie pasuje do doskonałego obrazu politycznego.

Można powiedzieć inaczej, że począwszy od 1989 roku, polscy politycy nie przedstawili strategii rozwoju wywodzącej się nie tyle z idealnych wizji, ile z rzeczywistych problemów społeczeństwa oraz uwzględniającej realia współczesnego świata. Dotyczy to zarówno wizji proponowanej obecnie, jak i wizji rynkowej, która niewiele ma wspólnego z rzeczywistymi gospodarkami rynkowymi.

Jednak nie jest to pełna odpowiedź na pytanie, skąd wyrasta obecna Polska. Aby ją uzupełnić, należy, po drugie, zwrócić uwagę, że reprezentowana przez Prawo i Sprawiedliwość oraz koalicjantów opcja polityczna miała i ma nadal poparcie sporej części społeczeństwa. Wedle różnych, wręcz codziennie publikowanych sondaży można szacować, że jest to co najmniej jedna trzecia obywateli. Reprezentują oni Polskę prowincjonalną, niedokształconą, sfrustrowaną, ale przecież realnie istniejącą.

Nasuwa się tu pytanie: co z pozostałymi dwiema trzecimi? Najkrótsza odpowiedź sprowadza się do stwierdzenia – nie protestują, choć przyjmują różne strategie działania wobec obecnej rzeczywistości. Część osób wraca

do starych, wypróbowanych, zarówno indywidualnych, jak i grupowych strategii dostosowawczych, opartych najogólniej na hasle „niezależnie, jaka jest władza, należy od niej wydrzeć albo zdobyć podstępem wszystko, co się da”. Władza (czy też państwo) istnieje w tym układzie po to, aby można było przy jej (jego) boku dorabiać. Część wyjeżdża z kraju, przy czym, co warto podkreślić, decyzjom o wyjazdach towarzyszą motywy nie tylko ekonomiczne, ale również, nazwijmy je skrótowo, estetyczne. Innymi słowy, argumentem przemawiającym za wyjazdem jest sprzeciw nie tyle wobec konkretnej opcji politycznej, ile wobec stylu rządzenia. Część wreszcie próbuje ignorować obecne zabiegi rządzących. Myślę tu przede wszystkim o enklawach społeczeństwa obywatelskiego na poziomie lokalnym, które starają się coś robić na własną rękę, korzystając z funduszy europejskich, bądź też próbują „podpiąć się” pod poszczególne polityków i udają czy też wierzą, że państwo jest im do niczego niepotrzebne.

Można zatem powiedzieć, że ze strony owych dwóch trzecich społeczeństwa, niebędących zwolennikami obecnej koalicji, brak jest szerszego ruchu na rzecz obrony tego, co obecnie najbardziej zagrożone, czyli substancjalnych zdobyczy ostatnich siedemnastu lat, zwłaszcza tych związanych z demokratycznym charakterem życia społecznego. Podkreślam, chodzi o brak **szerszego** oporu, bo jakieś mniej lub bardziej widowiskowe wyrazy dezaprobaty oczywiście się pojawiają. I właśnie ów brak szerszego oporu, nastawienie na przetrwanie w połączeniu z wycofywaniem się, pozwala obecnej władzy na podejmowanie prób przejęcia pełnej kontroli nad społeczeństwem.

Artur Wołek

Gadanie, czyli rewolucja

Na początek anegdota. Gdy na przełomie 1994 i 1995 roku prezydent Lech Wałęsa wojował z lewicowym Sejmem, grożąc mu rozwiązaniem, pierwszym zagończykiem Belwederu był Lech Falandysz. Jego zadaniem było nadanie decyzjom szefa przynajmniej pozoru zgodności z prawem, co czynił z wprawą godną lepszej sprawy. Po pyrrusowym zwycięstwie Wałęsy i rozstaniu z Belwederem Falandysz wspominał: „Prezydent chyba uwierzył, że ja wszystko mogę, nawet rozwiązać parlament, samym gadaniem”¹.

Próbując zrozumieć, na czym polega istota zmian zachodzących w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy rządów Prawa i Sprawiedliwości, chciałbym argumentować, że mamy do czynienia właśnie przede wszystkim z gadaniem, ale z gadaniem, które zmienia rzeczywistość. Moim celem jest zatem próba interpretacji polityki, która wymyka się schematom poznawczym sprawdzonym w III Rzeczypospolitej. Mam jednak również cel polemiczny. Wszystkim, którzy twierdzą, że w Polsce dzieją się rzeczy straszne, a demokracja i „substancjalne zdobycze III Rzeczypospolitej” są zagrożone, chcę powiedzieć, że to tylko gadanie. Tym, którzy mówią, że to tylko gadanie, a cała reszta jest jak za najlepszych czasów III Rzeczypospolitej, chcę powiedzieć, że to gadanie już zmieniło dużą część rzeczywistości.

¹ Antoni Dudek, *Pierwsze lata III Rzeczypospolitej*, Kraków 2002, s. 380.

Gdy opiniotwórcze elity próbują opisać, co tak straszego stało się w Polsce pod rządami PiS-u, odwołują się do klimatologii. Nie sposób dowieść, że PiS łamie prawo albo robi coś, czego oczy patriotów III Rzeczypospolitej dotąd nie widziały, więc mówi się o duszącej atmosferze, zaduchu, chmurach nadciągających nad polską demokracją itd. Chociaż taka metaforyka precyzją nie grzeszy, to dobrze ujmuje charakter zachodzącej zmiany: niby wszystko jest, jak było, ale wygląda jakoś inaczej. Rafał Matyja, *nota bene* autor terminu „IV Rzeczpospolita”, nazwał to „rewolucją semantyczną”.

Rewolucja semantyczna to zmiana w naszym sposobie postrzegania rzeczywistości. Te same fakty zaczynają mieć inne znaczenie, inne sprawy stają się ważne, pojęcia nabierają odcieni dotąd niedostrzeganych. Rewolucje są zawsze spontaniczne. Ani bracia Kaczyńscy, ani PiS obecnej rewolucji semantycznej nie wymyślili, ale umiejętnie wskoczyli na falę, która zaczęła wzbierać po obnażeniu przez komisje śledcze Sejmu poprzedniej kadencji nieformalnych reguł polityki III Rzeczypospolitej. Kontrola nad spontanicznymi procesami jest możliwa w stopniu bardzo ograniczonym i dotyczy to również zawalenia się legitymizacji III Rzeczypospolitej, ale to PiS-owi udało się nazwać i skanalizować dużą część zawodu Polaków tą wersją demokracji, którą realizowano u nas po 1989 roku.

Gdzie zatem można dostrzec to przededefiniowanie rzeczywistości, rewolucję semantyczną? Po pierwsze, III Rzeczpospolita została zdefiniowana jako państwo postkomunistyczne, czyli twór ułomny, a nie liberalna demokracja, o którą walczyli politycy pokolenia '89. Nie jest to demokratyczne państwo prawa, lecz jedynie jego pozór, którym w istocie rządzi „układ”, czyli oligarchia. Zmiana poprzez gadanie polega więc na kruszeniu się układu. Instytucje formalnie liberalno-demokratyczne, a w rzeczywistości oligarchiczne, zaczynają działać zgodnie ze swoją formalnoprawną logiką. Na przykład prokuratura zaczyna ścigać korupcję polityków – to rzecz prawie niespotykana w III Rzeczypospolitej. Więcej, pojawia się nietolerancja wobec korupcji we własnych szeregach partyjnych. Jest to, moim zdaniem, zasadnicze zakwestionowanie reguł polityki III Rzeczypospolitej, by przypomnieć tylko zachowanie polityków SLD w stosunku do osób zamieszanych w aferę

starachowicką. Niedawne wydarzenia na warszawskiej Pradze Południe, gdzie Jarosław Kaczyński ogniem i mieczem wypalił korupcję w dzielnicowej komórce PiS-u, czy usunięcie Pawła Piskorskiego z Platformy Obywatelskiej (przy całym przedjazdowym bagażu sprawy) pokazują, że w tym zakresie zaszła fundamentalna zmiana.

Po drugie, III Rzeczpospolita została zdefiniowana jako demokracja ograniczona przez różnorodne formalne i nieformalne przywileje. W każdym państwie istnieją sfery wyjęte spod demokratycznej kontroli, czasem w celu podniesienia jakości samej demokracji (sądownictwo konstytucyjne), czasem w wyniku historycznych zaszczości (armia, korporacje prawa publicznego). W dojrzałej demokracji jej granice są przejrzyste i oparte na powszechnej zgodzie. W demokracjach ułomnych tworzą się szare strefy, by użyć określenia Guillerma O'Donnella, do których nie tylko demokracja nie ma wstępu, ale i dyskusja o ich granicach jest tabu. W ostatnich miesiącach mamy w Polsce do czynienia z próbą redefinicji takich sfer wyjętych spod demokratycznej kontroli. Pierwsza dotyczyła przywilejów korporacji prawniczych i na tym przykładzie dobrze widać spontaniczny charakter rewolucji semantycznej. To bowiem nie PiS rozpoczął wojnę z prawnikami, lecz absolwenci prawa pozbawieni możliwości wykonywania zawodu. PiS politycznie wyartykułował problem, gdy po dwóch latach gadania o potrzebie zmian dotychczasowego modelu bronili już tylko funkcjonariusze prawniczych korporacji.

Po trzecie, III Rzeczpospolita została zdefiniowana jako państwo słabe, w którym władza zanika w bermudzkiej trójce Prezydent–Rząd–Sejm, a państwo pada łupem grup interesów. III Rzeczpospolita odziedziczyła bowiem po układzie Okrągłego Stołu system, w którym było już zasiane ziarno konfliktu między dwoma ośrodkami władzy wykonawczej i nadaktywnym Sejmem. Został on osłabiony, ale nie zlikwidowany, przez konstytucję z 1997 roku. Stosunki pomiędzy Leszkiem Millerem a Aleksandrem Kwaśniewskim dowiodły bowiem, że napięcie między ośrodkami władzy nie jest wynikiem różnic partyjnych czy osobistych interesów, lecz przejawem działania głębszych, konstytutywnych reguł polskiej polityki nakazujących osłabienie każdej władzy. O zmęczeniu Polaków słabą władzą i oczekiwaniu silnej

świadczą nie tylko badania opinii publicznej oraz deklaracje programowe PiS-u i PO (która chciała budować w Polsce system prezydencki), ale i wyniki ostatnich wyborów. Polacy zagłosowali na Lecha Kaczyńskiego, wiedząc, że premierem będzie polityk PiS-u, i nie odwiodła ich od tego nawet perspektywa przekształcenia dwugłowej władzy wykonawczej III Rzeczypospolitej w egzekutywę dzierżoną przez bliźniaków.

Opisane wyżej trzy przejawy polskiej rewolucji semantycznej mają w dużej mierze charakter spontaniczny. Wybrana jesienią 2005 roku władza sprzyja im, stara się w nie włączyć, ale z pewnością nimi nie steruje. Gdzie jest zatem miejsce na politykę nowego rządu? Co rząd robi lub próbuje robić poza rewolucyjnym gadaniem?

W dotychczasowej polityce PiS-u jako ugrupowania rządzącego daje się, moim zdaniem, zaobserwować dwa trwałe elementy. Przeciwnicy nazywają je „ręcznym sterowaniem państwem i gospodarką” oraz „zawłaszczaniem instytucji państwowych”.

„Ręczne sterowanie” polega na odrzuceniu polskiej wersji liberalizmu, z jej ubóstwieniem każdej spontaniczności w sferze gospodarki, w tym spontaniczności przestępczej. Polski liberalizm nakazywał bowiem władzy powstrzymywanie się przed działaniami, które mogą zapobiec łamaniu reguł gry rynkowej, bo każda interwencja w rynek jest podejrzana i nieneutralna. W praktyce władza wykonawcza wyrzekająca się ingerencji w rynek oddawała to prawo w ręce biurokratów, którzy żyli z zarządzania drobnymi ingerencjami. Nie dotyczyły one wielkich oligarchów, bo ci kupowali wolność dla swej spontaniczności na poziomie politycznym, natomiast małe i średnie przedsiębiorstwa musiały nauczyć się przetrwania w środowisku przeregulowanym. „Ręczne sterowanie” to próba przywrócenia zdolności strategicznych interwencji państwa w gospodarkę i rozwój społeczny.

W praktyce oznacza to wzmocnienie władzy wykonawczej, która musi się stać strażnikiem reguł gry, w tym gry rynkowej, a nie jednym z graczy w zsięciowanym postkomunistycznym porządku politycznym. W podstawowym zakresie dokonało się to już przez usunięcie napięcia między rządem a prezydentem oraz poprzez uczynienie z kierownictw partii politycznych

głównego ośrodka podejmowania decyzji w parlamencie. Oba te fakty, bez precedensu w polskiej historii po 1989 roku, są warunkiem dalszych zmian, choć oczywiście to tylko początek długiej drogi.

„Zawłaszczanie instytucji państwowych” wiąże się oczywiście z wizją władzy wykonawczej jako ośrodka podejmującego zasadnicze decyzje w państwie. Polega ono na odrzuceniu, parafrazując określenie Jarosława Kaczyńskiego, łże-instytucjonalizmu, czyli przekonania, że logika instytucji wymusza zachowania jednostek zgodne z celem, do którego instytucja została powołana. Doświadczenie III Rzeczypospolitej, by przywołać tylko tragikomiczne dzieje służby cywilnej, pokazuje, że kadry mają znaczenie, chociaż może niekoniecznie „decydują o wszystkim”. Liderzy PiS-u uważają, że każdą instytucję można obrócić w jej karykaturę, dlatego zasadnicze znaczenie ma polityczna kontrola nad osobami sprawującymi urzędy publiczne.

Wbrew pozorom przekonanie, że kontrola kadrowa jest potrzebna do zachowania sterowności państwa, okazuje się nowym zjawiskiem. Choć wszystko wygląda na „kolesiostwo” nie różniące się niczym od tego rodem z III Rzeczypospolitej, to w dotychczasowej praktyce instytucje raczej oddawano warendę grupom interesów (w tym wewnątrzpartyjnym), a partia czy grupa kierownicza traciła nad daną instytucją kontrolę. Teraz być może Jarosław Kaczyński nie posiada wystarczających sił do kontrolowania wszystkich swoich ludzi, ale na pewno ma taką intencję.

W tym miejscu warto zacząć konkluzję. Po pierwsze zatem, w Polsce nie dzieje się nic, co zagrażałoby demokracji, natomiast, owszem, istnieje szansa podniesienia jakości polskiej demokracji. Taki jest cel semantycznej rewolucji, któremu sprzyja również nowy rząd. Jednak podstawowym problemem każdej rewolucji jest instytucjonalizacja jej zdobyczy, czyli przejście od demontażu oligarchicznej III Rzeczypospolitej do budowania nowych reguł gry. To niewątpliwie zadanie dla organów władzy i jak na razie na tym polu nowy rząd na zbyt wiele pochwał nie zażył. Likwidacja Wojskowych Służb Informacyjnych idzie jak po grudzie i nie wiadomo, czym się skończy, ustawa o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym słusznie jest krytykowana za przesadną i potencjalnie dysfunkcyjną „militaryzację” tej instytucji, dla

służby cywilnej zamiast uzdrowienia przygotowuje się eutanazję, Komisja Nadzoru Finansowego jest w powijakach.

Wspólną cechą powyższych działań, które są ułomną próbą instytucjonalizacji nowych reguł polityki, jest instytucjonalizacja nieufności. Nie ma w tym nic dziwnego, bo wszystkie konstytucje (również te realne) są reakcją na zagrożenia występujące w okresie, który właśnie się zakończył. Jeśli za cechę definicyjną III Rzeczypospolitej uznaje się zezwolenie na przestępczą spontaniczność oligarchii, to nieufność staje się cnotą. Jednak z tego, co wiemy o sprawnej demokracji, jej trwanie w dłuższym okresie czasu jest możliwe tylko jako efekt zaufania obywateli do władzy i do siebie nawzajem, ale również władzy do obywateli.

W tym zakresie kierownictwo PiS-u jest bardzo silnie doświadczone przez lata walki z III Rzeczpospolitą, które nakładają się na bardzo silny wśród polskiej inteligencji piłsudczykowski styl myślenia o polityce. „Jeżeli nie dopilnujemy, wszystko się rozlezie, jeżeli puścimy na żywioł, to nie wiadomo, co z tego wyjdzie, bo w medialnej demokracji od informacji do manipulacji tylko krok, a do władzy lgną zawsze szumowiny”, wydają się myśleć przywódcy PiS-u.

Nie wiadomo więc, czym zakończy się polska rewolucja semantyczna, ale jej główne narzędzie – gadanie – zmieniło już bardzo wiele w polskiej polityce.

Jacek Rostowski

Czy Prawo i Sprawiedliwość ma „nieoliberalną” wizję ustroju państwa?

Precyzyjne przedstawienie modeli polityki i państwa, które zdaje się konstruować Prawo i Sprawiedliwość wraz z sojusznikami, nie jest rzeczą prostą. Co więcej, zamiary obecnie rządzących nie są dla mnie oczywiste, co nie oznacza, że nie widzę zagrożeń związanych z działaniami tej ekipy. Oceny tej nie można także oddzielić od zasadniczego pytania, jak instytucje państwa polskiego **powinny** wyglądać. Spróbuję uczynić to po części z perspektywy ekonomisty.

Istnieje długa tradycja, sięgająca co najmniej do prac Friedricha von Hayeka, łącząca wolność i rządy prawa z postępowaniem gospodarczym. Ostatnio ta kwestia stała się przedmiotem wielu badań empirycznych. Wymienię głośną serię prac Daron Acemoglu, Simona Johnsona i Jamesa A. Robinsona¹, pokazującą, że instytucje chroniące prawa własności obywateli przed zapędami państwa mają pozytywny wpływ na wzrost gospodarczy, inwestycje i rozwój sektora finansowego. W artykule *The Effect of Financial Development on Convergence* w „Quarterly Journal of Economics” Philippe Aghion, Peter Howitt i David Mayer-Foulkes² udowadniają, że jedynie kraje o znaczącym sektorze

¹ Zob. np. Daron Acemoglu, Simon Johnson, James A. Robinson, *The Colonial Origins of Comparative Development: An Empirical Investigation*, „American Economic Review” 2001, s. 1369–1401.

² Philippe Aghion, Peter Howitt, David Mayer-Foulkes, *The Effect of Financial Development on Convergence*, „Quarterly Journal of Economics” 2005, nr 2.

finansowym doganiają czołówkę najbogatszych państw na świecie. Wreszcie publikacje Rafaela La Porty, Andreja Shleifera i innych autorów pokazują, że niezawisłość sądów odgrywa ważną rolę w zapewnieniu wolności gospodarczej³. Jak już zauważyliśmy, wolność gospodarcza ma istotne znaczenie dla zapewnienia rozwoju sektora finansowego i wobec tego możliwości dogonienia czołówki najbogatszych krajów na świecie.

Można zatem powiedzieć, że rządy prawa i niezależne instytucje są ważne nie tylko ze względów estetycznych czy moralnych. Oczywiście ich najważniejszą funkcją jest ochrona człowieka przed upokorzeniem. Już antyczni Grecy i Rzymianie uważali, że jedynie człowiek podlegający rządowi prawa jest wolny, ten zaś, kto podlega samowoli innych, jest niewolnikiem. Jednak obecnie wiemy, że rządy prawa i niezależne instytucje państwowe są ważne także dla rozwoju gospodarczego i postępu cywilizacyjnego. Co więcej, dlatego że są ważne dla rozwoju gospodarczego, w długim okresie wzmocniają międzynarodową pozycję Polski, a także jej potencjał obronny.

Są pewne znaki czy wydarzenia wskazujące, że PiS ma koncepcję państwa demokratycznego odmienną nie tylko od obowiązującej w Europie Zachodniej, ale szerzej, w pozostałym świecie demokratycznym. Przywołałbym wypowiedź pośta Artura Zawiszy, że Prawo i Sprawiedliwość ma koncepcję „demokracji nieoliberalnej”, w której choć naród wybiera (jednolitą) władzę od czasu do czasu, to jego uprawnienia demokratyczne w dużej mierze na tym się kończą. Raz wybrana władza według Zawiszy ma nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek „nadzwyczajnej interwencji w różne dziedziny [...] by chronić wspólnotę i dobro wspólne [...] gdy są zagrożone”. Oczywiście, każda władza interweniuje w sytuacjach nadzwyczajnych. Jednak połączenie tej zasady z określeniem demokracji w rozumieniu PiS-u właśnie mianem „nie-liberalnej” sugeruje, że Zawisza pragnie przyznać władzy uprawienia daleko szersze niżli jedynie wysyłanie pomocy powodzianom.

Taka koncepcja demokracji „jednolitej”, niezanużającej podziału władzy pomiędzy różnymi od siebie niezależnymi instytucjami państwa i takiej,

³ Rafael La Porta, Florencio López-de-Silanes, Cristian Pop-Eleches, Andrei Shleifer, *Judicial Checks and Balances*, „Journal of Political Economy” 2004, nr 2.

którą można określić właśnie jako „nieoliberalną”, jest bardzo stara. Można ją wywodzić od francuskich jakobinów w czasach Rewolucji. Toczył wtedy z nimi spór o naturze państwa prawa oraz konieczności szacunku i dla litery, i dla ducha porządku konstytucyjnego Edmund Burke, katolik i ojciec brytyjskiego konserwatyzmu. Odrzucał on pogląd, według którego władza (nawet wybrana) reprezentuje „wolę powszechną” (*volontée générale*) całego narodu i wobec tego ma prawo do nadzwyczajnych interwencji, kiedy tylko sama uważa je za potrzebne. Dlatego też sądzę, że najlepszym określeniem koncepcji państwa przedstawianej przez bardziej ideologicznie nastawionych polityków PiS-u jest właśnie „neojakobinizm”.

Oczywiście, trudno obecnie mówić o jakiejś całościowej koncepcji demokracji „nieoliberalnej” wedle PiS-u. Można mówić raczej o pojedynczych wystąpieniach czy decyzjach, na podstawie których da się zrekonstruować tę wizję. Przywołam tylko dwa takie sygnały spośród wielu. Pierwszy to stwierdzenie ówczesnej wicepremier Zyty Gilowskiej, które dobrze pokazuje niezrozumienie granic władzy. Jak pamiętamy, przewodniczący Komisji Nadzoru Bankowego Leszek Balcerowicz wykluczył ministra Cezarego Mecha z obrad dotyczących fuzji UniCredito z HVB w Polsce. Miała go zastąpić właśnie Zyta Gilowska, która na to wtedy powiedziała: przecież to nic nie zmienia, i tak wszyscy będziemy głosowali według opinii rządu. Problem w tym, że członkowie Komisji Nadzoru Bankowego mają prawo i obowiązek ocenić jedynie (i to obiektywnie), czy jakaś fuzja nie zagraża bezpieczeństwu sektora finansowego w Polsce, a nie stwierdzać, czy jest ona zgodna z politycznymi preferencjami władzy, wynikającymi np. z troski o możliwy ubytek miejsc pracy w sektorze. Drugi, i dużo bardziej niepokojący, taki sygnał, to propozycja PiS-u dotycząca zmiany ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, tak aby prezydent Lech Kaczyński mógł mianować bardziej przychylnego sędziego na prezesa Trybunału. Problem nie tyle w tym, że prezydent przypuszczalnie chciałby wybrać przychylnego mu prezesa, tak zapewne postąpiłby także Aleksander Kwaśniewski, mając taką możliwość, lecz raczej w fakcie, iż PiS nie waha się przed zmianą procedury wyborczej, aby osiągnąć swój cel.

Z drugiej strony jednak, należy odnotować niedawną zmianę tonu wypowiedzi niektórych ludzi PiS-u, czego przykładem może być stanowisko Elżbiety Kruk czy Kazimierza Michała Ujazdowskiego w sprawie konfliktu prezesa TVP z resztą zarządu. Pewną nadzieję może także dawać fakt, iż Jarosław Kaczyński odżegnał się od słów posta Zawiszy dotyczących „demokracji nieoliberalnej” (choć trudno powiedzieć, na ile było to zrobione ze względów PR-owskich). Dlatego też wydają mi się możliwe trzy ścieżki rozwoju sytuacji:

- Kierownictwo PiS-u okaże się „neojakobińskie” i będzie pragnęło właśnie taką wizję państwa narzucić w Polsce.
- Ścisłe kierownictwo PiS-u okaże się mieć „neojakobińską” wizję państwa, ale ludzie mianowani na stanowiska przez partię będą wrastali w role przypisane do ich stanowisk, szczególnie w przypadkach, kiedy stanowiska te są kadencyjne. Jest wielką siłą Konstytucji i ustawodawstwa RP, że wiele najważniejszych stanowisk jest właśnie kadencyjnych. W związku z tym będą powstawać konflikty pomiędzy różnymi ludźmi mianowanymi przez PiS. Będą one – siłą rzeczy – w dużej mierze rozstrzygane na zasadzie obowiązującego „liberalnego” prawa, szanującego niezależność instytucji państwowych, a nie wedle „neojakobińskiej” koncepcji, według której „centrum” zwycięskiej w wyborach (choćby o kilka procent) partii ma rozstrzygać takie konflikty.
- Okaże się, że PiS cierpi na kompletny bałagan pojęciowy. Ludzie PiS-u będą stosowali ideologie i metody „neojakobińskie”, kiedy zechcą przejąć jakąś instytucję, ale potem będą bronili jej niezawisłości przeciwko wszystkim innym – obojętnie, czy to będą opozycja, koalicjanci lub nawet kierownictwo samego PiS-u. Podobnie zresztą postępował SLD i jego ludzie.

Uważam, że trzecia z tych interpretacji jest najbardziej prawdopodobna. Podobnie jak SLD, Prawo i Sprawiedliwość nie ma jasnej ideologii państwa, która byłaby zasadniczo inna od „liberalnej”. A może inaczej, stosuje ideologię „jakobińską” która jest pod ręką, żeby przejąć instytucje, a następnie staje się (choćaby werbalnie) wielkim obrońcą ich niezależności. Co więcej, w instytucjach, w których obowiązuje kadencyjność, osoby mianowane przez PiS prawdopodobnie dość szybko staną się naprawdę niezależne (a na pewno inteligentniejsze spośród nich taką postawę przyjmą).

Dlatego też uważam, że dobrze by się stało, gdyby opozycja jasno oświadczyła, że gdy dojdzie do władzy, zastosuje „grubą kreskę” wobec tych ludzi mianowanych przez PiS, którzy będą sprawowali swoje obowiązki w sposób bezstronny. Taka „gruba kreska” dla PiS-u miałaby dwie korzyści. Po pierwsze, zachęci urzędujących, szczególnie tych na stanowiskach, gdzie obowiązuje kadencyjność, aby zachowywali się bardziej niezależnie, co będzie z korzyścią dla Polski. Po drugie, pozwoli nowemu post-PiS-owskiemu rządowi uniknąć trwającej wiele miesięcy „wojny o instytucje” (podobnej do prowadzonej obecnie przez PiS), co byłoby konieczne, aby te instytucje „zdepisować”. Taka wojna nie tylko nie pozwala na natychmiastowe skupienie się na prawdziwych problemach kraju na początku kadencji, kiedy nowy rząd ma największe poparcie społeczne, ale też prowadzi do dalszego psucia kultury politycznej w Polsce oraz osłabienia niezależności i apolityczności instytucji państwowych.

Ostatnie pytanie: na ile „neojakobinizm” leży w interesie Prawa i Sprawiedliwości? Jednym z przejawów „neojakobinizmu” jest próba wzmocnienia pozycji prezydenta przez dawanie mu dodatkowych kompetencji, chociażby w sprawie mianowania przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji lub Trybunału Konstytucyjnego. Czy takie działania leży w dobrze pojętym interesie tej partii, kiedy wybór obecnego prezydenta na drugą kadencję jest mało prawdopodobny? Mam wątpliwości.

Piotr Winczorek

Polska według zwolenników IV RP

Nie chcę snuć domysłów, jakie mogą być plany różnych ugrupowań politycznych, w tym PiS-u, w zakresie ustroju państwa. I nie potrzebuję tego robić. Są dokumenty, które mówią wprost o zamiarach w tym względzie różnych stronnictw. Myślę tu przede wszystkim o projektach konstytucji przedstawianych w ostatnim czasie. Oczywiście, może się zdarzyć, że partie odstąpią od swych pomysłów z powodu takiej czy innej koniunktury politycznej. Jest to nawet bardzo prawdopodobne.

Dysponujemy dwoma całościowymi projektami konstytucji – Prawa i Sprawiedliwości i Samoobrony. Znane są także propozycje zmian, które chciałyby do konstytucji wprowadzić Liga Polskich Rodzin i Platforma Obywatelska. Liga jest bardzo oszczędna w propozycjach. Wypowiada się ona przede wszystkim w kwestiach ideowych i symbolicznych. Całość zmian sugerowanych przez LPR można zawrzeć w tezie, że preambuła konstytucji powinna się zacząć od *invocatio Dei*. Bardziej rozbudowane postulaty przedstawiła Platforma Obywatelska.

Całościowe koncepcje – jak już wspomniałem – formułują PiS i Samoobrona. Można było sądzić, że partie te będą stały na przeciwstawnych pozycjach, gdy idzie o model państwa. Jednak analiza ich projektów pokazuje, że co do podstawowych założeń są one w znacznej mierze podobne. W szczególności mam na myśli strukturę organów państwa i pozycję w tej strukturze urzędu prezydenta. Są też w tych projektach propozycje rozbieżne. Tak na przykład

Samoobrona uważa, że należy bronić obecnego kształtu samorządu terytorialnego z pewnymi zmianami dotyczącymi poszczególnych jego szczebli. Natomiast PiS bardzo oszczędnie wypowiada się o samorządzie, tak jakby nie stanowił dla tej partii jakiegś istotnej wartości społecznej. Są także różnice w stosunku do kwestii finansowo-budżetowych. Samoobrona zajmuje w tym względzie – powiedziałbym – bardziej lekceważące stanowisko, PiS jest bardziej rygorystyczny.

Ciekawsze jednak są zbieżności między tymi projektami. Dotyczą one przede wszystkim dwóch spraw. Oba ugrupowania chcą odstąpić od zawartej w obecnej konstytucji idei państwa obywatelskiego i ukształtować Rzeczpospolitą jako twór narodowy. PiS mówi o tym wprost: Rzeczpospolita Polska jest państwem narodowym. Nie dodaje jednak, że również katolickim. Broniłbym zatem PiS-u przed zarzutami, że pragnie doprowadzić do klerykalizacji kraju. Jednak, z drugiej strony, z rozmaitych, rozrzuconych w tekście tego projektu wzmianek można wysnuć wnioski, że i taki obrót rzeczy nie byłby przez PiS źle widziany. Także Samoobrona bardzo wyraźnie podkreśla niezbędną zachowania narodowego charakteru państwa.

Pojawia się pytanie, co to znaczy państwo narodowe? Czy jest to państwo jednego narodu, czy z dominacją jednego narodu? Czy jest to państwo, którego tradycja i kultura ma być kształtowana przez przeszłość tylko jednego narodu? Czy to ma być państwo odwracające się od Wspólnoty Europejskiej i broniące niepodległości przeciwko Unii? Te kwestie nie są w tych projektach wyraźnie wyłożone. Można zatem snuć różne przypuszczenia.

Obie partie przedstawiają także zbliżone propozycje co do pozycji głowy państwa w strukturze aparatu władzy publicznej. Prawo i Sprawiedliwość wyłącza prezydenta z zasady trójpodziału władzy, co wydaje się dosyć osobliwym rozwiązaniem. Władza ustawodawcza w jego projekcie należy do Sejmu i Senatu, sądownicza do sądów i trybunałów, wykonawcza zaś do rządu. Pytanie: gdzie jest prezydent? Prezydent sytuuje się niejako ponad trójpodziałem władzy. Można sądzić, że będzie zajmował w państwie pozycję arbitra. Niektóre przepisy projektu konstytucji autorstwa PiS-u pozwalają przypuszczać, że arbitraż ten będzie sięgał bardzo daleko, ponieważ prezydent ma być

odpowiedzialny, na przykład, za postawę moralną wszystkich funkcjonariuszy władzy publicznej. Przy założeniu, iż władza publiczna to nie tylko władza państwa, ale także samorządów różnego rodzaju, można wyobrazić sobie, że prezydent będzie cenzorem zachowań politycznych czy moralnych nawet urzędników gminnych. Może to za daleko idąca hipoteza, ale w każdym razie możliwa do wysnucia na gruncie tego typu rozwiązań.

Prezydent – tu pewna niekonsekwencja w projekcie PiS-u – traci część posiadanych obecnie prerogatyw, czyli uprawnień, które może wykonywać samodzielnie. Więcej jego aktów ma podlegać kontrasygnacie premiera. Skoro jednak prezydent nie jest częścią władzy wykonawczej, tylko sytuuje się ponad nią, to kontrasygnata rysuje się jako czynność wyłącznie asekuracyjna. Z kontrasygnatą wiąże się bowiem przeniesienie odpowiedzialności parlamentarnej, ale być może także konstytucyjnej, z głowy państwa na premiera. Zwiększa się przy tym zakres uprawnień prezydenta, gdy idzie o podejmowanie decyzji w sytuacjach nadzwyczajnych, także w przypadkach dotyczących sił zbrojnych.

Projekt Samoobrony wprowadza, nie nazywając tego wprost, system prezydencki. Prezydent jest w nim co prawda organem władzy wykonawczej, ale jemu podlegają (a jest to rozwiązanie bardzo podobnie do konstytucji z 1935 roku) wszystkie inne organy tej władzy. Rząd traci samodzielność decyzyjną w stosunku do prezydenta. Można nawet powiedzieć, że jest biurem wykonawczym urzędu prezydenckiego, albowiem to prezydent ma decydować o wszystkich sprawach istotnych dla kraju, a jego postanowienia mają podlegać wykonywaniu przez rząd. Gdyby spróbować ocenić obie te propozycje w kategoriach makrokonstytucyjnych, to projekt PiS-u sytuuje się tuż na granicy pomiędzy systemem parlamentarno-gabinetowym a prezydenckim. Natomiast propozycje Samoobrony są wzięte wprost z koncepcji systemu prezydenckiego.

Powstaje pytanie: czy zmiana ustroju politycznego państwa prowadząca w kierunku systemu prezydenckiego czy półprezydenckiego typu francuskiego byłaby czymś złym? Przy okazji warto zwrócić uwagę, że w ostatnich latach we Francji można dostrzec wycofywanie się z takiego systemu. Był on

bowiem krojony na miarę generała Charles'a de Gaulle'a. Obecnie kadencja prezydenta została skrócona z siedmiu do pięciu lat, a jego samodzielność decyzyjna wyraźnie osłabła.

Zatem, czy w Polsce byłoby lepiej, gdybyśmy mieli system prezydencki? Obawiam się, że nie byłby to system przypominający ten funkcjonujący w Stanach Zjednoczonych lub we Francji, lecz byłby on systemem tzw. prezydenjalizmu. Nazwa ta używana jest w odniesieniu do krajów, które wprowadziły rozwiązania wzorowane na amerykańskich lub francuskich, ale których życie polityczne podlega innym regułom niż amerykańskie albo francuskie. Przede wszystkim chodzi tu o państwa Ameryki Łacińskiej oraz niektóre kraje afrykańskie i azjatyckie. W tych systemach umocnienie pozycji prezydenta prowadziło do ustanowienia osobistej władzy sprawującego ten urząd. Niekiedy jest to także władza zmilitaryzowana. Pozory ustrojowe są zachowane, tekst konstytucji wskazuje, że mamy do czynienia z systemem prezydenckim lub półprezydenckim, jednak realia polityczne świadczą, iż jest to jedynie osobista dyktatura głowy państwa.

Czy możliwe jest w warunkach polskich ześlizgnięcie się w stronę prezydenjalizmu? Można na ten temat dyskutować, ale pewne przesłanki wskazują, że takie niebezpieczeństwo istnieje. Mam tu na myśli chociażby słabe zakorzenienie etosu demokratycznego i obywatelskiego w naszym społeczeństwie czy oczekiwanie na przyjście „Ojca Zbawiciela”, który weźmie w ręce wszystkie sprawy i będzie, sprawiedliwie rządząc, zwalniał ludzi z konieczności decydowania o własnym losie. Wprowadzenie systemu prezydenckiego w tych warunkach mogłoby być otwarciem drogi w kierunku prezydenjalizmu.

Polska szczęśliwie jest krajem należącym do Unii Europejskiej, która pewno takiego biegu wydarzeń by nie tolerowała, a jej sprzeciw mógłby nas kosztować, być może, nawet wykluczenie ze Wspólnoty. Nie jest jednak nieprawdopodobne, że działania władz prowadzące do wykluczenia Polski z Unii mogą spotkać się z uznaniem części obywateli. Zgodnie z ich trybem myślenia po raz kolejny okazałoby się, że nasz kraj, nie ustępując przed obcymi naciskami Unii, wykazuje swoją niezłomność, a nasz naród wolę życia

w państwie całkowicie niepodległym. Niektóre niedawne wydarzenia, takie jak reakcja na uchwałę Parlamentu Europejskiego krytykującą ksenofobiczne postawy części obywateli, są dowodem, że działania niektórych polityków prowadzące do samoizolacji kraju mogą cieszyć się poparciem wielu osób. Nawet ci, którzy po cichu mówią, że eurodeputowani mieli trochę racji w swej krytyce, publicznie demonstrują „niezlomny patriotyzm”, odpierając w ten sposób atak „barbarzyńców z Zachodu”. Oczywiście, takie działania niektórych polityków mogłyby wywołać również reakcję o innym zabarwieniu, polegającą na odrzuceniu pretensji rządzących do wykorzystania uregulowań konstytucyjnych w celu przejęcia pełni władzy.

Powinniśmy też zadać inne pytanie: czy należy bronić rozwiązań przyjętych przez obecną konstytucję? Sądzę, że niektóre zmiany konstytucyjne są niezbędne. Wiedzano o tym od samego początku jej obowiązywania. Tak na przykład Sejm wraz z Senatem mają dokonać zmiany w konstytucji ze względu na zakwestionowanie przez Trybunał Konstytucyjny jednego z artykułów kodeksu postępowania karnego, który implementował u nas europejski nakaz aresztowania. Doszło bowiem do kolizji z ujętym w konstytucji zakazem ekstradycji obywateli polskich. Jednak już teraz słychać głosy: „poprzemy taką zmianę, ale tylko pod warunkiem przyjęcia również naszych propozycji ustrojowych”. Pewne ugrupowania mogą wręcz szantażować pragnących przeprowadzić zmianę wynikającą z konieczności dostosowania polskiej ustawy zasadniczej do uregulowań europejskich, żądając w zamian uznania dla ich koncepcji rewizji konstytucyjnych.

Niektóre z proponowanych zmian uznałbym zresztą za sensowne. Na przykład wprowadzenie zasady, że skazany prawomocnym wyrokiem sądu nie może pełnić funkcji poselskich lub senatorskich oraz nie może być członkiem rządu. Sytuacja, w której skazany traci mandat radnego w gminie, a nie traci mandatu poselskiego lub senatorskiego, jest paradoksalna. Nie jest do przyjęcia, a tak się przecież stało, by poseł z za krat wykonywał swój mandat. Zatem zrównanie pozycji przedstawicieli ludu w obu tych instytucjach przedstawicielstwa – w organach samorządu i w parlamencie – powinno wreszcie nastąpić. Można dyskutować, czy akurat w tym przypad-

ku konieczna jest zmiana konstytucji. Być może wystarczyłaby nowelizacja ustawy o wykonywaniu mandatu posła i senatora. Jeżeli jednak w naszym kraju są posłowie i ministrowie z różnych ugrupowań, a nawet wicepremier, którzy mają za sobą skazujące wyroki w sprawach karnych, to realizacji tego pomysłu, słusznego i werbalnie popieranego przez wielu polityków, raczej nie należy się spodziewać.

Są też inne propozycje zmian. Platforma Obywatelska pragnie wprowadzić jednomandatowe okręgi wyborcze w wyborach do Sejmu. Nie chcę rozsądzać, który system jest lepszy – proporcjonalny w okręgach wielomandatowych, jednomandatowy, większościowy *etc.* Chciałbym jednak zapytać, dlaczego nie ustanowiono, bez zmiany konstytucji, która w tym przypadku nie była konieczna, jednomandatowych okręgów w wyborach do Senatu? Tu już mamy do czynienia z wyborami większościowymi przeprowadzanymi w jednej turze głosowania, a taka zmiana, proponowana przecież przez poprzedniego prezydenta, wymagałaby tylko niedużej korekty senackiej ordynacji wyborczej.

Lecz przede wszystkim nie chciałbym, aby doszło do targów na tle zmiany dotyczącej europejskiego nakazu aresztowania. Może się bowiem zdarzyć, że siły w Sejmie opowiadające się za nią i przeciw niej zrównoważą się i żadna, nawet najbardziej konieczna, nowelizacja nie zostanie przeprowadzona albo też konstytucja przekształci się w „patchwork” złożony z kawałków do siebie nieprzystających, a pochodzących z różnych pomysłów okazjonalnych. Obie te sytuacje są niedobre i obie wydają się możliwe.

Henryk Domański

Klasa rządząca a tradycjonalizm Polaków

Zacznijmy od teoretycznego, ale porządkującego stwierdzenia: pytanie „czyja Polska?” dotyczy problematyki nierównego podziału. Nasuwa się mianowicie podejrzenie, że jakieś kategorie i grupy społeczne mają więcej Polski, a inne mniej, a jeżeli jedni mają jej więcej, to widocznie dzieje się to kosztem tych drugich. To podejrzenie o wyzysk, które prowadzi na ogół do klasycznego konfliktu. Byłoby źle, gdyby od ostatnich wyborów dokonano się pogłębienie nierównomiernego rozkładu bogactwa, dóbr materialnych, gdyby wzrosły nierówności w dostępie do wykształcenia i wysokich, a lukratywnych stanowisk i gdyby jakaś formacja polityczna, kategoria czy klasa społeczna podjęła próbę zawłaszczenia świadomości społecznej Polaków, tożsamości narodowej, symboli, ideologii, a najogólniej ujmując – kultury.

Czy można wskazać oznaki tego procesu? Punktem wyjścia musi być analiza programu głównych sił politycznych w wyborach 2005 roku. Porównanie zapowiedzi wyborczych z faktami pozwala w pewnym stopniu zrozumieć dynamikę obecnego układu, ponieważ hasła wyborcze kreują aspiracje jednostek, a te z kolei mobilizują do działań zarówno sprzyjających utrzymaniu się *status quo*, jak i czynników destrukcji. Ma to szczególny sens w kontekście programu wyborczego partii Prawo i Sprawiedliwość, która te wybory wygrała i dyktuje reguły gry w Polsce. PiS jest ideologicznie najbardziej wyrazistą formacją, a propagowana przez nią ideologia stanowi ważny element społecznego odbioru tej partii.

W obietnicach wyborczych PiS-u dominującym akcentem było podkreślanie konieczności dokonania zasadniczej naprawy systemu polityczno-ekonomicznego i uzdrowienia stosunków społecznych. Ostrze krytyki przesunęło się z systemu komunistycznego na postkomunistyczny, który miał zrealizować aspiracje większości Polaków, ale tego nie zrobił, będąc od samego początku układem zdeformowanym przez błędy i złą wolę elit. Wysunięcie na pierwszy plan ataku na układ postkomunistyczny przez członków antykomunistycznej opozycji skłania być może do zadumy nad zmiennością losu, ale analityków nie dziwi. Po pierwsze, świadczy to o upływie czasu, po drugie, potwierdza starą prawdę o tym, że przyjaźń prowadzi do wrogości, po trzecie, wskazuje, że w polityce najważniejsze jest pragmatyczne podejście.

Szczególnie eksponowanymi elementami sanacji stosunków społecznych miały być: zmniejszenie nierówności, zapewnienie równości szans i likwidacja ubóstwa. Zróbmy na marginesie uwagę, że hasło eliminacji kontrastów społecznych jest ideologią lewicy, pozostającą w logicznej (choć nie psychologicznej) sprzeczności z pravicową orientacją PiS-u w kwestiach dotyczących moralności, tożsamości narodowej, niechęci do Unii Europejskiej i obrony tradycyjnych wartości. W istocie, partia ta szła do urn z hasłami zamierzonej egalitaryzacji społeczeństwa polskiego, nawiązującymi do ideologii poprzedniego ustroju. Prawdopodobnie jest, że radykalizm zawsze był cechą lewicy, i trudno przyjąć, aby liderzy PiS-u nie byli tych analogii świadomi. Prawdopodobnie mniejszą świadomość miał elektorat PiS-u – odwołanie się do „Polski solidarnej” spowodowało, że elektorat tych analogii nie widział.

Wydaje się to jasne, ale warto nadmienić, że realizacja projektu egalitaryzacji powinna była przynieść osłabienie napięć zawierających się w pytaniu „czyja Polska?”. Powtarzając to samo pytanie w odniesieniu do aktualnego kontekstu, zakładamy, że nie tylko nie udało się zmniejszyć nierówności, wyrównać szans, dokonać redystrybucji na rzecz statystycznego Polaka, ale wręcz sprawy poszły w przeciwnym kierunku – i być może jest gorzej.

Zobaczmy najpierw, czyja była Polska do październikowych wyborów z 2005 roku. Kto najbardziej zyskał na zmianie ustroju, a kto stracił? Szybki wzrost gospodarczy sprzyja powiększaniu się nierówności dochodów – ta teza

uzyskuje częściowe potwierdzenie w odniesieniu do Polski. Autorem jej jest ekonomista Simon Kuznets, który – opierając się na wynikach analiz dla kilkunastu krajów, reprezentujących niejednakowy poziom rozwoju – stwierdził, że w początkowym okresie przyspieszonego wzrostu różnice zamożności rosną¹. Następnie zachodzi efekt wyrównujący i nierówności maleją.

W istocie, od początku lat 90. w Polsce dokonał się odwrót od egalitaryzmu wymuszonego przez pryncypia teorii marksowskiej. Wyniki badań socjologicznych jednoznacznie wskazują na zwiększanie się rozpiętości warunków materialno-bytowych i nierówności dochodów. Najistotniejszy wzrost nierówności miał miejsce bezpośrednio po zmianie ustroju. Wymierną ilustracją tego procesu jest stosunek między dochodami najwyższego i najniższego decyla dochodów rodzin, czyli między średnimi ustalonymi dla dziesięciu procent Polaków uzyskujących najwyższe i dziesięciu procent uzyskujących najniższe dochody. W latach 1987–1992 stosunek decylowy skokowo wzrósł z 3,1 do 5,83, ale już w 1993 roku zmniejszył się do 5,63 i systematycznie obniżał się, a w 1995 roku osiągnął 5,06. Gdy wydawało się, że – zgodnie z hipotezą Kuzneta – poziom nierówności ustabilizował się, znamionując przejście do dojrzałego stanu stosunków rynkowych, od połowy lat 90. nierówności dochodów znów wzrosły. Stosunek decylowy w 1997 roku wyniósł 5,44, a w 1999 – 6,23, aby do 2002 roku zwiększyć się do 6,43.

Co ważniejsze, wzrostowi nierówności towarzyszyły procesy „krystalizacji” hierarchii społecznej. Negatywnym aspektem tego procesu było pogłębienie się nierówności, krystalizacja polegała bowiem na zwiększaniu się korelacji dochodów z poziomem wykształcenia i pozycją zawodową jednostek, czyli na kumulowaniu się różnych wymiarów korzyści i biedy. Z kolei pozytywnym aspektem tego procesu był wzrost merytokracji, czyli wynagradzania za osobiste „zasługi” (*merits*), obejmujące zdolności, talent, kwalifikacje zawodowe i inne „nakłady” jednostek. Merytokracja sprzyja efektywności ekonomicznej i potocznie rozumianej sprawiedliwości w wynagradzaniu za pracę.

¹ Simon Kuznets, *Economic Development, the Family, and Income Distribution*, Cambridge 1989.

Wzrost merytokracji w największym stopniu dotyczył wpływu wykształcenia na dochody jednostek. Dyplom wyższej uczelni zawsze – odkąd zaczęto to mierzyć – gwarantował większe korzyści finansowe niż zakończenie nauki na niższych szczeblach kształcenia. W miarę upływu czasu wyższe wykształcenie przekładało się na coraz to wyższe dochody. O ile więc w 1982 roku „czysty zysk” za wyższe wykształcenie wynosił 14 procent w porównaniu do średniej, to w 1987 roku kształtował się on na poziomie 18 procent, w 1992 roku wzrósł do 24 procent, w 1998 roku – do 41 procent, a w 2002 roku do 46 procent, pozostając najbardziej czytelnym z dystansów.² Odnosząc ten proces do pytania „czyja Polska?”, należałoby stwierdzić, że statystycznie rzecz biorąc, od lat 90. Polska coraz bardziej stawiała się krajem ludzi zasługujących na to, aby więcej zarabiać.

Przejawem tego zjawiska był materialny awans inteligencji i kadr kierowniczych najwyższego szczebla, natomiast nieco w dół na drabinie dochodów przesunęli się ludzie biznesu³. Wyniki badań świadczą o tym, że głównym beneficjentem transformacji stały się wyższe kadry kierownicze – w przeważającej części dyrektorzy firm, ich zastępcy, wysocy urzędnicy państwowi (od ministra do dyrektora departamentu); słowem – specjaliści od sprawowania władzy i przedstawiciele klasy rządzącej. Obiektywnie rzecz biorąc, nie powinno to podlegać krytyce, ponieważ ludzie na stanowiskach są gwarancją sprawnej organizacji i ładu i należy ich odpowiednio nagradzać. Od początku lat 90. dochody tej kategorii konsekwentnie rosły. Na drugim

² Kategoria „czysty zysk” odnosi się do dochodów, po wyeliminowaniu różnicowania wynikającego z wpływu wieku, płci, pochodzenia, zajmowanych stanowisk kierowniczych, określonej pozycji zawodowych, branży i sektora gospodarki. Inaczej mówiąc, „czysty zysk” można traktować jako wielkość finansowego zwrotu za inwestycje na zdobycie wykształcenia, które ponosi jednostka.

³ W badaniach ankietowych nie wymyślono dotąd lepszego sposobu zdobywania informacji o dochodach niż zadawanie następującego pytania: „Biorąc pod uwagę pierwszy kwartał, proszę powiedzieć, ile wynoszą przeciętne miesięczne dochody Pana(i) i wszystkich osób z Pana(i) gospodarstwa domowego, włączając w to wszystkie źródła dochodów. Proszę uwzględnić wszystkie dochody z pracy stałej i prac dodatkowych oraz wszystkie inne dochody, takie jak renty, emerytury, stypendia, dodatki, alimenty, zasiłki, dochody z wynajmu lub dzierżawy itp. Proszę obliczyć średnią miesięczną – po odliczeniu podatku”. W podobny sposób pytanie to zadawano we wszystkich badaniach, do których się odwołam. Czytelnika zainteresowanego metodologią i szczegółowymi wynikami tych badań odsyłam do mojej książki *Struktura społeczna*, Warszawa 2004.

miejscu znalazła się inteligencja nietechniczna (m.in. prawnicy, lekarze, specjaliści od marketingu, naukowcy). Członkowie tej kategorii przesunęli się na drugą pozycję, za „wyższych kierowników”, w pierwszej połowie lat 90., a w każdym razie byli już tam w 1993 roku. W roku tym, jak wykazują badania, wyprzedzili oni reprezentantów biznesu.

Jeżeli chodzi o reprezentantów biznesu, to w najlepszym okresie (w okolicach 1991 roku, jak wynikałoby z danych) dochody czerpane z biznesu przekraczały średnią krajową o 2,68 (jest to wynik podzielenia średniej dla tej kategorii przez średnią dla Polski), podczas gdy wielkość tego wskaźnika dla najwyższych kadr kierowniczych i inteligencji oscylowała w granicach 1,3–1,4. Kapitał ulokowany w firmie był wtedy lepszą lokatą od profesjonalnej ekspertyzy i menedżerskich kwalifikacji. Jednak zgodnie z klasycznym prawami koniunkturalnego cyklu, w którym *prosperity* jest przedśmionkiem kryzysu, w latach 1991–1993 przewaga dochodów właścicieli nad dochodami statystycznego Polaka nagle się zmniejszyła. Mimo że dochody właścicieli ponownie wzrosły w późniejszym okresie, to daleko im było do świetności z lat wielkiego przełomu. Oddali oni pole wyższym kierownikom i inteligencji – po raczej krótkotrwałym okresie niebywałego odbicia się w górę. Potrzeby konsumpcyjne zaspokoiono, zwiększyła się liczba firm, zaostrzyły się kryteria dostępu do kredytu, a równocześnie trzeba było pozyskiwać klientów. Pogorszenie się rentowności biznesu miało zatem czytelną logikę. Znalazła ona swój wyraz w postępującym rozwarstwieniu właścicieli. Dokonał się liczebny wzrost właścicieli małych przedsiębiorstw (obejmujących również domokrążców i handlarzy ulicznych), które w naturalny sposób „ściągnęły” w dół średnią dochodów, lokując ogół właścicieli poniżej średniej dla zawodów inteligenckich. Równocześnie z jednolitej uprzednio klasy właścicieli wyłoniła się elita biznesu, której – ze względu na jej małą liczebność – nie obejmują badania realizowane na ogólnopolskich próbach losowych. Kilkaset najbogatszych rodzin stało się strukturalnym podłożem rozwoju „klasy wyższej”. Koniecznym warunkiem ukształtowania się polskiej klasy wyższej jest jej uprawomocnienie w świadomości społecznej, czyli uznanie jej „wyższości” za naturalne i słuszne. Nastąpi to, gdy Kulczyków, Krauzów,

Niemczyckich będzie się obdarzać podobną estymą, jak Potockich czy Radziwiłłów przed wojną.

Jeżeli chodzi o najniższe dochody, to mieli je zawsze robotnicy niewykwalifikowani, robotnicy rolni i chłopi. W 1987 roku dochody robotników niewykwalifikowanych w produkcji i robotników wykwalifikowanych kształtowały się na zbliżonym poziomie, sięgając 0,91–0,95 średniej wśród ogółu ludności. W ciągu następnych lat robotnicy wykwalifikowani stracili niewiele, natomiast dochody robotników niewykwalifikowanych obniżyły się (do 1998 roku) do poziomu 0,95, co – być może – znamionuje odtwarzanie się tradycyjnego podziału klasy robotniczej na dwa wielkie segmenty. Hierarchię dochodów zamykają robotnicy rolni i chłopi, którzy – obok robotników – pozostają drugim wielkim przegranym w wyniku zmiany ustroju.

Podsumujmy. Na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat dokonał się istotny wzrost nierówności dochodów. Strukturalnym podłożem tego procesu był wzrost merytokracji, czyli wynagradzania za „zasługi”, czego przejawem stał się postępujący wzrost zależności zarobków od wykształcenia jednostek. Należy równocześnie podkreślić, że był to w zasadzie jedyny przejaw procesu, który określamy mianem krystalizacji hierarchii społecznej, czyli nałożenia się na siebie różnych podziałów. Wzrastającej zbieżności między zarobkami a poziomem wykształcenia nie towarzyszył wzrost zależności między zarobkami a podziałami ze względu na płeć, wiek, dział gospodarki czy miejsce zamieszkania. Z perspektywy problemu „czyja Polska?” oznacza to, że właścicielami Polski nie stali się, na przykład, wyłącznie wykształceni członkowie klasy rządzącej i specjaliści w nowych zawodach, będący równocześnie mieszkańcami wielkich aglomeracji i osobami płci męskiej. Innymi słowy, nie dokonało się totalne zaostrzenie nierówności społecznych. Normą nie jest monopol, ale raczej „rozproszenie” korzyści.

Hasłem wyborczym PiS-u było zwiększenie równości szans. Zaczynają się nim posługiwać wszyscy politycy, co potraktujemy jako wskaźnik dojrzewania demokracji, bo ideologia równości szans była zawsze jej cechą. Nie wiem, jak definiowana jest równość szans w kręgu polityków zbliżonych do Prawa i Sprawiedliwości, Platformy Obywatelskiej czy Samoobrony. Dla badaczy

struktury społecznej wskaźnikiem równości szans jest nieograniczona ruchliwość – synonim zmiany pozycji. Analiza ruchliwości międzypokoleniowej – między rodzicami a dziećmi – pozwala określić siłę barier społecznych, a zwłaszcza możliwości przemieszczania się w hierarchii stratyfikacyjnej z dołu w górę. Tak więc spadek ruchliwości w Polsce wskazywałby na zamknięcie się struktury społecznej, powodując też – być może – osłabienie przedsiębiorczości, tolerancji, liberalizmu i efektywności, której źródłem jest obsadzanie odpowiedzialnych stanowisk kompetentnymi ludźmi. I odwrotnie, należałoby oczekiwać, że wzrost ruchliwości zachęca do pluralizmu i wzmacnia demokratyczny system rządzenia.

Prawda jest taka, że w kwestii równości szans nie było czego zwiększać. W Polsce nie było ani wzrostu, ani spadku ruchliwości międzypokoleniowej. Nie było tutaj żadnej czytelnej logiki. W latach 90. miał miejsce pewien wzrost natężenia ruchliwości, jednak w żadnym razie nie był on rozwojem liniowym, a w szczególności zmiana ustroju nie dokonała tu żadnego przełomu. W 1982 roku wpływ pochodzenia na pozycję społeczną jednostek był stosunkowo najniższy. Do 1987 roku wzrósł on, na początku lat 90. znów zmalał, a następnie – w latach 1995–1998 – ponownie wzrósł do poziomu, który był na przestrzeni rozpatrywanego okresu najwyższy. Wzrost wpływu pochodzenia oznaczał zaostrenie się barier ruchliwości, jednak w latach 1999–2004 uległ on ponownemu zmniejszeniu, zbliżając się do stanu odnotowanego w punkcie wyjścia, czyli przed zmianą ustroju.

Przyjrzyjmy się teraz nierównościom w dostępie do wykształcenia. Wskaźnikiem większych nierówności jest silniejszy wpływ cech „przypisanych”, znajdujących się „poza kontrolą” jednostek. Chodzi głównie o wpływ pochodzenia społecznego, mierzonego przez pozycję zawodową i poziom wykształcenia rodziców. W czasach PRL-u likwidacja nierówności edukacyjnych miała być jednym z celów polityki egalitaryzacji prowadzonej przez władze. Jednak szybko stwierdzono, że osoby pochodzące z kategorii zajmujących wyższą pozycję społeczną miały najwięcej szans na pokonanie bariery wyższego wykształcenia w porównaniu z przedstawicielami tzw. klas niższych. Najwięcej szans zapewniało pochodzenie inteligenckie, a stosunkowo najmniej

– pochodzenie z rodzin rolników. Upadek komunizmu niewiele tu zmienił, co nie oznaczało zastój. Jeszcze większe korzyści z ukończenia szkół wyższych uzyskiwały jednostki pochodzące z rodzin inteligentnych. Można stąd wysnuć wniosek, że inteligencja odniosła stosunkowo największe korzyści w pierwszych latach kształtowania się nowego ustroju, jeżeli chodzi o możliwości dostępu do najwyższych szczebli kształcenia.

Zastanawiając się nad kształtowaniem się nierówności w późniejszym okresie, można było oczekiwać różnych scenariuszy rozwoju. Nierówności edukacyjne mogły się zmniejszyć, mogły dalej rosnąć, mogły się też ustabilizować na wysokim poziomie. W końcowym rachunku stosunkowo najbardziej trafna okazała się pierwsza z tych prognoz. Wpływ kategorii zawodowej ojca na poziom wykształcenia uległ redukcji, wracając do poziomu sprzed zmiany ustroju. Innymi słowy, nierówności edukacyjne stały się w latach 90. XX wieku najwyższe, natomiast na przełomie XX i XXI wieku maleją. Wystarczy stwierdzić, że w latach 1998–2002 jednostki wywodzące się z inteligencji utraciły najbardziej uprzywilejowaną pozycję w dostępie do wyższego wykształcenia na rzecz kategorii pochodzących z rodzin niższych pracowników umysłowych. Nierówności pochodzeniowe, mierzone współczynnikiem korelacji między kategorią zawodową ojca a posiadaniem wyższego wykształcenia, zmniejszyły się w latach 1998–2002 z 0,34 do 0,23, podczas gdy w 1982 roku współczynnik korelacji wynosił 0,20. Krótko mówiąc: nierówności wróciły do poziomu porównywalnego ze stanem odnotowanym na początku lat 80. Instytucjonalnym podłożem tego procesu była ekspansja szkolnictwa wyższego (głównie w sektorze prywatnym): wzrost liczby uczelni był naturalnym czynnikiem poszerzającym kanały awansu.

Wynikają z tego dwa wnioski. Wzrost nierówności był naturalnym skutkiem logiki procesów rynkowych. Stanowił on naturalną reakcję na zmianę systemu i trudno wyobrazić sobie jakiś rząd w Polsce, który zdecydowałby się na podjęcie decyzji o zahamowaniu tych zmian lub który byłby je w stanie odwrócić. Niewiarygodnie brzmi również zapowiedź walki o równość szans. Wyniki badań dowodzą, że interwencja w nierówności edukacyjne powiodła się na krótką metę w krajach totalitarnych, takich jak ZSRR i Chiny (nie robiono

badań w Kambodży), jednak w dłuższej perspektywie czasowej hierarchia społeczna zawsze wraca do normy. Z krajów demokratycznych nierówności społeczne udało się zmniejszyć tylko w Szwecji, a poza tym nie powiodło się to żadnemu rządowi, ponieważ o ruchliwości i dostępie do wykształcenia decyduje logika stratyfikacji społecznej, a nie poczynania ministrów.

Nie krytykuję PiS-u za niedotrzymanie obietnic wyborczych. Partia ta nie zrealizowała obietnic, ale w podobnej sytuacji byłaby również PO, gdyby wygrała wybory. Politycy muszą coś obiecywać, a na ogół nie kierują się wiedzą o prawidłowościach społecznych. Przejdźmy do najważniejszego pytania: czy rządzącej partii udało się coś zawłaszczyć w wymiarach, o których była mowa powyżej? Nic nie wskazuje na to, że nierówności uległy zwiększeniu lub że dokonano redystrybucji czegoś ważnego na korzyść jakiejś klasy, grupy czy kategorii zawodowej. Takie zjawiska nie zależą od intencji ministrów. Jednak formułując pytanie „czyja Polska?”, słowo „czyja” odnosimy też do sfery świadomościowej. Intelktualiści negatywnie oceniający politykę ekipy rządzącej wskazują na próby narzucenia Polakom tradycyjnego światopoglądu sprzecznego z polską racją stanu i im obcego.

Jako badacz prawidłowości społecznych byłbym skłonny się z tym stanowiskiem nie zgodzić. Ideologia PiS-u jest bowiem odzwierciedleniem tradycjonalizmu statystycznego Polaka, który ukształtował się na długo przed powstaniem tej partii. Rozpatrując bieg wydarzeń w kategoriach przyczynowo-skutkowych, należałoby stwierdzić, że program PiS-u był tylko odpowiedzią na zapotrzebowanie większości. Prowadzone od początku lat 90. ubiegłego stulecia analizy porównawcze wskazują, że zdecydowana większość społeczeństwa polskiego ma negatywny stosunek do homoseksualizmu, negatywnie też ocenia fakt zdrady małżeńskiej, dokonywanie aborcji i utrzymywanie stosunków seksualnych przed ślubem, co sytuuje nas za większością społeczeństw zachodnich. Innym wymiarem większego tradycjonalizmu Polaków jest znacznie mocniejszy sprzeciw wobec liberalizmu ekonomicznego, wyrażający się w postaci silnego poparcia dla redukcji nierówności przez państwo i dla polityki opieki socjalnej. O ile antyliberalizm gospodarczy można wyjaśniać utrzymującym się wpływem systemu komuni-

stycznego, o tyle antyliberalizm obyczajowy tkwi w naszej kulturze. Tak więc Prawo i Sprawiedliwość nieprzypadkowo wygrało wybory i nie potrzebuje zbyt wiele zawtaszczać.

Odpowiedzi na pytanie „czyja Polska?” może być wiele. Jeżeli szukamy trwałych linii podziałów społecznych, to Polska w coraz większym stopniu staje się własnością elit biznesu i kategorii społeczno-zawodowych, którym wprowadzenie stosunków rynkowych przyniosło największe korzyści. Oczywiście – jak w każdym ustroju – przywilejami cieszą się również członkowie klasy rządzącej, jednak w systemie demokratycznym, w jakim obecnie żyjemy, jest to dość krótkotrwały przywilej, którego się nie dziedziczy. Być może warto to stwierdzenie uściślić, mówiąc, że coś, co jest krótkotrwałe z perspektywy struktur społecznych, nie musi być nim z perspektywy statystycznego wyborcy. W przypadku obecnej klasy rządzącej perspektywa korzystania z przywilejów wynikających z dostępu do władzy sięga 2009 roku, kiedy to powinny się odbyć następne wybory. Niemniej jednak, jeżeli trafna jest sformułowana powyżej teza o zasadniczej zgodności między programem PiS-u a mentalnością Polaków, to być może jesteśmy skazani na rządy PiS-u – lub podobnej formacji ideologicznej – w dłuższym przedziale czasu, którego długość trudno w tym momencie określić.

Jerzy Szacki

Populistyczna koalicja sprzeciwu

Odpowiedź na pytanie o wartości realizowane przez Prawo i Sprawiedliwość, Ligę Polskich Rodzin i Samoobronę jest pozornie prosta. Analizując programowe wypowiedzi przedstawicieli tych partii, można mianowicie jakoś zrekonstruować ich systemy wartości. Nie we wszystkich wypadkach są one wprawdzie bardzo spójne i czytelne w szczegółach, ale żadnemu z tych systemów nie można odmówić niejakiej wyrazistości, której ewidentnie brakuje partiom opozycyjnym. To zresztą jedna z przyczyn sukcesu wyborczego akurat tych partii.

Kłopot polega na tym, że, po pierwsze, w grę wchodzi trzy dość różne systemy wartości, nie pozbawione wprawdzie pewnych punktów stycznych, ale nazbyt wyraźnie się różniące, aby można było mówić o istnieniu jakiejś głębszej wspólnoty ideowej wewnątrz obecnej koalicji (co jest zresztą całkiem naturalne, albowiem podstawą wszelkich takich koalicji są wspólne interesy polityczne, nie zaś wspólne wartości). Po drugie zaś, trudno o pewność, czy wartości, o których wzmiankują wypowiedzi programowe przywódców poszczególnych partii, są (lub będą) wartościami rzeczywiście **praktykowanymi**, czy też są (i będą) głównie wartościami **deklarowanymi** z myślą o wyborcach (ewentualna rozbieżność też byłaby najzupetniej naturalna).

Nie kwestionuję tu szczerości owych partyjnych przywódców, lecz zwracam po prostu uwagę na raczej nieuchronny rozdział między intencjami walczących o władzę polityków a tym, co po zdobyciu władzy robią i są

w stanie robić, natrafiając na trudności i ograniczenia najrozmaitszego rodzaju. Również takie, które są następstwem wejścia w taką, a nie inną koalicję. Oczywiście, zręczny propagandysta każdej partii potrafi zwykle wykazać, że to, co się robi, jest dokładnie tym, o co od początku chodziło w zapowiedziach i programach. Cokolwiek jednak mówią na ten temat propagandyści, pozostaje sporo miejsca na wątpliwości ze strony tych niepoprawnie naiwnych ludzi, którzy zapowiedzi i programy swoich partii są skłonni rozumieć dosłownie, a także mają dobrą pamięć. Ale to nie moje zmartwienie. Mnie chodzi tu wyłącznie o to, czy koalicję rządzącą obecnie Polską łączy cokolwiek poza doraźnymi interesami politycznymi, które sprowadzają się do tego, by nie utracić przedwcześnie wszystkiego, co zyskało się dzięki ostatnim wyborom oraz pertraktacjom i manipulacjom, jakie nastąpiły po nich. Inaczej mówiąc, idzie mi o to, czy mimo ewidentnych różnic systemów wartości trzech partii koalicyjnych nie ma czegoś, co mogłoby wskazywać na głębsze powinowactwo duchowe trzech partii tworzących koalicję? Albo jeszcze inaczej: czy jest to istotnie, jak niekiedy sugerowano, koalicja zawarta jedynie z musu?

Abstrahując od tego, w jakiej mierze status jednej z koalicyjnych partii jest już teraz *de facto* statusem „kierowniczej siły narodu”, status zaś dwóch pozostałych zaczyna przypominać status „stronnictw sojusznicznych”. Na takie analogie jest jeszcze, jak się zdaje, za wcześnie, choć układ sił z pewnością sprzyja powstaniu takiej sytuacji. Inaczej mówiąc, zakładam roboczo, że wszystkie trzy układające się w obecnej koalicji strony są równie wysokie i każda ma powody, aby widzieć w niej ciągle drogę do realizacji własnych celów, które niekoniecznie muszą być zbieżne z celami partnerów.

Jeżeli bierzemy w nawias wszystkie Wielkie Słowa, które powtarzają się niezmiennie w programach wszelkich partii i wszelkich koalicji („dobro kraju”, „naprawa”, „sprawiedliwość” itd.), to wskazanie sfery koalicyjnej wspólnoty wartości jest niezwykle trudne. W każdym razie tak długo, jak długo koncentrujemy się na prześwitującym tu czy ówdzie ideale lepszego polskiego społeczeństwa, jakie miałyby zostać zbudowane w wyniku wspólnego wysiłku partii koalicyjnych. Wysiłkowi temu przyświecają bodaj częściej rachuby wyborcze niż określona pod każdym istotnym względem

wizja przyszłej Polski. Jeśli nawet taką wizję mają przywódcy poszczególnych partii (choć i tego nie byłbym pewien, znając ogólnikowość i wyrwykowość ich publicznych wypowiedzi), to nie wygląda na to, aby miała ją koalicja jako taka. W każdym razie postronny obserwator ma powody, aby podejrzewać, iż najważniejsze dyskusje toczone przez jej uczestników dotyczą raczej kształtu „nomenklatury” niż czegokolwiek innego.

Kiedy jednak skupiamy się nie na programie pozytywnym, lecz na tym, co koalicja trzech partii kwestionuje i odrzuca, sprawa staje się mniej skomplikowana. Wprowadzona przez PiS podczas kampanii wyborczej efektywna opozycja „Polski solidarnej” i „Polski liberalnej” wydaje się najlepszym punktem wyjścia do rozważenia całej sprawy, albowiem to sprzeciw wobec tej drugiej stanowi zasadnicze spoiwo obecnej koalicji rządowej i jej wartość fundamentalną, bez względu na wszelkie możliwe różnice programów pozytywnych i kontekstów, w jakich ów sprzeciw występuje. Jakkolwiek różnią się od siebie trzy koalicyjne partie, w tym jednym punkcie są bodaj doskonale jednomyślne. W grę mogą wchodzić z gruntu odmienne wizje „Polski solidarnej”, ale nie ma wątpliwości co do tego, przeciwko czemu są skierowane. Wrogiem, przeciwko któremu gromadzi się i łączy siły, jest nade wszystko liberalizm.

Nie miejsce tu na wykazywanie, jak beznadziejnie zmistyfikowane jest w Polsce pojęcie „liberalizmu”, ani też na to, aby dowodzić, iż, w gruncie rzeczy, nie uczynił on u nas takich postępów, jakie się mu zwykło w pewnych kręgach przypisywać, usiłując za wszelką cenę znaleźć przepotęźnego wroga, którego można byłoby obciążyć odpowiedzialnością za całe zło w naszym kraju. Byłyby to zresztą przedsięwzięcia skazane z góry na takie samo niepowodzenie, jak prostowanie innych głupstw obecnych w dyskursie publicznym. Przyjmijmy zatem, że z grubsza wiadomo, o co chodzi, i walka z liberalizmem jest walką z przeciwnikiem mocno zdemonizowanym, ale nie urojonym.

Chodzi przypuszczalnie o dwie rzeczy. Po pierwsze, idzie z pewnością o wyczekiwane przez wielu ludzi zastąpienie „liberalnej” polityki gospodarczej przez jakąś inną politykę, która byłaby bardziej sprawiedliwa i opiekuńcza, mniej uległa prawom wolnego rynku, pozostawiająca więcej przestrzeni dla ponoć zbawiennego działania państwa itd., a może nawet

bardziej efektywna, w co rzadko wierzą ekonomiści, ale co jest pewnikiem dla wielu polityków czy, tym bardziej, laików przekonanych, iż wszystko zależy od państwa. Antyliberalne deklaracje dotyczące gospodarki spotyka się u polityków wszystkich trzech partii koalicyjnych, to jednak, przynajmniej na razie, deklaracje właśnie, ale nie działania (jeśli nie liczyć zahamowania prywatyzacji) zasadniczo odmienne od działań poprzednich, skażonych „liberalizmem” rządów. I jakkolwiek daleko idą w pewnych wypadkach owe deklaracje, niemal wszystko zdaje się wskazywać, że zmienia się raczej słownictwo niż realna polityka gospodarcza.

Należałoby zapewne powiedzieć „na szczęście”, ponieważ nawet najstuszniejsza walka z „liberalizmem” zadziwiająco łatwo przekształca się zwykle w wojnę ze zdrowym rozsądkiem, podobną do tej, jaką przez dziesięciolecia toczyli z wiadomym skutkiem komuniści. Skłonny jestem więc sądzić, że w polskiej gospodarce nie zanoszą się na żadną antyliberalną rewolucję, jakiej z pewnością oczekiwali przynajmniej niektórzy wyborcy partii rządzących. Możliwe i konieczne będą, oczywiście, takie czy inne korekty, trudno jednak wyobrazić sobie wśród nich takie, które nikomu nie przychodziły wcześniej do głowy. W ciągu ostatnich kilkunastu lat pod znakiem zapytania stoi raczej sprawność kolejnych rządów niż zasadniczy kierunek rozwoju gospodarczego, którego zmiana najpewniej spowodowałaby wręcz niewyobrażalne perturbacje.

Nieporównanie bardziej realne są natomiast istotne zmiany w sferze politycznej „nadbudowy”, którą zresztą koalicja rządowa wydaje się zainteresowana znacznie mocniej niż gospodarką. Dopiero tutaj jej antyliberalizm ujawnia się, jak się zdaje, w całej pełni i coraz wyraźniej wykracza poza same deklaracje i gesty. To prawda, że nie stało się jeszcze nic rzeczywiście wielkiego i groźnego, co kazałoby mówić o realnym zagrożeniu demokracji i uruchamiać dzwony alarmowe. Nie udawajmy jednak, że zupełnie nic się dzieje, rozpoczęło się bowiem głębokie przewartościowywanie pojęcia „demokracja” przez pozbawianie go tych liberalnych, genetycznie rzecz biorąc, składników, bez których wielu z nas nie umie sobie współczesnej demokra-

cji wyobrazić, chociaż zdaje sobie skądinąd sprawę z jej ograniczeń i wad, o jakich mówi się na świecie coraz głośniejsz.

Owe liberalne składniki współczesnej demokracji sprawiają, że polega ona nie tylko na „rządach większości”, ale i na istnieniu instytucjonalnych ograniczeń tych rządów, które powodują, że władza ludu, cokolwiek słowo „lud” dzisiaj znaczy, nie jest wszechwładzą. Nie chcę przypominać tu liberalno-demokratycznego elementarza, w którym mowa o podziale władz, konstytucjonalizmie, prawach mniejszości i o realnych gwarancjach dla wolności jednostek nawet wtedy, gdy użytek, jaki z niej robią, nie podoba się rządowi i jego zwolennikom. Nie twierdzę, że obecna koalicja odrzuciła ten elementarz, uważam natomiast, że zarysowujący się w jej kręgu kierunek myślenia o państwie zdaje się zakładać potrzebę lub nawet konieczność gruntownej rewizji wielu zawartych w owym elementarzu zasad. Rewizji, która oznaczałaby, z jednej strony, rosnące uprzywilejowanie władzy wykonawczej, z drugiej zaś – takie przededefiniowanie wolności jednostki, jakie uczyniłoby jej dopuszczalne publicznie działania słusznymi z punktu widzenia większości lub domniemanej większości. To niebezpieczny kierunek myślenia w kraju, który liberalno-demokratycznego elementarza dopiero zaczął się uczyć i którego społeczeństwo obywatelskie znajduje się ciągle w powijakach. Nie wiem, do czego to myślenie doprowadzi, ale doskonale rozumiem niepokój tych środowisk, którym polityczny antyliberalizm kojarzy się z taką lub inną formą autorytaryzmu, a nie tylko ze wzniosłymi wzorami republikańskiej cnoty.

Omawiając polską politykę, nie mogę pominąć problemu populizmu. Termin ten stracił na ogół w publicystyce jakiegokolwiek ściślej określone znaczenie, stając się jedynie epitetem, ale jest on, jak sądzę, bardzo potrzebny do opisu współczesnej, nie tylko krajowej, sceny politycznej – pod tym warunkiem, że pozbawimy go tego pejoratywnego zabarwienia, jakie zazwyczaj posiada. Nie będę rozwijał tu własnej koncepcji populizmu, chociaż poświęciłem mu w ostatnich latach sporo uwagi. Najkrócej mówiąc, sprowadza się ona do tego, że populizm nie polega po prostu na podlizywaniu się „ludowi” i na składaniu obietnic bez pokrycia, to bowiem zdaje się należeć do istoty działalności politycznej, lecz raczej na tym, że generalnie odrzuca respekto-

wane do tej pory reguły gry i wszelkie zasady tzw. „poprawności politycznej”, wypowiadając wojnę wszystkim dotychczasowym elitom i autorytetom.

Otóż zdarzają się sytuacje historyczne (tempo zmian, do którego masы ludzkie nie potrafią i nie chcą się przystosować, kryzys tradycyjnych formacji politycznych, rażące pogwałcenia ludowego poczucia sprawiedliwości, erozja wszelkich autorytetów, rozmiar społecznych frustracji itd.), w których tego rodzaju formuła polityczna okazuje się szczególnie atrakcyjna. W myśleniu o populizmie w ten sposób utwierdziły mnie ostatnio wypowiedzi Chantal Mouffe w wywiadzie, który przeprowadził z nią Jacek Żakowski¹. Mouffe też dokonuje neutralizacji pojęcia populizmu, widząc w nim nade wszystko żywiołowe dążenie do rozwiązania realnych problemów, jakie – słusznie lub niesłusznie – wydają się wielu środowiskom nie do rozwiązania wewnątrz panującego systemu, razem z tymi, którzy rządzą do tej pory i nie poradzili sobie z tymi problemami. Mniejsza o to, że populistyczne rozwiązania okazują się zwykle iluzoryczne. Chodzi o to, iż nie można ich traktować wyłącznie jako sposobu na kupowanie tanio popularności.

Jeżeli tak rozumieć populizm, to jest on terminem, który nadaje się jako nazwa tej osobliwej jedności, jaką jest rządząca Polską koalicja sprzeciwu – nie tylko korzystająca tak często z retoryki najlepiej znanej z historii populizmów ostatniego stulecia, ale i odwołująca się przede wszystkim do analogicznej klienteli – ludzi i środowisk niezadowolonych, urażonych, zawiedzionych, gotowych jednak uwierzyć, że „tak dalej być nie musi” (by przypomnieć skuteczny w swoim czasie slogan wyborczy SLD). Zdaję sobie, rzecz jasna, sprawę, że operuję kategorią dość nieokreśloną społecznie, niepodobna wszakże owej klienteli precyzyjnie scharakteryzować, choć bardzo istotnych wskazówek dostarczają zarówno geografia wyborcza, jak i statystyki dotyczące wykształcenia, wieku, rodzaju zamieszkiwanej miejscowości itd. Tak czy inaczej, w grę wchodzi liczna w naszym kraju populacja, z którą dominujące do niedawna siły polityczne nie potrafiły nawiązać trwałego porozumienia.

¹ *Pochwała namiętnej różnicy* [z Chantal Mouffe rozmawia Jacek Żakowski], „Niezbędnik Inteligenta” 2006, nr 9 (dodatek do „Polityki”).

Czasem siły owe nie umiały tego dokonać dlatego, że po prostu nie były w stanie zaspokoić skierowanych pod ich adresem oczekiwań (co najpewniej czeka również rządy obecne), czasem, co gorsza, dlatego, że się nie starały lub nawet nie udawały, że się starają. Stąd znane wędrowki sporej części polskiego elektoratu, rozpaczliwie szukającej tego kogoś, kto wreszcie jej coś „da”, i z wyborów na wybory przerzucającej swe głosy na coraz to kogoś innego. Jest to typowa populistyczna klientela, z której istnienia od czasu pojawienia się Stana Tymińskiego dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, choć zapewne nie byliśmy w pełni świadomi, że to ona decyduje, w gruncie rzeczy, o tym, kto rządzi. Bez porównania gorzej zdawaliśmy sobie natomiast sprawę z istnienia stosunkowo licznej populacji, której chodzi nie tyle o poziom zaspokojenia potrzeb materialnych, ile o narodowe i religijne imponderabilia, jakie w europeizującej się Polsce zdawały się schodzić na margines. Otóż widzimy teraz coraz lepiej, że mają one w polskiej polityce niemałe znaczenie. Niewątpliwa siła obecnej koalicji rządowej polega na tym, że umiała ona trafić do obu niezadowolonych z biegu spraw populacji: zarówno tej, która poczuła się pozbawiona materialnych korzyści transformacji ustrojowej, jak i tej, która poczuła się zagrożona w tym, w co nauczyła się wierzyć.

Z tego powodu nie jestem skłonny wierzyć w nietrwałość obecnych rządów, jakiegokolwiek bowiem są ich rzucające się w oczy wady, to nie są to wady, które mogłyby im zaszkodzić w oczach ich społecznej klienteli. Tym bardziej, że partie opozycyjne niewiele mają do zaoferowania tym wszystkim, którzy w ostatnich wyborach odmówili im poparcia.

Karol Modzelewski

Polska rozbita

Nie bardzo podoba mi się termin „populizm”, ale zmuszony jestem, ze względów komunikacyjnych, nim się posługiwać. Niechęć moja wynika z powszechnego używania tego terminu bez określenia jego treści pojęciowej, a także z ładunku emocji negatywnych, jakie mu towarzyszą. Łacińskim źródłosłowem tego wyrazu jest „lud”, a ponieważ chodzi o epitet, to w słowie „populizm” wyraża się pogarda elit dla ludu. Pogardę tę lud odwzajemnia uczuciem wrogości wobec elit. Jeśli mimo emocjonalnego nacechowania termin „populizm” ma do czegoś służyć, to należy go przede wszystkim zdefiniować. Roboczo możemy przyjąć, że „populizm” to styl uprawiania polityki eksploatujący ludową wrogość do wszelkich elit – politycznych, ekonomicznych, finansowych, a także elit wykształcenia i autorytetów. Jeśli przyjmiemy właśnie taką definicję, to należy już na wstępie odrzucić oburzenie czy rozczarowanie z tego powodu, że Prawo i Sprawiedliwość zawarło sojusz z ugrupowaniami populistycznymi. Chciałbym przypomnieć, że określenie „łże-elity” nie jest autorstwa Ligi Polskich Rodzin ani Samoobrony. To nie te partie ukuły określenie „lumpen-inteligencja”. To nie Andrzej Lepper nazwał kwiat profesury prawniczej „frontem obrony przestępców”. Wszystkie te epitety pochodzą z najbardziej autorytatywnych ust Prawa i Sprawiedliwości: od Jarosława Kaczyńskiego. Samoobrona i LPR mogą go traktować jak prawdziwego mistrza, gdy idzie o polityczną eksploatację ludowej wrogości do elit.

Dlatego sojusz Prawa i Sprawiedliwości z Ligą Polskich Rodzin i Samoobroną nie wydaje mi się skandaliczny ani nienaturalny. Oczywiście występuje bardzo ostra konkurencja między tymi ugrupowaniami; przecież zabiegają o tych samych wyborców. Wszystkie te partie mają inne korzenie historyczne, różnią się także kulturowo. Jednak, w moim przekonaniu, jest to sojusz dość naturalny.

Wszystkie przytoczone przeze mnie określenia – „łże-elity”, „lumpen-inteligencja”, „front obrony przestępców” – w rozmaitych publicznych ocenach wypowiedzi i postępków głównej partii rządzącej są kojarzone z czasami PRL-u. Pamiętam te czasy i muszę przyznać, że mam podobne skojarzenia. Jednak – o ile pamiętam PRL po 1956 roku – ówczesne akty agresji słownej nie dorównują śmiałością temu, z czym dzisiaj mamy do czynienia. Podam tylko jeden przykład. Tadeusz Manteuffel, ówczesny „papież” polskiej historiografii, człowiek Armii Krajowej, któremu (wraz z pozostałą ekipą wywodzącą się z Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK) władza komunistyczna powierzyła kształtowanie w znacznej mierze polskiego życia akademickiego, pod warunkiem oczywiście, że nie będzie „bawić się” w żadną opozycję, niejednokrotnie na polu zawodowym i korporacyjnym stawał w konflikcie z przedstawicielami władzy ludowej. W pewnym momencie Manteuffel powiedział jednemu z dygnitarzy: jeżeli Wy to zrobicie, to złożę rezygnację ze stanowiska dyrektora Instytutu Historii PAN. Was to może nie zmartwi, ale zapewniam Was, że potrafię sprawić, iż cała rada naukowa Instytutu, bez żadnego wyjątku,łoży wraz ze mną rezygnację. I co się stało? Władza ludowa wzięła ogon pod siebie i zrejterowała.

Proponuję porównać to wydarzenie z niedawną sytuacją. Minister Zbigniew Ziobro dymisjonuje przewodniczącego Rady Legislacyjnej. W odpowiedzi na to Rada Legislacyjna, ciało złożone z wybitnych autorytetów, w całości podaje się do dymisji. Ale Ziobro bez wahania stawia panów profesorów pod pręgierz: „na miejscu przewodniczącego Rady spaliłbym się ze wstydu z tego powodu, że głoszę poglądy niezgodne z poglądami ministra sprawiedliwości”. Powiedziałbym, że obecna władza ma pewność siebie, której władza komunistyczna nie miała, ponieważ nie czuła się prawomocna.

Dzisiejsi rządzący mają poczucie nie tylko posiadania mandatu wyborczego, ale też zakorzenienia w znacznym odłamie polskiej opinii społecznej nieprzychylnym – trzeba to powiedzieć – demokracji, którą bardzo liczni rodacy są nie bez przyczyny rozczarowani. Proszę odnotować fakt, że minister Ziobro należy – po tych wszystkich jego wypowiedziach – do najbardziej popularnych polskich polityków i to mimo krytyki, z jaką jego działania spotykają się w najbardziej opiniotwórczych dziennikach w Polsce.

Ten właśnie przykład dobrze pokazuje, że Polska dzisiaj jest rozbita na dwa wielkie obozy. Nieprawda bowiem, że obóz dzisiaj rządzący posiadał duszę Polaków. Polska jest rozbita, pęknięta na pół, na dwa wielkie obozy. I najbardziej niepokojące nie są żadne słowa polityków, tylko brak komunikacji między tymi dwoma odłamami społeczeństwa. Nie ma wspólnoty aksjologicznej wystarczającej, aby zarzuty oczywiste dla Polski oświeconej znalazły zrozumienie w kręgach Polski ludowej. Przy czym mówiąc „Polska ludowa”, nie mam oczywiście na myśli PRL-u.

Rozbicie Polski na dwa obozy jest zjawiskiem groźnym. Musi ono być też pożywką dla populizmu. Jednak nie można poważnie dyskutować nad perspektywami przewyciężenia zagrożenia, wobec jakiego stanęła demokracja liberalna w Polsce, jeżeli nie zapytamy o przyczyny tak głębokiego rozczarowania demokracją. Czyja Polska i jaka Polska? – pytamy teraz. W wyborach głosuje się z myślą o tym, jaka ma być Polska, ale zazwyczaj to nie Polska się zmienia, lecz jej „właściciele”. Z wyborów na wybory poszkodowani i rozczarowani swoimi warunkami żywotnymi obywatele Rzeczypospolitej przekonują się, że za pomocą kartki wyborczej nie są w stanie wywrzeć żadnego istotnego wpływu na swój los. Rodzi to frustrację. Dodatkowo osłoną polityczną dla ekonomicznej transformacji ustrojowej – bardzo bolesnej w Polsce, choć może mniej niż w innych krajach – był mit „Solidarności”, czyli odwołanie do wielkiego ruchu, w którym, jak w poezji romantycznej, było „jedno tylko – ach! – zbawienie, jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską polski lud, jak dwa chóry – jedno pienie”. Dziś i chóry, i pienia są całkiem różne. W pewnym momencie lud zorientował się, że został porzucony. I zaczął pytać: jakże to, myśmy wygrali, a ja jestem przegrany?

I wszyscy moi koledzy – też przegrani? Nie dziwny się, że odpowiedź brzmi: „Ktoś nam ukradł nasze zwycięstwo”.

W takiej sytuacji rośnie zabójcze dla demokracji przekonanie, że demokracja jest tylko fasadą, za którą rządzą złodziejstwo i oszustwo. Afera Rywina, a zwłaszcza działalność sejmowej komisji śledczej, umocniła ten stereotyp i utorowała drogę tym, którzy dziś rządzą. Zauważmy, co krzyczą zrozpaczeni demonstanci, którym od miesięcy nie wypłacano zarobków albo których plajta fabryki wyrzuca na bruk. Krzyczą: „Zło-dzie-je, zło-dzie-je!”. Jak ma się nie pojawić partia polityczna, która – w dodatku zgodnie z hasłem głoszonym przez swoich liderów od dawna – krzyknie: „Tak, to wszystko złodzieje, a my szeryfowie, my z tym zrobimy porządek”. Nie można też zapominać o wyjątkowo celnym hasle socjalnym użytym przy okazji ostatnich wyborów parlamentarnych: Polska solidarna przeciw Polsce liberalnej. W takiej sytuacji zwycięstwo w wyborach jest pewne.

Intencje polityczne Prawa i Sprawiedliwości wydają się jasne. Wystarczy przeczytać deklaracje programowe z czasów kampanii wyborczej, moim zdaniem dosyć prawdziwe i szczerze, a także deklaracje polityczne składane obecnie, wreszcie – przyjrzeć się poszczególnym działaniom tej partii. Nie twierdzą, że te zamierzenia uda się zrealizować i Polska może stać się państwem z monopolem władzy jednej partii oraz policyjnymi rządami silnej ręki. Jednak taki zamysł polityczny na pewno istnieje w planach PiS-u. Mnie jednak bardziej interesuje inne zagadnienie: ekonomiczna i socjalna strona tych planów.

W Polsce, jak we wszystkich krajach bloku komunistycznego, zbudowano duży, ale liche jakościowo i mało efektywny, a więc niekonkurencyjny potencjał gospodarczy. Otwarcie gospodarki na konkurencję, bez okresów przejściowych i osłon protekcyjnych, powoduje zniszczenie tego potencjału, a tym samym degradację statusu znacznej części obywateli. Czy dzisiaj możliwa jest zmiana polityki gospodarczej? Może tak, ale pod warunkiem zerwania z podstawowymi kanonami poprawności ekonomicznej i politycznej, na których straży stoją nie tylko Unia Europejska, ale i cały układ globalistycznych interesów. W Unii Europejskiej jedynym instrumentem

protekcjonistycznej osłony, jakim mogą jeszcze posłużyć się o wiele słabsi ekonomicznie od starego trzonu UE nowi członkowie, jest polityka pieniężna. Użycie tego instrumentu wymagałoby jednak złamania zasady niezależności banku narodowego. To duże ryzyko; można spodziewać się groźnych reakcji tzw. rynków finansowych. Czy Prawo i Sprawiedliwość ma motywację i odwagę niezbędną do podjęcia takiego ryzyka, czy też ograniczy się do nałożenia Leszkowi Balcerowiczowi czapki hańby? Jeżeli ograniczy się do gry pozorów, do spektaklu przed komisją śledczą badającą politykę wobec sektora bankowego w minionym piętnastoleciu, to postawiłbym pytanie: co po Prawie i Sprawiedliwości? Co stanie się, jeśli poszkodowani po raz kolejny uznają, że zostali oszukani? Nie jest to błahe pytanie. Przeprowadzenie transformacji według modelu, w którym za burtą pozostawiono w sensie politycznym i materialnym znaczną część bazy społecznej dawnej „Solidarności” – chociaż nie wiem, czy było takie zamierzenie – świadczy o odwadze lub o braku wyobraźni. Być może o jednym i drugim. Obojętnie, którą z odpowiedzi wybierzemy, skutki polityczne takich działań mnie nie dziwią. Co więcej, być może nie jest to ostatni etap buntu przeciw transformacji zapoczątkowanej w 1989 roku.

Dariusz Gawin

Obecny rząd i spór o model polskiej modernizacji

Udzielenie odpowiedzi na pytanie „Jakie wartości realizują PiS, LPR czy Samoobrona?” wymaga najpierw dokonania rekonstrukcji diagnozy rzeczywistości społecznej III Rzeczypospolitej, postawionej przez główną partię tej koalicji, czyli Prawo i Sprawiedliwość. Pozwoli to na zrozumienie sposobu myślenia obozu rządzącego dzisiaj Polską. Ujmując rzecz bardzo skrótowo, wedle tej diagnozy znajdujemy się w systemie postkomunizmu. Słabe państwo współistnieje w nim ze słabym społeczeństwem obywatelskim, regulowaną i skorumpowaną gospodarką. Dodatkowym elementem jest kryzys o charakterze kulturowym – tradycyjne formy tożsamości, kody kulturowe zostały skazane na odejście do lamusa historii, w ich miejsce agresywnie wchodziła pop-kultura. Parafrazując raz jeszcze znaną opinię Cypriana Kamila Norwida, który mówił, że jesteśmy „pierwszym sztandarem narodowym, a żadnym społeczeństwem”, można powiedzieć, że Polska przestała być narodem, a nie jest jeszcze społeczeństwem. Znaleźliśmy się w momencie przejścia, anomii, transgresji.

W sytuacji współistnienia słabego państwa, słabego społeczeństwa obywatelskiego i regulowanej, skorumpowanej gospodarki transformacja doprowadziła do powstania rzeczywistości, która jest postrzegana przez znaczną część społeczeństwa jako ład niesprawiedliwy. Można wskazać na różne wymiary tej niesprawiedliwości: społeczny – związany z brutalną przemianą struktury społecznej, a także etyczny – ponieważ brak rozliczeń i dekomunikacji obraża poczucie elementarnej sprawiedliwości. W takich warunkach proces modernizacji – będący głównym wyzwaniem dla Polski

od chwili upadku systemu komunistycznego – można opisać jako proces wewnętrznej kolonizacji, kolonizacji „wyspowej”, ograniczonej do wielkich miast i aglomeracji, proces, z którego wymierne korzyści odnosi tylko klasa średnia; taka „wyspowa” modernizacja spycha resztę społeczeństwa na margines, wyklucza ją i traktuje jako swoiste „odpady” procesu.

Kolejnym elementem dobrze wskazującym na źródło dynamiki pewnych resentymentów społecznych jest zjawisko, które określiłbym jako „drugą zdradę klerków”. Elity solidarnościowe zdradziły lud solidarnościowy, czyli robotników. Stały się częścią klasy średniej, pozostawiając wspomniany lud solidarnościowy samemu sobie. Ważnym elementem tej sytuacji była też ideologia stojąca za tym projektem, która w języku obecnego obozu rządowego została określona jako „liberalizm”. Jednak w tym przypadku mówiłbym raczej – odróżniając tę ideologię od liberalizmu, o którym pisał chociażby Jerzy Szacki – o „pop-liberalizmie”, na podobieństwo terminu „pop-psychology”, czyli wersji popularnej psychologii wszechobecnej we wszystkich kolorowych czasopiśmie zabawiających klasę średnią. Istniał przecież pewien dyskurs, który opisywał transformację lat 90. jako proces dziejowej konieczności, sytuację pozbawioną jakiegokolwiek alternatywy.

W takim klimacie kulturowym można było łatwo stygmatyzować tych, którzy sobie nie radzili w nowych warunkach. Przypominam na przykład wielką karierę słowa „budżetówka” – na szczęście znikło ono już z naszego języka. Tym słowem stygmatyzowano część inteligencji, która według establishmentu III RP nie stała się klasą średnią. Chciałbym przypomnieć słowa François Guizota, który przed Wiosną Ludów na zarzuty, że jego reforma praw obywatelskich i politycznych we Francji wyklucza biednych ze względu na wprowadzenie cenzusu podatkowego, odpowiadał: „Bogaćcie się!”. Znaczyło to mniej więcej tyle: jeśli się wzbogacie, będziecie mieli prawa, a jeżeli nie umiecie się wzbogacić, wobec tego nie jesteście w stanie być obywatelami. W Polsce po 1989 roku, w warunkach braku idealnego systemu konkurencji, ów pop-liberalizm był szyderstwem rzuconym w twarz tym, którym się nie udało.

Jeszcze jednym elementem istotnym w rekonstrukcji sposobu myślenia obozu rządzącego jest zjawisko określone przez Marka Jurka mianem „im-

posybilizm”, to znaczy radykalne zawężenie sfery polityczności. Jeżeli nie ma alternatywy dla modelu przemian przyjętego po 1989 roku, to coraz więcej sfer politycznej rzeczywistości można delegować na ciała jedynie zarządzające procesami cywilizacyjnymi, a nie podejmujące decyzji o charakterze politycznym i demokratycznym. W latach 90., szczególnie na początku transformacji, często sugerowano, że technokratyczne zarządzanie procesami społecznymi i gospodarczymi może stanowić alternatywę dla tradycyjnie rozumianej polityki.

Wreszcie muszę wspomnieć o jeszcze jednym elemencie ważnym dla opisu rzeczywistości III RP. W latach 90. znaczna część osób przegapiła moment, w którym przestała być częścią elity, a stała się częścią establishmentu w sensie społecznym. Co więcej, ten establishment w opinii tych, którzy znaleźli się poniżej klasy średniej, występował w jednoczesnej roli sędziego i gracza, określał warunki gry, a jednocześnie był uczestnikiem, który czerpał z niej korzyści. Było to jedno ze źródeł resentymentów społecznych, a o nich też musimy rozmawiać, jeżeli chcemy opisać emocje stojące za wydarzeniami w Polsce z ostatnich kilku miesięcy.

Postawienie właśnie takiej diagnozy sytuacji Polski w latach 90. prowadziło do rzucenia hasła budowy „IV Rzeczypospolitej”, odbieranego instynktownie przez znaczną część społeczeństwa jako obietnica sprawiedliwej modernizacji. Wróćmy zatem do pytania, jakie wartości reprezentuje obóz rządzący? Jednym zdaniem można powiedzieć, że reprezentuje wartości ludu rozumianego w sensie społecznym, nie zaś politycznym, czyli tych, którzy są gorzej wykształceni, żyją na prowincji, są biedniejsi od mieszkańców wielkich miast, mają tradycyjne poglądy na rodzinę, religię i tak dalej. Lud chce opieki, za czym idzie idea socjalnego etatyizmu, będąca oczywiście hasłem lewicowym. Jednocześnie ten lud jest konserwatywny kulturowo. Można mówić tu o polskiej specyfice: lud domaga się etatyizmu socjalnego, równocześnie jest przywiązany do tradycjonalizmu w sferze wartości. Ta sytuacja powoduje, że każda lewica ideologiczna w Polsce ma problem i musi z konieczności postugiwać się kategorią „fałszywej świadomości” – dotyczyło to kiedyś robotników, dzisiaj ten sam problem mają na przykład feministki, które

jakoś muszą objaśnić fakt, iż większość kobiet nie podziela ich radykalnych poglądów na rodzinę czy macierzyństwo. Dla ideologicznej lewicy w takich warunkach państwo staje się instrumentem inżynierii społecznej czy też lepiej – kulturowej, które lud ma z owej „fałszywej świadomości” uleczyć. W tym względzie polityka José Luisa Zapatera w Hiszpanii może być niedościgłym wzorem dla rodzącej się u nas nowej lewicy.

Dzisiejszy obóz rządzący, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom społecznym, sformułował zatem obietnicę, iż modernizacja może być sprawiedliwa, a jej reguły – choć surowe, mogą być przejrzyste, w przeciwieństwie do modelu obowiązującego w latach 90. Da się wskazać dwa elementy istotne w tym myśleniu. Po pierwsze, modernizacja w tej propozycji ma mieć charakter inkluzywny, a nie ekskluzywny, czyli nie może być kolonizacją wewnętrzną opartą na założeniu – raz jeszcze odwołując się do Guizota – „wzbogaćcie się, a będziecie obywatelami”. Państwo musi zatem dysponować instrumentami etatystycznymi, aby procesy modernizacyjne włączały obywateli, a nie prowadziły do ich wykluczenia. Niezbędne są także zachowanie w tym procesie wymiaru społecznej sprawiedliwości oraz odbudowa zaufania do wymiaru sprawiedliwości w jego wymiarze etycznym (lustracja). Po drugie, modernizacja nie oznacza konieczności porzucenia tradycjonalistycznej tożsamości – nie musi być ona „pakietem”, czyli koniecznie łączyć w sobie zmiany cywilizacyjnej infrastruktury i kulturowej tożsamości. Według propozycji obozu rządowego – mówiąc bardzo skrótowo – modernizacja oznacza budowę autostrad plus kult maryjny. Te dwie rzeczy nie tylko mogą, lecz wręcz powinny być łączone, jeśli proces modernizacji ma mieć ogólnospołeczny wymiar. Hasło IV Rzeczypospolitej można – bardzo ogólnie mówiąc – sprowadzić właśnie do tych dwóch elementów: sprawiedliwość społeczna oraz modernizacja nie prowadząca do porzucenia tradycji.

Tyle o założeniach. Pozostaje pytanie: gdzie tkwią trudności w realizacji tego projektu? Obóz rządzący składa się z trzech partii. Każda z nich ma inny stosunek do modernizacji, a proces modernizacji jest podstawowym problemem legitymizacji jakiegokolwiek władzy politycznej w Polsce od roku 1989. Prawo i Sprawiedliwość jest pravicą konserwatywno-republikańską, dla której

wartość samą w sobie stanowi państwo. PiS, nie wchodząc w koalicję z Platformą Obywatelską, znalazł się w niezwykle kłopotliwej sytuacji. PO dysponuje bowiem wyrazistą ideologią, czyli liberalizmem, która jako jedyna we współczesnym świecie zapewnia poczucie realizowania projektu powszechnodziejowej konieczności, by posłużyć się językiem Hegla. Tylko posiadanie tej ideologii pozwalałoby wytłumaczyć establishmentowi aktywizm w sferze polityki PiS-u jako działanie o głębszym sensie, zakrojone na długą, historyczną perspektywę. Bez tej ideologicznej zasłony establishment odczytuje działania PiS-u opacznie, jako autoteliczną fascynację władzą, podszytą jakoby złą wolą. Stąd hipertrofia kompletnie chybionych retorycznych figur, mówiących o zagrożeniu demokracji czy wręcz sugerujących możliwość autorytaryzmu.

LPR jest prawicą tradycjonalistyczno-nacjonalistyczną, często opisywaną jako partia neoendecka. W gruncie rzeczy mamy jednak do czynienia z dziwną mutacją tradycji endeckiej. Jeżeli weźmiemy po uwagę historię tej formacji, a szczególnie tak zwanej starej endecji, to była ona jedną z najistotniejszych sił modernizacyjnych w Polsce. W tekstach pisanych na początku XX wieku przez Romana Dmowskiego tradycjoniści są wyszydzani i przedstawiani jako przeszkoda, relikw, który należy znieść. Padają tam słowa krytyki wobec tradycji romantycznej, szlacheckiego konserwatyzmu krakowskich. Nie przypadkiem najważniejsza książka Dmowskiego nosiła tytuł *Myśli nowoczesnego Polaka*. Tymczasem formacja Romana Giertycha nie traktuje modernizacji jako interesu narodowego – wedle niej interesem narodowym jest obrona polskości, obrona tożsamości. To cel negatywny i kulturowy, nieodnoszący się w jakikolwiek sposób do sfery modernizacji, tym bardziej modernizacji cywilizacyjnej. Co więcej, Liga, broniąc polskości, nie ma żadnej propozycji jej przebudowy, tak aby tradycję i pamięć połączyć z nowoczesnością, czego chce PiS. Oni po prostu boją się nowoczesności i do tego są ideologicznie zacietrzewieni, co dobrze widać na przykładzie działań Romana Giertycha w Ministerstwie Edukacji.

Samoobrona wreszcie jest partią populistyczną, ludową, bez wyraźnej tożsamości i zakorzenienia w historii. W istocie przywódcy Samoobrony reprezentują klasę średnią, bo poziom ich dochodów, poziom zadłużenia,

ich majątki odpowiadają takiemu właśnie ułokowaniu w strukturze społecznej. Jednocześnie jednak nie jest to klasa średnia, bo członkowie partii nie reprezentują wartości wedle teoretyków liberalizmu charakterystycznych dla tej klasy. Złośliwie można by powiedzieć, że Samoobrona jest partią lumpen-burżuazji reprezentującej resentymenty lumpen-proletariatu, czyli tych, którzy stracili na całej transformacji lat 90. W tym sensie Samoobrona jest złą odpowiedzią na dobrze postawione pytanie o problem polskiego wykluczenia. Co więcej, ta partia powstała, ponieważ wcześniej nikt na poważnie nie podejmował tego pytania, było ono poza obszarem głównego sposobu myślenia i dyskursu politycznego.

Trzeba zatem spróbować odpowiedzieć na pytanie: czyja jest Polska? Można na nie powiedzieć: prawicy. Dzisiaj podstawowy konflikt polityczny w Polsce rozgrywa się między dwoma wielkimi obozami pravicowymi. Prawica rządzi i prawica jest w opozycji. Rządzą partie ludowo-konserwatywne o elementach nacjonalistycznych i populistycznych, a w opozycji jest partia konserwatywno-liberalna z elementem neoliberalizmu. Czyli, w gruncie rzeczy, Polska jest pravicowa po stronie rządzącej i po stronie opozycji. Obecnie toczy się spór o kształt polskiej modernizacji między dwoma wielkimi przeciwnikami posługującymi się językiem pravicowym. Z punktu widzenia obserwatora polskiego życia publicznego jest to interesująca sytuacja i jednocześnie wielkie wyzwanie dla polskiej lewicy – jak w takich warunkach zbudować alternatywę, dzięki której konkretna formacja może uzyskać społeczne poparcie.

Na koniec chciałem dodać jedną uwagę. W polskich dyskusjach często odmawia się przeciwnikowi legitymizacji intelektualnej czy historycznej. Jeżeli zarysujemy spór o polską modernizację jako posiadający głębokie, historyczne uprawomocnienie w zachodniej tradycji, jeśli postawimy pytanie, czy modernizacja jest dokonywana w interesie ludu czy klasy średniej oraz czy powinna uwzględnić element tożsamości i tradycjonalizmu (na przykład religii), to dostrzeżemy, że są to kwestie poważne i zasługują na racjonalną analizę. Niezależnie bowiem od tego, jak spór między różnymi wersjami modernizacji zostanie rozwiązany, to jest on prawomocny w sensie intelektualnym.

Sławomir Sierakowski

Pochwała antagonizmu

Mam wątpliwości co do sensowności przydawania rządzącym obecnie partiom – jak to się często czyni – jakichś spójnych kategorii, określających ich formację kulturową czy polityczną, na przykład określania Prawa i Sprawiedliwości mianem „formacji prawicowo-republikańskiej”, „tradycjonalistycznej” czy „konserwatywno-narodowej”. Uważam, że Prawo i Sprawiedliwość jest przede wszystkim produktem niedorozwiniętej sfery publicznej i właśnie tej sferze chciałbym poświęcić uwagę. Prawo i Sprawiedliwość nie jest ani skończoną, ani też spójną strukturą, o czym świadczy choćby rozbieżność między głoszoną retoryką socjalną a faktycznie liberalnym kierunkiem prowadzenia polityki gospodarczej.

Wyniki podwójnych wyborów w 2005 roku – parlamentarnych i prezydenckich – należy odczytać jako stanowcze wypowiedzenie przez większość głoszących modelu przemian realizowanego po 1989 roku. O ile obietnica budowy IV RP składana przez formację, która objęła władzę po wyborach, nie ziszcza się z punktu widzenia zgodności działań z głoszonymi hasłami i trudno przewidywać losy tego projektu, o tyle wiadomo, że projekt III RP został ostatecznie zdelegitymizowany. Polskie społeczeństwo, głosząc na Prawo i Sprawiedliwość, a także na partie „przystawki” (używając określenia z popularnego w pewnym momencie dowcipu), wreszcie głosząc na Platformę Obywatelską, która również głosiła hasło radykalnego zerwania z dawnym modelem, przynajmniej w kilku zasadniczych kwestiach rządzenia państwem, opowiedziało się za programami silnie kontestującymi projekt dotychczasowej modernizacji.

Grzechem pierworodnym przemian zapoczątkowanych w 1989 roku był chory, a nawet patologiczny kształt sfery publicznej. Stanowił on konsekwencję „hiszpańskiej drogi” wychodzenia z komunizmu, czyli porozumienia elit, co usytuowało model przemian i dyskusje nad nim ponad głowami społeczeństwa. Ówczesna zmiana w Polsce wiązała się z radykalną zmianą ideologiczną na świecie. Mieliśmy wówczas do czynienia z apogeum wiary w liberalizm ekonomiczny, fukuyamowskiej wiary reprodukcją heglowsko-marksowskie przekonanie o postępie i zakładającej pewną konieczność dziejową. W roku 1989 w sferze publicznej nie nastąpił podział na różne wizje transformacji, lecz na „modernizatorów” i „tradycjonalistów”. Taki podział wyklucza dyskusję o modernizacji, o możliwości zmiany czy korekty projektu, wyklucza także konfrontację całościowych propozycji, istnienie równoprawnej alternatywy. Wedle tego podziału tylko akceptujący ściśle określony kanon są modernistami; kto się nie zgadza, wypada z „poważnego” obiegu. Wszystkich, którzy nie są „modernizatorami”, określono mianem „tradycjonalistów”. Tym samym w jednej grupie znaleźli się nie tylko obrońcy życia poczętego, lecz także obrońcy grup wykluczanych w procesie przemian.

Prawomocność w dyskursie publicznym dana była tylko „modernizatorom” przez rodzące się wówczas media, rozmaite organizacje eksperckie czy doradcze oraz instytucje rynku. Niezbędne do stania się „legalnym” partnerem, aktorem przemian czy też dyskusji publicznych, traktowanym poważnie, było przyjęcie kanonu modernizacyjnego. W ten sposób doprowadzono do niedorozwoju sfery publicznej, a jednym z zasadniczych problemów jest nieobecność w niej socjaldemokratycznej wizji przemian. Nie chodzi tu jedynie o konkretny, bliski mi osobiście, porządek wartości, ale także o określony pragmatyczny argument. Nieobecność socjaldemokratycznej wizji oznaczała w istocie brak pluralistycznej debaty publicznej, sprzyjającej przecież rozwojowi. Krótko mówiąc, mieliśmy od czynienia z sytuacją odmienną niż w cywilizowanych krajach Zachodu, do których mieliśmy i chcemy zmierzać.

Jakie były powody braku socjaldemokratycznej wizji rozwoju? Postkomuniści po Okrągłym Stole zostali pozostawieni w sferze publicznej za cenę podpisania się pod tym kanonem przemian przyjętym w 1989 roku. Pozwolę

sobie na publicystyczną dygresję. Mam wrażenie, że doszło do zawiązania psychoanalitycznego węzła między byłym katem a ofiarą. Była ofiara wierzy, że kat będzie zachowywał się w sposób przewidywalny i podległy, przynajmniej w sensie aspiracji do rządu dusz w Polsce: przebaczyliśmy i liczymy, że formacja obsadzona i zalegalizowana przez elity solidarnościowe w roli lewicy nie będzie formacją kontrreformacyjną. Postkomuniści także chcą znaleźć się w obozie „modernizatorów”, akceptują więc kanon, przyjmują wiarę w liberalizm ekonomiczny, a lewicowość identyfikują z odwoływaniem się do nostalgii za PRL-em i obroną ludzi byłego systemu. Z głównego nurtu polityki znika możliwość kwestionowania zasadniczego modelu przemian. Modelu, który prowadzi do najszybciej rosnących nierówności ekonomicznych w Europie, do poczucia upokorzenia i utraty godności przez dużą część społeczeństwa. To zjawisko nie znalazło adekwatnej artykulacji w wyobcowanej sferze publicznej i dziś wybucha pod postacią prawicowego populizmu.

Podział uczestników dyskursu publicznego na „modernizatorów” i „tradycjonalistów”, a nie według różnych wizji rozwoju, powoduje, że trudno liczyć na partycypację i aktywność obywateli w demokracji. Jeżeli pragnie się modelu demokracji, w którym społeczeństwo angażuje się w życie wyborcze i w rytuały demokratyczne, to obywatele muszą mieć poczucie realnego wyboru między różniącymi się możliwościami.

Zwycięstwo populizmu w Polsce jest symptomem schyłku dominacji nie tylko neoliberalizmu, ale także towarzyszącej mu filozofii liberalnej demokracji, z której da się usunąć antagonizmy społeczne. Kres, a zarazem konsekwencje hegemonii neoliberalizmu widać w rosnącym poparciu dla prawicowego populizmu w Europie. U podstaw neoliberalizmu leży z pozoru bardzo szlachetne i łatwo przemawiające do każdego przekonanie o konieczności pogodzenia sprzecznych dążeń i światopoglądów w jednym państwie i społeczeństwie. A przede wszystkim o możliwości realizacji takiej idei. I tak jedni gotowi są wskazywać na moralną wyższość etosu liberalnego nad innymi (większość argumentów sprowadza się do pragmatycznego rozstrzygnięcia, że w świecie urządzonym przez konserwatystów nie ma miejsca dla liberałów, gdy odwrotna sytuacja jest możliwa); drudzy proponują nam hipotetyczne

eksperymenty intelektualne (w tradycji kantowskiego imperatywu kategorycznego), mające prowadzić do uznania modelu liberalnej demokracji za bardziej sprawiedliwy od innych. Za wieloletnią dominacją konsensualnego czy deliberatywnego paradygmatu myślenia o demokracji stoi oczywiście wrażenie braku alternatywy dla porządku zaistniałego po upadku komunizmu na świecie (najlepszym tego wyrazicielem był oczywiście Francis Fukuyama). Praktyka tak uzasadnianej teoretycznie demokracji z grubsza polegała na podzieleniu różnic między ludźmi czy grupami społeczными na te, które mają prawo wyartykułować się w sferze publicznej (dawano im wówczas atrybut „racjonalnych”, „rozumnych”, a najczęściej nie trzeba było dodawać im żadnego przymiotnika, były to bowiem po prostu jedyne różnice, które mogły ujawnić się prawomocnie w sferze publicznej, nie czyniąc zarazem żadnej ze stron „niepoważną”, „fanatyczną” czy „ideologiczną”), oraz na pozostałe, które „dusiły się” w sferze prywatnej, a następnie wybuchwały pod postacią populizmu. *Nota bene* pojęcie populizmu z tego punktu widzenia jest awaryjnym sposobem powtórnego delegitymizowania wydobywających się na powierzchnię antagonizmów.

W takiej sytuacji *status quo* ulega naturalizacji i przekształca się w to, „jak rzeczy się mają naprawdę”. To, komu w danym momencie przysługuje atrybut bycia poważnym aktorem w sferze publicznej, kogo i jakie poglądy oraz jaki język się tak traktuje, faktycznie zależy od aktualnej hegemonii, a zatem nie jest niczym niezmiennym, choć jako takie się przedstawia w świadomości mieszkańców liberalnej demokracji.

Najbardziej oczywistym przykładem procesu scalania sfery publicznej w zamkniętą sferę *consensu* dla wybranych, którzy następnie pod postacią symulowanego *universum* będą „odzwierciedlać” (czyli kreować) „istniejące” (tzn. dopuszczone do prawomocnego wyartykułowania) różnice poglądów, jest oczywiście rezygnacja z podziału na lewicę i prawicę (bardzo popularna wśród dominujących elit Polski lat transformacji i mocno krytykowana przez ludzi, którzy trafili na margines – można tu przywołać choćby losy tych, którzy próbowali budować w latach 1989–1993 niepostkomunistyczną i krytyczną wobec planu Balcerowicza lewicę, takich jak Jan Józef Lipski, Karol Modze-

lewski, Józef Piniór, Zbigniew Bujak i inni) oraz zastąpienie go podziałem na „modernizatorów” i „tradycjonalistów” (por. „ciemnogród”, „jaskiniowi socjaliści”, całkowicie zdyskredytowana „stara lewica” itp.).

Zacieranie się granic między lewicą a prawicą w Polsce i na świecie nie jest żadnym krokiem w stronę demokracji, tylko zagrożeniem dla przyszłości tej ostatniej. Skoro „świat polityki” wszędzie staje się jednowymiarowy, uniemożliwiając przemiany stosunków władzy (nie jako wymiany stanowisk między podobnymi do siebie partiami, ale faktycznej władzy polegającej na decydowaniu...), to do głosu zaczynają dochodzić partie populistyczne, wyrażające frustracje wykluczonych nie tylko ekonomicznie czy kulturowo, ale także symbolicznie ze sfery reprezentacji politycznej. Najważniejszym wyzwaniem dla współczesnej demokracji jest zatem akceptacja rzeczywistego pluralizmu w społeczeństwie. Zamiast eliminować władzę/politykę (czyli pozostawiać ją w ręku tych, którzy nią dziś dysponują i chronią, delegitymizując wszystkich innych pretendentów, unikając tym samym konfrontacji z nimi, na co pozwala „sojusz języka i pieniądza”, czyli kapitału i dyskursu dominującego), należy ustanowić formy władzy zgodne z demokratycznymi wartościami.

Jeżeli moja diagnoza jest słuszna, to podstawowym wyborem, jaki miał Polak przez te ostatnie siedemnaście lat, był – mówiąc symbolicznie – wybór między Bogiem a rynkiem. A to oczywiście nie jest żaden wybór, bo alternatywa zasadza się na dwóch nie przystających do siebie sferach polityki. Jeśli inny rozkład akcentów (a tak widzę różnicę między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską) uznać jednak za wybór, jest to wybór bardzo ograniczony. Wobec tego droga rozładowywania frustracji, nagromadzonych przez niesprawiedliwy model przemian, przy braku socjaldemokratycznej wizji i reprezentacji w sferze publicznej, mogła być tylko jedna: prawicowy populizm.

Populizm nie rozwiąże oczywiście żadnego z poważnych problemów społecznych w Polsce. Może doprowadzić do dalszego wyobcowania sfery publicznej. Wówczas „zerwanie z modelem” może wykroczyć poza rytuały demokracji i dokonać się poprzez wielki protest społeczny.

Postowie

Aleksander Smolar

Radykałowie u władzy. Od transformacji ustrojowej do rewolucji kulturalnej

*Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywczą moc.*

William Butler Yeats *Drugie przyjsście*
w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

Pytania

Prawo i Sprawiedliwość nie musiało zwyciężyć. Nie miałyby zapewne żadnych szans, gdyby Platforma Obywatelska nie przyczyniła się do zbanalizowania radykalizmu PiS-u, ścigając się z nim w potępianiu III RP; gdyby PO nie dawała licznym wyborcom poczucia bezpieczeństwa, zapowiadając wspólne rządy z PiS-em. Prawo i Sprawiedliwość przypuszczalnie nie wygrałoby wyborów, gdyby Włodzimierz Cimoszewicz nie wycofał się z walki o prezydenturę. SLD byłby wtedy w stanie zachować dużą część lewicowego elektoratu, PiS zaś nie mógłby z taką łatwością i po mistrzowsku zredefiniować podstawowego konfliktu dzisiejszej Polski: z anachronicznego przeciwstawienia dziedziców AK dziedzicom komunizmu na konfrontację „Polski solidarnej” z „Polską liberalną”, zawłaszczając język społecznego bólu i socjalnej wrażliwości. Polska rok po wyborach mogłaby być innym krajem, gdyby PiS rządził razem z PO, a nie radykalną, „antysystemową koalicją”. Idę tu śladem Jarostawa Kaczyńskiego, który mówił: „my też byliśmy i nadal jesteśmy partią antysystemową”, uzasadniając pochwałę, jakiej udzielił Samoobronie i LPR-owi¹. Oto więc, zjednoczone, trzy partie antysystemowe! Skądinąd określenie rządzących

¹ Michał Karnowski, Piotr Zaremba, *Przejęcie władzy*, „Newsweek”, 2.04.06.

partii jako „antysystemowe” jest pikantnym paradoksem, lepszym jeszcze od sławnego Wałęsowskiego „być za, a nawet przeciw”. **Taka charakterystyka sił rządzących dziś Polską uzasadnia nazwanie ich „radykałami”.** I zarazem **pozwala na przeciwstawienie ich siłom „umiarkowanym” – ich ideowym i politycznym przeciwnikom, głównym autorom przemian lat 90.** (tymi pojęciami posługiwałem się już, publikując w 1994 roku na łamach „Gazety Wyborczej” artykuł *Polska rewolucja*², gdzie zarysowałem trzy główne postaci polskiego dramatu przemian: umiarkowanego, radykała i staro-nowego, jako odpowiedniki klasycznych postaci rewolucji: żyrondy, jakobina i kontrewolucjonisty).

Choć nie musiało dojść do obecnego zdominowania polskiej polityki przez siły radykalne, trudno uznać ten bieg zdarzeń za przypadkowy. Polska Kaczyńskich ma długą genealogię. Niektórzy pokazują jej związki z sarmatyzmem, inni przywołują tradycję międzywojnia i późną sanację, zapożyczając się coraz bardziej u endeckich nacjonalistów. Widzi się inspiracje w czasach PRL-u, w dekadach Gomułki i Gierka. Sam sugerowałem bliskość idei i retoryki PiS-u oraz treści głoszonych przez Antónia Salazara w Portugalii, generała Franco w Hiszpanii, Engelberta Dollfussa w Austrii i marszałka Pétaina w czasach Państwa Francuskiego. Wskazywanie na te odległe parantele ma zapewne swój walor dla intelektualnego osvajania tego, co się dzieje. Jeżeli chce się jednak zrozumieć obecny stan polityki polskiej, należy przede wszystkim wrócić do okresu po 1989 roku: do ówczesnych konfliktów i debat na temat strategii przemian.

Zacznijmy od pytania, które pozwoli lepiej ukazać sens i wagę zwycięstwa PiS-u w 2005 roku: **dłaczego w latach 90. radykałowie przegrali bój o model polskiej transformacji?** Bo przecież radykałowie doszli do władzy w istocie po zakończeniu tejże transformacji. Mamy od dawna wolność, demokrację, zagwarantowane prawa człowieka, mamy gospodarkę rynkową, pluralizm polityczny i informacyjny... Polska jest solidnie przycumowana do Zachodu i ma w zasadzie dobre stosunki z sąsiadami. Wiele rzeczy można

² Aleksander Smolar, *Polska rewolucja*, „Gazeta Wyborcza”, 5.11.1994.

i należy krytykować, dużo naprawiać, ale jednego faktu nie da się zmienić: fundament pod nową Polskę, i to solidny, został już dawno położony! I dokonali tego polityczni przeciwnicy radykałów.

Radykałowie rządili dotychczas zaledwie przez pół roku, za czasów premierostwa Jana Olszewskiego w 1992 roku. W społecznej pamięci pozostało wspomnienie próby brutalnej lustracji czołówki polskich polityków, prowadzącej do upadku rządu. Radykałowie mieli ograniczone wpływy w chaotycznych czasach rządów Jerzego Buzka, ale naprawdę objęli władzę wraz ze zwycięstwem braci Kaczyńskich. Nasuwa się więc kolejne pytanie: **co się stało, że po serii klęsk obecnie zwyciężyli?** I pytanie ostatnie, na które spróbujemy udzielić odpowiedzi: **jaki projekt ładu politycznego, ekonomicznego, społecznego, jakie miejsce Polski w świecie oni obiecują?**

Radykalna wizja transformacji

Po 1989 roku radykalna prawica chętnie mówiła o rządach Okrągłego Stołu. Jedni widzieli spisek, inni – bliskość i umacniającą się wspólnotę interesów ludzi PZPR-u i liberalnej części „Solidarności”. Odrzucając tę interpretację Okrągłego Stołu, gotów jestem przyznać, że – poza treścią samych umów, które są znane i za którymi nic się nie kryje – ówczesne wzajemne uznanie negocjujących stron miało istotne konsekwencje dla dalszego rozwoju kraju. Przyczyniło się do wielu zasadniczych sukcesów, ale też do pewnych istotnych jego słabości.

We wszystkich przypadkach negocjowanego przejścia od dyktatury do demokracji **umowa jest zawierana przez umiarkowane siły dyktatury i demokracji**. Przez tych, którzy, po obu stronach, odrzucają radykalną strategię konfrontacji, zasadę „im gorzej, tym lepiej”. Elementem umowy jest zawsze gotowość kontrolowania skrajnego skrzydła własnego obozu. Charakterystyczne są słowa zanotowane w protokole rozszerzonego posiedzenia sekretariatu KC PZPR, dzień po przegranych przez PZPR wyborach do Sejmu: „Tow. A. Kwaśniewski podkreślił, że sprawą ogromnie ważną po ogłoszeniu wyników wyborów jest nie dopuścić do spontanicznych demonstracji, nad

którymi nie zdoła zapanować żadna ze stron. Tego obawia się także opozycja. Porozumieć się z 'S', by wystąpienia miały spokojny ton, bez triumfalizmu”³. Trzy lata później, już w innej Polsce, podczas zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego (2–3.03.1992) konferencji *Dekomunizacja i demokracja* Aleksander Kwaśniewski mówił w związku z szeroko dyskutowanym problemem braku wyrazistego zerwania z czasami PRL-u: „dobry moment na cezurę, na erupcję nastrojów niewątpliwie był. W czerwcu 1989 roku, po pierwszej turze wyborów. Ale było ogromne ryzyko, ponieważ ta erupcja mogła spotkać się z nastrojami przeciwnymi, ze strukturami, które realnie istniały. Dlatego sygnatariusze Okrągłego Stołu podjęli wspólny wysiłek nierozwijania tego scenariusza. Obie strony bały się takiego wydarzenia”.

Istotnym aspektem wzajemnego uznania – znów, jak w każdym przypadku negocjowanego przekazania władzy – było **zapewnienie poczucia bezpieczeństwa abdykującym ludziom dyktatury**. Z tego wynikała odmowa wydziedziczenia PZPR-u – choć absurdalnie dyskryminowało to partie demokratyczne – oraz wrogość wobec dekomunizacji i lustracji. Wówczas wielu czołowych polityków uważało, że tych, którzy dobrowolnie władzę oddali, nie można dyskryminować. Tadeusz Mazowiecki podczas wspomnianej konferencji Fundacji Batorego mówił, że „wybór drogi ewolucyjnej był przedłużeniem zasad etycznych, które legły u podstaw fenomenu ‘Solidarności’, niezależnie od tego, czy dzisiaj jest temu w pełni wierna, czy nie”. Przyznawał jednak zarazem, że nastąpiło „pewne naruszenie poczucia sprawiedliwości”, gdy ludzie widzą, że „ci, którzy przez poprzedni system byli uprzywilejowani, i dzisiaj mają lepszy start do nowej struktury gospodarczej, do nowej rzeczywistości. [...] Tylko trzeba też przyjąć do wiadomości, że nie było innego wyjścia, że nie ma wyjścia. Są sytuacje, w których takie sprzeczności muszą występować, i że trzeba decydować”. Na dokonany wybór wpłynęły względy polityczne, moralne, ale również przyjęta hierarchia ważności polskich spraw. Umiarkowani byli zwróceniu ku przyszłości, skupieni na reformach, problemach zarządzania państwem, na walce o miejsce Polski w Europie i świecie, zapewnieniu jej bezpieczeństwa, a nie na rozwiązywaniu proble-

³ Andrzej Paczkowski, *Pierwsze reakcje po klęsce*, „Kultura” (Paryż) 1993, nr 6, s. 40.

mów przeszłości. Ciężar spraw odziedziczonych po PRL-u – zdawali się sądzić – sam spadnie ze społecznych ramion w wyniku radykalnej transformacji ustrojowej w gospodarce, polityce, administracji, w życiu społecznym (piszę „oni” ze względów stylistycznych, ale przecież sam należałem do „umiarkowanych” i w pełni się z nimi identyfikowałem).

Najważniejszą wówczas konsekwencję porozumienia można nazwać: **umową o ustrojowej transformacji**. Lewica, która powstała na gruzach PZPR-u, pozwalała sobie często na brutalną, destrukcyjną krytykę rządów swoich przeciwników, ale nigdy nie kwestionowała zasadniczych cech przyjętego modelu przemian. Z drugiej strony, umiarkowani nie kwestionowali równych praw dla ludzi *ancien régime*'u w polityce, gospodarce, w życiu społecznym. Często oznaczało to, niewątpliwie, ich faktyczne uprzywilejowanie. Zwłaszcza gdy chodzi o gospodarkę. Mieli przewagę nie ze względu na spiski, mafie czy „czworokąty”; byli lepiej wyposażeni od swoich przeciwników w wyścigu po sukces biograficznie, środowiskowo, ze względu na posiadane kwalifikacje i zajmowaną pozycję społeczną. Oczywiście, znajomości, więzi z przeszłości ułatwiały awans bądź utrzymanie pozycji uprzywilejowanych.

Radykałowie mieli od początku inne priorytety niż umiarkowani, inaczej też postrzegali konieczne dla powodzenia polskiej rewolucji zmiany. Warunkiem powstania prawdziwie demokratycznego państwa, gospodarki rynkowej i połączenia się z Zachodem było dla nich usunięcie śladów komunistycznej dominacji, rozliczenie się z przeszłością. Jedni (Jan Olszewski, Antoni Macierewicz) potępiali Okrągły Stół, inni (Jarosław i Lech Kaczyńscy) doceniali szanse, które stwarzał, ale uważali, że należało zerwać umowę w momencie, w którym walił się świat sowieckiej dominacji, umów bowiem zawartych przez nierówne strony nie musi się, nie powinno się respektować. Odsunięcie od władzy przedstawicieli *ancien régime*'u oraz osób skalanych kolaboracją z „komuną” miało być warunkiem radykalnej przebudowy kraju.

Jarosław Kaczyński tak opisywał po paru latach to, co trzeba było zrobić jesienią 1989 roku: „należało zaatakować i dobić komunizm w Polsce. Stąd powstała koncepcja przyspieszenia, definitywnego zerwania umów Okrągłego Stołu. Należało przystąpić do zdecydowanych działań, zdelegalizować PZPR

i opanować aparat przymusu, aresztować szefów bezpieki i partii, oplombować archiwa Komitetu Centralnego, MSW i MON. Natychmiast trzeba było zatrzymać proces uwłaszczania nomenklatury i przystąpić do systematycznej rewindykacji zagrabionego majątku”⁴.

Radykałowie zdecydowanie atakują koncepcję państwa prawa w warunkach społeczeństwa postkomunistycznego. Występując o pełne respektowanie istniejącego prawa, broni się – twierdzili – prawa zdeprawowanego, odziedziczonego po starym ustroju. „Mazowiecki i jego obóz – mówił Jarosław Kaczyński – wciąż bajdurzyli o państwie prawa, chociaż prawo to służyło bezprawiu”⁵. Argumenty niewiele zmieniły się po piętnastu latach. Radykałowie gotowi byli stosować nadzwyczajne środki prawne. Jan Olszewski podawał za wzór komunistów, którzy po wojnie uznali pewne przepisy prawa, choć formalnie obowiązujące, za pozbawione mocy prawnej ze względu na ich sprzeczność z zasadami nowego ustroju⁶.

Przypominam stanowisko w przeszłości nie tylko braci Kaczyńskich, ale i Jana Olszewskiego, mimo że ten ostatni od dawna nie odgrywa w polityce znaczącej roli, ze względu na miejsce szczególne, jakie zajął jego rząd w PiS-owskim panteonie – rząd-legenda, nieskorumpowany, niezależny od „układów”. Prezydent Kaczyński uczynił byłego premiera swoim doradcą, co jest gestem o silnej wadze symbolicznej. Jedną z pierwszych decyzji premiera Kaczyńskiego było mianowanie Antoniego Macierewicza na stanowisko wiceministra obrony, likwidatora WSI i organizatora nowego kontrwywiadu wojskowego. Mimo skrajnych poglądów nominata, którym daje wyraz w redagowanym przez siebie piśmie „Głos”, m.in. w sprawach europejskich i we wszystkim, co dotyczy Żydów; mimo że nominalny szef Macierewicza, minister Radosław Sikorski, nie krył niepokoju i sceptycyzmu, gdy mówił: „powinniśmy zaczekać i zobaczyć, czy pan Antoni Macierewicz jest gotów, wbrew nieżycz-

⁴ *Czas na zmiany, Z Jarosławem Kaczyńskim rozmawiają Michał Bichniewicz i Piotr M. Rudnicki*, Warszawa [1993], s. 26.

⁵ *Nowa Polska czy jeszcze stara* [rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim], w: Teresa Torkańska, *My*, Warszawa 1994, s. 116.

⁶ *Państwo prawa od dziś? Rozmowa Tadeusza Kucharskiego z Janem Olszewskim, wiceprzewodniczącym Krajowego Komitetu Obywatelskiego*, „Nowy Tydzień Wokanda”, 27.10–3.11. 1991.

liwym stereotypom, do lojalności, do pracy zespołowej i do rozwagi”⁷. Fakty te świadczą o świadomej, ideowej i politycznej identyfikacji obecnych władz z krótkim epizodem z 1992 roku i z jego bohaterami.

Dla radykałów pozostałości komunizmu były źródłem zagrożeń nie tylko wewnętrznych, ale i zewnętrznych. Mimo rozpadu Związku Radzieckiego tworzone przez dziesięciolecia powiązania nie zostały zerwane. Przybrały one – w opisie radykałów – ukryte, często mafijne formy, stanowiąc potencjalne zagrożenie dla przemian demokratycznych i niepodległości państwa. Radykałowie wcześniej niż umiarkowani mówili o konieczności przystąpienia do NATO, widząc w nim zabezpieczenie przed Wschodem. Były to aspiracje, którym skądinąd Waszyngton przyglądał się wówczas niechętnie; na przykład dawał temu otwarcie wyraz ówczesny ambasador USA w Warszawie Thomas Simons.

Po umowie Okrągłego Stołu powstała sytuacja, w wyniku której – mówił Jan Olszewski w czasie obrad Krajowego Komitetu Obywatelskiego – „może się okazać, że przeżywamy nie ostateczną klęskę, lecz tylko kryzys komunizmu” i że „znajdziemy się w nowej jego fazie jak w 1956 roku”⁸. W państwie powstałym w 1989 roku widział on jedynie „PRL bis”, a nie kraj niepodległy, demokratyczny, zorientowany na przemiany rynkowe. W swoim *exposé*, jako premier Rzeczypospolitej, Jan Olszewski wygłosił pamiętne słowa: „Dzisiaj naród oczekuje od nas odpowiedzi, ostatecznej odpowiedzi, na pytanie: kiedy skończy się w Polsce komunizm? Chciałbym, aby powołanie przez Wysoki Sejm proponowanego przeze mnie rządu oznaczało początek końca komunizmu w naszej ojczyźnie”⁹. Działo się to dwa i pół roku po zwycięskich wyborach 4 czerwca 1989 roku, uformowaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, prawdziwej rewolucji ekonomicznej Leszka Balcerowicza, po wyborze na prezydenta Lecha Wałęsy, po kolejnym, „solidarnościowym”, gabinecie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Nie mówiąc o takich drobiazgach, jak

⁷ Grzegorz Praczyk, *Generał odejście, a w armii będzie po staremu*, „Rzeczpospolita”, 25.07.2006.

⁸ (Syg. ŁAW) *Zwalczać aż do zwalczania całkowitego* [Obrady KKO], „Gazeta Wyborcza”, 8.04.1991.

⁹ *Exposé premiera Jana Olszewskiego*, „Rzeczpospolita”, 23.12.1991.

upadek muru berlińskiego, rozpad Związku Radzieckiego i całej konstrukcji świata „zimnej wojny”!

Do dziś nie zmieniła się surowa ocena radykałów dotycząca polityki prowadzonej po 1989 roku. Jarosław Kaczyński mówił w czerwcu 2006 roku na kongresie PiS-u: „zbudowano w Polsce państwo postkomunistyczne, w najklasycyjszym wydaniu, można powiedzieć zbudowano postkomunistyczne monstrum. Monstrum ze społeczną przewagą nomenklatury, która bardzo szybko przekształciła się także w przewagę polityczną, w odzyskanie władzy, z ogromną pulą patologii, przekazaną jeszcze z poprzedniego systemu, znakomicie w tym nowym systemie się rozwijającą, tworzącą wręcz alternatywny wobec oficjalnego porządku system sterowania różnego rodzaju instytucjami, w szczególności tymi, które mają związek z dystrybucją dóbr, bo właśnie o dystrybucję dóbr tu w szczególności chodziło”¹⁰.

Rozprawienie się z przeszłością miało zapobiec patologicznej symbiozie komunizmu i kapitalizmu, demokracji i postkomunistycznych mafii. W ostatnich latach doszedł język „układów”, trójkątów, czworokątów, karcianych stolików do grania Polską. Z lekka ewoluujący sposób opisu rzeczywistości zawsze zawierał demoniczną wizję spisków, mafii, groźnego teatru, gdzie zwyczajni obywatele, bez wykwalifikowanych przewodników-demonologów, dostrzec mogą ledwie cienie spektaklu, w którym biorą udział komunistyczni aparatczycy, tajne służby, zwykli gangsterzy, skorumpowana ekonomicznie część „solidarnościowej” elity albo ta wywodząca się – to ostatnie odkrycie Jarosława Kaczyńskiego – z Komunistycznej Partii Polski oraz „kilkuset” reprezentantów tżę-elit intelektualnych i artystycznych na żołdzie wrogich interesów. Obecnie w języku radykałów coraz mniej miejsca zajmuje dziedzictwo czasów PRL-u, a coraz więcej – odpowiedzialność tych, którzy kierowali Polską po 1989 roku. Ujawnieniu prawdy na temat ubiegłych szesnastu lat służyć mają różne sejmowe nadzwyczajne komisje i policje.

Względy moralne i potrzeba sprawiedliwości były dla radykałów drugim ważnym argumentem na rzecz zdecydowanej dekomunizacji i lustracji. Aby

¹⁰ Jarosław Kaczyński, *Musimy przyspieszyć w Polsce*, „Gazeta Wyborcza”, 5.06.2006.

zamknąć rozdział przeszłości, należało przywrócić światu ład moralny, oddzielić prawdę od kłamstwa, nazwać dobro i zło. W dramatycznym przemówieniu telewizyjnym, przed uchwaleniem przez Sejm wotum nieufności dla jego rządu, Jan Olszewski bronił swych racji: „Nie da się stworzyć nowej Polski bez odtworzenia jej moralnych fundamentów [...]. Wolnym narodem, niepodległym państwem, nie mogą rządzić ludzie zniewoleni własną przeszłością”.

Konieczność moralnego i prawnego rozliczenia z przeszłością miała dla radykałów również istotny wymiar polityczny. I ten argument jest dla naszego wyводу najważniejszy. Radykałowie uważali, że dokonujące się przemiany, ze względu na ich wysokie koszty – bezrobocie, wzrost biedy i nierówności, ogólne poczucie niepewności oraz zagubienie w świecie nowych reguł i instytucji – zdobędą prawomocność w oczach społeczeństwa tylko wtedy, gdy zakorzenione będą w jego poczuciu sprawiedliwości. O dramatyzmie widzenia ówczesnej sytuacji przez radykałów informował Jerzy Eysymontt, minister w rządzie Jana Olszewskiego. Według niego w otoczeniu premiera przeważał pogląd, iż polskie problemy gospodarcze są nierozwiązywalne i dlatego nie warto poświęcać im uwagi¹¹.

Czyż można zdobyć ludzkie serca, skłonić ludzi do wyrzeczeń, powtarzając hasła o rynku, demokracji, pluralizmie, drodze do Europy? Czy nie okaże się, że bez poparcia społecznego jedynym sposobem kontynuowania reform będzie wprowadzenie jakiejś formy autorytarnej dyktatury? W ten sposób radykałowie odwracali przeciwko umiarkowanym zarzut sprzyjania tendencjom autorytarnym, często im samym stawiany. Całkiem niedawno Jarosław Kaczyński przypomniał, że w środowisku liberałów początku lat 90. istniała pokusa stosowania twardych metod do przeprowadzenia ekonomicznej modernizacji. Tak było rzeczywiście. Sławne były słowa kultowej postaci polskiego liberalizmu, Stefana Kisielewskiego, który nie wierzył w demokratyczną drogę do kapitalizmu; był przekonany, że nie obejdzie się bez wojskowej dyktatury, która weźmie lud za mordę i zaciągnie do ka-

¹¹ *Albo z rządem, albo z Olszewskim* [z Andrzejem Urbańskim rozmawiał Wojciech Zatuska], „Gazeta Wyborcza”, 8.09.1992.

pitalizmu¹². Podobne sądy, bardziej dyplomatycznie sformułowane, można było znaleźć w licznych wypowiedziach liberałów lat 80. i początku ubiegłej dekady.

Jarosław Kaczyński mówił o przejściu przez trudny okres reform, „w którym się będzie waliło, paliło, wystąpi bezrobocie, obniżenie stopy życiowej etc.”. I dodawał: „My, tworząc Porozumienie Centrum, wyszliśmy z następującej diagnozy społecznej: społeczeństwa nie należy wyciszać, bo prowadzi to do apatii, ale społeczeństwu trzeba coś dać, bo ma poczucie ogromnego dyskomfortu ekonomicznego i moralnego. Z jednej więc strony [...] stworzyć należy duży ruch proreformatorski wokół prywatyzacji [...] A z drugiej strony, w ramach działań bieżących, trzeba temu społeczeństwu jak najszybciej i jak najwięcej dać w sferze moralnej, co jest możliwe, ponieważ istnieje szereg pozaekonomicznych przyczyn społecznej frustracji”¹³. W krytycznym momencie przemian trudno było zapewnić społeczeństwu istotną poprawę warunków bytu. Radykałowie w poszukiwaniu odpowiedzi na problemy chwili zwracali się ku historii, moralności, sprawiedliwości i przede wszystkim polityce. Zdzisław Najder, polityk zapomniany, kiedyś jeden z czołowych radykałów, tak przekładał na Zjeździe Krajowego Komitetu Obywatelskiego owo „dać w sferze moralnej” na język polityki: „To prawda, że przeciętny obywatel bardziej przejmuje się sprawami bezrobocia i rosnących cen, ale rozrachunek z komunistami to bardziej owocne pole dla inicjatywy Komitetu niż gospodarka”.

Klęska radykałów

Radykałowie przegrali bój o model polskiej transformacji. Zostali zmarginalizowani na kilkanaście lat. Porozumienie Centrum – poprzednia partia braci Kaczyńskich – praktycznie przestało istnieć. Lech Kaczyński wycofał się z polityki. Myślał też o tym jego brat. Zniknęli ze sceny inni rzecznicy radykalizmu z początków lat 90.

¹² *Potrzeba antysocjalistycznego dyktatora* [ze Stefanem Kisielewskim rozmawia Wojciech Załuska], „Gazeta Wyborcza”, 12.10.1989.

¹³ *Nowa Polska czy jeszcze stara...*, s. 110.

Dlaczego pozostali tak długo zmarginalizowani? Jest to pytanie kluczowe. Od odpowiedzi na nie zależy przynajmniej częściowe zrozumienie mechanizmu powrotu na wielką scenę partii braci Kaczyńskich. Oczywiście, „czerwoni” ich nie lubili, „umiarkowani” też za nimi nie przepadali, widząc w nich „oszołomów”, warchotów, szkodników. Ale nie to przecież było przyczyną ich upadku w świecie, w którym ludzie znacznie mniejszego formatu odgrywali istotną rolę. **Przyczyną marginalizacji była przede wszystkim nieadekwatność ich myśli i strategii, nawet języka, do ówczesnych odczuć społecznych.** Jarosław Kaczyński wspominał ostatnio: „w roku 1993 przeprowadziliśmy socjologiczne badania odbioru naszego programu. Zbiór tych, którzy opowiadali się za naszymi rzeczywistymi poglądami, okazał się niestety prawie pusty”¹⁴. Radykałowie rozumieli coraz lepiej, że w polityce polskiej nie było dla nich miejsca. Nie z powodu prześladowań, pułkownika Lesiaka, marginalizowania, niedopuszczania do mediów. Podstawową przyczyną był brak poparcia społecznego. Chciało ono spokoju, miało naturalny odruch konserwatywny, bało się konfliktów, rozliczeń, wojenek. Miało wystarczająco dużo problemów z dniem codziennym. Nie miał co do tego złudzeń Ludwik Dorn w czasie jednej z debat końca lat 90.: „Od 1989 trwa bezintencjonalna, niemrawa, apatyczna rewolucja. Co jest dziś ‘sensem zbiorowym’ polskiej społeczności? – dorobkiewiczostwo. [...] Powstało społeczeństwo funkcjonujące na zasadzie kontraktów *quasi*-korporacyjnych. Następuje utrata autonomii państwa wobec społeczeństwa obywatelskiego. O ile celem dysydentów była odbudowa społeczeństwa obywatelskiego, to dziś podstawowym problemem staje się utrata autonomii państwa na rzecz społeczeństwa zorganizowanego na zasadzie ‘bękarciego korporacjonizmu’”¹⁵.

W 1996 roku Jarosław Kaczyński przeprowadził publiczny „rachunek sumienia”. Przyznał, że jego formacja popełniła kilka ważnych błędów,

¹⁴ *O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich* [rozmawiali Michał Karnowski i Piotr Zaremba], Kraków 2006, s. 219.

¹⁵ *Apatyczna rewolucja. O stanie państwa i potrzebie reform rozmawiają Irena Lipowicz (UW), Ludwik Dorn (AWS-PC), Bronisław Komorowski (AWS-SKL) i Rafał Matyja oraz Agnieszka Magdziak-Miszewska i Tomasz Wiścicki*, „Więź” 1997, nr 11, s. 12–13.

a ruch, który współtworzył, wymknął się spod kontroli swoich przywódców: „Antywarszawskość przerodziła się w prowincjonalizm, antyelitaryzm w antyinteligencność”¹⁶. Kaczyński wyrażał żal, że dynamika zdarzeń pchała ich ku ideom antyeuropejskim oraz przeciwko reformom Balcerowicza. Ówczesna samokrytyka skłania do zadumy nad dzisiejszą retoryką, obecnymi metodami walki PiS-u z ludźmi, grupami społecznymi, które uważa za wrogie sobie. Kaczyński przyznawał, że „przyspieszenie przegrało”, ale „przegrał też projekt polityczny jego przeciwników”. Rzeczywiście, wspólnym wysiłkiem byłej opozycji władzę przejęły SLD i PSL, dwie partie wywodzące się z Polski Ludowej. Jeżeli weźmie się jednak pod uwagę model i charakter zmian, to polityka pierwszych rządów solidarnościowych nie została zakwestionowana; kontynuowano ją, nawet jeżeli czyniono mało, aby dalsze konieczne reformy wprowadzać.

Mimo rozumienia dramatu większości społeczeństwa w czasie głębokich przemian, radykałowie przegrali! Po pierwsze – ich strategia prowadziła nieuchronnie ku przeszłości, ku konfliktom, ku podważeniu transformacji lub co najmniej jej opóźnieniu. Po drugie – nie mieli alternatywnej propozycji rozwiązania problemów gospodarczych kraju i obywateli, szukali więc środków zastępczych w sferze polityki. Przede wszystkim jednak okazało się, że to, co politykom radykalnej prawicy zdawało się niemożliwe bez rewolucyjnych przemian politycznych, umiarkowani potrafili przeprowadzić.

Polska mogła umocnić swoje zewnętrzne bezpieczeństwo, zasadniczo zmienić położenie geopolityczne – związać się z NATO, Ameryką, Unią Europejską – idąc drogą przemian pokojowych, budując jak najszerszy *consensus* wewnętrzny. Można dzisiaj mówić bez końca o zagrożeniu dla bezpieczeństwa narodowego ze względu na cechy konstytutywne III RP, ale kto w to uwierzy? Jeżeli by oceniać położenie międzynarodowe Polski, jej autorytet i wpływy, to osiągnęła ona, jak dotychczas, szczyt możliwości i znaczenia w okresie lat 2003–2005. Wojna w Iraku, której byłem i pozostaję przeciwnikiem, oznaczała jednak korzystne dla Polski zacieśnienie więzi ze Stanami Zjednoczonymi; przystąpienie do Unii Europejskiej było

¹⁶ M. D. Z. [Marcin Dominik Zdort], *Rachunek sumienia Kaczyńskiego*, „Rzeczpospolita”, 26.02.1996.

zwieńczeniem długiego procesu negocjacji i przede wszystkim spełnieniem wieloletnich tęsknot o przyłączeniu Polski do europejskiego centrum cywilizacyjnego; rola Polski w ukraińskiej pomarańczowej rewolucji potwierdziła rozumność polityki prowadzonej od 1989 roku, dyplomatyczną elastyczność oraz zdolność wpłynięcia na politykę podstawowych ośrodków politycznych Europy. Słowa Jarosława Kaczyńskiego, skierowane do czołówki jego partii: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało odzyskane” mogą budzić tylko ironiczną i melancholijną refleksję. No dobrze, macie budynek, macie posesy, możecie mówić, co chcecie, w imieniu Rzeczypospolitej, ale gdzie jest polityka? Jak zabezpieczacie interesy państwa w narastającej atmosferze samoizolacji i niechęci wśród naszych głównych partnerów? Dawanie zaś wyrazu przekonaniu, że zła atmosfera wokół Polski ma źródło w działaniach wewnętrznych przeciwników – co uczynił po raz kolejny Jarosław Kaczyński w swoim *exposé* – niepokoi i rozbraja swoją bezradnością wobec złożonych mechanizmów współczesnego świata.

Fałszywe było również przekonanie, że nie uda się przeprowadzić Polski przez – słowami Ralfa Dahrendorfa – „dolinę łez” transformacji bez politycznej radykalizacji procesu przemian. To prawda, cena okazała się wysoka. Składają się na nią między innymi spadek zaufania do demokracji, nieufność wobec państwa i wzrost siły partii radykalnych. Czy można jednak, nawet z dzisiejszej perspektywy, uznać tę cenę za wygórowaną? Myślę, że i dziś niewielu zgodzi się z taką sugestią.

Dylematy transformacji i źródła sukcesów

Dlaczego się udało? Pytanie w żadnym razie nie jest trywialne. W krajach postkomunistycznych, ale i na Zachodzie, wielu obserwatorów uważało wówczas, że nie da się równocześnie przeprowadzić rynkowej transformacji w gospodarce i demokratyzacji politycznej. Rozumowanie sceptyków było proste: przemiany gospodarcze pociągają za sobą wysokie koszty społeczne w postaci bezrobocia, biedy, strachu przed jutrem, społecznej destabilizacji. Odczuwalna społecznie poprawa sytuacji nastąpi dopiero po latach. Demo-

kracja stwarza natomiast już teraz możliwości organizowania się grupom społecznym zagrożonym ekonomiczną i społeczną degradacją. Mogą więc one blokować zmiany przy pomocy środków politycznych, nie mówiąc już o groźbie spontanicznego, społecznego oporu. W tej sytuacji, wydawało się, musiało nastąpić zderzenie demokratycznej zasady równych praw obywatelskich z różnicującymi siłami rynku, pogłębiającymi nierówności i subiektywne uczucie krzywdy. Materiał wybuchowy widziano szczególnie w Polsce, gdzie ludzie, którzy płacili najwyższą cenę modernizacji, byli zarazem tymi, którzy, wraz z „Solidarnością”, w sposób zasadniczy przyczynili się do upadku starego ustroju. Przytoczmy spośród wielu zachodnich pesymistycznych przepowiedni jedną z lewa, drugą z prawa. Znany socjolog polsko-amerykański Adam Przeworski pisał w 1992 roku: „prawdopodobne jest powtarzanie się cyklicznych procesów, w których rządy autorytarne będą następować po epizodach ludowej kontroli; ich nieefektywność gospodarcza będzie bowiem prowadziła do załamania się rządów demokratycznych”¹⁷. Przepowiadał też, i nie był w tym osamotniony, że Polska oraz inne kraje regionu przyłączą się do trzeciego, zacofanego gospodarczo świata, a nie do krajów demokratycznych, stabilnych, gospodarczo rozwiniętych.

John Gray, brytyjski filozof (dziś już daleki od admiracji dla Margaret Thatcher), pisał: „ludzkie i społeczne koszty przejścia do gospodarki rynkowej są dla większości krajów postkomunistycznych tak duże, że szaleństwem jest sądzić, iż może się ono dokonać w ramach instytucji liberalno-demokratycznych”¹⁸. Widział konieczność przyznania bezwzględnego priorytetu rekonstrukcji państwa, ustanowieniu porządku, narzuceniu szacunku dla prawa i kontraktów. Nie różnił się w tych poglądach od ówczesnych naszych liberałów, poczynając od cytowanego Kisielea. Z mniejszą czy większą otwartością wyrażali oni brak wiary w możliwość przeprowadzania zasadniczych zmian ustrojowych w ramach demokracji.

¹⁷ Adam Przeworski, *Democracy and the Market*, New York 1992.

¹⁸ John Gray, *From Post-Communism to Civil Society: The Reemergence of History and the Decline of the Western Model*, „Social Philosophy and Policy”, vol. 10, n°2, summer 1993.

Podobną diagnozę zagrożeń stawiali radykałowie. Widzieliśmy to choćby w cytowanych słowach Jarosława Kaczyńskiego. Ostatnio, w *Alfabcie braci Kaczyńskich*, przyznawał on, że przekonanie o nadchodzącym strajku generalnym było jednym z „uzasadnień prowadzonej przez nas polityki”¹⁹. Tyle że odpowiedź radykałów na dramatycznie opisywaną sytuację była krańcowo inna niż odpowiedź liberałów. Możliwość przewyżczenia antynomii między transformacją rynkową i polityczną widzieli nie w zawieszeniu czy choćby ograniczeniu demokracji, lecz przeciwnie, w mobilizacji społeczeństwa na rzecz radykalizacji zmian politycznych, aby dla resztki po PRL-u, dla dziedziców komunizmu był to bój ostatni. Jedni widzieli rozwiązanie w technokratycznym eliminowaniu polityki, inni w demokratycznej i zarazem populistycznej mobilizacji.

Dlaczego więc, wbrew radykałom, ekonomicznym liberałom, wbrew wielu ludziom lewicy czy licznym zachodnim specjalistom, umiarkowani odnieśli niewątpliwie historyczny sukces? Ich strategia nigdy nie została porządnie sformułowana. Dominowały język pragmatyzmu, pozbawiony wahań ekonomizm czy dydaktyczny moralizm. Brak było politycznej interpretacji dylematów czasów przejściowych, klarownej prezentacji wybranej strategii konstruowania nowej Polski. Spróbujmy tu odpowiedzieć na pytanie: dlaczego nie doszło do fatalnego zderzenia logiki przemian rynkowych z logiką demokracji?

Istotnym kapitałem wyjściowym reformatorów był upadek *ancien régime*'u. **Odzyskanie pełnej suwerenności, rozległe obszary wolności, błyskawiczne powstawanie instytucji demokratycznych** – wszystko to dawało silne poczucie sukcesu zbiorowego dużej części Polaków, którzy gotowi byli ponosić wysokie koszty zmian.

Upadek wiary w socjalizm PRL-u, dość silnej jeszcze – jak pokazywały badania – w połowie lat 80., mimo doświadczeń stanu wojennego, przyczynił się również do powodzenia radykalnych przemian. Kompromitacja „socjalizmu realnego” z jego bagażem przemocy, mizერი, pustych pótek i hiperinflacji początkowo dawała wielką szansę zmianom. Liberalizm był w istocie przez

¹⁹ *O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich...*, s. 170.

całe dziesięciolecie niepodzielnym monopolistą na rynku idei. Poza elitami nie mógł wzbudzać entuzjazmu, lecz siły przeciwne nie miały wiarygodnego alternatywnego programu. Stan Tymiński był organizatorem zbiorowej ucieczki części społeczeństwa od rzeczywistości, która sprawiała ból, a nie przykładem wiary w inną drogę.

Bardzo ważnym początkowym kapitałem, szybko jednak zużywającym się w wyniku wysokich kosztów transformacji i „wojny na górze”, był **autorytet obozu „Solidarności” i jej czołowych wówczas postaci: Lecha Wałęsy, Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia, Bronisława Geremka, Adama Michnika**. Karol Modzelewski, jeden z najbardziej zasłużonych ludzi opozycji sprzed 1989 roku, później zdecydowany lewicowy krytyk prowadzonej polityki, pisał bez złudzeń: „Kadrowa ‘Solidarność’ z 1989 r., nie skrępowana już aktywnością, presją, kontrolą i interesami swojej bazy społecznej, jednocześnie zaś dysponująca jeszcze ogromnym autorytetem, mogła decydować się na plan Balcerowicza i wprowadzić go w życie”²⁰.

Siły postkomunistyczne, porzucając własną ideologię i akceptując już u początków politykę głębokich reform (zapoczątkowaną, jeżeli chodzi o gospodarkę, za rządów Mieczysława F. Rakowskiego), odegrały również ważną funkcję stabilizującą. **Wybierając demokrację i wolny rynek, SLD ograniczał zdolności mobilizacyjne sił wrogich reformom**, neutralizował alienację grup tęskniących za PRL-em. Pociągało to za sobą wysoką cenę, ważną bowiem rolę w opowiedzeniu się na rzecz reform odgrywały tu interesy środowisk, które potrafiły przenieść się z PRL-u do III RP, nie tracąc statusu i zyskując majątek osobisty.

Znaczącą rolę w amortyzowaniu oporu i niezadowolenia odegrał stosunkowo **niski poziom oczekiwań społecznych**. Po komunizmie utopijne tęsknoty były pozbawione wszelkich szans. Ludzie akceptowali zmiany z rezygnacją, wściekłością bądź nadzieją, ale nie oczekiwali od rządzących cudów. Niski poziom oczekiwań i postawa rezygnacji ostabiły frustrację i agresję, które mogły podważać proces zmian.

²⁰ Karol Modzelewski, *Dokąd od komunizmu?*, Warszawa 1993, s. 27.

Strach przed przemocą odgrywał również ważną rolę w utrzymaniu społecznej i politycznej stabilności. We wszystkich krajach postkomunistycznych, nawet tam, gdzie cena płacona przez społeczeństwa za dokonujące się przemiany czy za chaos była nieporównanie wyższa niż w Polsce, jedyne poważne przypadki buntów, rozruchów lub wojen domowych wiązały się z konfliktami narodowymi, etnicznymi, religijnymi, ale nie ze społecznymi czy politycznymi.

Istotnym czynnikiem stabilizującym przemiany w Polsce było **zakotwiczenie społecznych nadziei, a później coraz głębsze instytucjonalne wrastanie Polski w świat euroatlantycki**. Nadzieja na „powrót do Europy” stanowiła ważny czynnik stabilizacji społecznej i kontroli nawet radykalnych elit. Polscy politycy zdawali sobie sprawę, że poza własnym społeczeństwem mają zagranicznych egzaminatorów: rządy Stanów Zjednoczonych i państw Unii Europejskiej, Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Monetarny, Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju oraz Radę Europy. Trzeba było spełniać warunki stawiane przez tych aktorów międzynarodowych. Dopiero po wejściu do Unii nasze prawicowe elity poczuły się na tyle pewne siebie i uwolnione od zewnętrznej kurateli, że mogą manifestować opozycję, graniczącą czasami z wrogością wobec Unii, nie bardzo zważając na nastroje społeczne. Mogą też dziś grać z ideą powrotu kary śmierci, mimo stanowiska całej Unii.

Prawicowi intelektualiści po fakcie formułują akt oskarżenia pod adresem przyjętego „imitacyjnego” modelu rozwoju Polski. Dywagują na temat polskich tradycji republikańskich, szukając wzorów w kolektywistycznej demokracji szlacheckiej i w przygodzie „Solidarności” lat 1980–1981. Również Jarosław Kaczyński zaczął odwoływać się do idei republikańskich przeciwko zasadom liberalnej demokracji. Myślę, że w 1989 roku większość Polaków zgadzała się z Tadeuszem Mazowieckim, gdy w swoim *exposé* sejmowym odrzucał wszelkie „eksperymenty” na rzecz „wypróbowanych na Zachodzie instytucji rynkowych”. **Naśladowanie Zachodu dawało poczucie bezpieczeństwa i wzmacniało akceptację przyjmowanych rozwiązań**. Próba realizacji utopii, choćby i odwołującej się do zmitologizowanych polskich tradycji, nie miała szans powodzenia. Polacy chcieli przenieść Polskę ze Wschodu na Za-

chód, chcieli, aby jak najszybciej stała się ona Zachodem. Było to silne źródło legitymizacji i stabilizacji przemian. Skądinąd to interesujące, że myślenie utopijne, tęsknota za własnymi, innymi niż na Zachodzie, instytucjami i rozwiązaniami, przychodzi tym razem nie z lewej, lecz z prawej strony ideowego i politycznego spektrum.

Dochodzimy do najbardziej dwuznacznych czynników stabilizacji naszych przemian. Paradoksalnie, przyczyniła się do niej **atomizacja społeczeństwa, poczucie wyobcowania w stosunku do państwa i – szerzej – sfery publicznej**. Było to dziedzictwo PRL-u, ale też i bardziej odległych czasów rozbiorów i wojen. Niskie wzajemne zaufanie Polaków, a także niski stopień ich zorganizowania na tle innych państw Europy (dowodzą tego porównawcze badania europejskie z 2002 roku) odegrały na pewno istotną rolę w niezdolności do podejmowania działań zbiorowych przeciwko zmianom. Wszystko to – nakładając się na lęk ludzi poszukujących chleba i pracy oraz poczucie ustrojowej bezalternatywności – prowadziło do dyfuzji konfliktów i ich częściowej neutralizacji. Paradoksalnie, instytucje demokratyczne przetrwały dlatego, że w swej funkcji artykułowania społecznych interesów nasza demokracja nie spełniała podstawowej ustrojowej funkcji.

Kolejnym elementem ochraniającym proces głębokich zmian była **depolityzacja procesu decyzyjnego, niedorozwój domeny polityki**. Projekt reform nie był wynikiem szerokiego dialogu społecznego, uzgadniania interesów różnych grup społecznych, konfrontacji sił politycznych. Był on skutkiem woluntarystycznej polityki wąskich modernistycznych elit, którym doradzali zachodni specjaliści. Mimo formalnego charakteru instytucji demokratycznych, rządy mogły w istocie podejmować decyzje poza kontrolą opinii publicznej i sił politycznych. Depolityzacja decyzji fundamentalnie politycznych wyrażała się również w systematycznym przedstawianiu dokonywanych wyborów jako konieczności technicznych, nieuchronnego wyniku praw ekonomii, jako wyrazu żelaznej „logiki rozwoju” czy warunków stawianych przez naszych zachodnich partnerów. Słabość partii i instytucji reprezentacyjnych stwarzała władzom niezwykle pole wolności. Leszek Balcerowicz pisał o „polityce nadzwyczajnej” owego czasu. W istocie „nadzwyczajność” polegała na tym właśnie, że nie było

żadnej polityki, czyli poszukiwania kompromisów, porozumienia, rozładowywania konfliktów. Istniało w elitach niezwykle poczucie wolności, wynikające z ówczesnej próżni politycznej.

Te wszystkie argumenty tłumaczą, dlaczego nie zostało uruchomione błędne koło autodestrukcji w następstwie równoczesnej demokratyzacji i ekonomicznej liberalizacji. Pozwoliło to na przeprowadzenie prawdziwej rewolucji ekonomicznej i społecznej przy równoczesnym zachowaniu demokratycznych instytucji, które z czasem wypełniały się bardziej demokratyczną treścią.

Można więc powiedzieć, podsumowując, że **powodzenie naszej transformacji opierało się na radości z odzyskania pełni praw indywidualnych i zbiorowych jako narodu oraz z kompromitacji komunizmu, bazowało na autorytecie nowych elit, wynikało z fascynacji Zachodem i zależności od niego, z neutralizacji sfery polityki, wreszcie było wynikiem atomizacji, demobilizacji i wyobcowania społeczeństwa.** To niezbyt wesoła konstatacja, ale polityka nie jest domeną realizowania dobra, lecz – myśl mało oryginalna – poszukiwania mniejszego zła. Jest zaś przede wszystkim domeną wyborów: aby osiągnąć pożądany cel, trzeba zapłacić odpowiednią cenę. Zazwyczaj: im większy cel, tym wyższa cena. **Dziś, wśród licznych krytyków III RP, trudno znaleźć tych, którzy uczciwie zestawiają koszty z celami i efektami polityki tego czasu.**

Na pewno wiele rzeczy można było zrobić lepiej. Nie zmienia to jednak faktu, że polska transformacja jest wielkim sukcesem. Teraz, z piętnastoletnim opóźnieniem, bardziej wyraziście widać cenę zmian. O ileż ten obraz jest bardziej dramatyczny i bardziej prawdziwy niż wizja postkomunizmu, w której problemy transformacji zostały zredukowane do problemu gry cieni, spisków, mafii, czworokątów, stolików i pułkowników Lesiaków. Oczywiście, miały miejsce poważne błędy i nadużycia; nasza demokracja jest marna, państwo słabe, a społeczeństwo obywatelskie wątłe; jaka jest klasa polityczna, lepiej nie mówić. Korupcja, jak w wielu państwach o słabej kondycji, przybiera niebezpieczne rozmiary. Mamy przed sobą długą drogę, by osiągnąć stan krajów o bardziej szczęśliwej historii i o lepiej zorganizowanym łańdże zbiorowym.

Choć odpowiedzi radykałów na problemy rekonstrukcji państwa, gospodarki, społeczeństwa wydawały się niebezpieczne, to pytania, które stawiali, nie były pozbawione podstaw. Transformacja stała się w istocie rewolucją tworzącej się klasy posiadającej, praktyczną realizacją sławnego wezwania François Guizota: „*Enrichissez vous!*” („Bogaćcie się!”). Pikantną tego ilustracją było hasło towarzyszące prywatyzacji pierwszych przedsiębiorstw państwowych: „Poznaj się swoich pieniędzy!” czy hasło kampanii wyborczej Unii Demokratycznej: „Po pierwsze gospodarka!”. Ukazywały one wrażliwość i horyzonty mentalne transformacyjnych elit. Nie były zdolne wytłumaczyć ludziom zbiorowego sensu, wykraczającego poza dokonujące się tu i teraz zmiany. Nie potrafiły zapewnić poczucia sprawiedliwości, przynależności do wspólnoty, która razem wygrywa swoją przyszłość. Kolejne sondaże pokazywały, że w opinii społecznej na przemianach korzystali przedsiębiorcy, elita „Solidarności” i komunistyczna nomenklatura oraz księża, przegrywali przede wszystkim robotnicy i chłopi.

Realizowany indywidualistyczny model przemian – czy była jednak alternatywa? – sprzyjał rozbijaniu wspólnoty, uprzywilejowywał indywidualną strategię radzenia sobie z trudną rzeczywistością. **Nie było żadnej propozycji – ale czy być mogła? – zbiorowego projektu modernizacji, wspólnego wyrwania się z „realnego socjalizmu”.** W takiej sytuacji nieuchronnie wygrywać musiały język nostalgii, zwracania się ku bezpiecznej przeszłości PRL-u, gdy za wszystko odpowiadało państwo, oraz populistyczna „paranoidalna narracja oskarżeń” (Stephen Holmes): „oni” – rządzący – „nas zdradzili, okradli, wydziedziczyli”. Pierwszy sprzyjał dwukrotnemu powrotowi do władzy SLD, drugi pozwolił na umacnianie wpływów ludzi takich jak Stan Tymiński i Andrzej Lepper, umożliwił też dojście do władzy radykałów prawicy i powstanie obecnej „pozasystemowej” koalicji. Moralna kompromitacja lewicy i przejęcie przez PiS tradycyjnie lewicowego języka krytyki modelu liberalnego walnie się do tego przyczyniły.

Powrót radykałów

Odrodzenie politycznego radykalizmu wraz z powstaniem PiS-u wiązać można z odwracaniem się części społeczeństwa od ustrojowej transformacji i demokracji, ale również – na innym planie – z faktem mianowania Lecha Kaczyńskiego na stanowisko ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka. Bracia Kaczyńscy i ich środowisko potrafili wykorzystać do powrotu na polityczną scenę popularność, jaką zdobył w społeczeństwie Lech Kaczyński. Rolę zapłonu odegrały sprawa Rywina, komisja sejmowa oraz kolejne afery doszczętnie kompromitujące SLD. Ujawniane i często demonizowane przez media prawdziwe i rzekome afery wywołały prawdziwą rewoltę moralną w części społeczeństwa. Pewną rolę w wyniesieniu radykałów do wielkiej polityki odegrało środowisko „Gazety Wyborczej”, wobec którego żywią oni trwałą wrogość. Ujawnienie przez „Gazetę” afery Rywina oraz towarzyszące temu prawdziwe i wydumane fakty przyczyniły się do uwiarygodnienia w oczach wielu ludzi języka radykałów, ich opisu rzeczywistości, który dotychczas rozmiął się z powszechnym odczuciem i ze społecznymi priorytetami. Radykatowie zaproponowali Polakom język walki o „prawo i sprawiedliwość” przeciwko „czerwonym”, przeciwko zgnitym, skorumpowanym, „wszechzłatowanym” elitom. Dotychczasowe zmarginalizowanie środowiska Kaczyńskich służyło za dowód ich czystości, niezłomności, pozostawania poza „układami”.

Ta zmiana dokonywała się, paradoksalnie, w sytuacji coraz lepszego samopoczucia Polaków²¹. Zadowolenie Polaków ze swego życia prywatnego osiągnęło najwyższy poziom na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Choć większość obywateli jest ciągle niezadowolona ze swoich dochodów, to i tutaj zaszła istotna zmiana. Zadowolenie ze swojej sytuacji materialnej deklarowało pod koniec ubiegłego roku 44 procent respondentów, o 20 punktów więcej niż w latach 1994 i 1997 (CBOS). Autorzy *Diagnozy społecznej* dowodzą, że warunki i jakość życia poprawiły się w niemal wszystkich

²¹ Zob. zwłaszcza: *Diagnoza społeczna* z lat 2000, 2003 i 2005, rezultaty Polskiego Generalnego Sondażu Społecznego prowadzonego od 1992 roku oraz liczne artykuły Henryka Domańskiego.

grupach społecznych. Wbrew rozpowszechnionym opiniom nie narastają różnicowania społeczne. Maleją obawy związane z utratą pracy. Wzrosła popularność integracji europejskiej. Polska przekroczyła próg 50 procent średniej zamożności Unii. Rezultaty te to wynik reform kolejnych rządów, ale też integracji z UE, która wymusiła otwarcie rynku i przyjęcie stabilnego, przyjaznego dla biznesu prawa.

Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? W momencie, gdy Polska, wraz z wejściem do Unii Europejskiej w 2004 roku, miała wszelkie powody, by świętować wielki sukces odniesiony dzięki wysiłkom i wyrzeczeniom poprzedniego piętnastolecia, wkroczyliśmy w okres niepewności i radykalnego zakwestionowania drogi wybranej w 1989 roku. Wyrazem tego było dojście do władzy radykałów z ich czarną, katastroficzną wizją Polski jako „Rywinlandu”, „postkomunistycznego monstrum”. Możliwe, że świadomość poprawy w sferze prywatnej czyniła bardziej dotkliwym to, co postrzegano jako zło w sferze publicznej.

Spadek zaufania do polityków, partii politycznych, rządu, parlamentu i instytucji demokratycznych następował już od 1997 roku. Do tego czasu nasza demokracja zyskiwała coraz większe poparcie. Zadowolonych z niej było 24 procent w 1992 roku i aż 60 procent w 1997 roku. Atmosfera chaosu, źle przygotowanych i źle rozłożonych w czasie reform, anarchizacja obozu rządzącego i mnożące się skandale w czasie rządów Jerzego Buzka rozpoczęły nowy okres w stosunku dużej części opinii publicznej do demokracji. Zadowolenie z niej spadło szybko o ponad 20 procent. Od końca lat 90. zmalało też uczestnictwo w wyborach, widać było coraz mniejszą akceptację dla instytucji władzy i polityków. Katastrofalnie zmniejszyło się zaufanie do parlamentu i do rządu. Wzrosły natomiast świadomość i wrażliwość na problemy korupcji²².

Do niedawna nieufności do instytucji demokratycznych i klasy politycznej towarzyszyło przekonanie o wartości samej demokracji. Pod koniec 2005 roku zaledwie 45 procent badanych widziało w demokracji najlepszy sposób rządzenia. Aż 40 procent uważało, że rządy silnego człowieka mogą okazać

²² Pisze na ten temat Lena Kolarska-Bobińska, *Czy Polacy polubią demokrację?*, „Gazeta Wyborcza”, 7.04.2006.

się lepsze od władzy demokratycznej (dane CBOS-u). Połowa respondentów uważała, że ustroj demokratyczny nie ma znaczenia dla ich osobistych losów i aspiracji.

Te dane pozwalają zrozumieć zwycięstwo PiS-u i PO – partii, które łączyły radykalizm ocen, potępienie „minionego okresu” polskiej demokracji z obietnicą naprawy państwa, ukrócenia korupcji i zapewnienia uczciwości w życiu publicznym. Oburzeniu moralnemu i pesymizmowi ocen polityki nie towarzyszył jednak rewolucyjny zapał opinii publicznej. Zwycięstwo PiS-u było osiągnięte wbrew, a nie dzięki radykalizmowi języka tej partii, bardzo zresztą tonowanemu w czasie kampanii wyborczej. Najlepszym dowodem jest wysoki poziom zaufania do instytucji gospodarczych – przedsiębiorców prywatnych, banków, w tym również do kierowanego przez Leszka Balcerowicza NBP – które pozostają w centrum polityki podejrzeń PiS-u (dane CBOS-u).

Umiarkowani, którzy dominowali w latach 90. i wnieśli wielki wkład w modernizację Polski, stopniowo tracili istotny kapitał, który wyniósł ich na najwyższą orbitę polityczną. Ich strategia doprowadziła do transformacji Polski. Zasadnicze cele narodowe zostały osiągnięte. Jesteśmy krajem biednym, wyczerpanym, ale nie oddziela już nas żadna granica od krajów najbardziej rozwiniętych. Idziemy tą samą drogą i tylko od nas zależy, dokąd i w jakim tempie dojdziemy. Dziś te dokonania należą do oczywistej i akceptowanej przeszłości. Na pierwszy plan wyszło rozczarowanie, że „to tylko tyle”. Bo przecież demokracja, Europa, rynek i NATO razem wzięte nie odpowiadają na problem bezrobocia i biedy, słabego, skorumpowanego państwa, różnych patologii i niesprawiedliwości towarzyszących transformacji. Wszystkie te osiągnięcia nie dają odpowiedzi na pytanie o sens naszych doświadczeń.

Język „mniejszego zła”, „trudnych wyborów”, „nieuchronnej ceny”, „konieczności”, melancholijne kiwanie głowami nad „moralnym maksymalizmem” radykałów czy dowodzenie, że w imię wyższych celów trzeba tolerować „odrobinę deprawacji”, choć był to często wyraz rozumnego spojrzenia na złożoną rzeczywistość społeczną, coraz słabiej trafiały do przekonania zwykłych ludzi. Długo manifestowany brak wrażliwości na problem dziedzictwa krzywdy czasów komunizmu, przyjęcie założenia normalności polskiej sytuacji – to

wszystko przyczyniało się, na tle moralnie rewoltujących czasów rządu Leszka Millera, do powodzenia radykałów. Rewolta moralna nie wynika bowiem z porównania korzyści i strat, dochodzenia, czy bilans był globalnie korzystny. Żywi się raczej poczuciem niesprawiedliwości i krzywdy.

Jacek Kuroń, odchodząc coraz dalej od „umiarkowanych” ku radykalnej lewicowej krytyce transformacji, pisał w roku 2000 na łamach „Gazety Wyborczej”: „wspólnymi siłami budowaliśmy nie ład obywatelski, lecz biurokratyczny na modłę kapitalistyczno-*quasi*-demokratyczną, a my, politycy, ponosimy zatem odpowiedzialność za wszechobecną dziś korupcję, niesprawiedliwe stosunki społeczne i rozkład życia politycznego”²³. Dla rozrachunków z ubiegłą dekadą równie interesująca co tekst Kuronia jest zamieszczona obok odpowiedź redaktora naczelnego „Gazety”. „Uwłaszczenie nomenklatury, a także nowej biurokracji” jest czymś „chyba nieuchronnym w procesie tak radykalnej transformacji” – pisał Adam Michnik. „Nie myślę – dodawał – by była to zbyt wysoka cena za rozbrojenie sił ‘starego porządku’ i wpisanie ich w system demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej”. W imię przewyższenia konfliktów przeszłości, zapewnienia pokoju społecznego, unikania dyskryminacji ludzi starego ustroju autor zdecydowanie opowiada się przeciwko wszelkim formom „rozliczania przeszłości”²⁴. Oba teksty, na różne sposoby, pozwalają zrozumieć nadejście radykałów.

Po dołączeniu postkomunistycznej lewicy do obozu „umiarkowanego i rozsądku” jedynym politycznie znaczącym miejscem, gdzie pozostały żywe oburzenie moralne, bunt moralny, odmowa uznania skutków, jeżeli nie modelu transformacji, była radykalna prawica. Jej język nie odpowiadał na wyzwania przyszłości, lecz na ból, nieprawości ubiegłych lat. Radykalizacji sprzyjały bezduszość technokratycznego języka, bezkarność tupienia kraju przez siły prawicowe i, głównie, lewicowe, rozpanoszenie i arogancja „Szmaciaków” z PRL-u, odwracanie przez ludzi środka wzroku od nieestetycznego widoku ku horyzontom lepszej, przyszłej, europejskiej Polski. PiS odpowiadał na stan kraju ideologicznym bełkotem

²³ Jacek Kuroń, *Jak upadł realny socjalizm*, „Gazeta Wyborcza”, 1–2.07.2000.

²⁴ Adam Michnik, *Jak powstaje realna demokracja*, „Gazeta Wyborcza”, 1–2.07.2000.

o spiskach, agentach, mackach, czworokątach, KPP..., ale też ideami koniecznej odbudowy wspólnoty, umocnienia państwa i jego obowiązków wobec obywateli, mówił o potrzebie rehabilitacji polityki, o edukacji patriotycznej, która by przywracała ludziom poczucie godności i wspólnoty.

Czy ta wrażliwość moralna i społeczna prowadzi do sformułowania prawdziwej alternatywy ustrojowej, którą zapowiada cyferka IV przy Rzeczypospolitej? Czy rewolucjoniści są rzeczywiście rewolucyjni? Czy też spełniają się w sferze mitów i rytuałów?

Jeden z ojców duchowych współczesnej Ameryki Ralph Waldo Emerson odróżniał dwie partie, które mają dominujący wpływ na każdą politykę: „partię nadziei” i „partię pamięci”. Jedni mają wzrok skierowany do przodu, chcą integrować społeczeństwo wokół wspólnych wyzwań, projektu przyszłości. Drudzy zwracają się przede wszystkim ku przeszłości, nacisk kładą na problemy tożsamości, pamięci, chcą integrować wspólnotę wokół tradycji.

Elity, które rządziły w latach 90., należały do „partii nadziei”. Oczywiście, w przypadku czołówki SLD zwrócenie ku przyszłości miało aspekt moralnie dwuznaczny: wyrażało niechęć do stawiania czoła odpowiedzialności za przeszłość. Tym niemniej, hasło kampanii wyborczej Aleksandra Kwaśniewskiego: „Wyberzmy przyszłość” znakomicie trafiło do wrażliwości i ówczesnych oczekiwań społeczeństwa. W 2005 roku zwyciężyła jednak „partia pamięci”.

Każde zdrowe społeczeństwo na pewno potrzebuje wspólnego projektu, praktycznej nadziei, integrującej społeczeństwo i z natury rzeczy zwróconej ku przyszłości, ale też zrozumienia siebie, sensu własnej drogi i tożsamości. Zapisujemy wszyscy, z pokolenia na pokolenie, czynami i myślami, kolejne strony „księgi pielgrzymstwa narodu polskiego” po kartach historii, po mapie świata.

Czasy kryzysu wzmagają świadomość zasadniczego znaczenia przeszłości dla dnia dzisiejszego; sprzyjają bataliom o serca, myśli i dusze... umarłych. Szukamy tam „pokrzepienia serc”, a nie „rozdrapywania narodowych ran”. To tylko „tżę-elity”, owych „kilkuset” inteligentów, których niedawno potępiał Jarosław Kaczyński, wykazuje zawsze troskę o to, aby owe rany „nie zablźniły się błoną podłości”.

* * *

Zmiana władzy w wyniku wyborów jesienią 2005 roku zamyka istotny etap rozwoju Polski: zakończony został czas transformacji ustrojowej, zwany w języku radykalnych krytyków okresem postkomunizmu. Przyszedł czas partii pamięci. Taką partią jest Prawo i Sprawiedliwość, mimo iż premier Jarosław Kaczyński w sejmowym *exposé* podjął kolejną próbę reinterpretacji polskiej polityki, przedstawiając swój rząd i PiS jako stronnictwo przyszłości i nadziei.

Nie ma co się oszukiwać ani oszukiwać innych: przyszedł czas partii pamięci, chociaż i ona musi pozostawiać okna otwarte na przyszłość. Zmiana wydaje się naturalna po tak trudnym okresie, po kompromitacji rządów Leszka Millera. Naturalne nie są jednak radykalizm PiS-owskiej partii pamięci, jej prościutkie, siermiężne odpowiedzi na pytanie o stan i środki naprawy Rzeczypospolitej, systematyczne podważanie i niszczenie liberalnych instytucji (Trybunał Konstytucyjny, Rada Polityki Pieniężnej, Korpus Służby Cywilnej...), wreszcie – atmosfera zimnej wojny domowej, jaką PiS wprowadził do życia publicznego swoimi działaniami, nietolerancją i – bardziej jeszcze – permanentną agresją słowną, ideologicznym zacietrzewieniem.

Radykałowie tworzą pozory, iż mają nowy projekt dla Polski. Proponują zastąpić III RP – IV Rzeczpospolitą. W istocie są skoncentrowani na tym, co postrzegają jako patologie ostatnich 16 lat. Niewiele mają do powiedzenia o przyszłości poza retoryką silnego państwa, społecznej wrażliwości, zakorzenienia w tradycji i wierze. Jarosław Kaczyński w odpowiedzi na pytanie dziennikarza o cele PiS-u, z którymi szedł do zwyczajnych wyborów, mówił: „oczyścić, zreformować i skonsolidować państwo. [...] umocnić władzę i odbudować jej autorytet. I żeby przy pomocy tego instrumentarium zacząć prowadzić politykę gospodarczą i społeczną nastawioną na dwa cele: na to, żeby naród mógł w ogóle istnieć – dzięki przelamaniu kryzysu populacyjnego – i by pozostał jednością, to znaczy, żeby te wszystkie dystanse, które go dziś rozrywają, zostały zmniejszone. I to nie w imię idei egalitarnej, ale w imię idei

wspólnotowej, idei społecznego solidaryzmu”²⁵. Znajdziemy tu dwa składniki PiS-owskiego myślenia o Polsce: radykalny program transformacji i umocnienia państwa oraz kolektywistyczną wizję ładu politycznego i społecznego, w którym państwo ma odgrywać rolę centralną. Nowa polityka gospodarcza i społeczna jest uzależniona od powodzenia projektu przekształcenia państwa. Owe zmiany nie mają na celu indywidualnego szczęścia, rozwoju jednostki, pomnożenia jej szans, zaspokojenia potrzeb. Główne cele to: przeżycie narodu poprzez zmianę sytuacji demograficznej oraz pragnienie, aby naród „pozostał jednością”. Czy nowoczesny, demokratyczny naród może być jednością poza sytuacją istotnych dla siebie zagrożeń? Czy państwo może skutecznie oddziaływać na sytuację demograficzną? Czy nie jest ona skutkiem wielu czynników – cywilizacyjnych, kulturowych, ekonomicznych, społecznych – na które polityka może oddziaływać w ograniczonym stopniu i to raczej w długim okresie i pośrednio, a nie poprzez „becikowe”?

Jarosław Kaczyński mówi kiedyś, że „najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski wiedzie przez ZChN”. Kaczyński widział wówczas zagrożenie w prowincjonalizmie, nacjonalizmie i w religijnym integryzmie tej partii. Dziśjszy PiS jest świadomą syntezą dawnego Porozumienia Centrum i dawnego Związku Chrześcijańsko-Narodowego. Jarosław Kaczyński oddaje dziś hołd Janowi Olszewskiemu, który głosił na początku lat 90., iż radykalne zmiany może zrealizować tylko koalicja ludowo-narodowa. Tak też w sejmowym *exposé* świeżo mianowany premier RP nazwał swoją koalicję. W tym wyborze politycznym dostrzec można dwa cele. Jeden – partyjny – to zbudowanie wielkiej formacji, w której znajdą się wszystkie nurty polskiej prawicy. Drugi – ideologiczny i polityczny – oznacza stworzenie obozu politycznej syntezy, której Jarosław Kaczyński pragnął już w czasach PC, ale, jak sam przyznawał, zakończyło się to niepowodzeniem. Chodzi o syntezę – marzenie każdej rozsądnej prawicy – Polski nowoczesnej, otwartej na świat, z Polską kulturowo tradycyjną, silną poczuciem zakorzenienia w chrześcijaństwie, w więzi narodowej, w tradycyjnych wartościach. Wydaje się jednak, że zmierzamy

²⁵ *PiS nie jest partią niezadowolonych* [wywiad Cezarego Michalskiego z Jarosławem Kaczyńskim], „Dziennik. Polska. Europa. Świat”, 21.04.2006.

raczej ku syntezie radykalnego gestu, psutych instytucji oraz permanentnej agresji wobec wrogów, przeciwników i przypadkowych gapiów z realnym bezruchem. Istnieje niebezpieczeństwo, że Polska będzie coraz bardziej spychana na pobocze europejskiego traktu, ku tym obszarom polskiej mapy ideowej, gdzie królują ks. Rydzyk, Giertych, Lepper i Macierewicz.

Może istotnie uda się „wykorzystać ich dynamizm” – jak o Lidze Polskich Rodzin i Samoobronie mówił Jarosław Kaczyński – do zlikwidowania, pozbawienia treści czy osłabienia różnych instytucji oraz do powołania innych – nadzwyczajnych komisji sejmowych i policji. Mają też obie partie wielkie talenty do organizowania agresji przeciwko ludziom i całym środowiskom. Widzieliśmy permanentne agresje przeciwko prawnikom, sędziom, dziennikarzom, łże-elitom, lekarzom, przeciwko społeczeństwu obywatelskiemu, przeciwko, przeciwko, przeciwko... Premier Kaczyński w swoim *exposé* obiecał uspokojenie debaty publicznej, ale doprawdy trudno mu zaufać. Permanentna agresja zdaje się naturalnym sposobem uprawiania polityki przez niego i jego środowisko. Spustoszenie, jakie się dokonuje, będzie miało poważne konsekwencje. **Niszczenie języka debaty publicznej, podważanie wzajemnego zaufania i szacunku, korodowanie instytucji w imię budowy silnego państwa – wszystkie te zmiany będą osłabiały państwo, anarchizowały Polskę, spychały ją w tył i na pobocze europejskiego rozwoju.**

Trudno uwierzyć, aby „antysystemowa koalicja” była w stanie zapewnić Polsce drugie pchnięcie cywilizacyjnego rozwoju, dla którego istnieje dziś niezwykła szansa. Mamy dobrą koniunkturę w Polsce i w Europie, otrzymujemy z Unii masową pomoc, która mogłaby znacznie przyspieszyć modernizację kraju. Utracone szanse to zapewne najpoważniejsze oskarżenie moralne i polityczne, które zostanie sformułowane po odejściu tej formacji od władzy. Do tego dołączają: prowincjonalizacja Polski, z której nasz kraj wyrwał się siłą woli pod koniec lat 70., oporem lat 80. i zmianami lat 90.; narastająca izolacja w polityce zagranicznej; utrata najzdolniejszej młodzieży, dynamicznej, otwartej na świat, gotowej do ponoszenia ryzyka, która teraz opuszcza Polskę; i wreszcie, spychanie części kraju ku jego gorszej stronie: ku obsesjom,

chorobliwej nieufności, paranoi zagrożenia przez „obcych”, tromtadracji godnościowych reakcji.

Zakończenie

Wspomniałem na początku o przypisywanych ideologii i praktyce PiS-u parantelach, poczynając od sarmatyzmu, a na gomułkowskim i gierkowskim PRL-u kończąc. W *Alfabcie braci Kaczyńskich* znalazłem jeszcze inny trop, który mnie zaskoczył. W wypowiedziach bodaj dzisiejszego premiera znaleźć można odniesienia do ideału żoliborskiego. Żoliborz, miejsce najbliższe snom Żeromskiego o szklanych domach, był matecznikiem postępowej, liberalnej i lewicowej inteligencji. Trudno dostrzec pokrewieństwo z tym, co reprezentują dziś bracia Kaczyńscy. Może jednak, mimo pozorów, są oni pielgrzymami na jednej z dróg polskiego inteligenta? Z tą hipotezą udałem się na poszukiwanie dowodów u autora, Bohdana Cywińskiego, który zapisał się w pamięci *Rodowodami niepokornych* – książką ważną dla zrozumienia przygód niepokornej polskiej inteligencji. Przed paru laty pisał on: „państwo mamy dziś własne. Słabe, niewydolne, nie dość przekonywujące, bardzo powoli i nieporadnie zdobywające sobie prestiż międzynarodowy i nie umiejące znaleźć właściwych ścieżek dla koniecznych reform – ale własne. To państwo należy – wbrew wszystkim trudnościom – przekształcać właśnie w strukturę służby, w aparat służby ludzkiemu dobru w Polsce i wokół niej. To należałoby uznać za naturalne zadanie numer jeden – przede wszystkim dla polskiego inteligenta. Zadanie to, oczywiście, jedni będą wypełniać wewnątrz aparatu państwowego, inni – w służbie społeczeństwu, wykonywanej poza państwowymi strukturami. Idzie jednak o to, że bez ludzi rodem z Żeromskiego, bez ośmieszanych tylekroć Siłaczek, Judymów i Gajowców, ta cała Polska okaże się przestrzenią nie do zniesienia, brudnym i chamskim targowiskiem, z którego niedobitki ludzi uczciwych i przyzwoitych będą musiały uciekać. Rzeczywista wartość Polski będzie proporcjonalna do tego, ilu się w niej okaże ludzi służby. Biznes cwaniacy będą w niej tylko ciężarem”²⁶.

²⁶ Bohdan Cywiński, *Inteligencji nekrologi przedwczesne*, „Rzeczpospolita”, 22.04.2000.

Czyż nie jest to opis świata mentalnego i marzeń braci Kaczyńskich? Zapatrzeni w romantyczny ideał polskiego inteligenta pogardzają oni skomercjalizowaniem, wulgarnością dzisiejszej Polski. Sami żyjąc skromnie, nienawidzą wszechobecności „biznes cwaniaków”, chociaż otwarcie z rynkiem walczyć nie mogą. Liczą w istocie tylko na „ludzi służby” (wiernych im i Rzeczypospolitej), a nie na niezależną „klasę średnią” czy społeczeństwo obywatelskie. Chcą państwo przekształcić w „aparat służby ludzkiemu dobru”, które sami oczywiście definiują – nie w nowoczesne państwo, które się samoogranicza i narzuca wszystkim równe zobowiązania i równe prawa; nie w państwo, w którym konstytucyjnie zagwarantowana niezależność różnych instytucji ma strzec przed arbitralnością władzy i tyranią większości. Kaczyńscy marzą o idealnym świecie owych „romantycznych ofiarników”, „zwarowanych społeczników”, „oszołomów” oddanych sprawie narodowej – o których w innym miejscu pisze Cywiński. Tyle że polski inteligent w ich wydaniu, zarazem przecież polityk, aby móc zrealizować swoje marzenia o Polsce „szklanych domów”, podpisuje cyrograf, idzie na zakład z Mefisto, który w *Fauście* Goethego mówi o sobie: „jam jest cząstką tej siły, co zła pragnąc, dobro czyni”. I razem z Giertychem, Lepperem, Macierewiczem i ks. Rydzykiem czynić będą dobro!

Wyobrażenia nasuwa na koniec jeszcze jeden obraz: rycerza z La Manchy. W książce Cervantesa fascynująca jest relacja między rzeczywistością a fikcją. Don Kichot wymyśla sobie rzeczywistość. Wystarczy, że powie: „jestem rycerzem”, i istotnie nim się staje; „widzę olbrzymów” – i dla niego iluzja staje się rzeczywistością. Dostrzegam: układy, spiski, mafie, czworokąty – i staje się to prawdą. I oto Don Kichot i Sancho Pansa na drogach Polski, gotowi do wszelkich heroicznych czynów. I tylko Polski, tylko Polski szkoda!

Noty biograficzne

Ryszard Bugaj (ur. 1944) – ekonomista, polityk, dr hab. Pracownik Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN. Działacz opozycji demokratycznej przed 1989 rokiem oraz „Solidarności”. W stanie wojennym internowany. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W latach 1989–1997 poseł na Sejm RP. W latach 1992–1998 przewodniczący Unii Pracy, obecnie ponownie członek UP i przewodniczący Rady Politycznej. Publikuje m.in. w „Rzeczpospolitej”. Wydał m.in. *Dylematy finansów publicznych. Przekształcenia w gospodarce polskiej* (Warszawa 2002), *Komercjalizacja opiekuńczego państwa. Polskie koncepcje i pierwsze doświadczenia* (Ostrowiec Świętokrzyski 2003).

Henryk Domański (ur. 1952) – socjolog, prof. dr hab. Kierownik Zakładu Badań Struktury Społecznej i Zespołu Studiów nad Metodami i Technikami Badań Socjologicznych w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie. W latach 1997–2000 redaktor naczelny „Studiów Socjologicznych”. Od 2000 roku dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Kierownik kilku projektów badań empirycznych: m.in. *Struktura społeczna w latach 90. w Polsce: dynamika i stabilność* (1993) oraz *Jak formują się w Polsce klasy średnie?* (1998). Wydał m.in. *Segmentacja rynku pracy a struktura społeczna* (Wrocław 1987), *Klasy społeczne, grupy zawodowe, organizacje gospodarcze. Struktura społeczna w krajach rozwiniętego kapitalizmu* (Warszawa 1991), *Zadowolony niewolnik. Studium o nierównościach społecznych między mężczyznami i kobietami w Polsce* (Warszawa 1992), *Społeczeństwa klasy średniej* (Warszawa 1994), *Na progu konwergencji. Stratyfikacja społeczna w krajach Europy Środkowo-Wschodniej* (Warszawa 1996, wersja angielska – Budapeszt 2000), *Prestiż* (Wrocław 1999), *Zadowolony niewolnik idzie do pracy. Postawy wobec pracy zawodowej kobiet w 23 krajach* (Warszawa 1999), *Hierarchie i bariery społeczne*

w latach 90-tych (Warszawa 2000), *Polska klasa średnia* (Wrocław 2002), *Ubóstwo w społeczeństwach postkomunistycznych* (Warszawa 2002), *Struktura społeczna* (Warszawa 2004), *O ruchliwości społecznej w Polsce* (Warszawa 2004), *Polska jedna czy wiele?* (z Andrzejem Rychardem, Pawłem Śpiewakiem, Warszawa 2005).

Dariusz Gawin (ur. 1964) – historyk idei, filozof, dr. Absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1989–1993 asystent w Instytucie Historii UW. Od 1993 roku pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, obecnie kierownik Zakładu Społeczeństwa Obywatelskiego IFiS PAN. Od 2005 roku zastępca dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego. Członek kolegium redakcyjnego „Teologii Politycznej”. Publikował m.in. w „Przeglądzie Politycznym”, „Res Publice Nowej”, „Teologii Politycznej”, „Znaku”. Wydał m.in. *Lekcja sierpnia. Dziedzictwo „Solidarności” po dwudziestu latach* (red., Warszawa 2002), *Spór o Powstanie. Powstanie Warszawskie w powojennej publicystyce polskiej 1945–1981* (red., Warszawa 2004), *Polska, wieczny romans. O związkach literatury i polityki w XX wieku* (Kraków 2005).

Mirosława Grabowska (ur. 1949) – socjolog, dr hab. Pracownik Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Studiów Politycznych PAN i Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej. Członek zarządu Fundacji im. Stefana Batorego i rady CBOS. W okresie 1975–1989 związana z demokratyczną opozycją. W latach 1982–1989 członek redakcji podziemnego Kwartalnika Politycznego „Krytyka”. Członek i założyciel powołanego w roku 1995 Instytutu Badań nad Podstawami Demokracji oraz redakcji „Polish Sociological Review”. Opublikowała m.in. *Religijność społeczeństwa polskiego lat 80. Od pytań filozoficznych do problemów empirycznych* (red., z Tadeuszem Szawielem, Warszawa 1989, II wyd. 2005), *Polska 1989–1992. Fragmenty pejzażu* (red., z Antonim Sułkiem, Warszawa 1993), *Anatomia elit politycznych* (red., z Tadeuszem Szawielem, Warszawa 1993), *Społeczne konsekwencje transformacji ustrojowej* (red., z Krzysztofem Pankowskim, Edmundem Wnuk-Lipińskim, Warszawa 1994), *Korzenie demokracji. Partie polityczne w środowisku lokalnym* (red., z Tadeuszem Szawielem, Warszawa 2000), *Budowanie demokracji* (z Tadeuszem Szawielem, Warszawa 2001), *Budowanie demokracji. Podziały społeczne, partie polityczne i społeczeństwo obywatelskie w postkomunistycznej Polsce* (z Tadeuszem Szawielem, Warszawa 2003), *Podział postkomunistyczny. Społeczne podstawy polityki w Polsce po 1989 roku* (Warszawa 2004).

Janusz Grzelak (ur. 1941) – psycholog społeczny, prof. dr hab. Dziekan Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się problemem konfliktu między interesem jednostki a interesem grupowym, aktywnością i bezradnością społeczną. Członek Komitetu Helsińskiego, prezes Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Społecznej. Wykładał i prowadził badania w USA, Holandii i Austrii. Był członkiem władz European Association of Experimental Social Psychology. Działacz opozycji demokratycznej przed 1989 rokiem. W latach 1989–1991 wiceminister edukacji narodowej. W latach 1996–1999 prorektor Uniwersytetu Warszawskiego. Wydał m.in. *Konflikt interesów. Analiza psychologiczna* (Warszawa 1978), *Cooperation and Helping Behavior. Theories and Research* (red., z Valerianem J. Derlegą, New York 1982), *Problemy współzależności społecznej* (red., Warszawa 1989), *Kultura negocjacyjna Polaków w kontekście integracji z Unią Europejską* (z Dominiką Maison, Grażyną Wąsowicz-Kiryło, Warszawa 2000), *Ewaluacja profilaktyki problemów dzieci i młodzieży* (red., z Marcinem J. Sochockim, Warszawa 2001), *Społeczna mapa Warszawy. Interdyscyplinarne studium metropolii warszawskiej* (red., z Tomaszem Zaryckim, Warszawa 2004).

Jerzy Hausner (ur. w 1949) – ekonomista, prof. dr hab. Kierownik Katedry Gospodarki i Administracji Publicznej Akademii Ekonomicznej w Krakowie. W latach 1994–1996 szef zespołu doradców wicepremiera ds. gospodarczych, w 1997 roku pełnomocnik rządu ds. reformy zabezpieczenia społecznego. W latach 1996–2001 członek Zespołu Doradców Ekonomicznych Prezydenta RP. W latach 2001–2005 poseł na Sejm RP. Od 2001 roku minister pracy i polityki społecznej, a w 2003 roku wicepremier oraz minister gospodarki, pracy i polityki społecznej. Wydał m.in. *Populistyczne zagrożenie w procesie transformacji społeczeństwa socjalistycznego* (Warszawa 1992), *Instytucjonalne warunki restrukturyzacji regionalnej Polski* (z Tadeuszem Kudłaczem, Jackiem Szlachtą, Warszawa 1995), *Evolution of Interest Representation and Development of the Labour Market in Post-socialist Countries* (z Ove K. Pedersenem, Karstenem Ronitem, Cracow 1995), *Strategic Choice and Path-dependency in Post-socialism. Institutional Dynamics in the Transformation Process* (red., z Bobem Jessopem, Klaussem Nielsenem, Aldershot, Brookfield 1995), *Beyond Market and Hierarchy. Interactive Governance and Social Complexity* (red., z Ash Aminem, Cheltenham, Lyme 1997), *Identyfikacja nowych problemów rozwoju regionalnego Polski* (z Tadeuszem Kudłaczem, Jackiem Szlachtą, Warszawa 1998), *Ekonomia polityczna reformy emerytalnej* (ze Stanisławą Golinowską, Warszawa 1998), *Trzy Polski. Potencjał i bariery integracji z Unią Europejską* (red., z Mirosławą Marody, Warszawa 1999).

Jerzy Jedlicki (ur. 1930) – historyk, prof. dr hab. Zajmuje się historią społeczną i historią idei w Polsce na tle europejskim. Autor esejów, artykułów i recenzji publikowanych najczęściej na łamach „Gazety Wyborczej” i „Tygodnika Powszechnego”. Wydał m.in. *Nieudana próba kapitalistycznej industrializacji. Analiza państwowego gospodarstwa przemysłowego w Królestwie Polskim XIX w.* (Warszawa 1964), *Klejnot i bariery społeczne. Przeobrażenia szlachectwa polskiego w schyłkowym okresie feudalizmu* (Warszawa 1968), *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują* (Warszawa 1988, II wydanie Warszawa 2002; wersja angielska *A Suburb of Europe. Nineteenth-century Polish Approaches to Western Civilization*, Budapeszt 1999), *Źle urodzeni czyli o doświadczeniu historycznym* (Londyn 1993), *Świat zwyrodniały. Lęki i wyroki krytyków nowoczesności* (Warszawa 2000).

Antoni Kamiński (ur. 1942) – socjolog, prof. dr hab., absolwent Wydziału Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Dyrektor Centrum Badań Europejskich i Atlantyckich Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. W latach 1984–1990 wykładowca w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2000–2002 wykładowca w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W latach 1996–2001 członek zarządu Centrum Adama Smitha. Od 1999 do 2001 roku prezes zarządu Transparency International – Polska. Członek Polskiego Towarzystwa Socjologicznego oraz Rady Programowej Towarzystwa Edukacji Administracji Publicznej. Członek redakcji pism „Sprawy Międzynarodowe”, „Studia Polityczne”, „Służba Cywilna”. Wydał m.in. *Władza a racjonalność. Studium z socjologii współczesnej kapitalizmu* (Warszawa 1976), *Monopol i konkurencja. Socjologiczna analiza instytucji polityczno-gospodarczych* (Warszawa 1984), *An Institutional Theory of Communist Regimes. Design, Function, and Breakdown* (San Francisco 1992), *Jak buduje się III Rzeczpospolitą. Ułomne reguły gry* (z Janem A. Stefanowiczem, Warszawa 1995), *Korupcja rządów. Państwa pokomunistyczne wobec globalizacji* (z Bartłomiejem Kamińskim, Warszawa 2004).

Jacek Kochanowicz (ur. 1946) – historyk gospodarczy, dr hab. Profesor na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz na Wydziale Historii Central European University w Budapeszcie. Członek zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Wydał m.in. *Pańszczyźniane gospodarstwo chłopskie w Królestwie Polskim w I połowie XIX w.* (Warszawa 1981), *Spór o teorię gospodarki chłopskiej. Gospodarstwo chłopskie w teorii ekonomii i w historii gospodarczej* (Warszawa 1992), *Backwardness and Modernization. Poland and Eastern Europe in the 16th–20th Centuries* (Burlington 2006), Tłumaczył m.in. Johna Richarda Hicksa, Alberta O. Hirschmana, Paula Anthony’ego Samuelsona.

Zdzisław Krasnodębski (ur. 1953) – filozof i socjolog, prof. dr hab. Od 1976 do 1991 roku wykładał socjologię teoretyczną i filozofię społeczną na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1995 profesor Uniwersytetu w Bremie, a od 2001 roku także Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wydał m.in. *Rozumienie ludzkiego zachowania* (Warszawa 1986), *Upadek idei postępu* (Warszawa 1991), *Postmodernistyczne rozterki kultury* (Warszawa 1996), *Max Weber* (Warszawa 1999), *Demokracja peryferii* (Gdańsk 2003, II wyd. 2005), *Drzemka rozsądnych. Zebrane eseje i szkice* (Kraków 2006). Tłumaczył teksty Jürgena Habermasa i Helmutha Plessnera. Stale współpracuje z „Europą” (dodatkiem do „Dziennika. Polska. Europa. Świat”) oraz tygodnikiem „Wprost”.

Joanna Kurczewska – socjolog i historyk idei, prof. dr hab., pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN – kierownik Zespołu Badania Zmiany Społecznej i Tradycji oraz Ośrodka Badań nad Tradycją Antyczną Uniwersytetu Warszawskiego. Konsultant Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Redaktor naczelny „Polish Sociological Review”. Wydała m.in. *Naród w socjologii i ideologii polskiej. Analiza porównawcza wybranych koncepcji z przelomu XIX i XX wieku* (Warszawa 1979), *Tradycja i nowoczesność* (wybór, z Jerzym Szackim, Warszawa 1984), *Technokraci i ich świat społeczny* (Warszawa 1997), *Zmiana społeczna. Teorie i doświadczenia polskie* (red., Warszawa 1999), *Kultura narodowa i polityka* (red., Warszawa 2000), *Patriotyzm(y) polskich polityków. Z badań nad świadomością liderów partyjnych lat dziewięćdziesiątych* (Warszawa 2002), *Dusza społeczeństwa. Naród w polskiej myśli socjologicznej* (red., Warszawa 2002), *Oblicza lokalności. Tradycja i współczesność* (red., Warszawa 2004), *Granice na pograniczach. Z badań społeczności lokalnych wschodniego pogranicza Polski* (red., z Hanną Bojar, Warszawa 2005).

Jacek Kurczewski (ur. 1943) – socjolog, prof. dr hab. Kierownik Katedry Socjologii Obyczajów i Prawa oraz Ośrodka Badań Społecznych w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. W 1981 roku członek Rady Programowej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. W latach 1988–1989 członek Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Od 1989 roku członek Komitetu Helsińskiego. W latach 1991–1993 wicemarszałek Sejmu RP. Wydał m.in. *O badaniu prawa w naukach społecznych* (Warszawa 1977), *Spór i sądy* (Warszawa 1982), *Cywilizacja jako proces* (Kraków 1982), *Resurrection of Rights In Poland* (Oxford 1993), *Postowie a opinia publiczna. Z badań nad przedstawicielstwem w Trzeciej Rzeczypospolitej* (Warszawa 1999), *Lokalne społeczności obywatelskie* (red., Warszawa 2003), *Umowa o kartki* (red., Warszawa 2004).

Ryszard Legutko (ur. 1949) – filozof, prof. dr hab. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Wicemarszałek Senatu RP. W latach 80. redaktor podziemnego pisma „Arka”. Współzałożyciel i w latach 1992–2005 prezes Ośrodka Myśli Politycznej w Krakowie. Stały współpracownik kwartalnika „Nowe Państwo”. Wydał m.in. *Bez gniewu i uprzedzenia* (Kraków 1989), *Krytyka demokracji w filozofii politycznej Platona* (Kraków 1990), *Nie lubię tolerancji. Szkice i felietony* (Kraków 1993), *Etyka absolutna i społeczeństwo otwarte* (Kraków 1994), *Spory o kapitalizm* (Kraków 1994), *Tolerancja. Rzecz o surowym państwie, prawie natury, miłości i sumieniu* (Kraków 1997), *Czasy wielkiej imitacji* (Kraków 1998), *O czasach chytrych i prawdach pozornych* (Kraków 1999), *Raj przywrócony* (Kraków 2005). Tłumacz dialogów Platona.

Janusz Lewandowski (ur. 1951) – polityk, dr nauk ekonomicznych. Poset Parlamentu Europejskiego. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego. W latach 1974–1984 pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego. W latach 1980–1989 ekspert NSZZ „Solidarność”. Współautor opracowanego w 1988 roku programu powszechnej prywatyzacji. Współzałożyciel i od 1993 roku przewodniczący rady programowej Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową w Gdańsku. W 1990 roku współzałożyciel Kongresu Liberalno-Demokratycznego i jego pierwszy przewodniczący. W latach 1991–1993 oraz od 1997 do 2004 roku poset na Sejm RP. W 1991 roku oraz w latach 1992–1993 minister przekształceń własnościowych. Publikował m.in. na łamach „Gazety Bankowej”, „Gazety Wyborczej”, „Polityki”, „Rzeczpospolitej” i „Wprost”. Stały felietonista „Gazety Wyborczej” i „Parkietu”. Wydał m.in. *Samorząd w dobie „Solidarności”. Współpraca samorządów pracowniczych Pomorza Gdańskiego na tle sytuacji w kraju w latach 1980/81* (oprac., Londyn 1984, II wyd. 1995), *Neoliberalowie wobec współczesności* (pod pseud. Jędrzej Branecki, Gdańsk 1989, II wyd. 1991), *Strategia rozwoju Województwa Gdańskiego* (red., Gdańsk 1997).

Bronisław Łagowski (ur. 1937) – filozof polityki, prof. dr hab., absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1962–2000 wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obecnie profesor i kierownik Katedry Filozofii Społecznej Akademii Pedagogicznej w Krakowie. W latach 1981–1984 i 1996–1998 członek Komitetu Nauk Filozoficznych PAN. Współpracował z „Nowym Życiem Gospodarczym”, „Polityką”, „Polityką Polską”, „Przeglądem Tygodniowym”, „Przeglądem”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Zdaniem” i „Życiem Gospodarczym”. Opublikował m.in. *Filozofia polityczna Maurycego Mochnackiego* (Kraków 1977, II wyd. 1981), *Co jest lepsze od prawdy?* (Kraków 1986), *Czy historia może się cofnąć?* (red., Kraków 1993), *Liberalna kontrewolucja* (Warszawa 1994), *Szkice antyspołeczne* (Kraków 1997), *Łagodny protest obywatelski* (Kraków 2001).

Radostaw Markowski (ur. 1957) – politolog, dr, kierownik Polskiego Generalnego Studium Wyborczego przy Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz dyrektor Instytutu Nauk Politycznych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Członek American Political Science Association oraz Rady Wykonawczej European Political Science Network. Członek rad redakcyjnych, m.in. „European Journal of Political Research”, „European Union Politics”. Wydał m.in. *Prognozy i wybory – polska demokracja '95* (red., z. Leną Kolarską-Bobińską, Warszawa 1997), *Wybory parlamentarne 1997. System partyjny, postawy polityczne, zachowania wyborcze* (red., Warszawa 1999), *Post-Communist Party Systems* (red., Cambridge 1999), *Populizm a demokracja* (red., Warszawa 2004), *System partyjny i zachowania wyborcze. Dekada polskich doświadczeń* (red., Warszawa 2002).

Mirosława Marody (ur. 1947) – socjolog, prof. dr hab. w Instytucie Socjologii oraz Instytucie Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1996–2003 członek interdyscyplinarnej grupy roboczej monitorującej proces wejścia Polski do Unii Europejskiej. Wydała m.in. *Polacy '80* (Warszawa 1981), *Język, myślenie, działanie. Językowe determinanty wiedzy potocznej i ludzkiego działania* (Warszawa 1984), *Język propagandy i typy jego odbioru* (Warszawa 1984), *Technologie intelektu. Językowe determinanty wiedzy potocznej i ludzkiego działania* (Warszawa 1987), *Długi finał* (Warszawa 1995), *Trzy Polski. Potencjał i bariery integracji z Unią Europejską* (red., z Jerzym Hausnerem, Warszawa 1999), *Między rynkiem a etatem. Społeczne negocjowanie polskiej rzeczywistości* (red., Warszawa 2000), *Strategie i system. Polacy w obliczu zmiany społecznej* (z Anną Gizą-Poleszczuk, Andrzejem Rychardem, Warszawa 2000), *Wymiary życia społecznego. Polska na przełomie XX i XXI wieku* (red., Warszawa 2002, II wyd. 2004), *Przemiany więzi społecznych. Zarys teorii zmiany społecznej* (z Anną Gizą-Poleszczuk, Warszawa 2004), *Zmiana czy stagnacja? Społeczeństwo polskie po czterech latach transformacji* (red., Warszawa 2004).

Rafał Matyja (ur. 1967) – politolog i publicysta, dr. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1997–2000 asystent w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Od 2000 roku pracownik Wyższej Szkoły Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu, obecnie prodziekan i adiunkt na Wydziale Studiów Politycznych. W latach 1997–2000 redaktor naczelny „Kwartalnika Konserwatywnego”. Publikuje na łamach „Dziennika. Polska. Europa. Świat” i „Nowego Państwa”. Wydał *Świat polityki, dyplomacji, idei. Słownik podręczny* (z Robertem Kostrą, Warszawa 1992), *Równi równiejsi* (z Kazimierzem Michałem Ujazdowskim, Warszawa 1993), *Praktyka polityczna* (red., Nowy Sącz 2004).

Andrzej Mencwel (ur. 1940) – historyk i krytyk literatury oraz kultury polskiej, antropolog kultury, eseista, publicysta, prof. dr hab. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1992 roku kierownik Katedry Kultury Polskiej UW, od 1998 do 2005 roku dyrektor Instytutu Kultury Polskiej UW, obecnie przewodniczący Rady Instytutu. Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN i Komitetu Nauk o Kulturze PAN. Prezes Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego (od 2005 roku honorowy). W latach 1978–1981 redaktor tygodnika „Literatura”, a w 1981 roku pisma „Meritum”. Wydał m.in. *Stanisław Brzozowski. Kształtowanie myśli krytycznej* (Warszawa 1976), *Widziane z dołu* (Warszawa 1980), *Spoiwa. Refleksje krytyczne* (Warszawa 1983), *Etos lewicy. Esej o narodzinach kulturalizmu polskiego* (Warszawa 1990), *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku* (Warszawa 1997), „No! Io non sono morto...” *Jak czytać „Legendę Młodej Polski”?* (Kraków 2001), *Kaliningrad, moja miłość. Dwa pokrewne eseje podróżne* (Olsztyn 2003), *Wyobrażenia antropologiczne* (w druku).

Cezary Michalski (ur. 1963) – publicysta, eseista i prozaik. Zastępca redaktora naczelnego „Dziennika. Polska. Europa. Świat”, wcześniej szef działu opinii. Współpracował z TVP, Radiem Plus, TV Puls, „Życiem”. W latach 1987–1997 współpracownik kwartalnika „bruLion”. Wydał m.in. *Powrót człowieka bez właściwości* (Warszawa 1996), *Ćwiczenia z bezstronności* (Kraków 1999), *Ministerstwo prawdy* (Kraków 2000), *Siła odpychania* (Warszawa 2002), *Jezioro Radykałów* (Warszawa 2004), *Gorsze światy* (Lublin 2006).

Karol Modzelewski (ur. 1937) – historyk, prof. dr hab. Wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk. W 1964 roku ogłosił wraz z Jackiem Kuroniem *List otwarty do członków PZPR*. W latach 1964–1967 oraz 1968–1971 więziony. Działacz „Solidarności”. W latach 1980–1981 rzecznik prasowy Krajowej Komisji Porozumiewawczej. W 1981 roku członek Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. W latach 1981–1982 internowany, a następnie do 1984 więziony. W latach 1989–1991 senator RP. W 1991 roku współzałożyciel Solidarności Pracy. W 1992 roku współtwórca i w latach 1992–1995 honorowy przewodniczący Unii Pracy. Od 1995 roku bezpartyjny. Wydał m.in. *Organizacja gospodarcza państwa piastowskiego X–XIII wiek* (Wrocław 1975, wyd. II Poznań 2000), *Chłopi w monarchii wczesnopiastowskiej* (Wrocław 1987), *Między umową a wojną* (Warszawa 1989), *Dokąd od komunizmu?* (Warszawa 1993, przekł. francuski 1995), *Życiodajny impuls chuligaństwa. Notatki z lat 1993–2002* (Kraków 2003), *Barbarzyńska Europa* (Warszawa 2004).

Wiktor Osiatyński (ur. 1945) – prawnik i socjolog, prof. dr hab., członek Komitetu Nauk Politycznych PAN. Specjalizuje się w historii doktryn polityczno-prawnych. Doradzał komisjom konstytucyjnym Senatu i Zgromadzenia Narodowego w Polsce. Wykładał na uniwersytetach m.in. Columbia, Stanford, Harvard. Profesor Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie. W latach 1990–1997 kierował Centrum Badania Konstytucjonalizmu w Europie Środkowej na Uniwersytecie Chicago. Od 1995 roku członek rady międzynarodowego Instytutu Społeczeństwa Otwartego. Współzałożyciel Komisji Edukacji w Dziedzinie Alkoholizmu przy Fundacji im. Stefana Batorego. Wydał m.in. *W kręgu mitu amerykańskiego* (Warszawa 1971), *Stany Zjednoczone. Społeczeństwo i władza* (Warszawa 1975), *Ewolucja amerykańskiej myśli społecznej i politycznej* (Warszawa 1983), *Współczesny konserwatyzm i liberalizm amerykański* (Warszawa 1984), *Kryzys, czyli szansa* (Warszawa 1990), *Twoja konstytucja* (Warszawa 1997), *O zbrodniach i karach* (Warszawa 2003), *Rehab* (Warszawa 2003), *Rzeczpospolita Obywateli* (Warszawa 2004), *Alkoholizm. Grzech czy choroba?* (Warszawa 2005).

Piotr Pacewicz (ur. 1953) – publicysta, psycholog, dr. Absolwent psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmował się psychologią historyczną. Pracował w Instytucie Psychologii PAN i Technische Universität w Berlinie. Praktykował psychologię kliniczną w szpitalach psychiatrycznych. W latach 1981–1989 redaktor „Tygodnika Mazowsze”. Uczestnik prac przy Okrągłym Stole – sekretarz szefa negocjatorów politycznych „Solidarność” Bronisława Geremka. Współzałożyciel „Gazety Wyborczej”, komentator i publicysta, od 1995 roku zastępca redaktora naczelnego. Wydał: *Pomiędzy myślą a rzeczywistością. Rewolucja społeczna jako zjawisko psychologiczne* (Wrocław 1982).

Janusz Reykowski (ur. 1929) – psycholog społeczny, prof. dr hab., absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1951–1980 pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1980 do 2002 roku dyrektor Instytutu Psychologii PAN. Od 1996 roku przewodniczący Rady Programowej w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Członek korespondent Polskiej Akademii Nauk. Od 2003 roku prezydent Międzynarodowego Towarzystwa Psychologii Politycznej (International Society of Political Psychology). Członek Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Społecznej. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu – współprzewodniczący Stołu Politycznego ds. reform politycznych. Wydał m.in. *Funkcjonowanie osobowości w warunkach stresu psychologicznego* (Warszawa 1966), *Eksperymentalna psychologia emocji* (Warszawa 1968, II wyd. 1974), *Z zagadnień psychologii motywacji* (Warszawa 1970, II wyd. 1975, III wyd. 1980),

Teoria motywacji a zarządzanie (Warszawa 1975, II wyd. 1979), *Motywacja, postawy prospołeczne a osobowość* (Warszawa 1979, II wyd. 1986), *Logika walki. Szkice z psychologii konfliktu społecznego w Polsce* (Warszawa 1984), *Postawy i wartości Polaków a zmiany systemowe* (red., Warszawa 1993), *Potoczne wyobrażenia o demokracji. Psychologiczne uwarunkowania i konsekwencje* (red., Warszawa 1995), *Dylematy współczesnej cywilizacji a natura człowieka* (red., z Tadeuszem Bielickim, Poznań 1997).

Jacek Rostowski (ur. 1951) – ekonomista, prof. Dziekan Wydziału Ekonomii Central European University w Budapeszcie. W latach 1988–1995 wykładowca w School of Slavonic and East European Studies w University of London, w latach 1992–1995 pracownik Centre for Economic Performance w London School of Economics. W latach 1989–1991 doradca ekonomiczny wicepremiera i ministra finansów Leszka Balcerowicza, w latach 1997–2001 szef Rady Polityki Makroekonomicznej w Ministerstwie Finansów RP, w latach 2002–2004 doradca Prezesa NBP. Były doradca rządu Federacji Rosyjskiej do spraw polityki makroekonomicznej. Od 2004 roku doradca zarządu Banku PEKAO S.A. Współzałożyciel CASE – Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych – oraz członek Rady Fundacji. Autor publikacji poświęconych problematyce poszerzonej Unii Europejskiej, polityce monetarnej, polityce kursowej i transformacji gospodarek postkomunistycznych. Wydał m.in. *Banking Reform in Central Europe and the Former Soviet Union* (red., Budapest, Oxford 1995), *Macroeconomic Instability in Post-communist Countries* (Oxford, New York 1998), *The Eastern Enlargement of the EU* (red., z Markiem Dąbrowskim, Boston 2001), *Polityka kursowa w trzecim etapie reform w Polsce* (z Wojciechem Paczyńskim, Warszawa 2004).

Andrzej Rychard (ur. 1951) – socjolog, prof. dr hab. Dyrektor Szkoły Nauk Społecznych przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Profesor w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. W latach 1995–2006 wykładowca w Central European University. Członek Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, Komitetu Socjologii PAN oraz rady redakcyjnej „International Politics”. Członek zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Wydał m.in. *Władza i interesy w gospodarce polskiej u progu lat 80.* (Warszawa 1987, II wyd. 1995), *Polityka i gospodarka w świadomości społecznej. 1980–1990* (z Leną Kolarską-Bobińską, Warszawa 1990), *Reforms, Adaptation, and Breakthrough. The Sources of and Limits to Institutional Changes in Poland* (Warsaw 1993), *Strategie i system. Polacy w obliczu zmiany społecznej* (z Anną Gizą-Poleszczuk, Mirosławą Marody, Warszawa 2000), *Utracona dynamika? O niedojrzałości polskiej demokracji* (red., z Edmundem Mokrzyckim,

Andrzejem Zybortowiczem, Warszawa 2002), *Niepokoje polskie* (red., z Henrykiem Domańskim, Antoniną Ostrowską, Warszawa 2004), *Polska. Jedna czy wiele?* (z Henrykiem Domańskim, Pawłem Śpiewakiem, Warszawa 2005).

Sławomir Sierakowski (ur. 1979) – socjolog, publicysta, założyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Krytyka Polityczna”. Prezes Stowarzyszenia im. Stanisława Brzozowskiego. Doktorant socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Inicjator listu otwartego do europejskiej opinii publicznej *Chcemy innej Europy*. Publikuje m.in. w „Dzienniku. Polska. Europa. Świat”, „Gazecie Wyborczej”, „Polityce”, „Rzeczpospolitej”.

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta, prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, pracownik naukowy francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych (CNRS). Studiował socjologię i ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim, stosunki międzynarodowe w John Hopkins University. W latach 1971–1989 na emigracji politycznej we Włoszech, Wielkiej Brytanii i Francji. W 1974 roku współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego, a w latach 1992–1993 doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Do 2005 roku członek Unii Wolności. Opublikował m.in. *Le rôle des groupes d'opposition la veille de la démocratisation en Pologne et en Hongrie* (red., z Peterem Kende, Wien 1989), *La Grande Secousse. L'Europe de l'Est 1989–1990* (red., z Peterem Kende, Paris 1991), *Globalization, Power and Democracy* (red., z Markiem Plattnerem, Baltimore 2000), *De Kant a Kosovo* (red., z Anne-Marie Le Gloanec, Paris 2003).

Antoni Sutek (ur. 1945) – socjolog, prof. dr hab. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładowca w Instytucie Socjologii UW. W latach 1994–1998 przewodniczący Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Od 1999 do 2001 roku główny doradca ds. spraw społecznych Jerzego Buzka. W latach 2002–2005 dyrektor Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wydał m.in. *Eksperyment w badaniach społecznych* (Warszawa 1979), *Logika analizy socjologicznej. Wybór tekstów* (Warszawa 1983), *Metody analizy socjologicznej. Wybór tekstów* (oprac., Warszawa 1986), *W terenie, w archiwum i w laboratorium. Studia nad warsztatem socjologa* (Warszawa 1990), *Polska 1989–1992. Fragmenty pejzażu* (z Mirosławą Grabowską, Warszawa 1993), *Sondaż polski. Przygarść rozpraw o badaniach ankietowych* (Warszawa 2001), *Ogród metodologii socjologicznej* (Warszawa 2002).

Jerzy Szacki (ur. 1929) – socjolog i historyk idei, prof. dr hab. Emerytowany profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wykładowca Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. W latach 1967–1968 prodziekan Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, a w latach 1981–1983 dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii UW. W latach 1968–1999 kierował Zakładem Historii Myśli Społecznej w Instytucie Socjologii UW. Członek Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, w latach 1972–1976 jego przewodniczący. W latach 1978–1982 uczestnik Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Wydał m.in. *Kontrewolucyjne paradoksy. Wizje świata francuskich antagonistów Wielkiej Rewolucji 1789–1815* (Warszawa 1965), *Tradycja. Przegląd problematyki* (Warszawa 1971), *Historia myśli socjologicznej* (Warszawa 1981, 1983, wydanie nowe: 2003), *Spotkania z utopią* (Warszawa 1980, II wyd. 2000), *Tradycja i nowoczesność* (wybór, z Joanną Kurczewską, Warszawa 1984), *Znanięcki* (Warszawa 1986), *Dylematy historiografii idei oraz inne szkice i studia* (Warszawa 1991), *Liberalizm po komunizmie* (Kraków 1994, przekł. angielski 1995, przekł. bułgarski 1996, przekł. niemiecki 2003), *Sto lat socjologii polskiej. Od Supińskiego do Szczepańskiego. Wybór tekstów* (red., Warszawa 1995).

Tadeusz Szawiel (ur. 1950) – socjolog, dr, pracownik Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się teorią demokracji, społeczeństwa obywatelskiego, podziałów politycznych, przemianami wartości i filozoficznymi podstawami nauk społecznych. Od 1995 roku prezes Instytutu Badań nad Podstawami Demokracji. Od 2006 roku członek Rady Fundacji CBOS. Od 1997 roku członek redakcji „Civitas. Studia z filozofii polityki”. Wydał m.in. *Religijność społeczeństwa polskiego lat 80. Od pytań filozoficznych do problemów empirycznych* (red., z Mirosławą Grabowską, Warszawa 1989, II wyd. 2005), *Anatomia elit politycznych* (red., z Mirosławą Grabowską, Warszawa 1993), *Korzenie demokracji. Partie polityczne w środowisku lokalnym* (red., z Mirosławą Grabowską, Warszawa 2000), *Budowanie demokracji* (z Mirosławą Grabowską, Warszawa 2001), *Budowanie demokracji. Podziały społeczne, partie polityczne i społeczeństwo obywatelskie w postkomunistycznej Polsce* (z Mirosławą Grabowską, Warszawa 2003).

Hanna Świada-Ziemia (ur. 1930) – socjolog, pedagog, prof. dr hab. Wykładowca w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej i na Uniwersytecie Warszawskim. Zajmuje się socjologią młodzieży, socjologią wartości oraz mechanizmami systemu totalitarnego. Wydała m.in. *Wartości egzystencjalne młodzieży lat dziewięćdziesiątych* (Warszawa 1995, II wyd. 1998, III wyd. 1999), *Człowiek wewnętrznie zniewolony. Mechanizmy i konsekwencje minionej formacji* (Warszawa 1997),

Młodzież końca tysiąclecia. Obraz świata i bycia w świecie. Z badań młodzieży licealnej (Warszawa 2000), *Urwany lot. Pokolenie inteligenckiej młodzieży powojennej w świetle listów i pamiętników 1945–1948* (Kraków 2003), *Młodzi w nowym świecie* (Kraków 2005).

Andrzej Walicki (ur. 1930) – historyk idei, prof. dr hab. Członek rzeczywisty PAN. Emerytowany profesor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. W latach 1986–1999 wykładowca University of Notre Dame w Indianie. Zajmuje się dziejami myśli polskiej i rosyjskiej oraz historii marksizmu. Wydał m.in. *Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego* (Warszawa 1970), *A History of Russian Thought from the Enlightenment to Marxism* (Stanford 1979), *Philosophy and Romantic Nationalism. The Case of Poland* (Oxford, New York 1982, II wyd. Notre Dame, Ind. 1994), *Między filozofią, religią i polityką. Studia o myśli polskiej epoki romantyzmu* (Warszawa 1983), *Polska, Rosja, marksizm. Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji* (Warszawa 1983), *Spotkania z Miłoszem*. (Londyn 1985), *Legal Philosophies of Russian Liberalism* (Oxford, New York 1987, II wyd. Notre Dame, Ind. 1992, przekł. pol. 1995), *The Controversy over Capitalism. Studies in the Social Philosophy of the Russian Populists* (Notre Dame, Ind. 1989), *Zniewolony umysł po latach* (Warszawa 1993), *Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia* (Stanford, 1995, przekł. pol. 1996), *Polskie zmagania z wolnością widziane z boku* (Kraków 2000), *Idea wolności u myślicieli rosyjskich. Studia z lat 1955–1959* (Kraków 2000), *Rosja, katolicyzm i sprawa polska* (Warszawa 2002), *Zarys myśli rosyjskiej. Od oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego* (Kraków 2005), *Mesjanizm Adama Mickiewicza w perspektywie porównawczej* (Warszawa 2006).

Andrzej Waśkiewicz (ur. 1963) – historyk, socjolog, dr, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Współautor licealnych podręczników do wiedzy o społeczeństwie. Publikuje m.in. na łamach „Przeglądu Politycznego”. Wydał *Interpretacja teorii politycznej. Spór o metodę we współczesnej literaturze anglosaskiej* (Warszawa 1998). Przetłumaczył książkę Bernarda Cricka *W obronie polityki* (Warszawa 2004).

Piotr Winczorek (ur. 1943) – prawnik, prof. dr hab. Wykładowca na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1989 pełnił funkcje wicedyrektora i dyrektora Instytutu Nauk o Państwie i Prawie UW oraz kierownika Katedry Filozofii Prawa i Nauki o Państwie. W latach 1989–1993 sędzia Trybunału Stanu; w latach 1994–1998 członek Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady

Ministrów; w latach 1993–1997 członek, a następnie przewodniczący Zespołu Stałych Ekspertów Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Publicysta „Rzeczpospolitej”. Autor podręczników prawa. Wydał m.in. *Prawo i polityka w czasach przemian* (Warszawa 1995), *Dyskusje konstytucyjne* (Warszawa 1996), *Komentarz do Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r.* (Warszawa 2000), *Prawo konstytucyjne Rzeczypospolitej Polskiej. Podręcznik dla studentów studiów nieprawniczych* (Warszawa 2003), *Teoria i praktyka wykładni prawa* (red., Warszawa 2005).

Artur Wołek (ur. 1971) – politolog, dr, wykładowca Wyższej Szkoły Biznesu – NLU w Nowym Sączu i Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. W latach 1997–2000 dyrektor i członek zarządu Fundacji Grupa Windsor. Od 1997 do 2000 roku sekretarz redakcji „Kwartalnika Konserwatywnego”. W latach 1997–1999 współpracownik Pełnomocnika Rządu ds. Reform Ustrojowych Państwa. Współautor projektu konstytucji Prawa i Sprawiedliwości. Publikował m.in. w „Arcanach”, „Gazecie Wyborczej”, „Kwartalniku Konserwatywnym”, „Rzeczpospolitej”, „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku”. Wydał m.in. *Reformatorzy i politycy. Gra o reformę ustrojową roku 1998 widziana oczami jej aktorów* (z Jadwigą Emilewicz, Warszawa 2000, II wyd. Nowy Sącz 2002), *The End of Transformation Era? Graduate Seminar in Politics* (red., Nowy Sącz 2003), *Demokracja nieformalna. Konstytucjonalizm i rzeczywiste reguły polityki w Europie Środkowej po 1989 roku* (Warszawa 2004), *Zmiana ordynacji wyborczej?* (red., Kraków 2004).

Maciej Zięba OP (ur. 1954) – teolog, dr, absolwent Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Wydziału Teologicznego Papieskiej Akademii Teologicznej. Wykładowca Kolegium Filozoficzno-Teologicznego o.o. Dominikanów przy Papieskiej Akademii Teologicznej oraz Akademii Ekonomicznej. Związany z opozycją demokratyczną. W latach 1990–1995 dyrektor Wydawnictwa „W drodze”. W latach 1998–2006 prowincjał Polskiej Prowincji Dominikanów. Od 2001 roku członek Rady Społecznej oraz Rady ds. Dialogu Religijnego Episkopatu Polski. Od 2003 roku konsultor Papieskiej Rady *Iustitia et Pax*. Współzałożyciel i członek zarządu Ośrodka Myśli Politycznej w Krakowie. Założyciel i prezes Fundacji „Instytut Tertio Millennio” w Krakowie. Publikował m.in. w „Ethosie”, „Odrze”, „Przeglądzie Politycznym”, „Tygodniku Powszechnym”, „Res Publice”, „Znaku”. Wydał m.in. *Chrześcijaństwo-demokracja-kapitalizm* (z Michaeliem Novakiem i Antonem Rauscherem SJ, Poznań 1993), *Demokracja i antyewangelizacja. Komentując nauczanie Jana Pawła II* (Poznań 1997), *Niezwykły pontyfikat* (rozmowa z Adamem Pawłowiczem, Kraków 1997), *Papieże i kapita-*

lizm. *Od „Rerum novarum” po „Centesimus annus”* (Kraków 1998), *Chrześcijanizm, polityka, ekonomia. Prawdy i kłamstwa* (Kraków 2003), *Unanimitas. Dominikańskie przykazanie* (Poznań 2003), *Biel z dodatkiem czerni* (rozmowa z Tomaszem Wiścickim, Warszawa 2005), *Epoka Jana Pawła II. Zrozumieć niezwykły pontyfikat* (Poznań 2006).

Jacek Żakowski (ur. 1957) – dziennikarz, publicysta „Polityki”. Kierownik Katedry Dziennikarstwa w Collegium Civitas. Współzałożyciel „Gazety Wyborczej”. W latach 1989–1990 rzecznik prasowy Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. W latach 1991–1992 prezes Polskiej Agencji Informacyjnej. W latach 1992–1993 kierował działem publicystyki „Życia Warszawy”. W latach 1993–2002 dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Twórca programów telewizyjnych w TVP, m.in. *Tok-Szok* (z Piotrem Najstubem), *Tischner czyta Katechizm*, *Autograf*, oraz programów radiowych, m.in. *Tok-tok* (I RP) i *Rozmowy podsłuchiwane* (RMF). W latach 2001–2002 prowadził codzienny program *Gość Radia Zet*. Wydał m.in. *Anatomia smaku czyli o losach „Tygodnika Powszechnego” 1953–1956* (Lublin 1986, II wyd. Warszawa 1988), *Między panem a plebanem* (z Adamem Michnikiem i Józefem Tischnerem, Kraków 1995), *Tischner czyta Katechizm* (z Józefem Tischnerem, Kraków 1980), *Siedmiolatka czyli Kto ukradł Polskę?* (z Jackiem Kuroniem, Wrocław 1997), *Pół wieku pod włos czyli życie codzienne „Tygodnika Powszechnego” w czasach heroicnych* (Kraków 1999), *Mroczne wnętrza. Uwięziony Prymas prywatnie w oczach współwzięniów i swojej siostry* (Warszawa 2000), *Rewanż pamięci* (Warszawa 2002), *Anty-TINA. Rozmowy o lepszym świecie, myśleniu i życiu* (Warszawa 2005).

Indeks nazwisk

- Acemoglu Daron 218
Aghion Philippe 218
Amin Ash 297
Arendt Hannah 154
Ashcroft John 155
- Baczko Bronisław 140
Balcerowicz Leszek 65, 102, 209, 220,
250, 260, 271, 276, 280, 282, 287,
304
Barańczak Stanisław 265
Bartoszewski Władysław 22
Bauman Zygmunt 124
Beauvois Daniel 126
Beck Ulrich 117, 122, 124
Belka Marek 71
Bender Ryszard 156
Berger Peter 34
Bichniewicz Michał 270
Bielecki Jan Krzysztof 271
Bielicki Tadeusz 304
Bojar Hanna 299
Boy-Żeleński Tadeusz 141
Bratkowski Stefan 64
Bruger Bill 121
Brzozowski Stanisław 302
- Bugaj Ryszard 83, 90, 93, 102, 195,
295
Bujak Zbigniew 261
Burke Edmund 185, 220
Bush George W. 81, 133
Buzek Jerzy 65, 267, 285, 286, 305
- Casanova José 124
Cervantes Saavedra Miguel 294
Chavier Jean-Marie 187
Cichowski Bogdan 36, 37
Cieszkowski August 185
Cimoszewicz Włodzimierz 192, 265
Constant Benjamin 139
Converse Philip E. 164
Crick Bernard 307
Cywiński Bohdan 293, 294
- Dahrendorf Ralf 63, 185, 277
Dąbrowski Marek 304
Derlega Valerian J. 297
Dmowski Roman 141, 255
Dollfuss Engelbert 266
Domański Henryk 285, 295, 305
Dorn Ludwik 26, 275
Dudek Antoni 212

- Durkheim Emil 111
- Eisenstadt Szmuel (Shmuel) 117, 118, 122
- Emerson Ralph Waldo 289
- Emilewicz Jadwiga 308
- Eysymontt Jerzy 273
- Falandysz Lech 212
- Franco Bahamonde Francisco 93, 200, 266
- Friedman Milton 91
- Fukuyama Francis 260
- Furet François 109
- Gadacz Tadeusz 22
- Gadomski Witold 44
- Gaulle Charles de 226
- Gawin Dariusz 45, 92, 93, 296
- Geremek Bronisław 280, 303
- Giddens Anthony 117, 122
- Gierek Edward 267
- Giertych Roman 180, 207, 255, 292, 294
- Giłowska Zyta 86, 135, 220
- Giza-Poleszczuk Anna 301, 304
- Goethe Johann Wolfgang 293
- Goetz Klaus H. 68
- Golinowska Stanisława 297
- Gomułka Władysław 267
- Goss Mariusz 31
- Grabowska Mirosława 171, 189, 196, 200, 296, 305, 306
- Graham Billy 133
- Gray John 278
- Grzelak Janusz 148, 189, 297
- Guizot François 252, 254, 284
- Habermas Jürgen 117, 124, 299
- Hausner Jerzy 82, 83–85, 100, 297, 301
- Hayek Friedrich von 218
- Hegel Georg Wilhelm Friedrich 46, 255
- Heidegger Martin 119
- Hicks John Richard 298
- Hirschman Albert O. 298
- Holmes Stephen 284
- Howitt Peter 218
- Jan Paweł II (Wojtyła Karol) 30, 40, 130, 137, 141, 147, 308, 309
- Jaruzelski Wojciech 43
- Jedlicki Jerzy 131, 154, 155, 198, 298
- Jerzyński Tomasz 36
- Jessop Bob 297
- Johnson Simon 218
- Jurek Marek 252
- Kaczorowski Ryszard 43, 84
- Kaczyński Jarosław 60, 92, 133, 135, 148, 180, 193, 213, 214, 216, 221, 246, 265–267, 269, 270, 272–277, 279, 281, 285, 289–294
- Kaczyński Lech 47, 91, 92, 133, 135, 148, 174, 190, 191, 193, 213, 215, 220, 266, 267, 269, 270, 274, 275, 279, 285, 293, 294
- Kamiński Antoni 48, 82, 88, 100, 298
- Kamiński Bartłomiej 298
- Kant Immanuel 305
- Karnowski Michał 265, 275
- Kelles-Krauz Kazimierz 185
- Kende Peter 305
- Kisielewski (Kisiel) Stefan 273, 274, 278
- Kluska Roman 33
- Kochanowicz Jacek 148–150, 298
- Kochanowski Janusz 155
- Kolarska-Bobińska Lena 285, 301, 304
- Kołakowski Leszek 184

- Komorowski Bronisław 275
 Konfucjusz (Kong Qiu) 49
 Kostro Robert 301
 Krasnodębski Zdzisław 32, 33, 44, 80,
 87, 90, 92, 94, 96, 100, 101, 134–136,
 138, 139, 148, 149, 151–153, 195,
 199, 299
 Król Marcin 142
 Kruk Elżbieta 221
 Krzaklewski Marian 174
 Krzyżanowski Adam 144
 Kucharski Tadeusz 270
 Kuczyński Waldemar 32, 33
 Kudłacz Tadeusz 297
 Kulesza Michał 128
 Kurczewska Joanna 97, 299, 306
 Kurczewski Jacek 35, 36, 54, 299
 Kuroń Jacek 34, 40, 280, 288, 302,
 309
 Kurski Jacek 135
 Kuznets Simon 231
 Kwaśniewski Aleksander 40, 44, 45, 50,
 80, 190, 214, 220, 267, 268, 289

 La Porta Rafael 218
 Le Gloanec Anne-Marie 305
 Legutko Ryszard 44, 97, 133, 150,
 151, 300
 Lepper Andrzej 135, 179, 180, 203, 246,
 284, 292, 294
 Lesiak Jan 275
 Lewandowski Janusz (pseud. Jędrzej
 Branecki) 134, 146, 300
 Lipowicz Irena 275
 Lipset Seymour Martin 169
 Lipski Jan Józef 260
 Locke John 192
 López-de-Silanes Florencio 219

 Łagowski Bronisław 195, 200, 300
 Łapiński Mariusz 67, 100

 Macierewicz Antoni 269, 270, 292,
 294
 Magdziak-Miszewska Agnieszka 275
 Maison Dominik 297
 Mandelsztam Nadzieжда 187
 Manin Bernard 88
 Manteuffel Tadeusz 247
 Marcinkiewicz Kazimierz 66, 77, 191
 Markowski Radosław 87, 301
 Marody Mirosława 67, 297, 301, 304
 Matyja Rafał 48, 53, 141, 213, 275,
 301
 Mayer-Foulkes David 218
 Mazowiecki Tadeusz 9, 29, 43, 45, 128,
 174, 268, 270, 271, 280, 281, 305
 Mazur Andrzej 31
 Mech Cezary 220
 Mencwel Andrzej 52, 80, 136, 147,
 155, 302
 Michalski Cezary 151, 153, 291, 302
 Michnik Adam 43–45, 80, 128, 202,
 280, 288, 309
 Mickiewicz Adam 307
 Mill John Stuart 192, 195
 Miller Leszek 23, 67, 83–85, 102, 193,
 195, 214, 288, 290
 Mitosz Czesław 307
 Mochnacki Maurycy 300
 Modzelewski Karol 260, 261, 280,
 302
 Mokrzycki Edmund 304
 Mouffe Chantal 244
 Münch Richard 118

 Najder Zdzisław 274
 Najsztab Piotr 309
 Napoleon Bonaparte 64
 Nielsen Klaus 297
 Nikolski Lech 83
 Nolte Paul 125
 North Douglass 94

- Norwid Cyprian Kamil 251
Novak Michael 308
- O'Donnell Guillermo 214
Oleksy Józef 44
Olszewski Jan 174, 267, 269–271, 273,
291
Orłowski Hubert 119
Osiatyński Wiktor 93, 133, 155, 192,
196, 200, 303
Ost David 196
Ostoja-Owsiany Andrzej 31
Ostrowska Antonina 305
- Pacewicz Piotr 190, 192, 303
Paczkowski Andrzej 268
Paczyński Wojciech 304
Pankowski Krzysztof 296
Paszczyk Stefan 120
Pawłowicz Adam 308
Pedersen Ove K. 297
Pétain Philippe 266
Pińior Józef 261
Pinochet Ugarte Augusto 91, 93, 96
Piskorski Paweł 214
Platon 300
Plattner Mark 305
Plessner Helmuth 299
Pocock John 154
Pop-Eleches Cristian 219
Praczyk Grzegorz 271
Przeworski Adam 88, 278
- Rakowski Mieczysław F. 280
Rauscher Anton, SJ 308
Reagan Ronald 96, 125, 186
Reykowski Janusz 89, 100, 135, 149,
189, 196, 198, 303
Robinson James A. 218
Rokita Jan 24, 60, 92
Rokkan Stein 169
- Ronit Karsten 297
Rostowski Jacek 304
Roszkowski Wojciech 32
Rousseau Jean-Jacques 140
Rudnicki Piotr M. 270
Rutkowski Krzysztof 126
Rychard Andrzej 60, 61, 81, 89, 99, 100,
296, 301, 304
Rydzyk Tadeusz, ks. 23, 146, 292, 294
Rymkiewicz Jarosław Marek 151
Rywin Lew 202, 249, 285
- Salazar António de Oliveira 267
Samuelson Paul Anthony 298
Schumpeter Joseph 192
Sennett Richard 154
Shils Edward 123
Shleifer Andrei 219
Sierakowski Sławomir 305
Sikorski Radosław 270
Simons Thomas 271
Skalski Ernest 44
Smolar Aleksander 49, 96, 151, 188,
196, 203, 266, 305
Sochocki Marcin J. 297
Sonik Liliana 64
Spodenkiewicz Paweł 31
Staniszkiś Jadwiga 60, 61, 151
Stefanowicz Jan A. 298
Stoiber Edmund 128
Stokes Susan C. 88
Strauss Leo 119
Suchocka Hanna 305
Sułek Antoni 142, 144, 189, 296, 305
Supiński Józef 306
Surdziel Wojciech 146
Szacki Jerzy 252, 299, 306
Szawiel Tadeusz 51, 94, 96, 144, 296,
306
Szczepański Jan 306
Szczupaczyński Jerzy 169

- Szlachta Jacek 297
- Śpiewak Paweł 44, 296, 305
Świada-Ziamba Hanna 47, 306
- Thatcher Margaret 96, 125
Tischner Józef, ks. 309
Tomasi Luigi 118
Tönnies Ferdinand 111
Torańska Teresa 270
Trębski Krzysztof 153
Turowicz Jerzy 44
Tusk Donald 86, 92, 130
Tymiński Stan 114, 245, 280, 284
- Ujazdowski Kazimierz Michał 221,
301
Urbański Andrzej 273
- Voegelin Eric 119
- Walicki Andrzej 43, 83, 84, 138, 153,
154, 307
Wałęsa Lech 29, 40, 43, 45, 47, 50, 84,
97, 137, 199, 212, 280, 299
Waniek Danuta 83
Wańkiewicz Andrzej 144, 307
Wąsowicz-Kiryło Grażyna 297
Weber Max 111, 299
Wesołowski Włodzimierz 60
- Wilkin Jerzy 67
Winczorek Piotr 307
Wiścicki Tomasz 275, 309
Władyka Wiesław 43
Włodarek Jan 60
Wnuk-Lipiński Edmund 296
Wojtasiewicz Olgierd 169
Wojtyła Karol (patrz: Jan Paweł II)
Wotek Artur 308
Wyszyński Stefan, kard. 141
- Yeats William Butler 265
- Załuska Wojciech 273, 274
Zapatero José Luis 254
Zaremba Piotr 265, 275
Zarycki Tomasz 297
Zawisza Artur 219, 221
Zdort Marcin Dominik 276
Zieliński Marcin 36
Zięba Maciej, OP 49, 133, 146, 308
Ziobro Zbigniew 135, 247, 248
Znaniński Florian Witold 306
Zubek Radosław 68
Zybertowicz Andrzej 305
- Żakowski Jacek 44, 50, 53, 80, 92, 93,
96, 197, 244, 309
Żeromski Stefan 293

